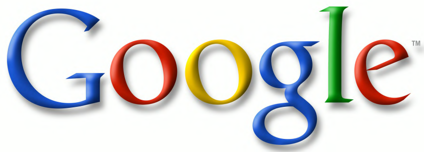
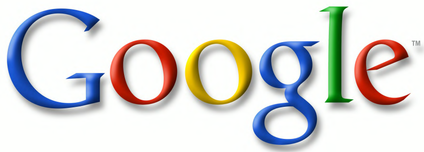
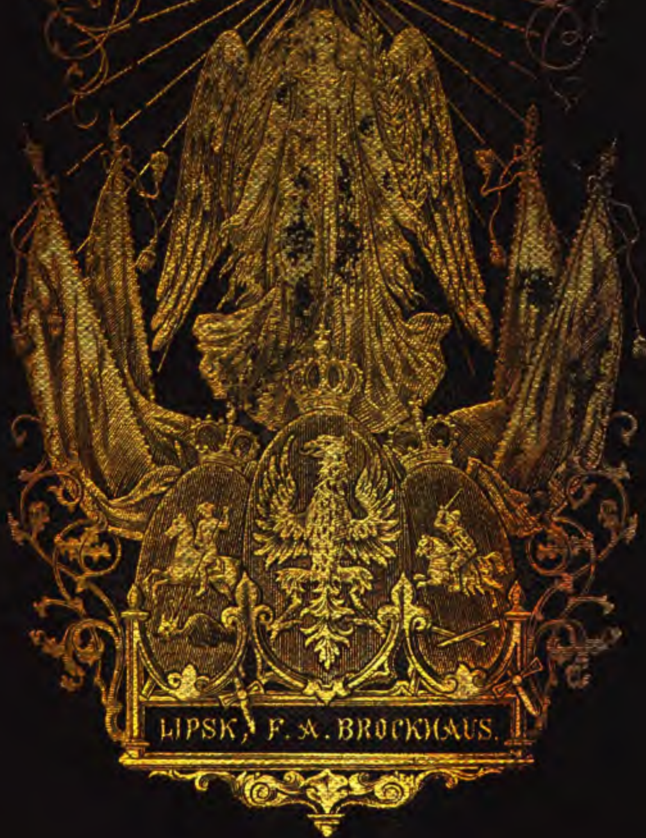
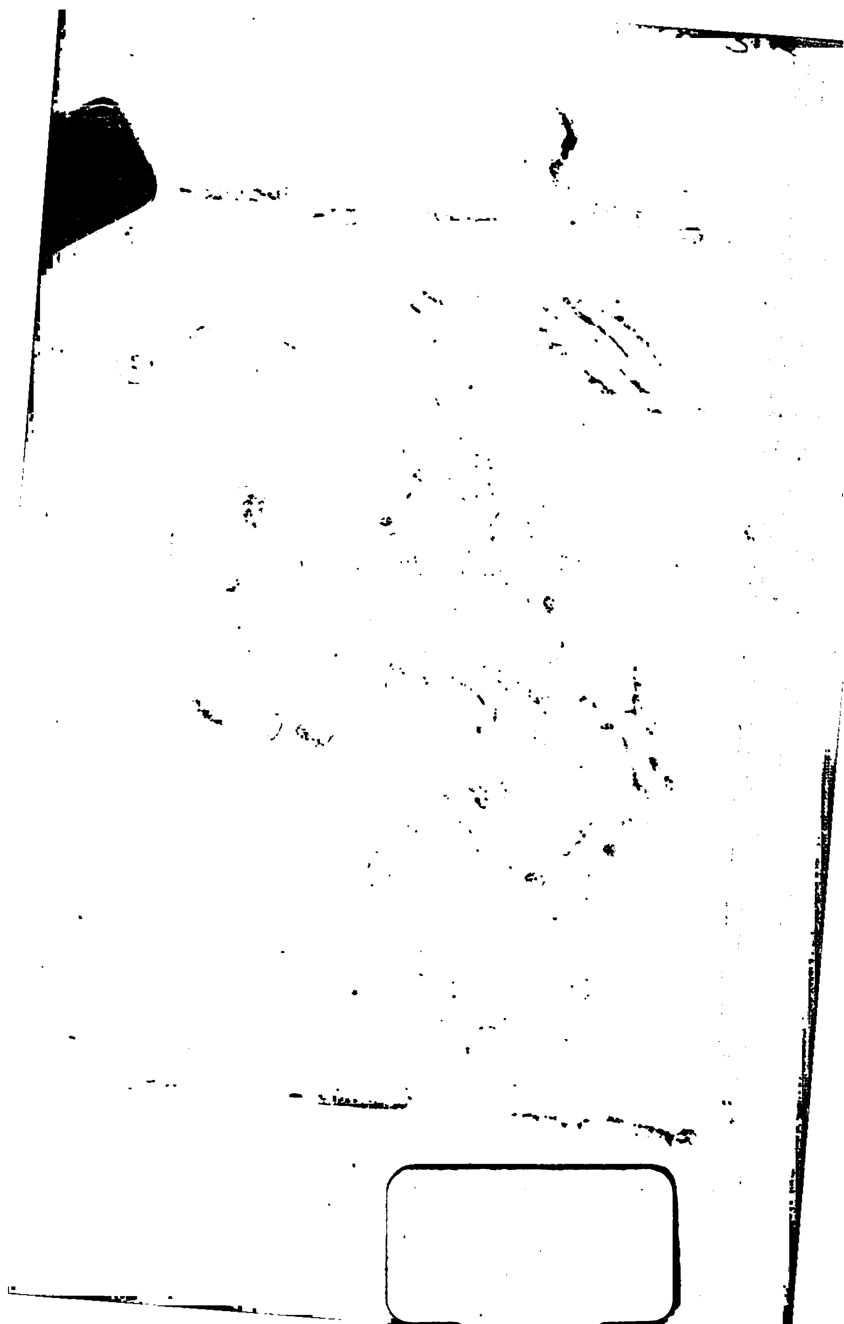




Biblioteka pisarzy polskich





P. M.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXVII.

Zacharyasiewicz, J.

ŚWIĘTY JUR.

JAREMA.

DWIE POWIEŚCI WSPÓŁCZESNE

PRZEZ

JANA ZACHARYASIEWICZA.

TOM DRUGI.

F. A. BROCK...

1873.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Fatalnym był ten wieczór dla wszystkich naszych znajomych. Rozbiło się tyle planów zręcznie ułożonych. Zdawało się wszystkim, że jakiś wir podwodny wybuchnął nagle na powierzchnię cichej wody, po której tyle spokojnych płynęło łódek, dążących do upatrzonego portu. I porwały się żagle i potonęły łódki, a nieszczęśliwe rozbitki ratowały się jak kto mógł, płynąc do brzegu o własnych siłach!... I żaden z nich nie pomyślał, że to wszystko na wieczorze u Wyrwicza nie było zdarzeniem przypadkowem, ale prostą konsekwencją założonych planów, które jednak według założenia do czego innego prowadzić miały.

Najdotkliwiej zawiedzeni byli w planach stary Korybut i wuj Porfirego. Korybut chciał Grockiego oderwać od kobiety, o której nienajlepsze miał przeczucia, a na owym wieczorze musiał własnemi oczami patrzeć na to, jak ta kobieta demoniczną jakąś siłą swoją odnosiła zwycięstwo nad spokojną Walerją. Widział gorączkowe spojrzenia Karola, widział jego walkę i wiedział, że ta walka zakończy się na niekorzyść planów jego. Zjawienie się Heleny w domu Wyrwicza było dla niego zagadką, było jakimś dziwnym przypadkiem lub zrządzeniem jakiegoś złego ducha, który wiecznie krzyżuje dobre zamysły poczciwych ludzi. A jednak on to sam sprowadził Helenę na ów wieczór fatalny. Chcąc szybko zajść do celu, szepnął Wyrwiczowi coś do ucha, a nawet i do pani Wyrwiczowej coś doszło z tego sekretu. Być

może, że jeszcze komuś coś się szepnęło, a zgłodniałe nowinek nasze towarzystwo podało to dalej i tak się jakoś stało, że nawet pincz i panna Salomea o tem się dowiedzieli i Helenę w dom Wyrwicza wprowadzili sposobem bardzo naturalnym.

Wuj Porfirego zawiódł się także w rachubach swoich. Niepojętem dla niego zdarzeniem było, skąd wzięła się nagle córka ks. Onufrego w domu Wyrwicza i to właśnie w chwili, w której tak ważną wziął na siebie misję?... Dla czego ta Dosia stanęła tak niespodzianie w drodze zamiarom jego? Dla czego była ona tak piękną, tak czarującą i dla czego umiała prawie, nad stan swój, tak dobrze wydać się w bogatym salonie?... Dla czego tak często i tak ogniście spoglądała na Porfirego, a dla czego Porfiry tak jakoś pod temi magnetycznemi spojrzeniami stracił wszelki koncept i wszelką swobodę i tułał się po salonie z kąta w kąt, jakby trzech zliczyć nie umiał, co przecież ani pannie Walerji ani pani Wyrwiczowej podobać się nie mogło?... Wuj Porfirego zadawał sobie po raz setny te zapytania, a nie wiedział wcale, że tego dla planów jego tak fatalnego zejścia się Dosi z Porfirym był on sam przyczyną! On to sam wysłał ks. Onufremu rozkaz, aby z Zahorzec wyjechał i w góry na nową parafję się udał. A uczynił to w celu, aby ks. Onufrego wraz z córką oddalić od Porfirego i pozbawić ich wszelkich wpływów, jakieby na nim wywrzeć mogli opiekun i córka jego. Mniemał, że używa najlepszego i najpraktyczniejszego środka na chorobę miłosną, przedzielając kochanków górami i rzekami, a on tymczasem stał się powodem ich zbliżenia się do siebie. Gdyby księdza Onufrego nie był z Zahorzec wyrugował, gdyby zostawił go był w dawnej jego plebanji, nie byłoby mu na myśl przyszło córkę do Lwowa wywozić. Dosia więdłaby jak dotąd w samotnej plebanji, rozdrażnione jej serce strawiłoby się samo w sobie, powtórzyłyby się kurcze i ataki nerwowe, a nawet mogłoby wkrótce zgasnąć to wątłe, pragnieniem lepszych uczuć gorejące życie... I przybyłaby na smętarzu za cerkiewką jedna mogiła więcej, i porosłyby kwiaty i chwasty na tej mogile, a żyjący zapomnieliby wkrótce o ubogiej córce plebana, o tem biednem

sercu, które tyle cierpiało... Porwany wirem życia Porfiry poświęciłby kilka chwil wspomnieniom swoim, a nowe wrażenia wnet by zatarły do szczętu to wszystko, co w tej gorącej duszy kiedykolwiek się odbiło. I tak świat byłby poszedł dalej swoją drogą, Porfiry mógłby się był podobać Walerji, a wuj Porfirego śpiewałby szczęśliwym małżonkom, jak sam tego pragnął:

Tam nad riczkoju nad bystreńkoju
Sedyt hołubek i z hołubkoju,
Sediat z lubosti i ciłujut sia...

Stało się jednak inaczej. Słusznie powiadają, że człowiek sam sobie krzyżuje zamysły swoje, jeśli do nich nieprawemi idzie drogami. Wuj Porfirego obmyślił doskonale swój planik, chciał wydaleniem w góry ks. Onufrego oddalić od Porfirego niebespieczeństwo, a tymczasem tym krokiem swoim sprowadził katastrofę, która wszystkie jego marzenia zniweczyła. W najgorętszej chwili kiedy świeży żal najmocniej sercom dokucza, on ich zbliżył do siebie, i cóż dziwnego, że czarne oczka Dosi odeszły z Porfirym do zajazdu „pod żelazną koleją“ i stały przed nim we śnie, przez całą noc aż do białego dnia!

Jakie zaś wrażenie odniósł istotnie z tego wieczora Porfiry, trudno na to od razu odpowiedzieć. Wiele rzeczy mieściło sią w tej gorącej duszy marzyciela, aby z niemi tak prędko przyjść do ładu. Tyle tylko możemy o nim powiedzieć, że z wieczora wrócił zamyślony, że odprowadzając wuja nic do niego przez całą drogę nie mówił, a zdążywszy „pod żelazną kolej“ zamknął czemprędzej drzwi za sobą i nierozebrany rzucił się na łóżko.

Grocki zaś, sądząc z całego jego zachowania się na wieczorze, popadł najzupełniej w recedywę, z czem się nawet przed Korybutem nie taił. Kilka słów z ust Heleny, kilka gorących, demonicznych spojrzeń, kilka bolesnych westchnień i ta wymowna gra jej twarzy, w której tylę, ach tyle ładnych rzeczy można było czytać... wszystko to było dostatecznem, aby zapomnąć owej zimnej w przedpokoju odprawy, owego wieczornego zdarzenia z nieznanym jakimś mężczyzną, i owego aniołka z Łyczakowa, którego serce tak nieregularnie

biło przy jego boku! Bo wszystko to było tak szczere, tak naturalne! Ta drobna rączka, która przypadkiem dotknęła się jego ramienia, zadrżała tak naturalnie, tak szczerze! Te piękne, wypieszczone usta składały się z taką roskoszą, gdy mówił do niej! Nie, takiej kobiety drugiej pod słońcem nie mógł znaleźć nasz bohater — ona była alfą i omegą jego życia...

Ale mimo to wszystko, widać było na owym wieczorze w naszym bohaterze wielką zmianę. Jakiś mężniejszy duch atmosfery, którą tutaj oddychał, wstąpił w niego. Widział, że po raz pierwszy w życiu ma przewagę nad tą kobietą, która dotąd nad nim górowała. Jakieś wyższe, lepsze poczucie obudziło się w nim, a Helena przeczuła to instynktem i uchyliła przed nim dumną swoją główkę. Atmosfera tego salonu, rozmowy całego zgromadzenia były dla niej czemś tak niezwykłem, tak nowem, tak jej imponowały wielkością przedmiotu, że w obec wszystkich czuła się tak małą, tak drobną! Nawykła w swojej sferze do królowania i błyszczenia, obaczyła tutaj całą swą nicość, całą czczość swojej istoty. Kokietujący dowcip, pozy i ruchy nieco ekscentryczne, baletnicza zwinność i elastyczność gestów, pokrywające zręcznie ubóstwo moralne, wszystko to nie miało tutaj miejsca, a przynajmniej nie było ostatecznym celem. Była tam zgrabność, były wdzięki i dowcip, ale te służyły tylko za tło innym szlachetniejszym celom, wyższym myślom i uczuciom. Helena patrzała na to wszystko jak dziecię rozpieszczone, i po raz pierwszy w życiu dowiedziała się, że świecące cacka w ręku dziecięcia nie mogą zapełnić całego żywota kobiety. Wrażliwa jej dusza uczuła to, a chociaż w obec tego wszystkiego obaczyła całą czczość swojej istoty, było jej z tem jakoś dobrze i przyjemnie. W takiem usposobieniu nawet ponętną wydała się jej wyższość Karola nad nią, której dotąd nigdy nie widziała i nie uznawała. Kochanek był to u niej piesek u jej nóg leżący — dzisiaj byłoby dla niej roskoszą klęczeć u nóg Karola, dla którego wszyscy na wieczorze mieli tyle sympatji, tyle szacunku! A Grocki snać przeczuł tę zmianę w duszy Heleny, bo czuł do niej tego wieczora większy niżeli kiedykolwiek pociąg. I rzecby nawet

można, że wieczór ów wypadł na korzyść kochanków, gdyby przeznaczeniem ich było połączyć się z sobą sakramentem. Ale stary Korybut z kąta salonu inaczej zapatrywał się na te rzeczy. Toż zasumował się i tak był przez cały wieczór małomówny, że wszyscy znajomi nie mogli tego pojąć ani zrozumieć.

Jedyną pociechą dla Korybuta była córka plebana. Jej całe znalezienie się w salonie Wyrwicza było obok skromności tak swobodne i tyle miało powabu, że prawie wszystkich oczy zwróciła na siebie. Porfiry patrzał na nią z jakiemś dziwnem wzruszeniem, rozmawiał z nią często i długo, i przez cały wieczór dawał jej dowody braterskiego swego przywiązania. Pani Wyrwiczowej opowiedział cały swój stosunek do ojca Dosi, a opowiedział wszystko szczerze i otwarcie. I zdawało się, że i ci kochankowie więcej niżeli kiedykolwiek zbliżyli się na tym wieczorze do siebie, gdyby skłonnościom ich serca nie stawały w drodze zamiary wuja Porfirego. Z kanapy aksamitnej zapatrywał on się inaczej na stosunek Porfirego do ubogiej córki plebana. To też zasmucił się i był tak samo małomówny jak stary Korybut, patrząc na Helenę i Grockiego.

Walerja zdawała się być na wszystko obojętną. Siedziała spokojnie jak piękna statua z marmuru. Czasami tylko, biorąc udział w wesołem usposobieniu Dosi, musiła swoją twarz do uśmiechu, który jednak tak szybko mijał, jak w grudniu blask słoneczny. Daleko więcej zajmowała ją Helena. Często zwracała na nią swoje duże, szafirowe oczy i szukała czegoś na tej ustawicznie mieniącej się twarzy. Potem patrzała na Grockiego, jakby na jego twarzy doczytać chciała tego, co u Heleny było dla niej niezrozumiałem. Zabawa ta jednak nie alterowała jej bynàjmniej. Wszystko to odbywało się z takim spokojem, jakby patrzała na dwie ryciny, na dwie kartki albumu. Czasami tylko przemknęło coś po tych dużych, szafirowych oczach, czasami zawisły one gdzieś w powietrzu, lub zwróciły się w głąb duszy. Wtedy zmieniał się ich blask i wyraz, i wskazywał, że w tej tak spokojnej duszy są jakieś tajnie i głębie.... Nikt jednak z przytomnych tego nie spostrzegał, tylko ojciec spoczął

często okiem na twarzy swojej córki i pani Wyrwiczowa także często rzucała na nią wzrok badawczy. Grocki był dla niej grzecznym i etykietalnym, ona dla niego zimną i obojętną. W rozmowie z Porfirym odnosiła się zawsze do Dosi, do której powzięła wielkie przywiązanie.

A gdy noc późna wszystkie światła w mieście pogasiła, nad głowami naszych znajomych roztoczyła się tęcza marzeń, wychyliły się złowieszcze, dręczące widma. I co który w piersi swojej z owego wieczora był wyniósł, wszystko to napełniało aż do rana samotną jego izdebkę, póki dzień biały nie wezwał znowu wszystkich do działania.

Gospodarz wieczoru śnił z uśmiechem na ustach. Widział przed sobą wielką, olbrzymią mapę, która wyobrażała Polskę w dawnych granicach. Z roskoszą wodził wzrokiem od jednego morza do drugiego, z Karpat szedł nad Wartę i Noteć, a po drodze zagarnął i Szląsk, którego poczciwy lud wyciągnął do niego ramiona, jakby do dobrego znajomego. Tu na zachodzie tak dobrze przyjęty, zwrócił się poczciwy Wyrwicz na wschód, gdzie tak dzielnie sprawiał się Bolesław Chrobry. Ale tam nie znalazł tak gościnnego przyjęcia jak na zachodzie. Jakieś brodate twarze patrzały na niego z ukosa, a nawet groziły mu, jeźli dłużej między niemi zabawi. A był tam ruch wielki między ludźmi, ruch jawny i tajemny. I z grobów wieków wydobyto czarne tablice i obnoszono na barkach. Byli między nimi dawni ludzie Chmielnickich, Gonty i Żelezniaka, jawni i skryci. Wieści o hajdamakach okryto świeżym bluszczem poezji, zwykłym zbrodniarzom włożono na głowę koronę cierniową, zrobiono z nich męczenników idei, o jakiej oni za życia ani wyobrażenia, ani przeczucia nie mieli. I narysowano plan nowy, plan nowego państwa, które kiedyś ma dojrzeć i wejść w skład narodów Europy... Jakkolwiek boleśnie dotknęło to widmo marzącego Wyrwicza, ale uśmiechnął się z radością, widząc, że ci ludzie na wschodzie mają w ręku miecz obosieczny, który nie tylko grozi historji i temu, co ona skrystalizowała, ale grozi również i tej potędze, która tyle nieszczęść i cierpień rzuciła na biedną, nieszczęśliwą Polskę!... On widział, że ten miecz wymierzony jest również przeciw

ciemności i barbarzyństwu, a to było już dla Wyrwicza dostatecznem, aby tym ludziom darował na razie wszystkie te krzywdy, jakich dopuszczono się na historji. On widział w tych ludziach dobre, szlachetne pobudki, chociaż tak niewłaściwą wybrali sobie drogę!... I późno w noc przemyśliwał nad tem, jakimby to sposobem pogodzić i do wspólnej pracy zaprządz poważnioną rodzinę... a gdy mu stanął przed oczy ów gość z św. Jura, wtedy zżymał się szlachcic i bił we śnie pięściami w koło siebie, bo ci ludzie ze wschodu wyraźnie mu powiedzieli, że nie mają nic wspólnego z jego gościem wczorajszym, który nie jest bynajmniej rycerzem idei, choćby nawet jakiej utopji młodocianej... Ale i tutaj wracał uśmiech na twarz jego, bo przypomniał sobie, że gość jego zawarł z nim sojusz, i przyrzekł uroczyście, że w sprawach krajowych pójdzie ręka w rękę z wszystkimi prawdziwie kraj miłującymi... A gdy poczciwy szlachcic spojrzał na domowe swoje ognisko, zdawało mu się, że widzi przy niem swoją córkę, a przy niej mężczyznę, którego w pół-cieniu nie mógł dobrze poznać, a który jakoś wcale nie zdawał się być podobnym do Grockiego, o którym coś szepnął mu Korybut... Mężczyzna ten wyglądał jakoś na wygnańca sybirskiego....

Stary Korybut śnił także o czemś podobnem. Latał on w duchu wszerz i wzdłuż przez całą polską krainę, oglądał starannie wszystkie jej kopce graniczne, czy zły sąsiad nie worał się gdzie w grunt ojców, czy jakiego zagona nie zagarnął w swoje posiadanie. Nad Notecią i Wartą zalał się łzami stary szlachcic, bo tam wzięto mu wiele, wiele ziemi polskiej!

Przednia straż narodu zasnęła tam, a nieprzyjaciel podsunął się skrycie i zabierał jedną twierdzę po drugiej. I coraz dalej ku wschodowi cofała się drużyna polska, a skrzętny Niemiec zagarniał wszystko co widział przed sobą. — I waliły się tam białe szlacheckie dworki, ocienione staremi lipami, grobowce ojców rozorywał pług niemiecki, a święte kości walały się pod nogami..... Stary Korybut zapłakał nad losem braci wielkopolskiej, nad kołyską narodu, i smutno mu było w duszy, jak nigdy!... Smutno mu było, że ci rycerze

kresowi musieli ustępywać w głąb kraju; że ich zwyciężyły, przemysł, praca i oszczędność kolonistów germańskich, a oni nie walczyli przeciw nieprzyjacielowi tymże samym przemysłem, tąż samą pracą i oszczędnością..... Zapłakał stary Korybut nad tym krajem nieszczęśliwym jak Jeremjasz nad gruzami Jerozolimy, ale rozglądnąwszy się bliżej, otarł oczy, a uśmiech lepszej nadziei obkolił mu usta. Ujrzał małą gromadkę braci, która zaczęła się krzątać około obrony tych kopców ziemi polskiej. Widział jak się wzięli za ręce, jak między sobą zawiązali sojusz, aby bronić ziemię ojców swoich, bronić ją pracą, oszczędnością i wspólnemi siłami... I tak jako stary wierny włodarz obszedł Korybut wszystkie miedze ziemi polskiej, czy nie ma gdzie szkody, czy wszystko czuwa, czyli czeladka gdzie nie zasnęła...

Potem dopiero wrócił do bliższych znajomych swoich. Z Karola wcale nie był kontent. Przemyśliwał nad tem, co ma dalej uczynić. O Porfirym także nie miał jeszcze jasnego wyobrażenia, ale z Dosi był za to zadowolonym zupełnie. Panna Walerja jakoś nie bardzo sprzyjała jego planom, ale z czasem dałoby się w tym względzie coś więcej zrobić.... straszył go jednak gość od św. Jura. Jego uśmiech wiecznie słodkawy, oczy zawsze zmrożone, i gotowość jego do zgody i jedności robiły na Korybucie jakieś niemiłe wrażenie. Nie mógł się odpędzić od tego widma, które stało mu przed oczyma aż do białego dnia...

Dosia miała noc nadzwyczaj niespokojną. W jej główce było jakoś tak pełno, jej serce biło nieregularnie. Dałaby za to pół życia, gdyby Porfiry był tak ubogim jak ona... ale teraz jakiż wielki rozdział jest między nimi!... Czy wypełni się kiedy ta przepaść, która ich dzisiaj dzieli? Nie nigdy, nigdy w tem życiu!...

Walerja zamknęła się w sobie jak zimna koncha z perłą swoją. Z jej snów i marzeń nic na jaw nie wyszło.

A Helena? Helena spała spokojnie jak bohater na laurach. Czasami tylko przypominała sobie owe bolesne chwile, kiedy jej serce pękało z żalu po straconym Karolu, a przypominała je sobie z uśmiechem niedowierzającym, jak mogła być tak

dziecinną i tak się martwić, wiedząc o tem, że Karol na skinienie będzie już u jej nóg...

A w znanym nam pokoju u św. Jura późno w noc, aż prawie do białego dnia świeciła się lampa. Wuj Porfirego chodził w głębokiem zamyśleniu z kąta w kąt nie słysząc wcale, że gdzieś tam „na nowym świecie" piały już trzykroć koguty. Rozbierał w głowie coś bardzo ważnego, bo usta zaciął, a uśmiech słodkawy znikł do szczętu z podłużnej jego twarzy. Czasami stawał śród pokoju, jakby nagle obaczył pod nogami węża i lękał się nadepnąć go. I walczył z sobą czas niejaki, czy ma iść naprzód, czy się wrócić... ale silna wola przemogła, postawił nogę naprzód i — szedł dalej. Psycholog mógłby wiele, bardzo wiele wyczytać z tego chodu szanownego wuja, mógłby przez otwarte szczeliny zajrzeć głęboko aż gdzieś do najskrytszej komórki duszy... ale wuj snać spostrzegł niebespieczeństwo, bo nagle usiadł na krześle aksamitnem, a cała postać jego była tak nieruchoma jak statua z kamienia....

A tam, na ciemno-błękitnem niebie coraz jaśniej od wschodu, gasną białe gwiazdki jedna po drugiej, a ciemny obłok nocy spada na dół jak czarna nieprzejrzysta kurtyna. I coraz widniej na bożym świecie, i coraz głośniej, co raz weselej....

Wuj Porfirego siedział ciągle nieruchomy w krześle aksamitnem. Jego sędziwa głowa zniżała się coraz więcej na piersi, coraz więc ciężyły mu myśli i marzenia, a grube ciemności zakryły wszystko...

II.

Było już koło dziewiątej godziny, gdy ktoś z lekka zapukał do drzwi. Wuj Porfirego obudził się i spojrzał w około siebie. Zdziwiło go, że był nierozebrany. Wreszcie przypomniał sobie wieczór wczorajszy i wszystkie szczegóły, które tam zaszły. Jedną ręką rozrzucił posłanie na łóżku, aby służący nie dowiedział się że całą noc w krześle przepędził, a w drugą rękę chwycił książkę małą w skórę oprawną i zbliżył się do drzwi, aby je otworzyć.

Do pokoju wszedł Porfiry.

Wuj uśmiechnął się słodko i podał mu rękę.

A dobrze żeś przyszedł — rzekł do niego po polsku — bo mamy wiele rzeczy z sobą do pomówienia.

— Jestem już tutaj od godziny — odparł Porfiry — czekałem w salonie, aż wuj się przebudzi. Tymczasem studjowałem obraz, który przyniesiono od Wyrwicza i tamże ustawiono.

— Przyniesiono św. Jura? — zapytał gospodarz.

— Tak jest — odparł Porfiry — było to dla mnie rozrywką patrzyć przez godzinę na niego. Nasuwał on mi różne, różne myśli.

— Różne myśli? — powtórzył zachmurzony prałat — Św. Jur może tylko jedną myśl wyrażać a nic więcej.

— Jaką myśl?

— Walczyć z złem, gdziekolwiek ono w drodze nam stanie! — odpowiedział głosem podniesionym, i badawczo spojrzał na Porfirego.

Porfiry był dzisiaj nadzwyczaj blady i zmęczony. Coś

miał na dnie duszy, co go tam piekło i niepokoiło, a jednak nie chciał tego objawić nikomu.

— Walczyć ze złem, gdziekolwiek ono w drodze nam stanie? — powtórzył bezmyślnie Porfiry.

— Tak jest, walczyć bez względu na miejsce — ciągnął dalej wuj.

— Jak to pojmuje szanowny wujaszek? — przerwał mu zapytaniem Porfiry, który nagle ocknął się z zamyślenia.

Wuj usiadł w krześle, a Porfiremu kazał siąść naprzeciw siebie. Uśmiechnął się do myśli swoich i rzekł po chwili:

— Wiesz mój kochany Porfiry, że dawniej były niektóre miejsca, dokąd nie wolno było wchodzić za żadnym zbrodniarzem, ani nie wolno było żadnej z adwersarzem rozpoczynać walki. I tak naprzykład, jeżli zbrodniarz jaki schronił się do kościoła, to władza świecka musiała zatrzymać się u drzwi, bo nie było jej wolno przekraczać świętych progów...

— Do czegóż to wszystko zmierza? — zapytał zdziwiony takim wstępem Porfiry?

— To zmierza do naszej sprawy.

— Do naszej sprawy? —

Wuj Porfirego uśmiechnął się, założył ręce i rzekł:

— Jesteś młodym, niedoświadczonym człowiekiem. Podobnym jesteś do tabuna, który nigdy nie miał jeszcze wędzidła w pysku, ani siodła na sobie. A jednak musisz się przecież dać zaprzęgnąć, jeżeli chcesz ciągnąć naszą arkę narodową.

— Jam cały oddał się sprawie naszej.

— To są słowa ładnie brzmiące, ale czcze jak wiatr. Trzeba wejść w życie, rozpatrzyć się w stosunkach i stosownie do nich działać. Nie trzeba się zżymać, jeżli tam coś gdzieś ukole, bo ten tylko służy prawdziwie sprawie swojej, kto z siebie może każdego razu zrobić dla niej poświęcenie.

— Jakiegoż poświęcenia żąda sprawa nasza odemnie? —

Wuj usiadł wygodniej w krześle, oparł się rękami na poręczy i mówił dalej:

— Jeżeli przyłączasz się do wojska walczącego w jakiej sprawie, to nie powinieneś najprzód oglądać się, kto koło

ciebie stoi w szeregu, czy godny on jest ciebie, czy nie... bo kiedy tylko stanął koło ciebie, to już dobrze. —

Porfiry uśmiechnął się, potarł ręką po czole i rzekł po chwili:

— Bardzo słusznie potrąciłeś wujaszek tę kwestję, bo właśnie od wczoraj o niej myślę. Byłem w tych dniach na kilku naszych zebraniach i przyznam się, że zastałem tam ludzi, którzy, nie wiem, jakim sposobem weszli w nasze szeregi. Są to po większej części ludzie najgorszej reputacji i zdaje mi się, że tylko wzięli sobie za maskę naszą sprawę, aby dalej kontynować to, co dawniej, i to niedawno bardzo szpetnie nazywano.

— Otóż widzisz, jak jesteś niepraktycznym — przerwał mu szybko wuj — i właśnie do tej niepraktyczności zmierzam, która każe ci tam widzieć skrupuły, gdzie ich wcale być nie powinno.

— Ba, ale na cóż w końcu zejdzie nasza sprawa?

— Przewódzcom nie powinno nigdy chodzić o to, czy ręka, która strzela, jest czysta, czy brudna, byle dobrze strzeliła i trafiła. —

Porfiry na to nic nie odpowiedział, tylko głęboko się zamyślił. Po jego twarzy przemknęło jakieś cierpkie uczucie. Zagryzł usta, jakby go coś w piersi zabolało. Po chwili rzekł:

— Może w tem być rozum stanu, ale ja z tem nie mogę się jakoś pogodzić. Może to być konieczność, smutna konieczność, ale nie pochwalam tego nigdy, jeźli rewolucja otwiera kryminały w czasie walki, aby zbrodniarzami wzmocnić swoje szeregi.

— Co mówisz za deklamacje? — przerwał mu wuj — któż mówi o zbrodniarzach? —

Porfiry zamilkł, a wuj wstał z krzesła i szybkim krokiem zaczął przechadzać się po pokoju. Długo trwało milczenie, i widać było, że ci ludzie, pod jednym walczący sztandarem, bardzo daleko odbiegli od siebie swemi wyobrażeniami. Mimo to potrzeba było jednak stać obok siebie i jakoś porozumieć się, aby nieprzyjaciel nie rozbił szeregu z nienacka.

Po chwili zatrzymał się wuj przed Porfirym i rzekł z chmurą na czole:

— Najprzód powiedz mi, mój Porfiry, zkąd u Wyrwicza wzięła się córka ks. Onufrego? —

Porfiry zarumienił się. Po chwili opowiedział w krótkości całą historję wyjazdu Dosi do Lwowa, jak to z jej ust słyszał na owym wieczorze. Wuj słuchał go z wielką ciekawością. Coraz więcej nabrzmiewały mu sine pręgi na czole, coraz więcej niknął z jego twarzy uśmiech słodkawy, a usta zacinały się z coraz większą złością.

A gdy Porfiry skończył opowiadanie, gdy wuj już namacalnie dowiedział się, że to on sam, swoim własnym konceptem sprowadził Dosię do Lwowa i do domu Wyrwicza, tupnął nogą o podłogę aż szyby zabrzęczały i szybko począł znowu biegać po pokoju. Porfiry patrzał za nim z uśmiechem, bo sędziwy wuj w samej rzeczy wyglądał nader komicznie w tej niezrozumiałej dla niego alteracji.

Długi czas trwały te gimnastyczne ćwiczenia szanownego wuja, który chcąc większą przestrzeń zdobyć dla kroków swoich, obchodził wszystkie meble w sposób najpocieszniejszy, aby gdzie nie zawadzić lub czegoś nie przewrócić. Na jego twarzy malowały się gniew i oburzenie przeciw sobie samemu, bo on to winien był, że kórka ks. Onufrego zbliżyła się do Porfirego i wszystkie szyki mu popsuła.

Ale ludzie z żelazną wytrwałością, którzy nie oglądając się na nic, dążą do wytkniętego sobie celu, umieją z wszystkiego korzystać, a nawet i z tego, co im nieprzyjaźnie w drodze stanie. A takim człowiekiem był wuj Porfirego. Toż po kilkuset krokach zaczęła się jego twarz powoli rozjaśniać. Powoli rysowało się na niej jakieś zadowolenie, bo jakaś myśl szczęśliwa dojrzewała już w głowie. Wreszcie przymróżyły się oczy do słodkawego uśmiechu, który znowu w całym blasku swoim zajaśniał koło ust na pół rozwartych, jakby ta myśl szczęśliwa już gwałtem cisnęła się na język.

Więc stanął szanowny wuj przed Porfirym, założył ręce na krzyż, patrzał niejaki czas z uśmiechem w twarz jego, a potem rzekł:

— Widzisz Porfiry, że dla ciebie wiele, bardzo wiele

robię. Bóg mi świadkiem, że tylko twego własnego szczęścia pragnę. Za to powinieneś być dla mnie tak szczerym jak na spowiedzi. —

Porfiry wypatrzył się na wuja, a po chwili podał mu w milczeniu rękę.

— Otóż powiedz mi otwarcie, w jakim stosunku jesteś z tą czarnooką popadianką? —

Porfiry przygryzł usta. Rumieniec przebiegł po jego twarzy. Po chwili spokojnym odpowiedział głosem:

— Z tą popadianką jestem w takim stosunku, w jakim jest brat do siostry — bo ojciec tej popadianki był moim ojcem, wziął mię, sierotę, pod ubogą strzechę plebanji swojej, a córka jego pokochała tego sierotę jak brata, wtedy, gdy cały świat o nim zapomniał. —

Wuj skrzywił się i rzekł po chwili:

— Jesteś niesprawiedliwym dla świata, dla ludzi, dla krewnych twoich. Gdybym naprzykład był cię wziął dzieckiem do siebie, cóżby się z ciebie stało? Oto byłbyś niedołęgą, jakimi są wszyscy na gracji u bogatych wujów i stryjów kuzynkowie, którzy niczego w świecie się nie uczą, tylko z dnia na dzień wyczekują, kiedy kochany wujaszek lub stryjaszek zadrze nogi do góry, aby wtedy biurko jego rozbić i testamentu szukać... Chciałem, abyś przeszedł przez szkołę życia, abyś się przyzwyczaił do pracy, do ciężkiej pracy, poznał świat i ludzi, a wtedy, myślałem sobie, będą mu smakować moje dukaty!... Otóż stało się, jak tego pragnąłem, wyrosłeś na pociechę ludzi i wuja twego i możesz dzisiaj śmiało pójść aż do przednich szeregów. —

Porfiry uśmiechnął się, ścisnął wuja serdecznie za rękę i czekał na dalsze słowa jego z jakimś niepokojem. Po chwili ozwał się znowu wujaszek:

— Otóż zdaje mi się, że córka ks. Onufrego, dla której z czasów studenckich powziąłeś był, jak słyszałem, pewną słabość, może teraz utrudnić ci drogę, do świętych obowiąsków twoich względem kraju i narodu naszego —

Porfiry na to nic nie odpowiedział. Coś zabłysnęło w jego oku, coś przemknęło po jego twarzy, ale wkrótce osiadł spokój na jego czole, który jednak wuja zaczął moono

niepokoić. Mogło to bowiem oznaczać powzięte postanowienie i silną, nieodpartą wolę.

— I nic mi na to nie odpowiesz? — zapytał wuj po chwili.

— Nic na to wujowi odpowiedzieć nie mogę — odparł spokojnie Porfiry — nie wiem bowiem jeszcze, co i kiedy może mi stanąć przeszkodą do moich świętych obowiązków.

— Jestem kontent z ciebie — rzekł na to wuj, podając mu rękę — bo widzę, żeś się znacznie ochłodził i masz rozsądek. Człowiek nie powinien się nigdy podzielać na części. Powinien mieć jeden tylko cel przed sobą, dla którego wszystko reszta staje się narzędziem. —

W tej chwili zwolna przesunęła się poprzed oczy mówiącego, złota, lśniąca mitra. Porfiry zaś widział przed sobą wielki, niepodległy naród. Ocknąwszy się z zamyślenia rzekł do wuja:

— To prawda, jeźli wielki, wzniosły cel ogarnie serca nasze, wszystko inne zdaje się tak małem w obec tego celu...

— I służyć powinno za narzędzie do tego wielkiego i wzniosłego celu — podchwycił szybko wujaszek.

Obaj milczeli czas niejaki. Wuj Porfirego przemyśliwał nad tem, jakimby to sposobem młodemu człowiekowi udzielić swoich rad praktycznych. Po czem zaczął, ważąc słowa z wielką ostrożnością:

— Mówiłem ci już, że córka Wyrwicza byłaby dla ciebie bardzo dobrą partją, a co śliczna to śliczna! —

Porfiry uśmiechnął się i zamyślił.

— Zdobyłbyś sobie tym sposobem i pozycję towarzyską i środki służenia sprawie naszej —

Porfiry milczał ciągle.

— A wszystko to dałoby się uskutecznić; tylko trzeba być dyplomatą, trzeba, abyś chwilowo zawiesił wszelką walkę i opozycję przeciw Polakom.

— Wszak nastąpiła wczoraj otwarta zgoda między nami — poderwał Porfiry.

— Zgoda?... zgoda z Lachami?... Jakże młodym jeszcze jesteś Porfiry! Zgoda z nimi? Mój Boże, a do czegóżby zaprowadziła nas ta zgoda?...

— Ale przecież kochany wuj wczoraj wyraźnie powiedział, w obec wszystkich...

— Na seło idit duryty — mówił z uśmiechem wujaszek — już to mnie nie złapią tak prędko! A cóżby w Wiedniu na to powiedziano, gdybyśmy chcieli z Polakami jaki sojusz zawierać!... Ot, mówiło się tak, bo tak potrzeba było mówić. Ale w duszy trzeba co innego myśleć sobie. Jakże to tam powiedział ten sławny dyplomata? Opatrzność dała ludziom mowę, aby nią mogli swoje myśli ukrywać. A nam wcale nie myśleć o zgodzie. Zgoda z nimi, to znaczy nielojalność mój drogi. —

Porfiry otworzył oczy szeroko i patrzał na wuja.

— Zawsze trzeba mieć to na myśli — mówił dalej wujaszek że obóz polski jest obozem nieprzyjacielskim. Wierzę bardzo, że oni w zamiarach nielojalnych chcieliby nami wzmocnić swoje szeregi, a gdyby swego celu dopięli, cóżby się stało z nami? Czy myślisz, że dotrzymaliby wtedy słowa zgody? Gdzie tam! Za łeb-by nas wzięli, a my bezsilni, bez opiekuna...

— Właśnie o to chodzi, abyśmy byli silni, abyśmy te siły wydobyli z rdzeni narodu, z ludu...

— Robi się to robi, ale to wszystko jeszcze niedostateczne... tam potrzeba nam siać, ale gdzieindziej potrzeba walczyć, walczyć!

— Wskaż mi wuju to pole walki, a pójdę, pójdę z otwartemi piersiami — zawołał w zapale Porfiry.

— Znasz to pole walki, jesteś blisko niego.

— Gdzie? Gdzie? powiedz wuju.

— Tem polem walki jest.... dom Wyrwicza — wymówił zwolna wujaszek i zamilkł.

— Dom Wyrwicza? — powtórzył Porfiry i wypatrzył się na wuja, z którego twarzy znikł w tej chwili uśmiech słodkawy.

Obaj umilkli i patrzali na siebie. Długi czas trwało to milczenie. Po chwili przerwał milczenie Porfiry.

— Niech mi kochany wuj jaśniej swoją myśl wypowie.

— Mądrej głowie dość na słowie — odparł z uśmiechem wujaszek.

I znowu zapadło głębokie milczenie. Tak było cicho w pokoju, że słychać było ciężki oddech ich piersi, i przyspieszone bicie serca...

Po chwili ozwał się wujaszek.

— Byłeś wczoraj u Wyrwicza i słyszałeś przecież co tam mówiono. Przecież z tem wszystkiem nie możemy się zgodzić. Zresztą nie zapominajmy, żeśmy byli w obozie nieprzyjacielskim. A któżby był tak dziecinnym, żeby z tego co widział i słyszał w obozie nieprzyjacielskim, nie chciał korzystać dla sprawy swojej?...

— To prawda... Słysząc ich zarzuty z bliska, możemy z nimi dysputować, a w końcu przecież wyjaśnimy im nasze prawa, i prawdopodobnie mogłoby nastąpić przecież jakieś warunkowe porozumienie.

— Nie rozumiesz mnie — krzyknął wujaszek — z wrogiem nie ma porozumienia! A jeźli ten wróg myśli, że nas oszuka, zapraszając nas do swego obozu, to my powinniśmy mieć ten rozum, z tego korzystać, i w pole go wyprowadzić.

— Jakim sposobem?

— Oto wiesz przecież, że między nami a nimi jest ktoś trzeci... z tym trzecim powinniśmy się związać i jemu służyć wszędzie i zawsze. Jego sprawa będzie wtedy naszą sprawą, a nasza sprawa będzie jego sprawą...

— I cóż dalej?

— Jeżeli coś obaczymy lub usłyszymy w obozie nieprzyjacielskim... więc podzielić się tem z wszystkimi naszymi sprzymierzeńcami. —

Porfiry na to nic nie odpowiedział. Wujaszek ciągnął dalej z uśmiechem na ustach:

— A w domu Wyrwicza masz teraz wyborną do tego sposobność.

— Jaką sposobność? — zapytał Porfiry z wyrazem zdziwienia.

— Możesz do tego zręcznie użyć córki ks. Onufrego — wymówił wujaszek i oparł się plecyma o poręcz krzesła, bo jakoś w tej chwili słabo mu się zrobiło.

Porfiremu uderzyła krew do głowy.

— Jak to! — zawołał zrywając się z krzesła — Dosia ma być szpiegiem, a ja denuncjantem? Szpiegiem w domu, który ją tak gościnnie przyjął, a ja mam denuncjować człowieka, którego mam prosić o rękę córki? —

Wuj Porfirego wstał szybko z krzesła, a schwyciwszy go za obie ręce, rzekł drżącemi ustami:

— Cicho! cicho! Gdyby kto usłyszał, myślałby Bóg wie co o mnie. A to wszystko tylko, że mnie nigdy nie rozumiesz. Zaledwie co powiem, a ty już w duchu dodasz do niego cały alfabet i zżymasz się na własne swoje domysły! Cyt, uspokój się, gorączka jesteś —

Porfiry wyrwał się z uścisków wuja i zaczął szybko chodzić po pokoju. Był cały czerwony na twarzy, oczy jego błyszczały. Wuj śledził go z boku i czekał aż się nieco uspokoi. Coraz więcej wolniały kroki Porfirego. Wreszcie widząc, że już paroksyzm przeminął, zbiżył się wuj do niego, a wziąwszy go za rękę, rzekł do niego z wyrazem poczciwości na twarzy:

— Jeszcze ci wiele brakuje do człowieka dojrzałego mój kochany Porfiry. Zapalasz się, nie wysłuchawszy rzeczy do końca. A przecież chcąc sprawie narodowej być użytecznym, trzeba nieco zimniej zapatrywać się na świat i stosunki ludzkie. Kto chce wojsku przewodzić, powinien mieć zimną krew, i z zimną krwią kombinować swoje manewry. Niech tłum będzie gorący, niech on unosi się i zapala, niech szturmem idzie na grad kul i las bagnetów, a wodzowie powinni stać z dala, i z zimną krwią kierować walką, nie licząc ofiar, nie patrząc na krew —

Porfiry z coraz większym spokojem słuchał wuja. Tenże mówił dalej:

— Mówiąc o św. Jurze, powiedziałem ci, że on nasuwa mi myśl, że ze złem należy zawsze i na każdem miejscu walczyć. Dla tego nie powinniśmy mieć skrupułów, gdzie i z kim tę walkę przedsiębierzemy, jeźli tylko mamy przekonanie, że walczymy z nieprzyjacielem. Obojętną jest rzeczą dzisiaj, jak się wojna prowadzi. Można ustawić szeregi w granicach swoich i czekać wtargnięcia nieprzyjaciela,

a można także ze względów strategicznych samemu wtargnąć w jego kraj i do własnego jego domu walkę przerzucić. Jeżeli już się zgodzono na wojnę, to nikt przecież nie powie wtedy, że ten prowadzi wojnę w sposób szlachetny, a ten nie. Wojna ma swoje wyjątkowe prawa; wszystkiem rządzi strategja... Otóż wspomniałem ci o domu Wyrwicza, a ty zaraz żżymasz się na to. Czyż to nie jest obóz nieprzyjacielski?.... Zręcznie obrana rola twoja nie powinna ci nawet być przeszkodą do ręki panny Walerji... Córka ks. Onufrego i w tym względzie może ci oddać wielką przysługę... jest ona teraz konieczną postacią twojego dramatu.... a zręcznie zakierowawszy rzeczy możemy wszystkiego dopiąć....

— Ale jak to wszystko nazywa się w zwykłej mowie? — rzekł z uśmiechem Porfiry.

— Nikt nie mówi o szpiegostwie ani o denuncjowaniu — poderwał wujaszek — tyś mnie nie zrozumiał. Mówiłem ci tylko, że w naszej sprawie przedewszystkiem na tem nam zależy, abyśmy zawsze wiedzieli co się dzieje w obozie nieprzyjacielskim, aby według tego zmieniać naszą pozycję. W domu Wyrwicza wiele o tem można się dowiedzieć. Przez córkę ks. Onufrego możesz przyjść do różnych wiadomości. Nie wypływa jednak stąd, aby ona była szpiegiem, a ty denuncjantem. Z nikim o tem nie będziesz mówił tylko ze mną. A ja znowu wchodząc w sfery rządowe, będę ci zawsze udzielał, co tam w naszej sprawie usłyszę. I tak będziemy obaj wiedzieli, co tu i tam się robi i podług tego ustawimy nasze szeregi. Jaką zaś dasz indemnizację Dosi za utratę jej mrzonek, to już nie do mnie, ale do ciebie należy. Masz spryt i dowcip, tylko więcej zimnej krwi ci potrzeba. A zważ tylko, że sprawa narodowa na pierwszem stoi miejscu — reszta wszystko powinno być narzędziem. — Jeżeli córka ks. Ounfrego prawdziwie cię kocha, zrobi ofiarę dla ciebie. Będzie to dla niej kamień probierczy, czy jej miłość jest czysta i bezinteresowna, czy jej chodzi tylko o męża bogatego. —

Porfiry patrzał przed siebie, jak człowiek pozbawiony nagle woli swojej. Zdawało mu się, że jest we śnie, że jakaś

zmora przyległa go i dusi, a on nie może się ruszyć, nie może wstać, choć wszystkie siły swoje wytęża. W słowach wuja było coś prawdy, chociaż tę prawdę nie we właściwe ubrał słowa. Dla sprawy narodowej potrzeba wprawdzie wszystko poświęcić a nawet i siebie, ale jakiemi drogami dojść do tego poświęcenia?

Porfiry patrzał i patrzał przed siebie, a z przed jego oczu znikały zwolna wszystkie znane przedmioty, tylko jakaś mglista nieprzejrzana przestrzeń rozłączała się coraz dalej, coraz szerzej, i ogarnęła go wreszcie na około. Zgubił się w tej przestrzeni, jakby żyć przestał, jakby nagle znikł z pomiędzy żyjących...

Służący odemknął drzwi z cicha i dał znak gospodarzowi, że ktoś na niego czeka. Gospodarz wstał z krzesła, a wziąwszy Porfirego za rękę rzekł do niego:

— Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać, bo inne czekają na mnie obowiąski. Idź i dobrze rozbierz sobie w głowie to wszystko, cośmy tutaj z sobą mówili. Tylko strzeż się podejrzliwości, nie podejrzywaj słów moich. Płyną one z serca, które cię kocha. Później sam je lepiej osądzisz. A teraz bądź zdrów. —

Rzekłszy to, pociągnął Porfirego za rękę do przybocznego salonu, przez który Porfiry był przyszedł. W tym salonie ustawiony był obraz św. Jura, które Wyrwicz rano tu przynieść kazał.

Obaj zatrzymali się przed tym obrazem. Święty przebijał długą włócznią potwór, z którego nozdrzów tryskał ogień.

— Patrz Porfiry — rzekł gospodarz, wskazując na obraz — to jest nasz patron. Walka z potworem, który nas chce pochłonąć, to nasze hasło. Idź i myśl o tem. —

Porfiry odszedł zamyślony, a gospodarz cofnął się napowrót do swego pokoiku, gdzie już przy małych drzwiach tapetowych zastał Romana Szejkę.

— A cóż dobrego mi przynosisz panie Romanie? — zagadnął gospodarz.

— Wszystko idzie dobrze jak po maśle, tylko żeby Szejko

na tem wszystkiem dobrze wyszedł — odpowiedział agent z czarną łatką na nosie.

— I cóżeś zrobił?

— Zrobiłem bardzo wiele, a jeszcze więcej zrobię, jeźli Bóg pozwoli. Grocki już w matni!

— Więc wykonałeś już plan swój?

— Udał się wyśmienicie! Wczoraj odprowadzał ją z koncertu aż na Łyczaków i tak do siebie gruchali jak gołąbki.

— Przyznam ci się, że całej tej intrygi twojej wcale nie pojmuję. Jest ona tak widoczna, a skutek jej tak niepewny —

— Najpewniejszy w świecie! Dowiedziałem się, że ta dziewczyna z Łyczakowa to prawe oko Korybuta. Gdy mu Grocki w drogę wlezie, to stary oszaleje. I wezmą się za łby, bo obaj impetyki, a tymczasem panu Porfiremu wlecą trzy wioski do gąbki, jak pieczone gołąbki. Byle tylko i Romanowi dostała się jaka pieczeń z mięszaną sałatą.

— Bądź o to spokojny, ale...

— Ale jest jeszcze wiele do zrobienia. Wprawdzie ten prześliczny aniołeczek z Łyczakowa może każdego oczarować, że i o pięćdziesiątym krzyżyku swoim zapomni, a nawet Grockiemu tak już jakoś przypadł do serca, że kogoś z sąsiedztwa już się o nią wypytywał; mimo to trzeba jeszcze nad tem trochę pomyśleć, aby go oderwać od tej, do której dzisiaj jest przywiązany jedwabnym sznureczkiem.

— Czy myślisz o pani Helenie...? —

Szejko kiwnął głową, że tak jest w istocie i czekał dalszych słów gospodarza. Po niejakim namyśle mówił tenże dalej:

— Panią Helenę widziałem wczoraj na wieczorze. Jest to kobieta, od której trudno będzie Grockiego oderwać. Jeżeli ci tak wiele na tem zależy, bo przyznam ci się, ja nic ważnego nie spodziewam się po tej intrydze.

— Obaczy dobrodziej — odparł agent z miną zarozumiałą — ja to wszystko tak pomięszam i pokłócę, że i djabeł z tego

klusek nie ulepi... Ja Grockiego z tą kobietą z jezuickiej ulicy poróżnię, daję na to gardło. A wtedy aniołek z Łyczakowa, który już dzisiaj całą noc nie spał z zakochania, dokona reszty...

— Ba, a jakże to zrobisz?

— Użyję do tego samego Korybuta!

— Korybuta! Tyś szatan Szejko!...

— Szejko uśmiechnął się i rzekł:

— Wszak mówią, że każdy człowiek sam niesie krzyż na siebie. —

Gospodarz zmarszczył brwi. Ozwał się z gorzkim uśmiechem:

— To ty panie Romanie zapewnie nosisz z sobą szubienicę —

— Jeden to, drugi owo — odparł z największą flegmą agent.

Nastąpiło długie milczenie. Obaj spuścili oczy na ziemię. Zdawało się, jakby coś ołowianego uwisło nagle u ich powiek, i nie dozwalało im podnieść ich do góry, aby spojrzeć na to piękne szafirowe niebo, na to słonko boże, do którego każda roślinka wyciąga drżące swoje ramiona...

Po niejakim czasie podnieśli obaj oczy i spojrzeli na siebie.

— Wracając do tej pani Heleny — ozwał się gospodarz — nie wiem, co za sposób masz, aby ją z Grockim poróżnić.

— Bardzo szlachetny sposób — odparł Szejko z nabożną miną.

— Radbym przecież coś o tem wiedzieć. —

— Oto stary Korybut nie kontent jest z tego, że Grocki czepił się tej kobiety. Potrzeba tylko Korybutowi coś o tej kobiecie szepnąć, donieść, a on użyje tego niezawodnie, aby Grockiego otrzeźwić, nie wiedząc o tem, że otrzeźwiony Grocki jak najkrótszą drogą pobiegnie na Łyczaków i staremu złotego ptaszka wykradnie....

— A czy twoje wiadomości są pewne?

— Nie byłbym Roman Szejko... Zrobiłem znajomość ze służbą, i z tym i z owym...

— Jakże to zrobisz?

— Że oni sami się przekonają.

Wuj Porfirego jakoś nie bardzo zajął się tą intrygą miłosną, która tak niepewne obiecywała owoce. Szejko przeciwnie tak mocno wierzył w swój talent, że spodziewał się z tego jak najlepszego rozwiązania sprawy spadkobierstwa, a tem samem sowitej dla siebie nagrody. Toż nie tracąc czasu pożegnał gospodarza, który nienależycie zdawał się go oceniać, i jako człowiek sprężysty wziął się zaraz do dzieła.

III.

Nad wieczorem tego samego dnia dążył stary Korybut szybkim krokiem do pomieszkania Grockiego. Miał on twarz nadzwyczaj ożywioną i wymachiwał rękami, jakby coś mówił do siebie. Musiało coś zajść u niego nader ważnego, bo nie był wcale dzisiaj na Łyczakowie, jak to było jego zwyczajem.

Szybko przebiegł schody i wszedł do izdebki Grockiego.

Grocki siedział przy stoliku, na którym leżały stosy książek. Na twarzy jego malowały się spokój i szczęście Ujrzawszy gościa, postąpił ku niemu i podał mu rękę. Korybut patrzał chwilę w tę twarz piękną, myślącą, a potem rzekł:

— Widzę, żeś szczęśliwy mój Karolu, radbym wiedzieć, co cię uszczęśliwia w tej chwili? —

Grocki wskazał na stosy książek i odparł z uśmiechem:

— Praca, mój panie Dominiku!

— Praca? a nic więcej? — poderwał Korybut patrząc mu w oczy.

Grocki zarumienił się z lekka i odparł:

— Tak jest, praca uszczęśliwia mnie, praca podjęta w celu służenia czemś krajowi. —

Korybut patrzał na niego z wyrazem lekkiej ironji, jakby mu nie dowierzał. Co widząc Grocki mówił dalej:

— Wszak wiecie panie Dominiku, że wczoraj byliśmy u Wyrwicza. Nie umiem wam tego opisać, jakie wrażenie zrobił na mnie ten wieczór wczorajszy. Już dawno nie

oddychałem takiem powietrzem jak wczoraj. Mówiliśmy o rzeczach tak mi drogich, tak świętych. Zdaje mi się, żem się zbudził z długiego, gnuśnego snu. A com widział w tym śnie, czem się podczas tego snu karmiłem, wydaje mi się dzisiaj tak bladem, tak drobnem! —

Korybut spojrzał z zadziwieniem na mówiącego. Twarz jego rozweseliła się. Po chwili jednak przybrał wyraz jakiegoś niedowierzania. Pokręcił głową i rzekł:

— Tego wszystkiego nie widziałem na tym wieczorze. Przeciwnie byłem z ciebie nie kontent. —

Grocki rzucił się mu na szyję i ucałował go jak człowiek w pełni szczęścia swego.

— Nie byliście ze mnie kontenci panie Dominiku? — rzekł po chwili — a jam tak kontent był z siebie, kontent z wszystkiego, z całego świata! —

Korybut zmarszczył czoło i zaczął się po izdebce przechadzać. Grocki mówił dalej:

— Mówiliśmy z Wyrwiczem wiele o potrzebie różnych prac organizacyjnych dla naszego kraju. Zgodziliśmy się wszyscy, że wyczekiwanie z załamanemi rękami jakichś zdarzeń nadzwyczajnych, osłabia i denerwuje cały naród. Bez pracy, bez rzetelnej, uciążliwej pracy, nic się dobrego dla nas nie stanie. Jakie bądź losy przeznaczyła nam Opatrzność, obowiąskiem naszym jest pracować, pracować na danym gruncie, bo jużciż siejba idzie zawsze przed żniwem. —

Korybut stanął przed mówiącym, oczy jego uśmiechały się.

— Wszystko to — mówił dalej Karol — tak mię jakoś zelektryzowało, tyle nowego, czy raczej dawnego życia wlało we mnie! Zdaje mi się, że się odrodziłem; nowe siły, nowe nadzieje grają we mnie!.. Otóż mówiąc o pracy, i rozbierając tę pracę między siebie, zobowiązałem się do wypracowania statystycznego wykazu naszych sił krajowych, naszego majątku. Oto są materjały przedemną, rozpatruję się w nich, a serce rośnie mi, że pracuję dla kraju. —

Korybut uśmiechnął się, jakby słowom Karola nie dowierzał.

— Dziwnem się to wam wydaje, panie Dominiku — mówił

Karol — że do takiej pracy zabrałem się ja, który lubiłem z chmur i z mgły patrzyć na nasze nadzieje. —

Karybut przysunął sobie krzesło, siadł i spokojnym ozwał się głosem:

— Nie to mnie zadziwia, o czem ty myślisz. Praca ta nie jest dla mnie niespodzianką. Wiedziałem że prędzej czy później przyjdziesz do niej. Nie myśl także, aby ten jeden wieczór, tych kilka godzin pogadanki i innego towarzystwa zmieniły nagle twoje usposobienie jakby różczką czarodziejską. Wszystko to przygotowało się już oddawna w tobie — choroba gnuśnych marzeń i bramińskich wyczekiwań zbierała się w tobie w wielki wrzód, który pękł teraz.... i oto twoje zdrowie! —

Grocki założył ręce i ożywionem, błyszczącem okiem patrzał na Korybuta. Ale tenże zachmurzył czoło w tej chwili i rzekł:

— Ale powiedz mi mój drogi, czy to niby-zdrowie twoje, czy te przyspieszone pulsa nie są jakiem sztucznem podrażnieniem nerwów, które jest tylko zwiększeniem choroby? —

Lekki rumieniec wystąpił na twarz Grockiego. Spuścił oczy w ziemię.

— O jakiemże sztucznem podrażnieniu mówicie panie Dominiku? — zapytał.

— Czy cię prócz rozmowy z Wyrwiczem, nic innego nie zelektryzowało na tym wieczorze? —

Grocki uśmiechnął się, zasłonił twarz rękoma i rzekł:

— Ach! wy bez litości, panie Dominiku!

— Tak jest, jak chirurg, który wypala raka.

— Ale ona mię tak kocha!

— Ona cię kocha? — powtórzył Korybut tak dziwnym głosem, że Grocki nagle oprzytomniał. Spojrzał na Korybuta szeroko rozwartemi oczami, jakby czegoś nadzwyczajnego oczekiwał.

Widząc to Korybut, wstał z krzesła i przeszedł się kilka razy po izdebce. Boleść i politowanie malowały się na jego twarzy. Karol wodził za nim oczyma, a jakaś trwoga przejmowała jego serce.

Po chwili stanął przed nim Korybut i rzekł surowo:

— Cieszy mnie to, że tyle szczęścia i spokoju znajdujesz

w pracy dla dobra powszechnego. Będzie ci to potrzebnem, abyś nie upadł pod ciosem, który cię wkrótce trafić może. —

Karol wypatrzył się z zadziwieniem na starego, którego słowa były tak strasznie zagadkowe. Przystąpił do Korybuta i wziął go za rękę.

— Panie Dominiku — rzekł do niego — po cóż mię tak dręczycie?

— Czy byłeś dzisiaj u Heleny? — zapytał krótko Korybut.

— Byłem, zaraz rano.

— Czy tego sama prągnęła?

— Właściwie... nie... ale tak jakoś wypadło po wczorajszem naszem widzeniu.

— Jak się to stało wczoraj, że się napowrót ten stosunek zawiązał?

— Jak się to stało? — powtórzył z uśmiechem Karol, ot ja kto i wam się zdarzało za młodych czasów, panie Dominiku. Spojrzeliśmy na siebie raz, drugi. Mnie zapukało głośniej serce, w jej oczach pojawiły się łzy. I tak powoli zbliżyliśmy się do siebie, i rozmawiali, jakby od wczoraj nic między nami nie zaszło, jakby ów list pożegnawczy Heleny wcale nie istniał.

— A dzisiaj rano?

— Dzisiaj była wesołą jak zwykle. Miała dawny dowcip i żarty. Mówiła ze mną swobodnie jak kobieta pewna swoich uczuć i wzajemności. Cieszę się, żem ją zastał tak spokojną, bo te łzy i spazmy już mnie tyle serca naszarpały! Prawdziwe szczęście jest spokojem, mówią ludzie, prawdziwa miłość jest to boska cisza, która jednak ma cudowną swoją harmonję, pojętą tylko przez tych, którzy szczerze i prawdziwie kochają... takiej ciszy boskiej pragnę, jak po burzy pragnie majtek cichych, modrych fal oceanu, po których z roskoszą mknie jego łódka. —

Korybut stał przed Karolem i zamyślonem okiem patrzał w jego twarz piękną, szlachetnem uczuciem rozpromienioną. Żal mu było zdmuchnąć z tej twarzy to piękne uczucie, które tyle ma w sobie uroku!

Długi czas milczał, na usta jego występywał z wolna wyraz smutku i politowania. Wrzeszcie ocknął się i rzekł:

— Mówisz, że Helena była dzisiaj spokojna, wesoła, a nawet dowcipna. Cieszysz się, że miłość wasza jak igła magnetyczna uspokoiła się wreszcie, i ustaliła się na zawsze. A cóż byś ty na to powiedział, gdyby ten spokój, ten dowcip, ta wesołość nie były niczem innem jak tylko próżnią, którą miłość po sobie zostawiła?

— Co mówicie? — zawołał Karol wstając z krzesła.

— Gdyby naprzykład ta kobieta — mówił dalej Korybut — odniosłszy wczoraj zwycięstwo nad tobą, wróciła napowrót do przedwczorajszej swojej apatji, i gdyby między pieczystem a kompotem przyszło jej do głowy, zrobić drugie wydanie takiego listu pożegnawczego, z jakim wczoraj przybiegłeś do mnie?...

— Panie Dominiku! — zawołał Karol, a twarz jego mieniła się.

— A cóżbyś na to powiedział, gdybyś się przekonał, że ta kobieta nigdy ciebie nie kochała, że byłeś tylko piłką w jej ręku, którą się bawiła, gdy innej zabawki pod ręką nie było!...

— To być nie może! jej łzy... bicie serca...

— Były chwilowe spazmy a nic więcej, które przemijały nie zostawiając po sobie żadnego wspomnienia. —

Karol usiadł na krzesło i zakrył twarz rękoma. Pociemniało mu przed oczyma, a w uszach usłyszał szum głuchy.

— Czyś nie zwrócił na to uwagi — mówił dalej Korybut — kiedy to jej łzy płynęły, kiedy to biło żywiej jej serce? Oto wtedy, gdy byłą niepewną ciebie, gdy się obawiała, że cię utraci, że ją porzucisz! To próżność i miłość własna wyciskała jej łzy z oczu i przyspieszała tętna serca, a tyś myślał, że to serce biło dla ciebie, biło przepełnione miłością! —

Karol siedział nieruchomy jak statua. Na słowa Korybuta nic nie odpowiedział.

— Prawdziwa, szczera miłość kobiety — mówił dalej Korybut — nie objawia się w ten sposób. Kochające serce kobiety podobne jest do cichej wody, na której dnie zawsze twój obraz spoczywa. Ile razy tam zajrzysz, zawsze obaczysz tam siebie a nic więcej. W bieżącym zaś i zawsze wzburzonym potoku nie ujrzysz nigdy swego oblicza. Tam łamią się

i mięszają wszystkie przedmioty jak w kalejdoskopie, a twój własny obraz, jeżeli czasami zabłyśnie, wygląda pomięty jak karykatura, i ten wkrótce zaciera się, bo nowa fala nowe nadnosi obrazy... A ty w takim wiecznie bieżącym potoku chcesz znaleźć spokojną przystań szczęścia? O młody, niedoświadczony człowieku!... Porwany prądem takiego potoku, możesz się tylko pokaleczyć na skałach podwodnych, ale szczęścia, ale pokoju duszy, który najwyższem jest szczęściem na ziemi, nigdy nie znajdziesz! —

Rzekłszy to Korybut przeszedł się kilka razy po izdebce. Karol milczał ciągle i miał twarz rękami zakrytą. Po chwili mówił dalej Korybut:

— Weź tylko to na uwagę, mój kochany Karolu. Oto, gdyś wierny jak piesek klęczał u jej nóg, ona znudziła się tobą i napisała ci liścik, w którym tyle było kłamstw ile słów i liter. Wierzę, że ona sama o tem w tej chwili nie wiedziała — ale Bóg wiedział o tem. I cóż się dalej dzieje? Oto dowiaduje się, że chcesz się zbliżyć do córki Wyrwicza a tem samem chcesz ją porzucić — wtedy wpada w furję, zdaje się jej, że cię kocha, że cię zawsze kochała, i że bez ciebie żyć nie może!... Biegnie w dom Wyrwiczów, aby odnieść zwycięstwo nad swoją rywalką, używa do tego najświętszej broni, jaką Bóg dał kobiecie, łez i bicia serca.... a gdy już jest pewną zwycięstwa, wtedy wita cię spokojnie, obojętnie nawet, jest wesołą i dowcipną, jakby stał przed nią człowiek najzwyczajniejszy... i ręczę ci, jeżeli czemsiś jej serca zużytego nie podrażnisz, staniesz się dla niej tak obojętnym, jak każda inna fraszka stojąca na jej gotowalni. — A jeśli to dłużej potrwa, to spodziewaj się znowu liściku, który cię będzie żegnał na zawsze, albo przynajmniej będzie miał na celu nową katastrofę, która jej stępiałe nerwy ma podrażnić i na chwilę zelektryzować. —

Korybut przystąpił do okna i spojrzał na ulicę. Już szary zmrok zapadał, a tłumy ludu snuły się z różnych stron. Karol spostrzegł, że już ciemno było w pokoju. Wstał z krzesła i zapalił świecę, ale na słowa Korybuta nic nie odpowiedział. Zbliżył się potem do sofki, usiadł i w zamyśleniu oparł głowę o poręcz.

Korybut odszedł od okna i mówił znowu do Karola:

— Przypomnij sobie tylko mój kochany Karolu, czy wiele już było między wami takich scen rozłączenia, i czy taka scena zmieniła tryb jej życia choć na dni kilka, lub pomięszała ułożone godziną naprzód planiki?

— Nie, nigdy! — odparł bezmyślnie Karol, nie zmieniając pozycji.

— A widzisz? Powiedzże mi, jak to było? —

Karol pochylił się nad stolikiem i oparł ręką głowę. Po chwili rzekł do Korybuta:

— Kilka razy powtarzały się między nami sceny rozłączenia. Wiele, wiele kosztowały mnie te sceny — nieraz myślałem, że mi serce pęknie!

— A ona?

— Ona za godzinę poszła na wieczór tańcujący i bawiła się bardzo dobrze!

— A widzisz? widzisz?... O ty słaby człowieku!...

— Ba — przerwał mu Karol — ale uważcie panie Dominiku, że nieraz rzucamy się w zgiełk, z szału, z rozpaczy —

— Ale w tym zgiełku był zawsze ktoś, mój drogi, który już dawno wybrany był na twego następcę. —

Korybut stanął przed Karolem i założył w krzyż ręce. Na jego twarzy malowała się boleść i politowanie. Wreszcie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jakiś zwitek papieru. Uważnie przejrzał cały zwitek i położył na stoliku przed sobą. Karol nie widział tego. Był ciągle zamyślony, a czoło jego chmurzyło się coraz więcej —

Jakieś dziwne przypomnienia koleją przechodziły przed jego oczyma. Przypomniał sobie ów dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzał Helenę, i kiedy po raz pierwszy uczuł uścisk jej ręki. Od tego dnia upłynęło dużo, dużo czasu. Czy w tym czasie był on szczęśliwy?... Nie, on nie był szczęśliwy!... Doznał tyle cierpień i boleści, a chwil szczęśliwych, chwil pożądanych było tak mało!... Korybut obudził w tej chwili swoją mową jakąś dziwną strunę w jego pamięci, która dotąd była głuchą!... Różne przypomnienia z tego epizodu życia zaczęły zwolna nabierać innego znaczenia, o czem on dawniej nawet nie myślał!... Zachowanie

się tej kobiety względem niego było często tak dziwne, tak zagadkowe... Ale to wszystko było tylko jakieś ciemne, niejasne przeczucie...

Korybut usiadł po drugiej stronie stołu i patrzał na Karola, widząc, że się w jego duszy coś waży. Po chwili podniósł Karol głowę do góry, ręce oparł o stół i rzekł:

— Nie wiem, co się w duszy mojej dzieje, ale czuję, że nie poszedłem drogą właściwą. Zaległem niejakiś czas pole, a nam pracować, przedewszystkiem pracować potrzeba. Czuję jakąś roskosz, gdy pomyślę, że się biorę do pracy... A wiesz panie Dominiku skąd mi ta roskosz?... Oto, nabolałem się, nacierpiałem w tej nieszczęśliwej miłości tyle, że pokój i praca tak mi są upragnione!

— Jakto? — zawołał Korybut — tobyś chciał zerwać z Heleną?

— Tego nie mówię — wpadł szybko Karol — ale... gdyby to było już koniecznością... gdyby to zawadzało mi w świętych moich obowiąskach... to może jakośbym przebolał...

— Na czemże opierasz tę dzisiejszą zmianę swego afektu?

— Mam jakieś niejasne, niewyraźne przeczucie, że ta kobieta w istocie mnie nie kocha!... Dotąd lękałem się wypowiedzieć tego przed sobą, ale dzisiaj... dzisiaj jakoś już to mnie nie tak rani!...

— Przeczucie to musi mieć przecież jakiś grunt.

— Żadnego rzeczywistego gruntu nie ma. Jest ono w mojej duszy, i odzywa się ustawicznie, ale ztamtąd nie mogę go wydostać, aby obaczyć, czem ono jest właściwie. Boli mnie jednak i dręczy i czuję, że coraz głębiej wpija się w serce.

— Posłuchaj tego głosu, który się w twojej duszy odzywa, bo to głos twego Anioła-stróża! —

Nastąpiło długie, długie milczenie. Korybut patrzał z uwagą na Karola jak patrzy lekarz na chorego, którego choroba weszła właśnie w kryzys. Nie chciał on żadnem słowem przerywać jej przebiegu. Wiedział, że pacjent jego bolał strasznie, bo jakże to nie czuć boleści, gdy coś, co się już zrosło z życiem naszem, odrywa się od nas jak polip

pasożytny!..... Chciał jednak, o ile mógł, ulżyć tej boleści, i po niejakim czasie zaczął:

— Zapał nasz, mój drogi, i święty ogień, który Bóg wlewa w serca nasze, ma wyższe, szlachetne przeznaczenie. Marnotrawić ten zapał i ogień, jest ciężkim, ciężkim grzechem, a spalić go w świątyni pogańskiej jest samobójstwem.... W ręku Boga jest gazometr naszego żywota, on liczy na cyferblacie ile ognia nam użyczył, i zażąda rachunku, cośmy z tym ogniem zrobili?... Przed nami w grobowych szatach leży najdroższa matka nasza... Zimne są jej zwłoki, jej serce bić przestało... Naszym ogniem od Boga danym możemy rozgrzać jej ciało, możemy zbudzić jej serce w letargu skostniałe... Czemuż oddalamy się od tej matki naszej z naszym ogniem, z naszym zapałem? —

Korybut zamilkł, a grobowa cisza nastąpiła w izdebce. Za oknami wzmagał się coraz więcej gwar uliczny. Mnóstwo ludzi snuło się, a każdemu było jakoś tak spiesznie. Każdy widać miał jakiś cel przed sobą, do którego spiesznie dążył. Większa część wracała od pracy całodziennej, aby kilka godzin słodko wypocząć, póki godzina pracy znowu ich z wypoczynku nie obudzi.

Karol wstał i przystąpił do okna. Długo patrzał na ulicę a potem rzekł niby do własnych myśli swoich:

— Jakże szczęśliwi są ci ludzie! Ich serca zdrowe, ich twarze wesołe. Widać to po ich krokach swobodnych. Oni wracają od pracy, od obowiąsków swoich, a jam tak długo gnuśniał w roskosznych złudzeniach!... Nie, to nie była roskosz, to były cierpienia!... I cóż mnie dzisiaj wiąże do tych cierpień moich?.... Nie, nie, ona mnie nigdy nie kochała!... Byłem ślepy, byłem chory a nic więcej!... Odwróciłem się od świętych obowiąsków moich, od pracy dla kraju i — zachorowałem! —

Korybut skoczył z krzesła jakby miał lat dwadzieścia i chwycił Karola w objęcia:

— O dzięki ci za tę chwilę, mój drogi — rzekł do niego — dzięki ci, żeś uradował starego. Twoje słowa padły jak balsam na serce moje. Weź, weź się prędko do pracy dla dobra powszechnego, wypełniaj z miłością obowiąski syna

kraju, a będziesz zdrów na ciele i duszy. Patrz na te koszlawe postacie niektórych z braci naszych, patrz na te zwiędłę, obrzydliwej starości twarze, na te sparaliżowane wiecznie ruszające się szczęki, na te twarze okropne niektórych z kobiet naszych, których nawet róż i bielidło zmienić nie może... są to ludzie, którzy prócz siebie, prócz ciała swego, nic więcej nie kochali na świecie, i w tem życiu samolubnem zużyli ciało swoje, na które, gdy już zwątlało, wystąpiła cała brzydota ich duszy... Patrz, palec Boży naznaczył ich, aby jak widma straszyli żyjących!... A potem znowu na tych, którzy do ostatka sił poświęcali się pracy i żyli wzniosłem szlachetniejszem uczuciem! W pomarszczonych ich twarzach jest tyle wdzięku i uroku, w ich duszy tyle błogiego pokoju!... Największe cnoty kwitną w narodzie, którego członkowie poczuwają się do obowiąsków dla ogółu i żyją tem życiem. Naród upada, demoralizacja bierze górę, społeczeństwo gnije, gdzie każdy zasklepia się w swoim egoizmie i nad paznogcie rąk swoich, lub nad cztery kąty swojej izdebki nic więcej nie widzi! —

Karol uścisnął Korybuta. Z jego ócz puściły się łzy.

— To ty panie Dominiku jesteś aniołem-stróżem. Twój to głos ja słyszę, a on budzi mnie i woła do pracy. Błądziłem i chorowałem, ale czuję, czuję to w duszy, że dawne zdrowie moje już wraca. Widzę przed sobą szerokie pole pracy, i wstydzę się, żem tak długo leżał złożony chorobą.... Nie, mój drogi panie Dominiku.... ona mnie nigdy nie kochała, czuję to w tej chwili jasno i wyraźnie. Jakiemś innem, odmiennem okiem patrzę dzisiaj na siebie, i dziwię się, że tak długo mogłem się łudzić i gnuśnieć w marzeniach moich!... A teraz, teraz czuję pragnienie pracy dla sprawy naszej.... ale czemże wynagrodzę ten czas utracony?

— Gospodarz winnicy zarówno wypłacił tym, którzy o dziewiątej i tym którzy o jedynastej zgłosili się do roboty! —

I uścisnęli się obaj serdecznie. Po chwili rzekł Korybut:

— Ponieważ z własnego przekonania schodzisz z błędnych dróg swoich, muszę cię jeszcze w tem twojem przekonaniu utwierdzić. —

Rzekłszy to, wziął zwitek papięru do ręki, który był

przed tem na stole położył. Przejrzał go z uwagą, myślał czas niejaki, a wyjąwszy jednę kartkę, schował resztę do kieszeni. Karol patrzał na to wszystko z ciekawością. Po chwili ozwał się Korybut trzymając kartkę papieru w ręku:

— Chciałem, aby twoje postanowienie wypłynęło z wolnej woli, z przekonania wewnętrznego, bo inaczej nie byłoby ono twoją zasługą. A teraz gdy to nastąpiło, mogę ci coś udzielić, co cię przekona, że twe postanowienie mo grunt rzeczywisty. — I dał mu ową kartkę papieru do ręki.

Karol chwycił pismo i przebiegł oczyma. Twarz jego mieniła się, czytał i czytał.... Wreszcie usiadł na krześle i spuścił głowę na piersi. Długi czas tak siedział. Poczem wyprostował się i spojrzał w twarz Korybuta. Spokój i jakaś cicha, głęboka boleść malowała się na jego twarzy. Powoli smutny uśmiech obkolił mu usta. Cichym, pełnym wzruszenia ozwał się głosem:

— Powinienem cieszyć się z tego odkrycia, bo ono ozdrawia mnie ostatecznie. Jeżeli coś z mojej choroby w sercu pozostać mogło, to już wszystko dzisiaj odpada. Czuję nawet pewną radość, że przeczucia mojej duszy sprawdziły się, i że nią słusznie pogardzać mogę. Ale wierzaj mi panie Dominiku, jest coś bolesnego w tem uczuciu mojem... Boli mnie, że w tem tak pięknem ciele może mieszkać tak brzydka, tak nikczemna dusza! —

Korybut nic na to nie odpowiedział. Stał nieruchomy i patrzał na Karola.

— Ale skądże panie Dominiku dostało się to do was? — zapytał po chwili Karol.

— Nie wiem, jakaś ręka niewidoma czuwa nad tobą. Dostałem to przez nieznajomego posłańca. Ktokolwiekbądź to posłał, jakiekolwiekbądź mogą być jego cele, jest to zawsze w tem ręka Opatrzności, która nawet zamiary złych ludzi używa do celów swoich. —

Karol zamyślił się nad tem. Przyszedł mu na myśl ów list tajemniczy, powołujący go na koncert, a czarne, tak wymowne oczka aniołka z Łyczakowa przesunęły się z wolna przed jego duszą. Nic jednak o tem nie powiedział staremu Korybutowi, bo coś takiego nieodgadnionego zamknęło mu usta.

— I cóż teraz zrobisz? — zapytał Korybut.

— Co zrobię? — odparł Karol z nadzwyczajnym spokojem — co zrobię?.... Nic, wcale nic. Gdy odejdziesz kochany panie Dominiku, siędę napowrót do przerwanej pracy —

Korybut patrzał z roskoszą na spokojną, pięknem uczuciem ożywioną twarz Karola. Po chwili rzekł do niego:

— Nie, tego nie czyń. Jeżeli jest taka sposobność, to trzeba z niej korzystać i dzieło ukończyć. Obawiam się recydywy, bo kobiety jak ona są nader przebiegłe.

— Recydywy? — powtórzył Karol z uśmiechem i wyciągnął rękę — o to masz moje słowo, przysięgam ci na wszystko...

— Nie, nie, przysięga w takich rzeczach nie jest ważną, bo wszyscy kochankowie są małoletni — przerwał śmiejąc się Korybut.

— Więc cóż żądacie ode mnie?

— Idź o naznaczonej godzinie na oznaczone miejsce — przekonaj siebie i ją przekonaj, że wiesz o tem. Nie będzie już więcej miała odwagi zbliżenia się do ciebie. Będzie to czwarty akt komedji, po czem zapadnie kurtyna na zawsze, na wieki! —

Karol pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Szkoda mi czasu, bom go za wiele zmarnował. Ale pójdę, aby życzeniu waszemu zadość uczynić. —

I pożegnali się obaj serdecznie. Korybut uśmiechnął się z zadowolenia, bo ciemno-szafirowe oczy panny Walerji obaczył tuż po nad głową Karola, a Karol w tej samej chwili jakoś przypadkiem spostrzegł między stosami książek czarne oczka aniołka z Łyczakowa...

IV.

Po wyjściu starego Korybuta spojrzał Karol na zegarek. Była godzina siódma. Potem wziął zostawioną przez Korybuta kartkę, jeszcze raz ją odczytał, i spokojnie na bok odłożył. Zaświeciwszy drugą świecę, siadł do stolika i dalej w książkach, przy których zastał go Korybut, czytać zaczął. Na twarzy jego był taki spokój, jego pulsa biły tak regularnie, jakby nic nigdy nie zaszło. Z największą uwagą badał i porównywał wyczytane cyfry, spisywał je na osobnej ćwiartce i tak swobodnym był w swojej pracy, z takiem zajęciem przewracał i odwracał kartki książek, jakby prócz tych kartek i tego, co one zawierały, nic innego przed sobą nie widział.

Pobieżnie rzeczy biorąc, możnaby bohatera naszego wziąść za jakąś psychologiczną anormalność. Po tak gwałtownem rozczarowaniu, po utracie tak gorących marzeń, powinienby długi czas boleć jeszcze, jęczyć i walczyć z sobą. Ale to byłoby znamieniem słabej, miękkiej, nijakiej duszy. Karol był tylko zagorzalcem, nie umiał dzielić serca i duszy, tylko z całem sercem i z całą duszą oddawał się raz powziętej myśli, lub uczuciu. A gdy przeczuł, że ta kobieta nie kocha go prawdziwie, gdy to przeczucie stało się przekonaniem i rzeczywiście potwierdziło się, w tej chwili zagasł w jego sercu ten tak długo gorejący płomień, i zrobiła się w niem nagle cisza i spokój, jaki nastaje po zagaszeniu świecy. Był to naturalny skutek pięknej duszy, która ujrzawszy bezdroże, cofnęła się nagle na dawne drogi swoje. Gorącość wprawiła

ją w obłęd i niejaki czas nie dozwalała jej przejrzeć, ale gdy raz przejrzała, zwróciła się z całym swoim spokojem do swoich obowiąsków. I tak być powinno. Czemże bowiem jest miłość? Miłość jest harmonją dwóch tonów, a jeźli jednego tonu nie ma, czyż może być harmonja?... Wszelka inna parafraza miłości jest fałszem psychologicznym, jest chorobą, lub niedołęstwem moralnem.

To też z największą spokojnością siedział Karol przed stolikiem i przewracał książki. Czasami tylko jakby sen jaki przemykała mu się postać Heleny po przed oczy. Zdawało mu się, że to był sen tylko, a nic więcej. A gdy sobie przypomniał, że ją dzisiaj jeszcze zobaczy, że prawdopodobnie mówić z nią będzie, było mu to jakoś tak nieprzyjemnie, tak jakoś niewygodnie!... Niegdyś na wspomnienie Heleny tak żywo biło jego serce, a dzisiaj widzieć się z nią, sprawiało mu niewygodę!... Czemże stała się dzisiaj ta kobieta dla niego?... Jej widok mógł mu tylko sprawić boleść, że tyle pięknych chwil swego życia, tyle uczuć szlachetnych rzucił w błoto!...

Tak myślał sobie Karol, przewracając kartki książek. Tymczasem wybiła ósma godzina. Karol ubrał się, zgasił świecę i wyszedł z izdebki.

Na ulicy było jeszcze gwarno. Karol przebiegł pomiędzy tłumy przechodzących, zwrócił się na wały, a ztamtąd na ulicę jezuicką. Przechodząc koło mieszkania Heleny spojrzał w okna. Kilka okien w pokojach pana Kramskiego było oświeconych. Widać, że poczciwy Kramski miał u siebie partyjkę preferansa. Salon nie był wcale oświecony, tylko w budoarze Heleny migało słabe światełko.

— Zawczasu przychodzę — pomyślał sobie Karol i uśmiechnął się.

Spokój jego nie odstąpił go i tu pod oknami Heleny. A niegdyś już sam widok tego migającego światełka, które jak ogień westalski paliło się wiecznie w jej budoarze, przyspieszało mu pulsa...

Nie zatrzymując się dłużej na ulicy, szedł dalej. Po chwili zboczył na lewo i wszedł do ogrodu jezuickiego.

Wieczór był chłodny, jesienny. Na niebie przemykały

chmury białe i zimne. Czasami z po za tych chmur wyjrzała półtarcza księżyca i kilka garści sinych promieni rzuciła pomiędzy konary gęstych drzew ogrodu. Cisza była wszędzie i spokój, spokojnie mrugały gwiazdy na niebie.

Karol wszedł w gęsty, lipowy szpaler. Może niejeden kochanek wszedłby w ten szpaler z bijącem sercem, z bijącemi pulsami, z zaciśniętemi ze złości pięściami, aby wiarołomnej kochance rzucić w oczy grad słów obelżywych, a swemu rywalowi przynajmniej jedno oko wystrzelić... ale Karol nie miał żadnego z tych zamiarów. Jeżeli kochanka stała mu się wiarołomną, to nie mógł mieć do niej żadnego żalu, tylko do siebie, że dał się zręcznie osidłać, omamić, okłamać, że fałsz i kłamstwo wziął za prawdę szczerozłotą... A cóż rywal jego był winien, że wpadł w te same co i on sidła, które zawsze i dla wszystkich nastawione były?...

Więc spokojnie szedł sobie Karol śród ciemnego szpaleru, czekając umówionej godziny, jaką był wyczytał na karteczce danej mu przez Korybuta. Czasami tylko ukłuło go coś w sercu. Była to myśl bolesna, że tyle nikczemności i brzydoty mogło być na dnie tej, na pozór tak pięknej, ekscentrycznej duszy!...

Wybiło pół do dziewiątej. Karol usłyszał za sobą szelest, jakby ktoś szedł po suchych liściach. Zboczył z głównego szpaleru i wszedł na małą, boczną ścieszkę. Niebawem jakiś mężczyzna niskiego wzrostu, z dymiącem cygarem w ustach przeszedł koło niego i szedł dalej szpalerem. Co kilka kroków wyjmował z ust cygaro, i gwizdał sobie krakowiaka. Z końca szpaleru wrócił się napowrót paląc cygaro i gwizdając na odmianę.

Za dziesięć minut ustało gwizdanie. Karol wychylił się z poza drzew i obaczył kobietę w czarnym płaszczu, z głową szalem zawiniętą. Zbliżyli się do siebie. Mężczyzna obtarł rękawem zadymione wąsy i zrobił jakiś gest, którego Karol dobrze nie zrozumiał. Kobieta odepchnęła go od siebie i rzekła:

— Idź pan sobie na złamanie karku, ja tyle mam zmartwienia przez pana.

— Zmartwienia, co za zmartwienie? — odrzekł mężczyzna.

— Ktoś w domu pilnie dowiaduje się o mnie — zrobiłam dzisiaj to odkrycie.

— Dowiaduje się? albo co? — zapytał rubasznie mężczyzna.

— Źle się stało — pan nie powinieneś był nigdy u mnie bywać na wieczorze — powinieneś był być nieznanym nikomu z mego otoczenia.

— A to co znowu?

— Przedewszystkiem trzeba się wystrzegać Grockiego, panie Łukaszu. —

— Dobrze — odparł posłuszny pan Łukasz.

Kobieta zamilkła chwilę, jakby czekała dalszych słów mężczyzny. A gdy ten także milczał, rzekła po chwili:

— A wiesz pan dla czego Grockiego unikać trzeba?

— A co mi do tego? Pani tak każesz i basta.

— Tak pan nigdy nie mów, bo to mi ubliża — poderwała z gniewem kobieta.

— Ja myślałem, że to jest dyskrecja z mojej strony — odparł mężczyzna.

Kobieta zwiesiła głowę na piersi i zamyśliła się. Kilka chwil trwało milczenie. Podniosłszy głowę jakby się ocknęła, mówiła dalej:

— Musisz pan wiedzieć, że ten Grocki prześladuje mnie swoim afektem jak wielu innych...

— Coś, coś słyszałem, ale przez dyskrecję —

— Niech cię djabli porwą z tą przeklętą dyskrecją... czy inaczej nie umiesz pan gadać? — krzyknęła rozgniewana kobieta, a światło księżyca, które w tej chwili przedarło się przez konary drzew, oświeciło namiętną twarz ciemnej, kreolskiej cery.

Z poza drzew wychylił się Karol, postąpił spokojnie kilka kroków, i stanął przed rozmawiającymi. Założył w krzyż ręce, i w milczeniu spojrzał na tę dobrze mu znajomą twarz śniadą.

Zjawienie się Karola było tak nagłe, tak niespodziewane, że pan Łukasz i Helena skostniali nagle i stali się nieruchomi jak dwa posągi. Karol patrzał w milczeniu na Helenę. W jego twarzy był spokój, jego pulsa biły regularnie.

Wreszcie okazały się ślady życia w dwóch stojących statuach. Kreolska twarz Heleny zaczęła jeszcze więcej ciemnieć, na czole nabrzmiewały żyły coraz więcej. Pan Łukasz objawił także jakiś ruch w skostniałych swoich członkach. Można się było jednak obawiać, że ten ruch będzie ruchem wstecznym, czyli mówiąc po prostu: pan Łukasz chciał zmykać. Widząc to Helena, rzekła głosem drżącym od gniewu i złości:

— Takiemi sposobami nie zniewala się serca kobiety, panie Grocki — przestań mnie pan już raz prześladować swojemi afektami — wszak panu odpisałam... prowadź mnie pan dalej do domu panie Łukaszu! —

Rzekłszy to, wzięła towarzysza swego pod ramię i oboje zwrócili się ku ulicy jezuickiej.

Przyszła teraz kolej na Karola stać się na czas niejaki statuą nieruchomą. I w samej rzeczy coś mu tak nagle zaciężyło u nóg, że ani kroku naprzód nie mógł zrobić. A przecież biło jego serce spokojnie. Nie doznał najmniejszego wzruszenia, bo tego, co widział spodziewał się. Ale coś zimnego jak lód wpadło mu do duszy. A to były słowa Heleny. Takiej nikczemności, takiej podłości nie spodziewał się znaleźć w tej kobiecie. Ta kobieta, która go tak garnęła do siebie, która mu sama miljon razy przysięgała, że go kocha nad życie... ta kobieta odegrała w tej chwili taką z nim rolę dla pana Łukasza!...

Przyszedł wreszcie do siebie i wstrząsł się, jakby chciał z siebie zrzucić jakiś owad nieczysty. Spojrzał w koło siebie, aby się przekonać, czy się to działo na jawie, czy śnił tylko. A w koło niego w cichym głębokim śnie pogrążoną była natura. Drzewa ogrodu rzucały olbrzymie, fantastyczne cienie na murawę, czasami zaszeleściał płaz w uschłych liściach lip starych, zbudzony ptaszek zatrzepotał skrzydłami w konarach drzewa... A na niebie było tak cicho, tak spokojnie! Ten błękit był tak jasny, jak oko dobrego Boga, a te białe gwiazdki tak mile mrugały do niego, jakby go wszystkie znały i witały serdecznie, pocieszając go w boleści jego... A tam na końcu szpaleru snuły się z wolna po ziemi dwa czarne cienie, jak cienie duchów złowieszczych,

oświecone czasem jaskrawem światłem latarni, zawieszonej u bramy ogrodu...

Tak jakoś lekko, tak swobodnie zrobiło się w duszy Karolowi. Coś ciężkiego jak zmora spadło z jego serca i uczuł jakieś dziwne, niewysłowione szczęście, jakby się na nowo odrodził.... Zdjął kapelusz, otworzył ramiona do Stwórcy nieba i ziemi i westchnął do Niego tak gorąco jak nigdy! A było to westchnienie dziękczynne...

I czuwał nad nim Bóg dobry, i nie dał się w nim ocknąć pokonanym namiętnościom. Prąd życia miał go dalej porwać z sobą, aby tymczasem rana należycie zabliźnić się mogła.

Jakoż natychmiast weszło mu coś w drogę. W ciemnym szpalerze pojawiło się kilka postaci. Byli to mężczyzni ubrani z francuska. Jeden z nich był wysoki, a obok niego czernił się mały nadzwyczaj człowiek. Wysoki mężczyzna był poważny i systematyczny w ruchach swoich, mały zaś człowiek kręcił się i wiercił jak żywe srebro. Rozmawiali z sobą z wielkiem zajęciem. Karol wszedł znowu na ową ścieżkę małą, która równolegle ze szpaleru wydeptaną była. Jakieś niezwyczajne kroki musiały wydeptać tę ścieżkę, która idących miała zakrywać przed okiem zwykłego świata....

— Jakkolwiek z podobnemi środkami nigdy się nie zgadzam — prawił wysoki mężczyzna — jednak tutaj nie mam już głosu. Tak być ma, tak się stało. Ale nie zawadzi bliżej tę rzecz wyświecić, aby od niej oddalić wszelkie niebespieczeństwo, któreby potem spaść mogło na samychże autorów tej rzeczy... Man muss sehr bedächtig zu Werke gehen.

— Pah — odparł niski człowieczek — czy ma ta nasza flegma zawsze nas gubić? Gdy się pali nad głową, któż mówi wtedy o dojrzałym rozmyśle... Ja, ja, es brennt, Herr Präsident!... dokończył rymowym frazesem.

— Tego przecież jeszcze nie widać, lieber Herr College — wtrącił pierwszy.

— A gdy będzie zu spät? — ozwał się ktoś inny.

I wszyscy umilkli i szli tak kroków kilkanaście. Poczem ozwał się znowu:

— Rusinom podają wprawdzie dzisiaj tylko jeden palec, a gdy oni schwycą za całą rękę? —

Dwa czy trzy głosy odpowiedziały:

— Śmiać się z tego śmiać — wir kennen unsere Leute!

— Gdybyś im całą rękę sam podawał, Herr College — mówił ktoś — toby oni jej nie wzięli. Powiedzieliby, że my nie chcemy ręki, tylko palców!

— Cha, cha, cha — zaśmiał się inny — to coś zakrawa na tego myśliwego, który pytał się o ślad lwa, a gdy mu samego lwa wskazano, to odrzekł, że on nie szuka lwa tylko śladu jego! —

Śmiech rozległ się do koła. Wszystkim podobał się ten koncept. Ale po chwili rzekł znowu najwyższy z nich:

— Koncept ten jest dobry jako koncept, ale nam w końcu nie chodzi o dobre koncepta, tylko o wszechstronną rozwagę...

— Ta wszechstronna rozwaga gubi nas z kretesem — przerwał niski człowiek — jesteśmy obfici w rozwagi różnego rodzaju, a ubodzy w czyny, w czyny...

— Toż chcesz pan zaraz cały stos zapalić? — przerwał mu wysoki mężczyzna — a gdzież masz materjał po temu? —

Mały człowieczek wskazał ku górze, pod którą właśnie zbliżali się, idąc szpalerem. Wysoki mężczyzna pokręcił głową, milczał czas niejaki a potem rzekł:

— Mylisz się mocno, Herr College, aby to był dobry, zdrowy materjał. Każda sprawa potrzebuje ludzi dwojakiego gatunku. Jedni są to po prostu najemnicy, którym się płaci na rękę... płaci się złotem, honorami, zaszczytem... Są to w swoim rodzaju bandyci, którzy się temu najmują, kto da więcej. Ci sprawy bynajmniej nie robią popularną, a więcej jej szkodzą, niżeli pomagają. Do tego trzeba z nimi bardzo ostrożnie się obchodzić, bo się odwrócą i na swoich uderzą, jeźli ktoś więcej obieca i więcej zapłaci. U tych każda sprawa jest dojną krową tylko, choćby w istocie była najświętszą... Ale i takich potrzeba, bo cóż z nimi zrobić?...

— A jakiż jest ten drugi gatunek ludzi? — zapytał mały człowieczek.

— Drugi gatunek ludzi, a najpożądańszy dla każdej sprawy, są ci wszyscy, którzy z jaknajlepszą wiarą przystępują do sprawy. Ich wyobrażenia mogą być najfałszywsze w świecie,

najgłupsze, bez żadnej podstawy prawdy, słowem utopja jakaś i nic więcej... ale ci ludzie mają ogromną siłę, bo w nich jest wiara, jest fanatyzm. Takich to ludzi potrzeba nam, bo oni ślepo walczyć będą do upadłego...

— Ba — poderwał mały człowieczek — a gdy w gorącej walce zajdą za daleko i nad nasze głowy nam wyrosną? —

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się i uderzając swego towarzysza po ramieniu rzekł do niego:

— A wędzidło od czego?... Sporren geben und dann fest im Zaun halten!

— Gdyby tylko wędzidło utrzymało! Und wenn er bricht?

— Sto lat mogę ci gwarantować, Herr College — odparł wysoki — nie wiem, czy za ten czas uporządkują swoją ortografję; o języku nawet nie myśleć!

— Ale przecież kiedyś, w czasie...

— O mein lieber, my nie liczymy dzisiaj na wieki...

— Ale przecież sadząc ziarno, które ma wyrość kiedyś w dęba, trzeba baczyć, aby ten dąb nie obalił naszych szylderhausów...

— Już ci ręczę za to, że to się nie stanie — odparł inny — cała ta sprawa hat keinen Grund. Lud nic a nic o tej swojej narodowości nie wie. U niego tylko lasy i pastwiska. A zresztą gdzież są ludzie tej sprawy, gdzież są przewodnicy?... A któż są ci, którzy dziś wypychają się na wierzch? O mein lieber, wir kennen uns! Co chcesz z nich zrobisz. Poszlij ich do Chin, to będą Chińczykami, jeżeli za to będzie jaka gratyfikacja. O tych ludzi nie obawiaj się! Poczekaj kilka lat, gdy tego wszystkiego nie będzie potrzeba...

— Dałby Bóg — szepnął ktoś — es ist zum krepiren.

— Ale dzisiaj, dzisiaj trzeba serjo o tem wszystkiem z nimi mówić. Nie trzeba się śmiać. —

I roześmiali się wszyscy, aby potem nie mieć pokusy do śmiechu.

Karol szedł ścieżką obok nich i wszystko słyszał. Ta dziwna rozmowa zajęła go mocno. Obudził się w nim dawny zapał, widział niebespieczeństwo, które stąd sprawie zagraża. Jakże drobną w obec tego uczucia wydała mu się teraz Helena?...

Tymczasem ci ludzie wyszli z ogrodu i dalej szli ku górze, na której czerniła się katedra św. Jura.

— Przecież ten wuj Porfirego jest nader przydatny człowiek! — zagadnął znowu jeden z nich.

— Dam ci stu takich za jednego Porfirego! — odparł wysoki mężczyzna.

— Jak to? — zapytał mały człowieczek.

— Bo tamten jest po prostu najemnik, a ten jest człowiekiem wiary, jest fanatykiem.

— Bespieczniejszy najemnik od fanatyka. —

— A kodex od czego?... Bis hieher und nicht weiter! napisano w księdze Joba —

Grocki już nie mógł dalej iść za nimi, bo drzew nie było na drodze, a księżyc jasno świecił. Wrócił ulicą jezuicką do miasta. Był cały zaprzątniony tem, co słyszał. Zimny dreszcz przechodził po nim, gdy sobie pomyślał, jak najpiękniejszą sprawę, najświętszą ideę można zniżyć do prostego narzędzia dla dopięcia innych, wcale innych celów!... Jakież to pole dla pracy otwierało się przed nim, jakże biło jego serce radośnie do tej pracy!... A jak mocno dziwił się sobie, że to serce jego przez tak długi czas biło dla tak niegodnej istoty, która dzisiaj coraz więcej nikła z oczu jego, z serca i z pamięci nawet!...

V.

Podczas gdy Grocki ulicą jezuicką co raz więcej do miasta się zbliżał, jechał od strony miasta tąż samą ulicą długi prosty wóz, wysoko słomą wyścielony. Na wozie siedział mężczyzna owinięty szarym płaszczem z stojącym kołnierzem, a furman zakrawał na coś z waszecia, bo miał surdut na sobie i kaszkiet na głowie.

Siedzący na wozie spoglądał spokojnie po kamienicach z jednej i z drugiej strony, jakby szukał przeznaczonego na dzisiaj portu po całodziennej, nie zbyt wygodnej podróży. Furman zaś coś strasznie się niepokoił, wykręcał się co chwila do swego pasażera, czy go nie zgubił, lub czy się tenże w co innego nie przemienił. Twarz jego szeroka miała jakiś głupi wyraz, o oczy wytrzeszczone okazywały przestrach i ciekawość.

— Trystaby zjiw! — mruknął pod nosem — a to jakby hubu zawizaw!... A kto win je? ha! a kto toj suki-syn... Nycz ne howorit ciły deń! A to szczo, czy człowik ne hodyn czy szczo... ne hodyn any odnoho słowa!... A kto win je! —

I znowu oglądnął się na pasażera, który swobodnie sobie w tej chwili cygaro zapalał.

Wreszcie spojrzał pasażer w pierwszopiętrowe okna narożnej kamienicy, które były rzęsisto oświecone. Snać poznał miejsce, dokąd dążył, bo płaszcz odrzucił od twarzy i kazał woźnicy na boku stanąć, nie dojeżdżając jednak do kamienicy.

Właśnie w tym samym czasie przechodził Grocki koło tej kamienicy. Długi wóz, słomą wypchany, konie jakoś dziwnie uprzężone, mężczyzna w szarym płaszczu, który właśnie przemyśliwał, jakimby to sposobem dostać się z wozu na ziemię, i ten szczególny strój woźnicy i jego ruchy jakieś gorączkowe, wylęknione — wszystko to zwróciło uwagę Grockiego i jakieś dziwne zrobiło na nim wrażenie. Do tego przypomniał sobie, że w narożnej kamienicy, koło której ten wóz stanął, mieszkał od niejakiegoś czasu jakiś zagadkowy jegomość. Był to cudzoziemiec, bliższych wiadomości o nim nikt nie posiadał. Przejeżdżał on przez Lwów, tymczasem córkom miało się miasto podobać, a dobry ojciec zatrzymał się dla nich, najął piętro w kamienicy narożnej i codziennie do późnej nocy rzęsisto je oświecał. Dla kogo zaś oświecał tak rzęsisto tyle pokojów, nieznajomy wcale w mieście cudzoziemiec? o tem nikt powiedzieć nie umiał. Przechodzący ulicą jezuicką rzucali często ciekawe spojrzenia na te okna oświecone, widzieli na dużych, krzyształowych szybach migające się czarne postacie, które okazywały, że tam przecie nie musi być tak pusto... ale nikt nie wiedział, jacy to goście zapełniali te czarodziejskie, zaklęte pokoje...

Właśnie opodal tej kamienicy stanął wóz, a pasażer z wielką biedą dostał się z wozu na ziemię. Naprzeciw niego była latarnia gazowa, i dosyć wyraźnie oświeciła jego postać. Był to człowiek silnej budowy, grubych rysów twarzy. Wąs miał przystrzyżony, do którego wężykiem skierowane były wąskie bakenbardy. Kaszkiet z szerokiem dnem okrywał jego głowę.

Zaledwie kilka kroków ku narożnej kamienicy postąpił, zetknął się z jakąś długą figurą w płaszcz owiniętą, która właśnie z tej kamienicy wychodziła. Obaj stanęli, popatrzyli na siebie, i podali sobie ręce. Grocki stanął za filarem narożnego balkonu, bo postacie te coś go zainteresowały.

— Czy sokół wypuszczony na ptaki? — zapytał jeden z nich:

— Nałapał dużo gołębi — odparł drugi.

— Ach gołębi mamy już zbyt wiele.

— Nie tak wiele jak się zdaje.

— A jakiego ptastwa jest więcej?

Pierwszy zamyślił się chwilkę, a potem rzekł:

— No, kosztuje więcej pierza sokołowi! —

Drugi roześmiał się i skinął głową na znak, że tak jest w istocie. Po chwili rzekł:

— W wielu miejscach zetknął się sokoł z orłem...

— To źle — poderwał pierwszy.

— Nie można było inaczej.

— Jakiż skutek?

— Kilka piór sokoła posłano nad Dunaj. —

Pierwszy zamyślił się znowu a potem rzekł:

— No, temu się pomoże. A jakże tam w kniei?

— W kniei nie najlepiej rzeczy idą. Ciemno jak w borze, gęstwina pomotana, nie ma dróg... robota nie opłaci się i za sto lat.

— To nic — robi się na przyszłość dla wnuków może, ale robić trzeba, bo to jest „haute politique". Tylko głupi dzierżawca wycina bór od razu, a wierzyciel, który wie, że ten bór kiedyś do niego należeć będzie, pielęgnuje go i sadzi latorośle...

— Ale dziedzice to twarda sztuka! Apelują ciągle do trybunału!...

— W trybunale zalegają sprawy po kilka wieków, a tymczasem na niwach wyrośnie nowy bór, przez nas zasiany, a tam ten stary wytrzebimy i zoramy. Wyrok trybunału nie znajdzie wtedy miedzy ani kopca i wszystko będzie naszem!...

— Ba, a dzierżawcy?

— Z tymi jak najlepiej. Gdy ziarno na nowy bór przez nas zasiany puści kiełki, wtedy oni sami obaczywszy je, ucieszą się nowym borem i sami pielęgnować go będą. A gdy drzewa wyrosną, złączą się z naszym, przyległym borem, grubsza zwierzyna ucieknie do nas — a może nawet i drzewa uciekną. —

I roześmiali się obaj. Po chwili kontynuował mówiący dalej:

— Gdy się bór z naszym borem złączy, gdy grubszy zwierz do nas ucieknie, gdy leśniczy do nas przekradać się

będą i doniosą nam, że possesorowie podupadli: wtedy zrobimy im proces o bór przyległy, na zasadzie anneksji części jednolitych, zabierzemy i dalej tę samą operację powtórzymy, póki nie dostaniemy wszystkiego co nasze...

— Ale pobereżnicy naszego starego boru inaczej myślą. Człowiek z „Ławry peczerskiej" opowiadał mi, że oni właściwie mierzą w nas! Oni chcą bór i borek wziąść dla siebie!...

— Nie turbuj się o to sokole — będziesz miał dobry żer u pana, który zabiera, a nigdy nic nie traci. Ludzie z „Ławry" idą na naszym sznurku, choć o tem sami nie wiedzą. Tylko jednego dziedzica trzeba nam się bać — którego sprawa leży w trybunale. Nim wyrok zapadnie, trzeba go obcinać na wszystkie strony, aby był słabym i małym. On jeden w całej Europie mógłby pokrzyżować nasze plany. Otóż na to są ludzie z „Ławry", aby go obcięli i osłabili. Naturalnie, że dzisiaj nie można im tego powiedzieć, że są narzędziem; przeciwnie trzeba wiele znieść od nich, a nawet zatkać sobie uszy, jeźli coś tam na nas odkazują lub grożą!... Gdy robotę swoją skończą, wtedy za łeb, w kark i — won, pastupaj!

— Ba! a jeśli nas chwycą za gardło?..

— U sąsiada pomoc bardzo tania —

— Na którego niwach nasz bór siejemy? —

Mówiący roześmiał się, uderzył towarzysza po ramieniu i wciągnął go do sieni kamienicy.

Grocki stał niejaki czas pod kolumnami balkonu i przemyśliwał nad tem, co ci dwaj ze sobą mówili. Zagadkowe ich słowa, i cała ta mowa w przenośniach budziła w nim jakieś nader przykre uczucie. Szedł powoli z nitki do wątka i wzdrygnął się w końcu, jakby wewnątrz kłębka natrafił na jakąś gadzinę...

Tymczasem przy wozie biegał woźnica to w tę to w ową stronę i z rozdziawioną gębą patrzał w ciemną sień, w której przepadł jego pasażer i w jasne okna pierwszego piętra, przez które przesunęła się w tej chwili ciemna postać, kubek w kubek podobna do jego pasażera...

Grocki zbliżył się do niego. Zajrzawszy mu w oczy, krzyknął:

— Spirydion! —

Diak Zahorecki wytrzeszczył na niego duże, wypukłe oczy, a poznawszy Grockiego, którego często widywał w Podgórzu, zawołał z ruska po polsku:

— Ach to panycz! Jakże to dobrze, że panycza tutkie zdybuję!... Czy nie wie panicz, kto to taki, co ze mną tutkie pryichaw?...

— A jakże, to nie wiesz, kogoś przywiózł? — zapytał Grocki wystraszonego diaka.

— Toj sam czołowik, szo to raz pryjszow do ks. Onufryja, koły to „Wydacz" spaływ sia.

— A skądże go wieziesz?

— Buw u ks. Petrykowa try dni i ks. Petrykow kazaw, szczobym sam ichaw z nym do Lwowa.

— A w drodze nic z nim nie mówiłeś?

— Any odnoho słowa, jakby mu hubu zawizaw!... Ja howoryw sio i to, a win nycz! Kto win je, kto win może buty, panyczu?... Może to didko! —

Grocki wiedział, że od diaka nic się nie dowie. Gorączkowa ciekawość diaka rozśmieszała go, a on w tej chwili miał tyle ważnych rzeczy do rozebrania. Pożegnał więc diaka, który z rozdziawioną gębą zwrócił się znowu w okna rzęsisto oświecone, a sam puścił się dalej ulicą do swojej izdebki, bo coś go w tej chwili mimowolnie tam ciągnęło.

Przyszedłszy do swojej izdebki zapalił Karol świecę i oglądnął się w koło siebie. Spokój malował się na jego twarzy. W sercu miał uczucie, jakby po długiej jakieś, a nieszczęśliwej podróży przyszło mu w końcu wypocząć. Ale do tego spokoju przeszkadzało mu w tej chwili coś w jego izdebce. Sprzęty były jakoś porozrzucane, książki i pisma

leżały w nieładzie, obrazy krzywo wisiały na ścianie. Niegdyś nie zważał na to, dzisiaj zawadzał mu ten nieporządek. Uporządkowawszy się wewnątrz, musiał ten sam porządek i w swojej izdebce zaprowadzić. Był to skutek wewnętrznego uspokojenia się.

Mimo późnej godziny wziął się zaraz do pracy. Kanapę przestawił pod inną ścianę i symetrycznie ustawił przy niej krzesełka. Książki pozbierał i poskładał na pułkach, obrazy zawiesił prosto, w symetrycznych odstępach. Na biurku uporządkował papiery. Z środkowej szufladki wyjął kilka listów na cienkim papierze, rozwinął jeden z nich, w którym był mały, czarny portrecik siedzącej kobiety, kilka chwil patrzał na niego, a potem nad świecą spalił i popiół po całej izdebce rozdmuchnął. Znalazł także i kilka kwiatków zasuszonych i te zapalił nad świecą. Był między niemi czerwony gwoździk. Ten najuporczywiej walczył z niszczącym go płomieniem i skwirczał biedny z boleści, ach! on mu przypomniał tak złotą chwilę!...

Zrobiwszy to wszystko, usiadł w fotelu i wolną, szczęśliwą odetchnął piersią. Spojrzał w koło siebie, i jakiś dziwny, błogi spokój ogarnął jego duszę. Przysunął fotel do biurka i wziął się do rozpoczętej przed kilkoma godzinami pracy. W przerwach myślał o tem, co dzisiaj w ogrodzie jezuickim i na ulicy zasłyszał był od tych ludzi nieznajomych.

Późno w noc siedział tak, czytał i myślał. Wreszcie wybiła na ratuszu godzina druga. Karol uczuł kilkakrotne uderzenia do głowy. Przed oczami pociemniało mu. Nie mógł już nic czytać. Wstał od biurka rozebrał się i położył na spoczynek.

Dziwnem mu się wydawało, że nie spał, a jednak miał jakieś niby senne widma. Widział najprzód siebie w grobie, zamkniętego w trumnie. Było mu duszno i ciemno. Brzydkie robactwo pełzało po nim i dręczyło go. A było mu zimno, tak strasznie zimno... Powoli podnosiło się wieko, a jasny, ciepły strumień światła bożego padł mu na piersi. I ożyło w nim serce i znowu bić zaczęło. Brzydkie robactwo uciekło gdzieś, a w koło niego było pełno kwiatów wonnych i świeżych i był ten sam gwoździk czerwony, który przed godziną

tak upornie walczył z płomieniem. I wyciągnął rękę po ten gwoździk, po tę pamiątkę jedynej, szczęśliwej chwili w życiu.... ale gwoździk rozsypał się w popiół i zniknął na szarej ziemi.

Ostatnia pamiątka ubiegłego szczęścia znikła od niego, a wszystkie inne kwiaty były to świeże, nowe kwiaty, które go zapewnie czekały na dalszej drodze żywota!... I było mu dobrze i słodko w duszy, jak po ukojonej, wielkiej boleści!... I widział potem wielkiego ducha, który z nieba wstąpił na ziemię. I dotknął się duch ramienia jego i rzekł mu: „Wstań, bo siekiera przyłożona już do korzeni drzewa.“ A potem wskazał ręką na tłum ludzi. Jedni szli jak faryzeusze z głową do góry wzniesioną. Na ustach mieli modlitwę, a w duszy czarne, plugawe robactwo. I nieśli wielkie księgi przed sobą i wołali na lud zgromadzony: Korzcie się, bo my was zbawimy! A gdy lud upadł na ziemię, oni wsiedli mu na kark i rabowali go... I jedni z nich byli jawni mordercy, drudzy skrytobójcy, inni znowu z słodkim na twarzy uśmiechem mieli truciznę w rękawie ukrytą... A tłum leżał ciemny, twarzą do ziemi, a oni chodzili po nim jak po pomoście, podając sobie ręce... I uplotli wielki łańcuch i przysięgli trzymać się tak razem aż na wieki!...

I rzekł do niego duch wielki: Tyle pracy przed tobą, a tyś gnuśniał tak długo. Patrz już zorza na niebie, a dzień wszystkich, wszystkich powoła do pracy!..... I pracować będą starcy i niewiasty, dzieci i kaleki, i wszystkim dany będzie znak krzyża świętego....

I zdawało się mu, że jakaś masa niezliczona przechodzi koło niego, śpiewając i modląc się, i pociągnęła go z sobą, aby z nią razem modlił się do Boga Miłosierdzia... A duch wielki rzekł do niego: Nie dosyć jest modlić się — wiara bez uczynków martwą jest...

Karol się ocknął i spojrzał przed siebie. W izdebce było już jasno. Promienie wschodzącego słońca oświeciły całą ścianę. Powietrze w izdebce było tak czyste jak szkło. Nigdzie nie było ani jednej plamki czarnej. Tylko gdzieś u dołu drżał mały czarny pyłek prochu i zwolna upadał na ziemię.... Była to resztka wspomnień o Helenie ..

Karol chciał głowę podnieść, ale głowa jakoś mu zaciężyła.

Chciał się podeprzeć na rękach, ale i te odmówiły mu podpory. A czysta przeźroczysta izdebka zaczęła z wolna napełniać się jakiemiś dziwnemi widmami, których dobrze nie mógł zrozumieć. Coraz ciemniej robiło mu się przed oczyma. Na ustach czuł jakieś trawiące gorąco.

I tak przeleżał kilka godzin w samotnej izdebce.

Koło godziny dziesiątej otworzyły się drzwi i wszedł stary Korybut.

— Po boju miły spoczynek — rzekł wesoło Korybut — stając przed łóżkiem Karola.

Ale wkrótce posmutniał stary. Twarz Karola była czerwona, oczy świeciły blaskiem nadzwyczajnym.

— Tyś chory Karolu — zawołał stary, załamując ręce.

Karol uśmiechnął się z wielkiem natężeniem, wziął go za rękę i przyłożył do serca. Po chwili ozwał się:

— Patrz jak ono spokojnie bije. Jeźli tam jest spokój, nie dbam o resztę. —

Korybut pociągnął ręką po jego twarzy i pokręcił głową.

— To nie jest zdrowie mój drogi — rzekł do niego — opowiedz mi, jak się to wczoraj skończyło? —

Karol opowiedział mu wszystko szczegółowo. Korybut słuchał go z wielka uwagą. Opowiedział mu jak spokojnie zniósł ostatni cios rozczarowania, jak potem przyszedłszy do swojej izdebki, uporządkował ją... jak długo w noc pracował z największym spokojem... A nakoniec opowiedział mu jak dziwne widma latały mu w nocy przed oczyma. Odetchnąwszy nieco opowiedział mu to wszystko, co zasłyszał był przypadkiem z rozmowy nieznajomych mu ludzi w ogrodzie i na ulicy jezuickiej. Korybut słuchał tego jeszcze z większą uwagą, a gdy Karol skończył, rzekł do niego z radosną twarzą:

— Widzisz mój drogi, jak Opatrzność Boga czuwa nad człowiekiem, aby nie upadł śród cierpień swoich. W chwili, gdy poniosłeś tak bolesny cios, gdy z duszy swojej musiałeś wyrwać i odrzucić to wszystko, co tam głęboko się wpiło i z nią już zrosło — w tej chwili odsłania ci się zasłona, a ty widzisz przed sobą szerokie pole pracy, widzisz kłosy dojrzałe, które zebrać i ku przyszłemu pożytkowi zachować trzeba.... widzisz przed sobą szarańczę, która czyha na te piękne złote

kłosy.... Opatrzność, mój drogi, odsłania ci to wszystko, abyś wszedłszy na tę nową drogę, zapomniał o świeżej boleści, aby ta boleść nie złamała cię. I na tej nowej drodze nie czekają cię same kwiaty. Są i tam ciernie i głogi, a może z tych cierni upleciesz sobie kiedy koronę na głowę, ale wierzaj mi mój drogi, boleść po tej drodze doznana, nie jest wcale tak bolesną jak wszelka inna, odnosząca się tylko do nas samych. Bo nad tą boleścią góruje duch nasz, który i na stosie ofiarnym, na żarzących węglach uśmiecha się, jak się uśmiechali męczennicy wiary, widząc śród mąk niebo otwarte, aniołów i Boga! —

Karol uścisnął za rękę Korybuta i rzekł:

— To co minęło, poszło już w zapomnienie. Cała Helena i to co przy niej wyśniłem, upadła jak drobny pyłek na ziemię. Dzisiaj patrzę tylko naprzód, przed siebie, patrzę na tę drogę, z której sprowadziła mnie ta nieszczęsna kobieta. Pragnę pracować, dla dobra braci moich, dla ojczyzny mojej. Całe serce, całą duszę poświęcam tej pracy bez względu na to, czy ta praca zawiedzie mnie do kwiatów, czy do korony cierniowej... Patrz, jak to serce bije głośno na to wspomnienie — a na wspomnienie Heleny wcale się nie odezwało...

— Widzę to i mocno cieszę się z tego — odparł Korybut całując go w głowę — a teraz da Bóg, wszystko dobrze się skończy. Wczoraj drogą urzędową nadszedł tu testament nieboszczyka Jędrzeja. Więc czas, abym ci powiedział, że jeżeli postanowienia twoje są szczere, to odpowiadają one zupełnie warunkom testamentu. Z Porfirym zaczekam jeszcze, może wróci także na drogę, którą chodzili ojcowie nasi. Wiara bowiem ojców, to cały ich żywot, żywot całego narodu, jego dzieje. —

Karol uśmiechnął się i podał rękę Korybutowi. Po chwili rzekł do niego:

— Obawiam się tylko, abym nie zachorował, bo czas jest drogi, a ja tak pragnę pracować! —

Korybut wziął go za rękę i liczył pulsa. Potem położył mu rękę na piersiach i słuchał bicia serca. Z smutną twarzą odezwał się:

— Niestety, obawa twoja może się sprawdzić. Wszystko w tobie wre i kipi. A wiesz skąd to pochodzi? —

Karol wypatrzył się na Korybuta z ciekawością.

— Pochodzi to ztąd — mówił dalej Korybut — że ów sztuczny ferment życia, jakim była u ciebie Helena, ustał nagle. Wprawdzie nowe życie weszło w ciebie, życie pracy i obowiąsków, ale dawna sztuczna alteracja musi wprzódy stoczyć śmiertelną walkę z nowym przybyszem. Gdzie bowiem silna wola od razu górę weźmie, tam słabe ciało nasze musi się w pierwszej chwili ugiąć pod ciosem boleści. Duch twój już dawno wyzdrowiał, teraz kolej na ciało aby za nim zdążyło. Miej w Bogu nadzieję! —

Kiedy Korybut słów tych domawiał, spostrzegł, że Karol na twarzy więcej zaczął czerwienieć. Prędko pobiegł po lekarza.

Lekarz przybył, a zbadawszy chorego, dał wyrok, że nerwy mózgowe są zaatakowane.

Za kilka godzin był już Karol bez przytomności.

Podczas tego czasu przyszedł służący z listem od Heleny. List był adresowany do Karola, a na pieczątce była dewiza: „Nie budź mnie.“

Korybut otworzył środkową szufladkę biurka, włożył tam list, a zamknąwszy wziął kluczyk do siebie.

VI.

W tymże samym czasie, w małej izdebce „pod żelazną koleją“ przechodził się Porfiry i myślał o nowych drogach swoich, jakiemi mu teraz iść wypada. Na dotychczasowej, acz krótkiej drodze znalazł on już wiele cierni i kolców, z jakich wcale nie uplata się korona męczeńska. Rozpatrzywszy się bowiem bliżej w zasobach, jakiemi w stolicy mogła sprawa ruska rozporządzać, uczuł wielki smutek w duszy swojej. Między pracownikami na tem polu obaczył ludzi, których dusza już zdala cuchnęła, a o których nie wiedział, jakim sposobem stanęli w jednym z nim szeregu. Ale słowa wuja uspokoiły go nieco w tej mierze. Powiedział on mu, że wojsko z różnych składa się żywiołów, a do wodza jedynie zależy, aby tych żywiołów użyć na korzyść świętych celów. Więc powoli goiły się tė lekkie zadraśnięcia. Porfiry zaczął się przyzwyczajać zwolna do Szejka, Schreyera i wielu innych i jakoś w końcu pogodził się z tem złem koniecznem.

Trudniej mu jednak było pogodzić się z własnem sercem swojem. W salonie Wyrwicza stanęła nagle przed nim córka ks. Onufrego i to w chwili, w której najmniej może o niej myślał. Było to jakieś dziwne zrządzenie Boga, że właśnie na tem miejscu i w tym czasie między nim a córką Wyrwicza wcisnęło się nagle to wspomnienie młodych jego snów i marzeń i przedzieliło go nagle od planów dzisiejszych, tak zręcznie przez wuja osnutych. Ale gdy dłużej nad tem pomyślał, gdy przypomniał sobie to wszystko, co mu w tej mierze wujaszek powiedział, stojąca między nim a Walerją

Dosia, poczęła z wolna rozpływać się w jakąś mgłę przeźroczystą, w jakieś dawne, niewyraźne wspomnienie, które zwolna ulotniało się i nikło mu z przed oczu... Wujaszek powiedział mu wyraźnie, że dla sprawy narodowej trzeba wszystko a nawet siebie poświęcić, że dla tej samej sprawy powinien zrzec się idylicznych mrzonek swoich i córkę ubogiego parocha zostawić Opatrzności boskiej, która czuwa nad sierotami, a sam powinien wejść w świat rzeczywisty i tam działać skutecznie dla narodu swojego. A jakież to pole otwierało się przed nim, jeźli zostanie mężem Walerji, do swoich trzech wsi dołączy drugie trzy, otworzy w stolicy wielki salon i zrobi go ogniskiem inteligencji ruskiej i całego ruchu!.... Walerja była wprawdzie dotąd Polką, ale zrodziła się przecież na ziemi ruskiej tak samo jak i jej ojciec, którego ród gdzieś w wieku dwunastym był także rodem ruskim.... Porfiry myślał, że czas i jego usiłowania nawrócą kiedyś ten dom znakomity na drogę swego pochodzenia, a będąc sam fanatykiem swojej idei, wierzył zapamiętale, że to stać się może. Ale wujaszek kazał mu być teraz dyplomatą, a Porfiry uczuł w końcu, że z adwersarzem nie zawsze jawnie walczyć można....

Nie zapomniał przy tem i o Dosi. Widział w niej zawsze siostrę kochającą, myślał nawet o opiece dla niej i dla ks. Onufrego, myślał w razie potrzeby o jakimś posażku, gdyby się znalazł konkurent...

Ale tu mimo woli wzdrygnął się, jakby nagle poczuł na piersiach oślizłą skórę jaszczurki.... Coś mu nagle porwało wątek myśli, i stanął na środku pokoju jak machina, w której ogień zagaszono. I nie mógł jakoś wrócić do tych myśli o Dosi, a w duszy zrobiło mu się czczo i smutno.

Usiadł na krześle i zwiesił głowę na piersi. W duszy jego wadziły się z sobą dwa obrazy. Spokojna jak marmur biała twarz Walerji wyglądała, z poza milutkiej ożywionej twarzyczki ubogiej córki plebana, której oczy tak wymownie na niego patrzały!... I kto wie coby się stało z temi dwiema twarzami, gdyby Porfiry dłużej sam był pozostał i pozwolił tym obóm twarzom walczyć z sobą o pierwszeństwo... Ale zły duch jakiś przeciął nagle tę walkę spokojną, a Porfiry

porwany prądem nowych swoich stosunków, musiał płynąć dalej, a swoje wspomnienia wszystkie za sobą zostawić...

W tej bowiem chwili otworzyły się drzwi, a uśmiechnięta twarz wujaszka okazała się na progu.

— Nie chciałem cię już wołać do siebie, zagadnął zaraz na wstępie, bo nie wiem kiedy w domu będę. A tak wyszedłem do miasta za interesami i wstąpiłem do ciebie. —

Porfiry uścisnął wujaszka i podał mu krzesło.

Wuj Porfirego miał na sobie długi granatowy surdut, z długiemi rękawami, z których rąk wcale nie było widać. Z jednego rękawa wisiała tylko duża, kraciasta chustka, a wnosić należy, że gdzieś w głębi musiała być i ręka, która tą chustkę trzymała.

Siadłszy na krześle rzekł do Porfirego:

— Przychodzę tu z dobrą nowiną. Wczoraj nadszedł tutaj z Paryża drogą urzędową ów testament nieboszczyka Jędrzeja. Czytałem go dzisiaj. Są tam warunki jasne jak słońce — bez żadnych klauzul, jak to rozgaduje Korybut. Wprawdzie egzekutorem tego testamentu jest Korybut, ale egzekutor musi się trzymać litery. A tam stoi, że obaj najmłodsi potomkowie rodu Szetyckich, tak po mieczu jak po kądzieli są spadkobiercami majątku, jeśli nie odstąpili wiary ojców swoich. A jeśli jest tylko jeden, który tym warunkom odpowiada, to cały majątek przechodzi na tego jednego. A więc ty jeden tylko możesz być spadkobiercą nieboszczyka Jędrzeja, bo ty jeden ochrzczony jesteś w wierze rodu Szetyckich. Nie ma się więc czego obawiać. Zachodzi tylko ta okoliczność, że egzekucja tego testamentu zaczyna się dopiero od ekspiracji dzierżawy. —

Kilka chwil milczeli obaj. Po chwili rzekł Porfiry:

— Nowina jest dobra, nie ma co mówić. Spadkobierstwo to daje mi pozycję niezawisłą, na której będę mógł wiele pracować dla idei naszej. Ale mogą zajść jeszcze tutaj niejakie trudności. Z opowiadania Korybuta i z kilku jego i Grockiego aluzji, muszę wnosić, że Korybut chce temu testamentowi dać barwę inną i słowa: „wiara ojców" odnieść do przekonań politycznych...

— Bah! przerwał wujaszek, jakże to będzie mógł uczynić?

Któż zaakceptuje takie tłumaczenie? Gdzież na to będzie miał dowody?...

— Mówią, że Korybut ma mieć coś w rękach — wtrącił Porfiry.

— Śmiej się z tego, to strachy na Lachy! Do kogóż z tem pójdzie? Czy do sądu?... Rzecz jasna mój drogi Porfiry — jesteś dziedzicem trzech wsi i na tem koniec. Ale nie bierz tego za czysty przypadek. To palec boży, który cię wiedzie do wielkich, wielkich celów! To Opatrzność położyła rękę na tobie, abyś wstał, wziął łoże swoje na siebie i szedł dalej o siłach własnych, a nie leżał dłużej na barłogu niewoli... Apostoł boży zarzucił sieć w ruską ziemię i między innemi złowił ciebie, abyś był uczniem, a potem apostołem prawdy i rozszerzał światło tam, gdzie dotąd jest ciemnia nieprzebyta! —

I podniósł wuj dwa palce do góry i nad Porfirym zrobił znak krzyża świętego.

Porfiry mimowolnie ugiął głowę i zdawało mu się, że w duszy uczuł moc błogosławieństwa. W całej świetności stanęła mu teraz przed oczy sprawa, dla której biło jego serce. A w obec tej wielkiej sprawy wszystko reszta tak jakoś zmalało! Wszystkie jego wspomnienia wyniesione z ubogiej plebanji rozwiały się jak mgły, a nawet piękna, marmurowa twarz Walerji pobladła i powoli niknąć zaczęła. Jeżeli zaś coś z niej zostało, to na to tylko, aby służyło głównym planom jego, czy, jak się wujaszek wyraził, aby było pomocnem dla sprawy narzędziem. A chociaż sam sobie tego tak wyraźnie i jasno nie wystawiał, tak jednak było w istocie.

Wuj patrzał na niego i był kontent. Zażywszy tabaki rzekł po chwili:

— Masz więc już grunt — prędzej czy później oddadzą ci majątek z wszelkiemi formalnościami w posiadanie. Jeżeli ktoś rolę nabywa, powinien zaraz myśleć o siejbie. A ziarna trzeba tam pełną garścią rzucić, bo ks. Onufry zostawił wiele chwastu po sobie. I plenić i siać od razu, bo sierpień tuż przed nami. Trzeba, aby był owoc, bo wszelkie drzewo nieurodzajne będzie ścięte i w ogień rzucone... Zaraz

trzeba się wziąść do pracy, bo trudu będzie wiele, bardzo wiele. Ks. Onufry długo tam siedział, nie dbając o cerkiew. U niego kościół a cerkiew to było jedno, a tak być nie powinno. Ks. Petryk może znowu za gorąco weźmie się do roboty, i na to trzeba mieć baczne oko. Mamy wiele prześladowców, którzy czyhają na nas. Słyszałem, że ks. Petryk chce brodę i włosy zapuścić, że chce rżniętych z drzewa apostołów wyrzucić z cerkwi, że tam jakieś nowacje w służbie bożej zaprowadza — tego wszystkiego nie trzeba, bo po piórach poznawają zaraz ludzie ptaka. To by dzisiaj naszej sprawie szkodziło; mówię, że mamy wiele wrogów w koło siebie a nawet... nawet i tam! —

Tu zrobił wujaszek gest ręką, który mógł oznaczać jakąś odległość lub wysokość. Porfiry słuchał z wielką uwagą. Po chwili zagadnął znowu wujaszek:

— Trzeba zacząć zaraz, i to od dzisiaj. Jest tutaj diak z Zahorzec. Był u mnie z listem od ks. Petryka. Kazałem mu tutaj przyjść do ciebie. Takie indywidua wiele znaczą u chłopów. Tylko trzeba umieć ich zażyć. Spodziewam się, że masz spryt i rozsądek. Tylko jeszcze raz „na pered ne wyrywaj sia, w zadi ne łyszyj sia!“... Ostrożnie z gębą, aby nie powiedzieć tego, co ma w myśli zostać. Rozumiesz mnie. Wujowi można wiele rzeczy powiedzieć, bo u wuja ściany nie mają uszu, ale tak... między ludźmi... to sza! —

Mówiący włożył pięść między zęby, a Porfiry uśmiechnął się na znak, że zrozumiał.

— Jeszcze muszę ci coś powiedzieć. O pannie Walerji trzeba myśleć na serjo. Gdy będziesz wielkim panem, to i Dosi będzie dobrze. Żona może ją wziąść w służbę, a wiem, że będzie jej dobrze jak w raju. —

Tu urwał wujaszek, bo Porfiry zrobił jakiś gest dziwny, niezrozumiały. Wzdrygnął się jakoś cały, jakby kto na niego wylał nagle konew zimnej wody. Uśmiechnął się wujaszek i mówił dalej:

— Zresztą ona sama, jak obaczy, czem dzisiaj jesteś, cofnie się w swoich mrzonkach, a nawet sama ci to powie, że teraz nie jest dla ciebie. Będziemy jeszcze o tem mówić,

ale teraz pamiętaj, że masz się stać filarem naszej budowy narodowej, a jako takiemu, nie wolno ci puszczać wodzów zachceniom zwykłych ludzi. Jeżeli z konieczności mam użyć przykładu z dziejów Polski, to ci wskażę na Jadwigę, która z poświęcenia dla narodu poszła za Jagiełłę, a król Batory, aby zapisać w dziejach polskich karty najświetniejsze, połączył się z niezbyt młodą Jagiellonką. —

Rzekłszy to, wstał z krzesła i ścisnął Porfirego za rękę.

— Idę — przemówił w progu do niego — bo widziałem przez okno idącego do ciebie diaka z Zahorzec. Nie chcę, aby on mnie tu zastał. —

I szybko wymknął się za drzwi.

Porfiry wrócił do okna i popadł w głębokie zamyślenie. Przytoczone w końcu przez wuja przykłady o królewskiem poświęceniu się dla sprawy narodowej podniosły pierś jego, i on wszystko poświęcić powinien. Wprawdzie poświęcenie jego nie było może tak bolesnem, jak poświęcenie się Jadwigi, wyrwanej z rąk młodego kochanka, bo panna Walerja była młoda i piękna, a do tego otaczał ją blask znacznego posagu. Uboga córka plebana gasła przy niej, jak zagasa mała gwiazdka obok wspaniałego komety. Więc wszystko to razem wziąwszy, jakoś coraz swobodniej robiło się w duszy Porfirego, coraz więcej przyzwyczajał się do widzenia rzeczy z tego stanowiska, z jakiego na nie rozsądnem okiem patrzał szanowny wujaszek. A to uspakajało go coraz więcej w drażliwem jego sumieniu, a reszty dokonał nowy i silny prąd życia, który go teraz porywał z sobą i nie dał mu czasu, aby wytchnął i wszedł w siebie.

Jakoż zaraz zapukał ktoś do drzwi, a kwadratowa postać diaka z Zahorzec okazała się na progu.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się na przywitanie Spirydion Hawruś — pan Porfiryj tutkie?... Pan Porfiryj nasz didycz!... hi, hi, hi! Sława tobi Hospody! Wże ja kazaw, że pan Porfiryj bude panom! Hej, hej Hospody! Jak to czołowik na tim switi! Wczera psiakrow ne maw ani kuska własnoho chliba, musyt isty, szczo mu lude z myłosti dadut — nyni duje sia jak łehkoje na okropi, bo zaniuchaw wże

horoszi z dałeka — a zautra je wże panom, a bidny czołowik musyt szapku zdojmaty i nysko sia kłaniaty! —

Tu przystąpił Spirydion do Porfirego i nisko czapką się pokłonił. Porfiry miał wielką ochotę wybić mu w tej chwili choć dwa zęby, lub ten nos szeroki jeszcze lepiej rozplaszczyć; ale przypomniał sobie słowa wuja, aby się tem nie gorszyć, kto w szeregu koło niego stoi. Przyszło mu także na myśl, że każdego człowieka trzeba sądzić ze stanowiska, na którem on się znajduje. A że Spirydion Hawruś stał na najniższym szczeblu ludzkości, że jeszcze nawet nie wydobył się cały ze skorupy pierwotnej prostoty, należało więc ten komiczny objaw szczerej, niekłamanej prostoty należycie ocenić. A gdy się jeszcze Porfiry bliżej w tej myśli rozpatrzył, gdy sobie przypomniał, że prawie cały lud nasz na tym samym, co i diak Zahorecki, stoi szczeblu prostoty i naiwności, uczuł nawet w tej chwili pewną radość, mając przed sobą reprezentanta tej prostoty i naiwności ludowej. Czy Porfiry takiem przekonaniem ludowi nie ubliżył, o tem wcale nie będziemy rozprawiać. Z całą serdecznością wyciągnął rękę do diaka, trząsł nią przez kilka minut, jakby próbował gibkości wszystkich wstawów, a potem rzekł:

— Raduju sia, szczoś dużyj zdorowyj Spirydione, i szczoś ne zabuw o Porfirym, kotry w plebanji Zahorockoj —

— Łyzaw rynki i horniata — przerwał mu diak z dowcipnym uśmiechem — o pamitaju dobre, koły pan Porfiry buw bez nohawyć, walaw sia po bołoti jak bezroha, tak szczo Hawruś neraz za wołosia potormosyw!... Hospody! Wsio pamiataju, jakbym na to smotryw!... A nyni... nyni welmożnyj pan didycz Porfiryj —

Diak ukłonił się po raz wtóry. Porfiry chciał się nieco rozgniewać na niego za te szczególne reminiscencje młodych lat, ale przekonanie jego, że w tym człowieku należy uszanować prostotę i naiwność, oddaliło wszelki gniew z jego czoła. Diak prawił dalej:

— Pamiataju, koły to pan Porfiryj buw tak

małeńki... tak jak pidswynok, a ja kazaw: no psiakrow idy husy pasty!... A ks. Onufryj wyjszow, ta mene wdaryw pozausz, aż mene krow obilała i zaczow kryczyty: A ty rozbijnyku! a szczo ty howorysz do tojej seroty, to moja detyna, a Hospod' Boh by tebe pobyw za tuju moju detynu! —

Porfiry oparł się o stół i zamyślił. Diak mówił dalej:

— A taki pamiataju, koły to pan Porfiry wże buw wełyki jak pohaniacz, i koły to z Lachamy ciłowaw sia i nosyw taku rohatu szapku... O pamiataju koły to pryjszły żołniry i wziały pana Porfiroho.... a panna Eudoksja mdliła i mdliła i tak rewne zawodyła, aż z ciłych Zahoreć pryjszły lude smotryty szczo to je takoje? —

Porfiry zmarszczył czoło. Coś przemknęło przez jego twarz, jakby jakieś dalekie, dalekie wspomnienie.

— Od toho czasu — prawił diak dalej — panna Eudoksja maje jakoś chorobu w hrodiach czy w serdciu, kotra wse odzywaje sia koły o tim kto howoryt. I teper buła duże słaba, i wse howoryła o panyczu. —

Porfiry potarł ręką po czole, postąpił kilka kroków naprzód, a wziąwszy diaka za ramię rzekł do niego:

— Hodi wże, Spirydione. Ne howorym teper o płebanji ały o dwori, bo wże tam pryjidu i budu meszkaty meży wamy. —

Diak skłonił się nisko Porfiremu, bo zdawało mu się, że tenże przypomina mu nowe swoje stanowisko.

— A szczo tam lude howoriat o meni? — zapytał diaka.

— Lude?.... Ta szczoby howoryły! Ot howoryat jak durnii lude! Dywujut sia, szczo takij pan Porfiry, kotryj ne maw swoich czobit, tylko ks. Onufryj mu kupowaw.... szczo taki Porfiryj bude teper panom...

— Treba, abyś wsim kazaw — poderwał z chmurą na czole Porfiry — że toj pan Porfiryj ne bude takim

panom, jak sut Lachy, kotryi ne majut lude za boże sotworynie, ały Porfiryj bude im bratom i otcem, bude howoryw z nymi po ruski i wsio, wsio bude ruskie... Pamietaj abyś im to kazaw, że ja choczu aby wsio buło po ruski, aby lude ne chodyły do Lachiw, ni na prasnyk, ni swiata. Lachi to sut worohy Rusynyw! Dawnymi czasy buła ta zemla ruska, bohata, buło mnoho zołota i lude buły szczasływyi. I pryjszły Lachi i wziały Rusynyw w newolu, i Rusyny stały sia bidnymy i musiły pańszczynu widrablaty.... Teper toho ne bude. Budemu Rusynamy, wsio bude po ruski, a z Lachamy budemu wojowaty, jezły nam ne chotiat widdaty toho, szczo nasze!.... Rozumijesz Spyrydone?.... Tak treba howoryty z ludmy i wse howoryty, bo naszy lude ne zaraz to zrozumijut. —

Diak oblizał się, jakby jaki smaczny kąsek wpadł mu do gardła i rzekł:

— O, lude budut rozumyty, bo ks. Petryko czy Petrykow tak każe.... No i ja takoż ne ohłaszenyj, wse howoriu tak ludom, a teper budu szcze bilsze howoryty. —

Tutaj zaczął diak opowiadać Porfiremu, co już ludziom Zahoreckim w tej mierze nagadał i jaki ruski duch panuje już między chłopami. Porfiry słuchał go z rosnącem coraz więcej zajęciem. Jeżeli coś lepiej mu się podobało, to przechodził się po pokoju i zacierał ręce. Gdzie niegdzie musiał jednak zbyt hazardowne wyobrażenia diaka o ruskiej narodowości sprostować, a co bynajmniej nie alterowało go, bo miał to przekonanie, że prostocie i naiwności ludu trzeba na ten raz wiele rzeczy darować. Cieszyło go, że już coś budzi się w tych ciemnych masach, a jakkolwiek człowiek nagle z długiego snu przebudzony, nie umie od razu swoich myśli sformułować, nastąpi to jednak później, gdy oczy dobrze sobie przetrze i w koło siebie należycie się rozglądnie. Dosyć, że się budzi, a to już jest znakiem, że nie umarł. Potem można go będzie wziąść za rękę, jak się bierze małe dziecię i prowadzi go gdzie kto chce.

Tak sobie myślał Porfiry, rozmawiając z diakiem i namaszczając go na apostoła idei ruskiej. A nie pomyślał wcale, jaki owoc może wydać ta jego nauka, która w mózgu diaka wykrzywi się do czegoś potwornego!... A co się u ludu stanie z tą nauką!...

Dzieje świata prawie na każdej karcie dają nam przykłady, które powinny być nam wskazówką we wszystkich większych czynnościach naszych. Każda rzecz, każda idea może być świętą i spokojną w zasadzie swojej, ale jakże straszliwym staje się potworem, jeżeli z świętego gruntu idei przejdzie w proste narzędzie!..... Jakiż to okropny obraz przedstawiają nam wieki reformacji kościoła?... Oto, póki chodziło o ideę, o zasadę, spokojnie toczyła zię walka po akademjach i soborach. I kto wie do jakiego rezultatu byłaby doprowadziła ta walka zdań i przekonań, kto wie, czy w spokojnych a wszechstronnych rozprawach nie byłoby wzajemnie przyszło do porozumienia, gdyby walczącą cicho ideę nie była pochwyciła polityka, i nie zrobiła z niej sprośnego narzędzia?.... Oto kilka ambitnych władców użyło tej idei do prywatnych, osobistych celów swoich — na zdobywczych chorągwiach napisano fałszywe godło, i podniecano szał religijny do coraz większej potęgi, aby za pomocą idealnego fanatyzmu zbyt realne osiągnąć cele!... Rzecz piękna święta, cicha i nieszkodliwa staje się potworem, gdy ją bierzemy za narzędzie!... Zabija ona wtedy i tych co się nią posługiwać chcieli... Stanie się ona wtedy bronią bez rękojeści: gdzie się jej dotkniesz, wszędzie ostrze!...

Porfiry pożegnał diaka i obiecał mu, że od czasu do czasu więcej o tej ruskiej sprawie z nim mówić będzie. A gdy mu diak coś o tym nieznajomym mówić zaczął, którego wczoraj z Zahorzec własną ręką był przywiózł, Porfiry wziął go za ramię i powiedział mu z uśmiechem, żeby tam nigdy nie okazywał swojej zbytniej ciekawości, gdzie mu coś ważniejszego zrobić polecono.

Diak z rozdziawioną gębą wyszedł z izdebki, rozbierając obie w głowie to wszystko, co od Porfirego był zasłyszał. Schodząc po schodach, sapał głośno jak miech kowalski, bo zdawało mu się, że człowiek, na którego barkach tak ważna

spoczęła sprawa, tak głośno sapać powinien. Przyszło mu także do głowy, że taki człowiek powinien mieć kraciastą chustkę do nosa i tabakierkę z portretem cesarza Mikołaja, jak to u ks. Petryka widział. A gdy wyszedł na ulicę i na swój długi wytarty surdut i na czerwone, spalone buty popatrzył, zdawało mu się, że tak przecież być nie powinno, że Spirydion Hawruś, z pradziada Rusin, urodzony na ziemi, która, nim ją Lachy w swoją opiekę wzięli, była tak bogatą, lśniła się od złota i srebra — powinien przynajmniej mieć na sobie długą, czarną kapotę, czapkę bobrową, buty węgierskie i tabakierkę z portretem Mikołaja.

— Smotryj, a to wsio nam Rusynom zabrały Lachy! — mruknął do siebie. — Poczekaj! wsio bude, musyt buty — bo to szczo majut teper Lachy, to je nasze! —

I obliznął się do czarnej kapoty, do butów węgierskich, do czapki bobrowej, do kraciastej chustki i do cynowej tabakierki, a w końcu do tego wszystkiego, co kiedykolwiek widział po dworach u Lachów, a co właściwie nie jest ich, tylko ruskie!...

I tak piękna, wzniosła idea narodowości przeszła w mózgu diaka w jakieś dziwne zachcianki komunistyczne...

VII.

Od tej rozmowy Porfirego z diakiem Zahoreckim minęło kilka miesięcy. Była to długa, jakąś tajemniczą, nieodgadnioną przyszłością, ciężarna pauza. Coś duszno było w powietrzu, i jeden patrzał na drugiego wzrokiem pytającym, co to będzie!... A nikt nie odpowiadał, tylko ruszał ramionami i szedł dalej. Horyzont cały był obleczony chmurami, i nikt nie dojrzał ani jednej gwiazdki, podług której mógłby sterować łódką marzeń swoich i nadziei!...

I schodzili się ludzie i mówili wiele między sobą, a gdy się rozeszli, byli w duszy tak samo ubodzy w nadzieję, jak nimi byli przedtem. Tylko wspomnienie tych kilku godzin wspólnego życia pozostało w ich sercu, a to było już wiele, wiele dla tych, którzy jak rozbitek na skale samotnej oczekują białego żagla na dalekiem, dalekiem morzu!... A ileż to złud przebolało już serce! Ileż to razy białą chmurkę, mgłę wstającą z morza, lub jakie fata morgana wzięło za ten zbawczy żagiel biały! Ileż to rąk wyciągnęło się do tego białego widma, ileż to serc uderzyło daremnie na widok zbliżających się nadziei!... A oto powiał wiatr od wschodu, i znikły mgły i chmurki białe, i fata morgana zniknęły bez wieści, a na samotnej skale zostali rozbitki sami, sami, bez nadziei, i patrzali na daleki ocean czasu, ażali nie wypłynie znowu z głębi wód jakie widmo białe, jaki żagiel znikomy?!.. A fale oceanu toczyły się tymczasem ku wieczności, niosąc z sobą tych, którzy zwątpili i upadli w otchłani wiecznego grobu!...

Kilka miesięcy upłynęło w spokoju i ciszy. Cicha, zwierciadlana była szyba wody, ale w głąb nikt okiem nie dosięgnął, nikt nie zmierzył dna i nie zbadał tego, co tam na dnie tych kilku miesięcy leżało. Czasami tylko zarysowało się coś na zwierciedle wody, jakby muszka jaka padła i utopiła się, jakby pył jaki zaniesiony wiatrem, zwolna i lekko zanurzał się w głębie bezdenne.... Zresztą tak cicho, tak spokojnie było...

I w naszej powieści przeminęły te kilka miesięcy bez żadnego ważniejszego zdarzenia. Karol przebył tych kilka nader przykrych miesięcy w łóżku. Stary Korybut nie wiele mógł także krzątać się na zewnątrz, bo cały ten czas musiał przesiedzić przy łóżku chorego. Karol bowiem przebył silne zapalenie mózgu, a chociaż sama choroba dość szybko ubiegła, lekarze jednak kazali mu jeszcze długi czas zostawać w pokoju i strzedz się od wszelkich silniejszych wrażeń. Wyrwicz był codziennym gościem u chorego, a żona jego zaopatrywała go w różne posilające potrawy. Kilka razy przysłała także Helena służącego z zapytaniem o zdrowie chorego, ale gdy ta choroba dłużej się przeciągała, a tu zapusty nadchodziły, więc ciekawość kobiety miała dostateczne powody, aby ustać zupełnie lub do innych zwrócić się przedmiotów. Tak też zapewnie się i stało, bo lokaj Heleny więcej się nie pokazał.

Jedno tylko ciekawsze zaszło zdarzenie podczas ohoroby Karola. Oto z uderzeniem czwartej godziny zjawiała się codziennie w bramie przeciwległej kamienicy jakaś postać kobieca, i aż do zmroku patrzała w okna Karola. Mieszkańcy kamienicy spostrzegli ją, ale nikt nie umiał powiedzieć, kto ona jest, skąd przychodzi i gdzie się podziewa. Była niskiego wzrostu, twarz miała osłonioną grubym, nieprzejrzystym woalem. Było coś dziwnie pięknego w tej całej, drobniutkiej postaci. Jej ruchy były zgrabne, okrągłe, chociaż ubiór nie znamionował wcale kobiety, dla której otworem stoją najpierwsze sklepy modniarskie. Wszystko jednak było tam ładne i przyzwoite, począwszy od płaszcza ciemnego koloru, aż do czarnych rękawiczek i niezbyt dużego zarękawka. Postać ta zagadkowa pojawiała się o czwartej

godzinie tak jakoś nagle i niespodzianie, że nikt nie mógł dopatrzeć skąd się wzięła, a nim zmrok grubszy zapadł, tak znowu nagle gdzieś znikała, że nikt nie spostrzegł, aż wtedy, gdy jej już nie było.

Tak trwało przez kilka miesięcy. Razu jednego na oświeconych szybach mieszkania Karola okazał się cień dobrze jej znajomy. Karol po raz pierwszy wstał w tym dniu z łóżka. Stojąca w przeciwległej bramie kobieta spostrzegła ten cień. Odrzuciła z oczu zasłonę, przyłożyła rękę do czoła, i długo, długo wpatrywała się w ten cień na oknie. Potem położyła rękę na piersiach, jakby jej tam duszno było, przycisnęła ją silnie do serca, a nareszcie wyjęła z zarękawka białą chustkę i do oczu ją podniosła. Po chwili spojrzała jeszcze raz na ten cień w oknie, odwróciła się i zniknęła w zapadającym już zmroku. Od tego dnia już więcej nie przyszła.

Karol zaczął od tego dnia coraz więcej przychodzić do zdrowia. Z każdym dniem było mu lepiej. Siły i zdrowie wracały szybko, w piersiach jego był spokój, głęboki spokój.

Gdy jeszcze w łóżku leżał, przychodziły mu często w snach gorączkowych przed oczy dawne, znajome postacie. I postać Heleny przemknęła się kiedy niekiedy z cicha przed jego duszą, ale nie wywołała już bicia serca, żadnego nie sprawiła wzruszenia. Była to dla niego postać tak obojętna, jakby każda inna kobieta. Nie widział nawet w jej oczach tego uroku, który dawniej tak go przyciągał, była to teraz twarz pospolita, wcale nawet nie ładna, z zakrytemi sztucznie zmarszczkami. Częściej od niej stawała mu przed oczy twarz Walerji. Zawsze spokojna, nigdy niezmienna, imponowała mu jakąś królewską godnością swoją. Nie mógł się zbliżyć do niej, bo czuł, że dla tej kobiety można mieć tylko cześć a nic więcej.... Czasami także mignęło mu coś przed oczy jakby dwie jasne błyskawice. Były to oczka aniołka z Łyczakowa. I jakoś bardzo dobrze było mu, gdy patrzał w te piękne, czarujące oczka....

W teraźniejszych jednak chwilach myślał o głównym celu swego życia. A celem tym była praca dla kraju.

Codziennie prawie rozmawiał do północy z Korybutem i Wyrwiczem o stanie kraju i o środkach podźwignienia jego moralnej i materjalnej potęgi, a gdy już łóżko mógł opuścić, wziął się zaraz do rozpoczętej pracy i kilka godzin jej poświęcał. Stary Korybut prawie cały dzień z nim przesiedział. Wtedy wspólnie pracowali, a Karolowi tak jakoś służyła ta praca, że z każdym dniem takiej pracy więcej sił nabierał, czuł się zdrowszym, rzeźwiejszym. A źródłem tego rozlewającego się na zewnątrz zdrowia był spokój duszy, który w zupełności odzyskał. Wszystko to, co go dotąd niepokoiło, odpadło wraz z chorobą — jego dusza była wolna i swobodna jak w pierwszym dniu stworzenia swego.

Stary Korybut cieszył się tem zdrowiem Karola i obiecywał sobie wiele jak najlepszych rzeczy. Czasem tylko, gdy rzucił okiem na środkową szufladę w biurku, w której schował był list Heleny, uczuł jakiś niepokój i w głębokie wpadał zamyślenie.

Wreszcie jednego dnia, gdy Karol był nadzwyczaj wesół, gdy bardzo wiele o sprawach krajowych, o zbliżającym się sejmie mówili, postanowił Korybut wyjąć z tej szufladki list Heleny i oddać go Karolowi. Zdawało mu się że zdrowie Karola pozwalało na odczytanie tego listu.

Karol wziął z uśmiechem na ustach list Heleny do ręki. Korybut z strachem patrzał na niego. Karol czytał:

„Czwarta godzina po północy. — Drogi Karolu! — Wczorajsza scena w ogrodzie jezuickim kosztuje mię połowę życia mego. Chciałam wytrwać w przedsięwzięciu mojem, ale sił mi nie staje, i muszę wszystko wyznać przed tobą, bo nie mogę dłużej znieść twojej pogardy. Oto słuchaj. Od dawna spostrzegłam, że ciebie twoja wyższa, szlachetna dusza rwie do czynów wznioślejszych. Kobieta, każda kobieta obciąża tylko skrzydła twoje. Czułam to i widziałam. Kocham cię nad życie mój Karolu, a jednak widzę, że więcej miłości okażę dla ciebie, gdy się od skrzydeł twojej duszy odczepię. Kobieta dla takiego jak ty człowieka, to ciężar, który dziś jest słodki, a jutro zawadza!.... Z rozdartem sercem chciałam cię uwolnić ob siebie, śród najokropniejszej boleści

napisałam do ciebie list pożegnalny, udałam obojętność, gdyś przyszedł do mnie, i nie przyjęłam cię... a jednak w pół godziny potem spostrzegłam, że bez ciebie żyć nie mogę. Poszłam do Wyrwiczów, tam obaczyłam, że i ty bezemnie istnieć nie możesz. Było to wielkie nieszczęście. Trzeba było myśleć nad sposobem, aby przeciąć ten węzeł, który oba nasze serca tak ściśle z sobą powiązał. Trzeba było ofiary z jednej strony. Przypadek przyszedł mi w pomoc. U Wyrwicza rano dowiedziałam się, że ktoś śledzi mnie, podejrzywając niejakiego Ł.... Dorozumiałam się, że to może być zazdrość z twojej strony. Z razu oburzyło mnie to, bo jak można przypuścić, ażeby tak pospolity człowiek jak ten Ł.... mógł znaleźć w schorzałej, jednak zawsze poetycznej duszy jakąś bliższą sympatję dla siebie?.... Ale zaraz przyszła mi myśl do głowy: Użyję tego niesłusznego podejrzenia, aby z siebie uczynić ofiarę, a Karolowi na zawsze ręce rozwiązać. Napisałam kartkę do pana Ł.... aby o oznaczonej godzinie przyszedł do ogrodu jezuickiego, a sama postarałam się, aby to doszło do twojej wiadomości. Wiedziałam, że o tej godzinie tam przyjdziesz, wiedziałam, że obaczywszy mię tam z panem Ł.... odejdziesz z wzgardą w sercu i nigdy, nigdy już więcej do mnie się nie zbliżysz. A to był mój cel. On pójdzie drogą, pomyślałam sobie, na którą wołają go obowiąski święte i wzniosłe, pójdzie drogą poświęceń i pracy dla dobra ojczyzny, a mnie słabą, niedołężną kobietę, która tylko ciężyła na skrzydłach jego duszy, zostawi za sobą, zostawi samą w łzach i boleści, o czem on jednak nigdy wiedzieć nie będzie! Taką to ofiarę chciałam zrobić dla ciebie — i zrobiłam, odegrawszy tę rolę w ogrodzie jezuickim — ale do uzupełnienia tej ofiary sił mi teraz zabrakło. Wszystko zniosę, tylko nie zniosę twojej pogardy. Otóż spowiadam się przed tobą, com zrobiła i w jakim celu — możesz na zawsze oddalić się odemnie, ale nie możesz mną pogardzać! — Twoja Helena.“

Karol skończył czytać, a Korybut patrzał na niego z wielką ciekawością. Słowa tego listu, były jakoś tak szczere i rzewne. Tak pisze serce a nie głowa; ręka ta drżała niezawodnie kreśląc te litery....

— I cóż ty na to mój Karolu? — ze strachem zapytał Korybut.

— Co ja na to? — powtórzył Karol z spokojem na twarzy.

Tu wziął rękę Korybuta i przyłożył do piersi.

— Patrzcie, jak spokojnie i regularnie bije moje serce! każde słowo w tym liście jest fałsz, kłamstwo i obłuda! —

Korybut, który w tej chwili wyciągnął jakiś zwitek papieru z zanadrza, schował go na powrót, a sam rzucił się Karolowi na szyję i zaczął go ściskać i całować.

— Ten jeden list niepokoił mnie jeszcze — rzekł do niego — ale widzę, żeś odparł mężnie ostatni atak. Teraz już sprawa wygrana. Oto patrz, mam jeszcze zwitek papieru, który w razie potrzeby mógłby cię przekonać, ale teraz już go nie potrzeba. Lepiej nie analizować serc, które gangrena już potoczyła! Niech wszystko pochłonie niepamięć! —

Tu zbliżył się do kominka i rzucił w ogień zwitek papieru.

Karol patrzał z spokojnym uśmiechem na płomień pożerający zwinięte papiery. Szybko potem odwrócił się od ognia i rzekł do Korybuta:

— Szkoda czasu — nie mówmy więcej o Helenie. Tyle pracy przed nami. Trzeba jakoś porozumieć się z ruskiem stronnictwem —

W tem zapukał ktoś do drzwi, a wkrótce pojawił się na progu p. Łukasz.

Pan Łukasz nie miał już dzisiaj włosów na środku głowy rozdzielonych, chustka także jakoś prozaiczniej zawiązana była pod brodą nieogoloną. Jakiś nieporządek wkradł się w całą figurę biednego Łukasza.

— Proszę pana — rzekł do Karola — ta pani Helena, niech ją djabli porwą . . .

— Jaki interes masz pan do mnie? — przerwał mu Karol z chmurą na czole.

— Bo widzisz pan — ta pani Helena, która i pana tak długo wodziła za nos, mości dobrodzieju —

— Mów pan krócej.

— Oszukała mnie!

— Jakto oszukała?

— Obiecała mi, mości dobrodzieju, że pójdzie do konsyljarza, że mi wyrobi posadę na pięćset reńskich... mości dobrodzieju... a ja przez dwa lata byłem jak pies wierny, mówiąc między nami —

— Czegoż pan żądasz?

— A kiedy to, mości dobrodzieju, pan byłeś niebezpiecznie słaby, ona hulała po całych nocach z różnemi mundurami i ani się spytała....

— Cel ostateczny pana jest?

— Zemścić się, mości dobrodzieju, zemścić... wybrała sobie teraz jakiegoś czeskiego Włocha, muzykanta... a Łukasz mości dobrodzieju, Łukasz w kąt! —

Biedny Łukasz zapalał się coraz więcej. Wymachiwał rękami na wszystkie strony. Karol zbliżył się do niego i rzekł:

— Radzę panu uspokoić się, o zemście przed nikim nie mówić, i siąść do czarnego stołu na rogatce. Może za pięć, za dziesięć lat dodadzą panu sto reńskich więcej, a może i nie. Lecz i z tego bądź pan kontent, a nie buduj nigdy na podobne jak teraz protekcje. —

Karol się skłonił i panu Łukaszowi nic innego nie pozostało. Z otwartą gębą, z wytrzeszczonemi oczami wyszedł z izdebki.

Korybut spojrzał na Karola i obaj roześmiali się śmiechem szczerym, serdecznym.

Po chwili zmarszczył Korybut czoło i rzekł:

— Biedna to jest i nieszczęśliwa kobieta ta Helena! Ona już stracona, już nie nawróci się nigdy! A wiesz mój drogi, dla czego ona tak nisko upadła? Oto zrzuciła z siebie cechę narodowości swojej, nie była nigdy Polką. Ona nigdy nie zaznała boleści, gdy naród bolał, ani radości, gdy naród weselił się. Oderwała się jak pasożyt jaki od ziemi ojczystej, jej losy i dzieje były jej obcemi. Inaczej wszystko to mogłoby wypełnić jej duszę — a teraz jest tam tylko czczość i próżnia, którą codziennie czemś nowem zapełniać potrzeba. Towarzystwa w które wchodzi obojętność, czy się tam mówi po chińsku, czy po persku, byle byli ludzie — dokonały reszty.

Ona jest sobie całym światem, żyje dla swojej krwi, dla nerwów, dla ciała. Wszystko inne jest dla niej niezrozumiałem! Biedna, nieszczęśliwa kobieta! Ona przejdzie całą skalę roskoszy życia, a nigdzie, nigdzie szczęścia nie znajdzie! —

Karol myślał chwilę a potem rzekł:

— „De mortuis nil nisi bene“ — ona umarła dla mnie! Ja kochałem inną Helenę — dzisiejsza Helena nie jest do niej podobną... Ale mówmy lepiej o czem innem. Ta sprawa ruska dręczy mnie i niepokoi. Trzeba coś na serjo pomyśleć o niej.

— Właśnie byłem dzisiaj u kochanego naszego historyka. Mówiliśmy wiele o tej sprawie. Prosiłem go, aby to spisał i całą tę ruską sprawę ze stanowiska historji wyświecił.

— Byłoby to nader pożądanem, mianowicie przy zbliżającym się sejmie.... Ja zaś obmyśliłem sobie różne planiki i zaraz do nich się wezmę. Uważam, że źle bierzemy się do tej sprawy. Z góry wszystkich Rusinów w czambuł potępiamy — podsuwamy im Bóg wie co za zmowy z naszymi wrogami, i przeto rozdrażniamy wszystkich. I cóż dziwnego, że w rozdrażnieniu pójdą do ostateczności?.... Trzeba przedewszystkiem zrobić między nimi ład i porządek, podzielić ich na kozły i barany i rzeczy tak zakierować, aby się sami sobie przypatrzyli. Wtedy ręczę ci, uciekną barany od kozłów, i wrócą do nas, jak wraca brat do brata... a dla kozłów nie ma miłosierdzia!....

— Ba, jakże to zrobisz?

— Później o tem pomówimy — odparł Karol — a teraz radbym wyjść na ulicę, bo taka piękna pogoda! Oby taka pogoda zaświtała między nami! —

Od tego czasu znowu minęło kilka tygodni. Karol pracował po całych dniach, a nad wieczorem wychodził i nie wracał aż po północy. Zwiedzał różne publiczne zebrania, rozprawiał, prosił, błagał, zaklinał — odbył nawet pojedynek, gdy w ferworze jakieś słowo mu się wymknęło. A wszędzie pilnie uważał, śledził i badał. I tak za kilka tygodni poznał z jakich żywiołów składa się cały obóz ruski, znał każdego po imieniu i wiedział całą jego przeszłość i obecność. Do

Wyrwicza chodził na każde większe zebranie, u kobiet bywał co kilka dni. Pani Wyrwiczowa ceniła go wysoko, ale Walerja była dla niego sfinksem, którego odgadnąć nie mógł. Podobała mu się, ale jego serce jakoś nie drgnęło ani razu. I ona często była dla niego więcej niżeli uprzejmą, ale trudno było dojrzeć tam coś jeszcze więcej. Korybut pracował jak mógł nad zbliżeniem się tych dwojga ludzi, i zdawało mu się, że wkrótce dopnie celu. Karol zaś jakoś zdał wszytko na Opatrzność, a sam poświęcił się cały sprawie publicznej. Kilka razy tylko tak się jakoś trafiło, że sam nie wiedział, jakim sposobem już późną nocą stanął nagle przed małym domkiem na Łyczakowie. Zdawało mu się, że na jasnych szybach widzi cień kobiety, która patrzy w noc ciemną... Ale Karol zwracał się nagle, jakby się ze snu ocknął i szybko do domu wracał.

Porfiry przez ten czas był niezmordowany. Na końcu ulicy jezuickiej, pod samą katedrą św. Jura, założył „sobranje“ i codziennie prawił tam o ruskiej ziemi, która była niegdyś szczęśliwa i udzielna, dzisiaj do tej swojej przyszłości wzdycha!... Wziął udział w pismie ruskiem i pracował nad historją ziemi halickiej. U Wyrwicza także bywał, a nawet dosyć często. Z Walerją szło mu jakoś nie najlepiej, ale z Dosi za to był mocno zadowolony. Biedna sierota zniżyła, jak sobie tego Porfiry życzył, uczucia kochanki do uczucia siostry i tylko ze łzami błagała go, aby trzymał razem z tymi, którzy dziś, prócz korony cierniowej, nie mają żadnych innych środków wynagrodzić drugich sympatję. Porfiry był tutaj dyplomatą stosownie do rady wuja i jakoś dobrze przewijał się dotąd pomiędzy Scyllą i Charybdą. Najbardziej lękał się Karola, który był dla niego prawdziwym tyranem. Gdy go u Wyrwicza zastał, już go nie wypuścił z swoich rąk aż po północy. Ale wszelkie dysputy z nim były nadaremne. W końcu tak rzeczy kierował, że nigdy razem z Karolem u Wyrwicza nie schodził się. Za to wuj Porfirego często tam bywał i z słodkawym uśmiechem przyrzekał zgodę i braterstwo. Częściej jednak zamykał się w swoim pokoju razem z Porfirym, który mu wszystko z wszelkiemi szczegółami musiał opowiadać, co widział i słyszał u Wyrwicza,

a w zamian znowu zwierzał mu wuj różne sekreta, o których miał się dowiedzieć w sferach rządowych. A gdy Porfiry od niego odszedł, wtedy małemi tapetowemi drzwiami wchodziła mała koszlawa figurka z czarną łatką na nosie.

A służba Wyrwicza spostrzegła, że koło kamienicy coraz więcej kręcą się o szarej godzinie jakieś indywidua, którym oś nie dobrze z oczu patrzyło.

VIII.

Tak stały rzeczy, gdy wreszcie Wyrwicz po długiej naradzie z Korybutem i Grockim postanowił zebrać u siebie różnych ludzi z obu obozów i powód niezgody i nieporozumienia należycie w spólnej wyświecić dyskusji. Zdawało mu się to nader potrzebnem, bo pojedyncze, wysunięte naprzód posterunki, strzelały do siebie nieustannie i wzajem siebie drażniły. A była to bójka tem niebespieczniejsza, że stojący w tyle nieprzyjaciel patrzał na to spokojnie a nawet z pewnem zadowoleniem, jak dwa żywioły ścierające się z sobą nużyły się w walce wzajemnej. Potrzeba było także przygotować grunt do mających się rozpocząć obrad, aby sprawa domowa między swymi załatwioną być mogła, bez wmięszania się w to obcego.

Chęci te były dobre i szlachetne. Ktokolwiek duszę miał poczciwą, tak samo myślał i tak myśleć musiał. Toż wszyscy ucieszyli się, gdy Wyrwicz rozpisał zaproszenia w tym celu na wieczorek do siebie.

Od kilku dni wiedziano już w całem mieście o tym wieczorku. Każdy więc z ciekawością wyglądał dnia tego, a kto chciał w sprawach bieżących głos zabrać, miał czas przygotować się i dobrze swój przedmiot obmyślić.

I tak pewnego wieczora oświecono całe mieszkanie Wyrwiczów, a liczny tłum gości tłoczył się do kamienicy.

Korybut zastał Karola przed bramą, który oglądał się za jakimś powozem. Poznał on kogoś w powozie i patrzał gdzie pojedzie. Powóz zatrzymał się przed trzecią kamienicą,

a służący wysadził jakąś damę w błyszczącej balowej toalecie. W tej kamienicy mieszkała jenerałowa, mnóstwo wojskowych ciągnęło tamże. Karol uśmiechnął się, a ujrzawszy Korybuta wskazał na damę w stroju balowym. Korybut machnął ręką i porwał go za sobą na piętro.

Tam już zastali wuja Porfirego. Jego słodkawy uśmiech błyszczał w całej okazałości. Porfiry stał obok niego, jak młoda, pełna nadziei, latorośl obok chylącego się do ziemi drzewa.

Coraz liczniej, coraz gwarniej było w salonie. Kobiety siedziały w drugim pokoju. Nie było ich zbyt wiele, bo towarzystwo było przeważnie męskie. Dosia była nieodstępną towarzyszką Walerji. Pani Wyrwiczowa miała prócz nich jeszcze kilka towarzyszek.

A kiedy już wszyscy goście się poschodzili, wystąpił Wyrwicz i rzekł:

— Mości panowie! Ojcowie nasi w domu i za domem kładli zawsze na pierwszem miejscu sprawę publiczną. W kościołach po odbytej modlitwie radzono o kraju, w gronie rodziny przy kominku opowiadał ojciec lub dziad o sprawach ojczystych. Nie weźcie mi za złe, jeśli pamiętny tym tradycjom na dzisiejszem zebraniu naszem, przedłożę wam pod rozwagę jednę z najważniejszych naszych kwestyi. Niech rozum zbiorowy i instynkt serc waszych wyda wyrok, któryby narodowi mógł rozświecić drogę do jego przyszłości! —

Całe zgromadzenie jako jeden mąż zgodziło się na propozycję Wyrwicza. Wszyscy zasiedli krzesła, a cisza grobowa nastała w salonie. Wyrwicz mówił dalej:

— Mówmy więc o tem, co nas dzisiaj boli i waśni między sobą, a co nieprzyjaciołom służy za narzędzie, aby nas rozdwajać i jednych przeciw drugim postawić. Mówmy dzisiaj o sprawie ruskiej u nas! —

Wszyscy westchnęli, jakby poruszono najboleśniejszą ich ranę. Grocki powstał i rzekł:

— Wiek mój nie nadaje mi prawa odzywać się pierwszy w tak ważnej dla nas sprawie. Ale serce gorące, które tak wielce ukochało ojców naszych puściznę, serce gorące zadrgnęło mi w piersiach i mówić mi każe!.... Panowie!

Sprawa ruska u nas jest to jak ów złowieszczy kometa, który wtedy tylko się zjawia, gdy w powietrzu czuć wojnę... jest to kruk czarny krążący nad niwą, bo czuje zapach trupa.... Czemuż w tym wiekowym prawie spokoju, jakiego używał kraj ten pod berłem Austrji, naród ruski nie poczuł się do godności narodu i nie przemawiał do Europy, narodowym swoim językiem?.... Któż słyszał głos jego w tych, przez dzisiejszych przewodzców sprawy ruskiej zachwalanych, tak błogich czasach?... I kiedyż to dał Europie znać ten naród o sobie? Otóż wtedy, gdy potrzeba było na chylącą się szalę wypadków rzucić balast jaki, jakiś ciężar obojętny, któryby szalę w równowadze mógł utrzymać!...

— To fałsz! — zawołał Porfiry z za pleców wuja.

— Przyjmijmy, że to wszystko jest fałszem — odparł spokojnie Grocki — i mówmy z największem umiarkowaniem o sprawie ruskiej. Kto jest przekonany o świętości sprawy swojej, ten łatwo zapala się. A to być nie powinno. W tem zazwyczaj błądzimy i przeszkadzamy porozumieniu się. —

Grocki odetchnął nieco. Wuj Porfirego uśmiechał się i Porfiry był kontent, że Grocki z większym o sprawie ruskiej mówił szacunkiem.

— Nieszczęściem naszem jest — mówił dalej Grocki — że według kilku parszywych owiec sądzimy o całej trzodzie. W każdej sprawie trzeba odróżnić ludzi przekonania, od tych, którzy z osobistych tylko widoków czepiają się sprawy. Z pierwszymi można się porozumieć, a tych trzeba strząść na ziemię i rozdeptać, jak plugawe robactwo z woniejącego kwiatu. —

Cisza grobowa panowała w salonie. Porfirego twarz jaśniała silnem wzruszeniem, a wujaszek bawił się dużą chustką kraciastą. Grocki mówił dalej:

— Sprawa ruska u nas doznała nie bardzo sprawiedliwego ocenienia. Z wyjątków, aczkolwiek z licznych wyjątków, a mianowicie z pozycyi niektórych przewódzców osądzono całą sprawę. Zniżono ją do prostego narzędzia. Jakkolwiek jasną jest rzeczą, że nieczyste ręce chwytają za nici tej sprawy, aby z niej na przyszłość zrobić most posuwających się na zachód zaborów; jakkolwiek w samym kraju są ludzie,

którzy uważają ją za proste narzędzie do przeciwstawienia gorętszym żywiołom, a ślepi są do tego, nie widząc, że w czasie ktoś inny korzyść z tego odniesie: nie można jednak tego zaprzeczyć, że są także ludzie, którzy poczuwają się do obowiązku bronienia tej idei, jak się zazwyczaj broni sprawy uciśnionych. Otóż odróżniwszy tych od pierwszych i drugich, trzeba się z nimi porozumieć, wzajemne stanowisko wyświecić, a ręczę, że zdrowy zmysł narodu naszego ocknie się z gorączkowych widziadeł, w jakie wprawiły go obce wpływy. Tylko bez uprzedzenia, z zimną krwią wysłuchajmy siebie wzajemnie! Nie mięszajmy nigdzie żółci, ni czczej deklamacji, i z sercem spokojnie bijącem otwórzmy księgę historji. —

Milczenie było w salonie, gdy Grocki usiadł. Wszyscy patrzali na wuja Porfirego, aby tenże głos zabrał. Ale wujaszek wcale nie podnosił oczu od chustki kraciastej. Powstał więc Porfiry i rzekł:

— Panowie! Nie zabieram drogiego czasu, abym własne moje zdania, tyczące się sprawy ruskiej u nas, chciał tutaj objawić. Przed kilkoma dniami mieliśmy większe zgromadzenie i uchwaliliśmy wspólnie memorandum o sprawie naszej. Pozwólcie więc, abym wam opowiedział treść tego memorandum, które zamierzamy kiedyś złożyć u stóp tronu. —

— Prosimy, prosimy! — zawołali wszyscy.

Porfiry milczał chwilę a potem zaczął:

—*) Dzisiejsza Galicja, moi panowie, składa się z ruskich księstw: Halicza i Włodzimierza. Księstwa te, stanowiące wschodnią część Galicji, miały niegdyś udzielnych panujących. Po dziś dzień mieszkają tam Rusini, szczep słowiański, zupełnie jednak różniący się językiem, religją i obyczajem od Mazurów. W tych niegdyś udzielnych księstwach mówiono w chacie i na tronie po rusku. Po wygaśnięciu ruskiego domu panującego, księstwa te prawem spadkowem dostały się księciu mazowieckiemu Bolesławowi Trojdenowiczowi. W kilka lat później opanował te księstwa król polski Kazimierz.

...Królowie polscy szanowali język ruski, a na dworze

*) Dosłowna treść z podania do rządu.

Jagiełły mówiono nawet po rusku. W tym języku wydawano także ustawy. Dopiero, gdy szlachta ruska w walce z Tatarami wyginęła, lub z włości swoich wyzutą została; gdy w latach nieurodzaju magnaci polscy do tego kraju się przesiedlili, do kraju, w którym według świadectw historycznych, rzeki miodu i mleka płynęły: wtedy dopiero wszedł w używanie język polski. Ale ten był zrazu ograniczony na dwory, bo pan z ludem mówił po rusku. Nawet dzisiaj każdy właściciel większego majątku umie ten język i mówi nim do ludu. Cóż stąd wypływa? Oto, że w wschodniej części Galicji język ruski jest językiem krajowym! —

W zgromadzeniu powstał szmer, ale Wyrwicz prosił, aby się uspokoić. Wszyscy ucichli. Porfiry mówił dalej:

— W miastach, jakoteż i w stołecznem mieście Lwowie wziął górę język polski, bo mieszkańcami tych miast byli zazwyczaj przybysze, przemysłowcy, urzędnicy Rzeczypospolitej polskiej, albo służalce magnatów. Po ujarzmieniu Galicji przez Polaków — —

— To bezsens! — wołano zewsząd — Polacy nie ujarzmiali żadnej Galicji! —

Wyrwicz, Korybut i Grocki prosili zgromadzenie o cierpliwość. Wszyscy się uciszyli. Porfiry mówił dalej:

— Po ujarzmieniu Galicji przez Polaków przyszli do kraju Żydzi. Ich liczba równa się liczbie osiadłych w ruskim kraju Polaków. Przyszli także i Niemcy, a mianowicie pod panowaniem Austrji liczne pozakładali kolonje. Jeszcze za czasów rządów ruskich przyszli także i Ormianie i licznie rozsiedli się w kraju. A więc w Galicji mówią obecnie czterema językami, to jest: po rusku, po niemiecku, po polsku, i po żydowsku. Język ormiański prawie zaginął. Po rusku mówi lud, po polsku arystokracja, po niemiecku urzędnicy, a po żydowsku Żydzi. Ani polski więc język, ani niemiecki, ani żydowski nie mogą być uważane za język krajowy, tylko ruski. —

— Jak to — wołano tu i owdzie — język polski w tym kraju naszym, na równi z żydowskim, z niemieckim? —

Gospodarz prosił znowu, aby mówiącemu nie przerywać. Porfiry mówił dalej:

— Mimo to wszystko język polski uzurpował prawa języka krajowego, a to dla tego, że reprezentacją kraju były Stany — szlachta!... Na lud nikt nie uważał, i nikt go nie znał. Dzisiaj jednak upadł ten system, a lud ma wolny oddech i ma swój głos. Dziś narodowość jego ma dojrzeć i stać się potęgą, jaką jest każdy dojrzały naród — a takim narodem chcą być Rusini!

— A cóż jest naród? — zapytał Grocki.

— Wiem co chcesz powiedzieć. Rusini nie mają szlachty, nie mają arystokracji, posiadaczy ziemi, a nawet wyszła z ich łona inteligencja przeszła, do przeciwnego obozu.

— A jakiż był to powód tej dezercji?

— Widoki urzędów, zaszczyty rządów polskich. —

Grocki uśmiechnął się boleśnie i rzekł:

— Sam na siebie wydajesz wyrok. Ludzie chciwi honorów, zaszczytów, płacy, garną się zazwyczaj pod sztandar faktycznej władzy. Nie przeczę temu, że za rządów polskich szlachta ruska zmieniała obrządek i język, w widokach osiągnienia urzędów i zaszczytów. Ale weź, mój bracie, czasy dzisiejsze. Oglądnij się po kraju i policz najgorliwszych pracowników naszych na niwie polskiej narodowości. Nie sąż to w przeważnej części tak zwani Rusini, z rodu i z obrządku? A jakież zaszczyty, jakież urzęda może im dzisiaj dać naród polski? My dzisiaj mamy tylko do rozdania korony cierniowe! Kto się do nas przyzna, ten może mieć tylko na widoku łańcuchy, kazamaty i lody Sybiru! A czyż to tak ponętne mój bracie?... O nie, musi być coś świętego w tej wielkiej idei narodowośsi polskiej, musi być tam boska idea i potęga, jeśli tyle ofiar przyciąga do siebie! To nie dezercja! To święte, wielkie, boskie uczucie, które przez długie wieki związało nas w jeden naród! —

Wuj Porfirego bawił się swoją chustką kraciastą, a Porfiry uśmiechał się z ironją. W salonie panowała cisza uroczysta.

— A cóż jest naród? — mówił dalej Grocki — jakież jest dzisiejsze pojęcie narodu? Oto dawniej naród oznaczał wiele ludzi. Gdy było zbiegowisko na ulicy, złożone z Żydów, Ormian, Cyganów, Rusinów i Polaków, to mówiono: „na

ulicy zbiegło się wiele narodu!" I dzisiaj jeszcze tu i owdzie ma wyraz ten to samo znaczenie. W starych księgach pisano: we Lwowie jest wiele narodu żydowskiego i ormiańskiego, etc. Inne jest dzisiejsze pojęcie narodu. Naród oznacza dzisiaj uspołecznienie mające byt polityczny, lub warunki tegóż bytu, oparte na długich dziejach. Jest to, jak dzisiaj powiedziano, indywidualność polityczna, która w historji świata wyrobiła sobie swoje własne oblicze, po którem znają ją wszystkie inne narody. Tak uspołecznione i długiemi dziejami skrystalizowane ciało, nazywamy narodem, a wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne cechy tego narodu, narodowością. Im więcej konarów ma naród, tem jest silniejszy, tem więcej życia napływa do jego duszy, bo ich pień jest jeden, wszystkim wspólny. —

— Ale jeśli konar jeden od tego drzewa odpada — przerwał mu Porfiry — jeśli ten konar chce mieć własne swoje korzenie, i chce być drzewem stojącem o własnych siłach? —

— Złowrogim wichrem odłamany tysiącletni konar, nie przyjmie się w ziemi, tylko uschnie i w próchno się obróci. Tylko młoda latorośl przyjmuje się i rozrasta w drzewa. Czemuż ziemia ruska przed tysiąc laty, gdy była młodą latoroślą, nie przyjęła się i nie rozrosła się w drzewo? Czemuż w przeciągu tych tysiąca lat nie zapuściła korzeni w ziemię, tylko żyła sokami pnia, którym była Polska? Oto był w tem dobry instynkt, wielki rozum polityczny. Im potężniejsze jest mocarstwo, tem cięższej na szalę Europy pada głos jego i wola. Im większe przedsiębiorstwo, im większy w jednej ręce skupiony majątek, tem pewniejszą jest przyszłość, tem pewniejszy jest zysk i dochód. Rozdrobnijmy to wszystko na małe cząstki, a wszystko zniedołężnieje. Podupadniemy, stracimy wpływ i dochody, a zasobniejszy sąsiad będzie korzystał z naszej niemocy i wyssie z nas wszystko!... Litwa i ziemia ruska zrosły się z bratnim pniem, a roztoczywszy szeroko zielone gałęzie swoje, stworzyły Polskę. A na to składało się tyle, tyle wieków! Któż dzisiaj może świętokradzką ręką dzielić tę wielką, historyczną postać na narody i narodki, rozłożyć jej pojedyńcze członki, aby jak najprędzej dostać się do serca?... Mówiłeś Porfiry

o ruskiej narodowości. Czemże objawia się ta narodowość? Językiem i obrządkiem. Czyż Polacy odbierali kiedy ten język ludowi? Sam powiedziałeś, że nie. Mówiłeś, że w tym języku pisano dawniej ustawy, że nim mówiono na dworach królów polskich. Czegóż to dowodzi? Oto, że w dawnej Polsce wszystko było wspólne i wszystko szanowane. Próbowano koleją tego i owego narzecza, tak samo jak i w Niemczech, we Francji i we Włoszech — potem ustaliło się jedno narzecze, a przybrawszy w siebie wszystkie inne, urosło w język narodowy. A to działo się przez długie wieki żywota politycznego. Kto zaś myśli, że naród rozpoczyna swój żywot od komissji wysadzonej do ustalenia otografji mowy swojej, jak to w jednem memorandum powiedzieli przewódzcy sprawy ruskiej, ten nie ma zdrowych zmysłów. —

Szmer powstał w zgromadzeniu. Dziwnem wydała się wszystkim taka epoka żywota narodowego. W Polsce pomyślano o ustaleniu ortografji dopiero wtedy, gdy państwo z karty europejskich znikało. Grocki mówił dalej:

— Czytałem kilka waszych memorandów do tronu austrjackiego. Ileż tam sprzeczności na tych kilku kartach, a ile fałszów historycznych! Oto na wstępie mówicie, że Polska uciemiężyła Rusinów i odebrała im własną ich narodowość, chcąc ich spolaczyć. A kilka kartek dalej, domagając się opieki od rządu dla języka ruskiego, powiadacie, że ten język był zawsze szanowany za czasów Polski, która tym językiem do ludu ruskiego przemawiała i ustawy spisywała. Na wstępie powiedzieliście, że rząd austrjacki wybawił Rusinów z pod jarzma Polaków i że pod jego egidą rosną dzisiaj Rusini na łaskę Boga, a pociechę Europy; a kilka kartek dalej skarżycie się, że rząd austrjacki przez 80 lat nic dla tej ruskiej narodowości nie uczynił!... Ileż to sprzeczności w tem wszystkiem! I jakąż nawet niesprawiedliwość wyrządzacie rządowi austrjackiemu, który od czasu przejścia Galicji pod jego panowanie, zawsze o was myślał i was wspierał! Za cesarza Józefa jeszcze zwrócono uwagę na ruski język. Chciano koniecznie ten język podnieść do języka naukowego. Zaprowadzono go na uniwersytecie lwowskim i w innych szkołach. Ale cóż się stało? Oto w roku

1810 przekonano się, że ten język nie ma tej żywotności, którąby go postawiła na równi z innemi językami Europy — i zastąpiono go językiem polskim. Czy to uczyniono, jak mówi wasze memorandum, na korzyść „mrzonek Polaków, którzy marzą o restauracji 22-miljonowego, trójjedynego królestwa!...“ O wcale nie! — Ileż to jeszcze usiłowań łożył rząd, aby z waszym językiem i waszą narodowością coś zrobić, a przecież nigdy się nic nie udało! Dla czego? Bo nie miało warunków bytu... Oto i dziś, wiem o tem dobrze, obóz wasz dzieli się na dwa stronnictwa. Kłótnia i niesnaski są między wami. Z językiem waszym nie można przyjść do ładu. Jedni chcą go zasilać językiem rossyjskim, inni chcą ludowy język dalej kształcić. Stronnicy pierwszego systemu wyraźnie mówią, że język ludowy, bez zasiłku skąd inąd, w swoim rozwoju zbliży się do polskiego. „Wolimy aby spolszczał, odpowiadają przyjaciele ludu, niżeli miałby się zmoskwicieć! —“

W zgromadzeniu powstały głośne okrzyki. Porfiry powstał i rzekł prawie ze łzami:

— Panowie! My jesteśmy tu słabszą stroną. Jesteśmy biedną sierotą. Wy nas zawsze przegadacie, bo my jesteśmy w mniejszości. Czy rząd nas w tej mniejszości zostawi? nie wiem.

— Poczyniliśmy kroki — zawołał z miejsca wuj Porfirego — abyśmy sami o sobie radzili... Ja jednak jestem zawsze za zgodą...

— I ja spodziewam się, że rząd nie zostawi nas w mniejszości naszej. Panowie, wy chcecie wolności, użyczcież że i nam tej wolności! Otwórzmy tylko historję, przejdźmy dzieje biednej, nieszczęśliwej Rusi, a wtedy niech sumienie wasze rozsądzi tę sprawę! —

Cisza nastała w salonie. Rzewne słowa Porfirego uderzyły o serca. Po chwili powstał Korybut i rzekł:

— Moi panowie! Niech stary żołnierz kilka słów przemówi do was. Serce pęka mi w piersi, gdy słyszę rodzoną brację waśniącą się między sobą. Bóg mi świadkiem, jak kochałem moją ojczyznę — ale dzisiaj, dzisiaj, gdy nowi jacyś spadkobiercy drą się o jej szaty grobowe, aby je potargać

podzielić między siebie... dzisiaj pozwólcie staremu żołnierzowi zapłakać! —

I duże łzy, jak groch puściły się z oczu staremu Korybutowi. Milczenie uroczyste panowało w całem zgromadzeniu. Nie jeden sięgnął do oczu i rozdusił łzę.

Po chwili wyprostował się Korybut i rzekł:

— Sprawa ruska o tyle jest trudniejsza do rozwiązania, że zwykłym oczom przedstawia się jako sprawa uciśnionych. Jako taka, ma ona wiele uroku i wielu pociąga za sobą. Nic nie jest zgubniejszego, jak fałszywy jaki motyw ubrać w piękną deklamację. Tysiące pójdą za deklamacją, i to tysiące szlachetnych, tkliwych serc. Otóż przedewszystkiem należy raz tę sprawę do gruntu wyświecić, i nie łudzić więcej siebie i innych. Powiedziałeś Porfiry, że należy otworzyć księgę historji i przejść dzieje Rusi. A więc dobrze, otwórzmy tę księgę. Nie mam potemu nauki ani talentu, abym w tej księdze umiał jasno czytać i rzeczy zdrowo widzieć. Ale mam przyjaciela, który cały swój żywot włożył w tę księgę. On to spisał mi to wszystko, co w tej księdze o ruskiej ziemi wyczytał. Jeśli pozwolicie, odczytam wam. —

Wszyscy zażądali jednogłośnie, aby stary Korybut tę pracę znanego wszystkim historyka odczytał. Zwykła jego sumienność była wszystkim rękojmią, że usłyszą prawdę.

Korybut wydobył z zanadrza manuskrypt i rozwinął go z czcią przynależną takiej pracy. W zgromadzeniu panowała cisza grobowa. Nawet wuj Porfirego z ciekawością patrzał na usta Korybuta.

Po długiem milczeniu zaczął Korybut:

—*) „Nie od Rusi zaczynają się dzieje ziem ruskich. Ziemie ruskie to Przemyśl, Czerwieńsk, Halicz, Włodzimierz, Kijów, a w pierwotnej dobie historji gdzież w tych ziemiach i grodach słyszał kto imię Rusi, Rusinów? Doba to starosłowiańska, doba drobnych ludów słowiańskich, tysiąca po największej części zgasłych już nazw, ale Rusi tam nie masz.

---

*) Ustęp ten skreślony dla tej powieści, jest pióra żyjącego między nami pisarza, którego po samej pracy łatwo poznają czytelnicy.

Wówczas wzdłuż Przemyśla Chrobaci, za halickim Dniestrem Tywercy, w pobliżu Włodzimierza Bużanie, a do koła przesławnego Kijowa, nad świętym Dnieprem Polanie. Dziwna zaiste! wszystkie owe starosłowiańskie nazwy Chrobatów, Tywerców, Bużan, Dulebów i mnogie inne, przebrzmiały w biegu czasów, a jedyną nazwą jakiegokolwiek ludu ruskiego i jakiejkolwiek z ziem ruskich, która z owego słowiańskiego poranku dziejów przetrwała do dni dzisiejszych, to nazwa Polan, Polaków.

Bo w tem jasnem zaraniu Słowiańszczyzny poczuwały się jeszcze najodleglejsze ludy słowiańskie do ścisłego ze sobą związku, i jakby świeży, wczorajszy wypadek pamiętano, co Patrjarcha kronikarstwa ruskiego Nestor w kilka wieków później do swojej przesławnej kroniki wciągnął: «Słowianie osiadłszy nad Wisłą, nazwali się Lechami, a od tych Lechów jedni przezwali się Polanami, drudzy Lutyczanami, inni Mazowszanami, a jeszcze inni Pomorzanami. Ci sami Słowianie osiadłszy nad Dnieprem przezwali się także Polanami, a inni Drewlanami, osiedli bowiem w lasach..... siedosza po Dniepru i narekoszasia Polane...»

Kiedy zaś ciż sami Polanie mieszkają u Nestora równocześnie nad Wisłą i nad Dnieprem, cóż za najdawniejsza, najpierwotniejsza wiadomość przechowała się w tymże samym Nestorze o późniejszej Rusi nad Dniestrem i nad Bugiem? Zna ją Nestor jedynie pod ogólnem pojęciem «grodów Przemyśl, Czerwień i innych», a te grody czyjemiż wówczas u Nestora grodami? lechickiemi, polskiemi. Przekonywa o tem najpierwsza Nestorowa wzmianka o późniejszej Rusi Czerwonej, w ogólności najstarsze ze wszystkich znanych o niej świadectw dziejowych, zapisane u Nestora pod r. 981, a opiewające w słowach następnych: «R. p. 981 ruszył Włodzimierz w kraj Lechów, i zajął grody ich, Przemyśl, Czerwień i inne... W lieto 6489 (981) ide Włodimer k' Lachom i zaja grody ich Peremyszl, Czerwen i inny.“ Powtarzamy, jest to najstarożytniejszy zabytek pamięci historycznej o ziemi między Sanem, Dniestrem i Bugiem, a w tej najodleglejszej starożytności czyimże ona krajem? Lachów, Polaków. Słowa to nie nasze, lecz Nestorowe.

Zaczem Polanie nad Wisłą, Polanie nad Dnieprem, ziemie naddniestrzańskie krajem lechickim, cała Słowiańszczyzna jedną wspólną rodziną bratnią — każden członek tej rodziny gdzieindziej osiadł, inną wziął nazwę, wyróżnia się narzeczem, w pewną właściwą sobie, oryginalną urasta indywidualność; ale wszyscy jak najdokładniej jednorodności swojej świadomi, i do coraz szerszego wiązania się z sobą gotowi. — Oto widok najpierwszej, przedchrześciańskiej doby dziejów słowiańskich. Od najpierwszych dni plemienia w wieku V. i VI. zaczynając, trwa ona w naddnieprzańskich stronach Rusi do r. 880, w naszej zaś naddniestrzańskiej krainie aż do wspomnionego r. 981.

A gdzież podówczas Ruś? gdzież podówczas ziemia i ludzie tem nieznanem jeszcze w Słowiańszczyznie mianem nazwani? Daleko za Morzem białem czyli bałtyckiem, u wschodnich wybrzeżów Szwecji, w dzikiej krainie Rossów, skąd rok po roku wypadają tłuszcze głodnych opryszków, wygnanych z ojczyzny rozbójników, waregów słowiańskiem brzmieniem wrogów, szukając sobie po siąsiednich brzegach chleba, łupu, niewolników na sprzedaż po całym świecie. Najłatwiejszą zdobyczą okazało się gościnne plemię Słowian; na nich więc uderzają Waregi, i od granic perskiego Korassamu aż po brzegi arabskiej Andaluzji kupcząc tłumami jeńców słowiańskich, zamieniają nazwę Słowian w nazwę niewoli, Slavi w Sclavi.

Z czasem wyrządzą oni jeszcze sroższą krzywdę Słowianom, narzucą swoją własną nazwę niektórym z ludów słowiańskich, nie dawszy im oraz bytu i przyszłości pod obcą nazwą. Przechodzimy tem do drugiej kilkuwiekowej doby dziejów Rusi naddnieprskiej i naddniestrzańskiej."

Korybut zamilkł tutaj. Spojrzał po całem zgromadzeniu. Cisza uroczysta panowała w salonie. Dziwnie uderzyły wszystkich te słowa, wyczytane z manuskryptu. Podniósł się Grocki i rzekł:

— Oto jest owoc długoletniej pracy w dziejach naszych. Skądże wzięła się dzisiejsza tak zwana Ruś u nas? Kiedyż to ujarzmili Polacy tak zwaną dzisiaj Ruś? Po cóż tych deklamacji o ujarzmieniu Rusi, czyli, jak mówi memorandum

dzisiejszych przewódzców sprawy ruskiej, „ujarzmieniu Galicji przez Polaków?“ —

Korybut zrobił gest, że chce dalej czytać. Grocki umilkł, a Porfiry uśmiechnął się boleśnie. Korybut czytał dalej:

— „W r. 880 krewny Rusa Ruryka Oleg opanował morderczym podstępem Kijów. Polanie naddnieprscy weszli w skład nowogrodzkich dzierżaw Rurykowiców, poczęli zwać się odtąd poddanymi czyli «ludźmi» ruskimi, w ogóle Rusią. Z Kijowa rozszerzyło się coraz dalej panowanie i miano Rusi, zmierzając zwłaszcza ku zachodnim rzekom słowiańskim Bugowi i Dniestrowi. Długie przecież lata minęły, nim się waregskim Rusom powiodło dotrzeć podbojami w te strony, a przez ten wszystek czas nazwa Rusów i Rusi budziła tu jedynie postrach obcej niewoli, tak ciężkiej już Słowianom naddnieprzańskim. Do koła dawnych grodów słowiańskich nad Bugiem i nad Dniestrem tylko słowiańsko-miejscowe słyszałeś nazwy, a grody Przemyśl, Czerwień i inne, lechickiemi były grodami.

Dopiero w sto lat po opanowaniu Kijowa przedarła się Ruś waregska ku brzegom Bugu i Sanu. Ośmielony śmiertelnemi zapasami chrześciańskiego już króla polskiego Mieczysława z przemagającą nad nim potęgą Niemców, wyruszył pogański Rurykowic Włodzimierz, według słów Nestora «w kraj Lachów, i zajął grody Przemyśl, Czerwień i inne.»

A tak późno zawładnąwszy w tych stronach, nie długo też potrafili utrzymać się w nich Rurykowice. Już bowiem w przeciągu trzech stuleci upadło panowanie Rusi nad Dnieprem i nad Dniestrem. Upadło z ciężkim sromem, własną niemocą, po rządach bardzo nietrwałych, ustawicznie zaprzeczanych i przerywanych przez Polskę. Tylko przez trzy wieki trwają rządy Rusów w Kijowie i w Haliczu, a i w tej niedługiej dobie dziejowej przypominają Polacy bez przerwy swoje bliższe prawo do jednoplemiennej stolicy Polan naddnieprskich i do lechickich, z starodawna grodów czerwieńskich. Komuż nieznane opanowanie Kijowa przez Bolesława Chrobrego w r. 1018, przez Bolesława Śmiałego w r. 1075 i 1078? A nawet w późniejszych czasach rozdrobienia Polski za potomków Bolesława Krzywoustego nie ustają Piastowie

w walce o Kijów, i jeszcze za czasów Bolesława Kędzierzawego spieszą wyszczerbić oręż o jego bramy.

Jeszcze przeważniej zdołała Polska utrzymać pamięć swego pierwobytu w grodach czerwieńskich. Urosły z nich pod panowaniem Rusów mnogie drobne, niesforne księstwa, nikomu obronić się niezdolne, i łatwo też od czasu do czasu zniewalane do uległości przez królów polskich. Od kijowskiej wyprawy Bolesława Chrobrego pozostała cała Ruś Czerwona przez czas dłuższy pod rządami Chrobrego i jego syna. Toż samo ponowiło się w porze drugiej wyprawy kijowskiej za Bolesława Śmiałego. Bolesław Krzywousty za sprawą sławnego Piotra Dunina wziął stanowczą przewagę nad Wołodarkiem przemyskim i halickim. Kazimierz Sprawiedliwy osadza w Haliczu r. 1182 hołdownikiem polskim Rurykowica Mścisława. Temuż Kazimierzowi Sprawiedliwemu zaprzysięga wierność nowy kniaź halicki Włodzimierz, osadzony tam przez Polaków w r. 1188 po wygnaniu węgierskiego królewica Andrzeja. W dziesięć lat później otrzymał księstwo halickie z ręki Leszka Białego Roman, po którego śmierci pod Zawichostem przechodzi Halicz nakoniec pod spólną władzę Polski i Węgier, przez oddanie go królewiczowi węgierskiemu Kolomanowi i poślubionej mu, córce Leszka Białego Salomei.

Podupadło wprawdzie niebawem to węgiersko-polskie panowanie w Haliczu, zawładnął nim po kilkunastuletnich zaburzeniach domowych Daniel, najsławniejszy ze wszystkich ruskich książąt Halicza, ale czemże sława jego w rzeczywistości? Najświetniejsze pozory potęgi i chwały Danielowej to w istocie tylko smutne znamiona srogiej podówczas niedoli Rusi. Daniel rozciągnął swoje granice aż po za Kijów, lecz ta nagła wielkość Halicza wyniknęła jedynie z podupadnięcia Kijowa, tak ciężko od niedawna zniszczonego jarzmem Mongołów, że już otwartą każdemu zaborowi stał pustką. Daniel uzyskał Haliczowi tytuł królestwa, lecz ta nowa dostojność była jedynie marnem wynagrodzeniem za nierównie potrzebniejszą pomoc przeciw Mongołom, za którą Daniel tak gorąco przyrzekał posłuszeństwo papieżom, a której oni dać mu nie mogąc, łacińskiej korony zbyli go darem.

Toż lekce waży ją Daniel, i sławiony dziś z swojej niezawisłości od wpływów Polski i Węgier, oddaje się z całą resztą Rusi w poddaństwo Ordzie.

Już w cztery lata po łacińskiej koronacji w Drohiczynie r. 1246 przybył do „króla Daniela“ poseł Batu-chana z rozkazem ustąpienia Mongołom ziemi halickiej, albo uznania się służalcem w. chanów. Zasmucony tem Daniel — opowiada bliskoczesna kronika ruska, zwana wołyńską czyli hipatijewską — zadumał się z swoim bratem Wasilkiem, a w końcu rzekł: Nie dam półojczyzny mojej, lecz pojadę sam do Batego cara wielkiej hordy kapczackiej.“ I wyjechał w dzień św. Dymitra, pomodliwszy się Bogu i przyjechał do Kijowa, i zwołał księży i mnichów i rzekł Igumenowi i wszystkiej braci, niech wzniosą modły za nim do nieba, i uczynili tak aby mu Bóg miłosierdzie okazał. A on padłszy przed archistrategą Michajłem, opuścił klasztór i siadł do łodzi, i widząc przed sobą biedę straszną i groźną, zajechał do Jarosławia, gdzie go Tatarowie spotkali. Stąd zaś jechał dalej ku Batemu nad Wołgę, chcąc mu czołem uderzyć. A wezwany od Batego pokłonił się po obyczaju (świętemu krzewu mongolskiemu) i wszedł do namiotu carskiego. Na ten czas ozwał się Batu do niego: Daniło! Czemuż dotychczas nie stanąłeś przede mną? Dobrze że teraz stajesz. Czy pijasz nasz napój, czarne mleko, kobyli kumuz? — A on odpowiedział: Aż dotąd nie pijałem, lecz dziś, gdy rozkazujesz, napiję się. — Na co Batu: Już ty nasz, jużeś Tatarzyn, pijże nasz napój. — A Daniło wypiwszy, pokłonił się po obyczaju ich, mówiąc: Pójdę uderzyć czołem wielkiej kniahini Barakizinowej. — A Batu odparł: Idź! Zaczem poszedłszy, pokłonił się po obyczaju. I przysłał mu Batu dzban pełny, mówiąc: Nie przyzwyczajonyś do mleka, pij piwo. O sroga gościno tatarska!“ — żali się dalej kronika ruska. „Daniłowi synu Romanowemu, nie dawno wielkiemu kniaziu nad ziemią ruską, nad Kijowem, Włodzimierzem i Haliczem siedzieć teraz z tatarska na kolanach, i nazywać się niewolnikiem i dań dawać i nie być pewnym życia i w ciągłej zostawać grozie. O sroga gościno tatarska! I bawił kniaź Daniło dwadzieścia i pięć dni u Tatarów; poczem

dopiero puszczono go i poruczono mu ziemię jego, i wrócił do ziemi swojej. I spotkał go brat jego i synowie jego i płakali wszyscy nad swoją ciężką niedolą."

Taką była chwała najsławniejszego z książąt czerwonoruskich, Daniela — do takiego szczytu potęgi doprowadziło panowanie ruskie w ziemi Polan kijowskich i w lechickich grodach Czerwieńska. Po śmierci Daniela r. 1266 przyszło ruskim władcom Kijowa i Halicza jeszcze sroższego doznać upokorzenia. Danielów syn i następca Lew, utracił księstwo kijowskie, wrócone przez Mongołów panującym tam poprzednie wielkim książętom ruskim, najniższym teraz podnóżkom Ordy. Takimże podnóżkiem czyli „mirnikiem" chańskim stał się i Lew, wierny towarzysz Mongołów we wszystkich głównych wyprawach na ziemie chrześciańskie, gotów do posłuszeństwa najwybredniejszym zachceniom Ordy.

Oto np. obleciał tyranów mongolskich strach, aby książęta ruscy w powystawianych temi czasy grodach warownych nie śmieli stawić kiedy oporu ciemięzcom swoim. Każe przeto jeden z namiestników chańskich Burondaj przyzwać przed siebie kniazia Lwa halickiego z kilku innymi, i rzecze do nich: „Jesteście moimi mirnikami, zburzcie wszystkie swe grody. Zburzył tedy syn króla Daniły Lew" — opowiada przytoczona powyżej kronika ruska — „zburzył grody Daniłłów, Stożek, a wyprawiwszy posłów, zburzył i Lwów" — swoją własną stolicę, niepotrzebną już wkrótce Rurykowicom w tych stronach.

Ze śmiercią bowiem Lwa wzmógł się jeszcze ucisk mongolski. W kupę zwalisk zmieniony Kijów, pozbył dobrowolnie ostatka pozostałej mu chwały, schronił do Halicza cerkiewne świętości swoje, i od własnych kniaziąt pokornego znoszenia niewoli pogańskiej przyuczany, uderzał z nimi czołem Mongołom. Również spustoszałe Podole, zostało zmienione w bezpośrednią prowincję chanów, rządzoną samowładnie przez baskaków mongolskich. Temuż samemu losowi uległa także ziemia halicka, w której niedługo po śmierci Lwowej zawładnęło z kolei dwóch carzyków mongolskich. Wiemy o nich z ust świadka wiarogodnego, który w kronice swojej

wyraźnie pisze, iż władali w Haliczu z woli najwyższego cara Mongołów, i że byli bałwochwalcami.

Nareszcie przyszedł koniec panowaniu Rusów na całej przestrzeni między Sanem a Dnieprem. Jak już w Haliczu i na Podolu, tak upadły również ostatnie szczątki ich władzy w ziemi kijowskiej. Prawie o jednym i tymże samym czasie dostały się wszystkie te kraje pod rządy wcale nowych władzców i panów, którzy je wyzwolili z jarzma Mongołów, zespolili z resztą państw swoich, i przez długie wieki po ojcowsku władali niemi. W r. 1320 Litwa orężem Gedymina opanowała całą Kijowszczyznę z Podolem. W r. 1340 lechicka Polska ramieniem Kazimierza W. wydarła Mongołom starodawne grody lechickie Przemyśl, Halicz, Włodzimierz. Od r. 1386 połączeniem się Polski z Litwą, połączył się Kijów i Halicz na całą przyszłość z koroną polską.

Takim sposobem skończyło się panowanie Rusów nad Dnieprem i nad Dniestrem. Skończyło niemożnością obronienia podbitych przez siebie krajów od niewoli mongolskiej. Skończyło własną niemocą, po rządach równie niesławnych jak niedługich. W Kijowie władali kniaziowie waregoruscy z niektóremi przerwami zwierzchnictwa królów polskich od r. 880 do 1340. Tak długo, a nawet dłużej zostawał każden z dzisiejszych narodów europejskich pod władzą jakiejś obcej przemocy; Anglja znosiła jarzmo Danów, Francja Anglików, Hiszpania Arabów, Grecja Turków i t. p. Skoro jednak nadszedł kres panowaniu obcemu, wracał dawny porządek rzeczy, gasła zwolna pamięć najeźdzców, zacierały się z czasem wszelkie ślady ich rządów, języka, nawet imienia.

Nie inna też przyszłość godziła się obcemu imieniowi Rusów u Słowian naddnieprskich i naddniestrzańskich. Od obcych najeźdzców przyjmują ludy opanowane tylko wtedy swe imię, jeśli ci najeźdzcy pozostaną na zawsze z opanowanym przez siebie ludem, i dadzą mu byt polityczny. Waregoruscy kniaziowie nad Dnieprem i nad Dniestrem ani pozostali na zawsze z Słowianami swoimi, ani potrafili złączyć ich w jeden naród, dać im trwały byt narodowy. Po niedługiej owszem kolei słabych, jedynie prywatnem samolubstwem wiedzionych, ciągle przez kogo innego przerywanych

im rządów — i sami wreszcie nędznie upadli, i rządzone przez siebie ludy w niewolę barbarzyńców podali. Nie godzi się więc zaiste ani cześć ani pamięć ich imieniowi, a jeśli mimo tego przetrwało ono dotąd nad Dnieprem i nad Dniestrem, jeśli u Słowian tych okolic w poszanowaniu dziś imię ruskie, nie dawnych to rządów ruskich zasługą!

Zasługa to chrześciaństwa, zasługa przyjętej tu za panowania Rusów religji chrześciańskiej w obrządku wschodnim, od chrześciaństwa późniejszych władzców polskich wcale odmiennej. Gdy bowiem Polacy jeszcze przed zaborem grodów czerwieńskich przez Ruś waregską przyjęli wiarę swoją z rąk Rzymu, obyczajem łacińskim, w Kijowie i w Haliczu za sprawą chciwych byzanckiego dziedzictwa Rusów, ustaliła się wiara chrześciańska w wyznaniu greckiem, obyczajem byzanckim. Ustalona zaś światową skłonnością Rusów, pozostała ona ludowi kijowskiemu i halickiemu nawet po ich upadku, przechowała się dalej pod rządem chrześciańsko-rzymskich Polaków. A ponieważ Polacy trudnym do uniknienia sposobem wprowadzili z sobą do Halicza i Kijowa swoje chrześciaństwo odmienne, przeto mimo dawną jednoplemienność lechickich Polan z nad Wisły z kijowskimi Polanami nad Dnieprem i mieszkańcami lechickich grodów Czerwieńska — mimo zupełne później zmięszanie się w tych stronach krwi i obyczaju pobratymców z nad Wisły, Warty, Dniestru i Dniepru — pozostała różnica nazwy Polak i Rusin. Zawsze jednak nic więcej w tej różnicy nad różne wyznanie wiary. Polak i Rusin to ani dwa obce narody, ani dwa różne stany, często nawet jeden i ten sam język. Polak a Rusin to tylko chrześcianin rzymski a grecki.“ —

Korybut spoczął w czytaniu. Wszyscy podnieśli się z miejsc swoich, a niektórzy wołali:

— Mój Boże! I toż to ma być dawna świetność Rusi? I z takiemi to dziejami chcą dzisiejsi Rusini wystąpić w obec Europy? Więc ta epoka udzielności ruskiej ma być tak szczęśliwą, że wówczas w kraju tym „płynęły rzeki miodu i mleka“?... I ta ziemia została uciemiężoną przez Polaków! Ziemia Polan, której potomkowie Rusa jarzmo narzucili, i lennikami Ordy byli?...



Korybut czytał dalej:

— „Oprócz tej jedynej spuścizny, oprócz różnicy chrześciaństwa swojego, nic Słowianie haliccy i kijowscy nie odnieśli po Rusach. Wydany przez nich carzykom i baskakom mongolskim, kraj pozostał bez bytu politycznego, bez obrony, bez mieszkańców, pustynią. Następująca odtąd doba najdłuższa, bo nierównie większą połowę całego bytu historycznego tych ludów obejmująca, doba panowania Polski z Litwą między Sanem a Dnieprem, jest tylko historją ciągłych walk o wyzwolenie i obronę opanowanych ziem od Mongołów, ciągłych trudów o ich nowe zaludnienie, uprawę, przyprowadzenie do stanu oświaty i rządności.

Pierwszym tedy zyskiem Kazimierza z nabytku ziemi halickiej w r. 1340 był straszny napad Tatarów w r. 1341, spieszących pomścić wydarcie sobie szerokiego obszaru ziemi, a naprowadzonych przez wrogiego Polakom wielkorządzcę Przemyśla Detka. Jest to jedyny w przeciągu wieków obrońca niepodległości Halicza przeciwko rządom polskim, ale zamierzony przezeń środek obrony, zatrzymanie Halicza pod panowaniem tatarskiem, okazał się bezskutecznym. Orda została odpartą przez Polaków, i cofnęła się z czasem coraz dalej ku Czarnomorzu. Ziemia halicka zamieniła się w wielkie stanowisko wojenne, z którego pod dowództwem Polaków raz po razu uderzają hufce zbrojne w pole tatarskie. Pięć wielkich wypraw Kazimierza W. przeciwko Ordzie, ubespieczyło nareszcie ziemię halicką, przywróciło ją społeczeństwu i porządkowi chrześciańskiemu.

W przywróconej, w ubespieczonej, osadza Kazimierz W. nowym ludem pustkowia, zakłada wsie i miasteczka, rozdaje szerokie obszary do zagospodarowania krajowcom i przybyszom. Cała ziemia halicka przybiera nową, piękniejszą postać; najprzeciwniejsi Polsce krajowcy uznają wkrótce zbawienność jej twórczych rządów. Ów wrogi Lachom wielkorządzca przemyski Detko, jedna się z Kazimierzem, i już w kilka lat po naprowadzeniu Tatarów pisze do mieszkańców Torunia, zapraszając ich do stosunków handlowych z miastami halickiemi. „Poduszczenia szatańskie wznieciły niezgodę pomiędzy nami, a jegomościa królem polskim; lecz za natchnie-

niem ducha Bożego odprzysięgliśmy się kusiciela dusz ludzkich, i wróciła znowu zgoda i jedność.“

Z tak szczęśliwie odzyskanych lechickiemu panowaniu grodów czerwieńskich krzewiła się dobroczynna praca odrodzenia tych stron przez Polskę ku dalszym ziemiom podolskim i kijowskim. Odbite Tatarom najprzód przez Litwę, bronione następnie wspólnemi siłami Litwy i Polski, leżało Podole z Ukrainą w jeszcze sroższem opustoszeniu niż Halicz. Znamy ówczesną bezludność Podola z opisu świadków naocznych, zdumionych pustynnym widokiem tych okolic, „gdzie w ciągu kilkudniowej podróży nie spotkasz żadnej osady, żadnych mieszkańców, chyba dzikiego tu owdzie zwierza, który ze zdziwieniem pogląda na człowieka, niezwyczajne tutejszych stron zjawisko.“ Za wytrwałem jednak działaniem Polski zaczęły i te strony porastać grodami i osadami, zapełniać się ludnością rolniczą i rycerską, złote pod jej ręką wydawać plony. Cała niezmierna przestrzeń krajów między Sanem a Dnieprem objętą została tem dobroczynnem działaniem, doznała niebawem zbawiennych skutków tej twórczej pracy.

Była to praca jak widzimy dwojaka — praca uprawy i obrony — a wiodła się tak szczęśliwie, ponieważ odpowiadała zarówno potrzebie pracowników jak i kraju, przedmiotem ich trudów będącego. Pług i szabla, namiętność grzebania w ziemi i namiętność zabaw rycerskich, były zdawien dawna głównem zamiłowaniem Polaków, a ziemie między Sanem a Dnieprem potrzebowały właśnie obojga, jako dwóch głównych warunków do zakwitnięcia tem życiem, do jakiego stworzyła je natura. Zaczem pokochały się gorąco plemię polskie i ziemie ruskie, i z niepohamowanem wylaniem służyły sobie wzajemnie dobrodziejstwami.

Polska nadsełała ziemiom ruskim nie tylko bardzo wiele junackiej szlachty, ale i tłumy pracowitej ludności wiejskiej, przynęconej pomyślnemi warunkami osadownictwa nad Dnieprem, i chciwie też zbiegającej z głębi Polski w te strony. Szlachta pełniła służbę rycerską, pilnowała w obozie i na Niżu szlaków tatarskich, uganiała się za pogaństwem po dzikich polach, albo osiadłszy we dworku na gospodarstwie,

przywabiała z całego świata osadników na grunta, tworzyła kraj zamożny z pustyni. Lud z rusznicą od tatarskich opryszków na ramieniu, zakładał słobody i futory, albo przykładem szlachty i potrzebą ciągłej obrony zniewolony, nawykał do oręża, bywał na wpół rolnikiem na wpół żołnierzem, a często porzucał wcale zagrodę, i udawszy się na Kozactwo, wyprawiał się z mołojcami na morze, zbierał bogate łupy po wybrzeżach anatolskich. Okolice Polski środkowej użalały się głośnemi skargami na podupadnięcie spustoszałych gospodarstw z przyczyny tłumnego wychodźtwa ludu na Podole i Ukrainę, a tymczasem pod nieustajacym napływem tych szlacheckich i wiejskich tłumów, pod czarodziejską różczką tej orężnej i osadniczej pracy, zakwitały najroskoszniejsze okolice w pustkowiach. — Gdzie niegdyś tylko zwierz dziki bujał, sejmikowała dziś liczna bracia szlachecka, gromadziła się do pracy i biesiad lud ochoczy, brzmiały dzwony cerkiewne i kościelne.

Ziemie ruskie nawzajem odwdzięczyły się plemieniowi polskiemu niezwyczajnie potężnem rozmnożeniem fortun i ducha. Dopiero w szerokich posiadłościach nad Bugiem, Dniestrem i Dnieprem urosła szlachta koronna w te możne, królewskie domy, które w dobrem i złem znaczeniu tak przeważnie wpłynęły na losy kraju. Dopiero w obec tutejszych niebespieczeństw pogańskich zajaśniał w całym blasku ten rycerski animusz szlachty, ten zapał do poświęceń za wiarę i ojczyznę, ten wielki obowiązek obrony kraju i chrześciaństwa od pogan, który taką chwałą otoczył dzieje ojczyste. Jedynie też w tych wschodnich stronach ocalała ludowi dawna swoboda bytu i pogoda umysłu; rolnik na zagrodzie zapatrywał się na wolnego kozaka, a kozak powoływał się na równe prawo ze szlachtą, i znał tylko króla nad sobą. Jeśli powagę korony uznamy zbawienną ojczyznie rzeczą, tedy nigdzie korona królewska nie była tak poważaną, tak silną, jak u tych wschodnich granic królestwa.

I stało się w niedługim przeciągu czasów, iż, jak ziemie ruskie między Sanem a Dnieprem głównie pracą pobratymców polskich do dzisiejszego odrodziły się życia, tak wzajemnie nie było w całej Rzeczypospolitej polskiej kawałka ziemi,

w którymby owe dwie główne cechy charakteru narodowego, owe zamiłowania w pługu i szabli, idealniejszym rozwinęły się kwiatem, piękniejszy wydały owoc. Pobliższe okolice nad Sanem, Bugiem i górnym Dniestrem stały się obiecaną ziemią pługa, główną widownią zajęć i przyjemności życia wiejskiego, kolebką uczuć i pieśni sielskich, najnadobniej przez ruskiej Symonida gęśli nuconych. Dalsze strony Podola i Ukrainy stały się ulubionem polem popisów szabli, krajem najzuchwalszego junactwa rycerskiego, zacząwszy od owych możnych junaków polskich, którzy za Lanckorońskim i Wiśniowieckim na Niżu, aż do tej na wpół szlacheckiej na wpół chłopskiej, ale zawsze bohaterskiej zgrai kozaczej, przed którą za Zygmunta III. tak często drżały wszystkie brzegi tureckie, drżał sam Sułtan w Stambule. Cała korona polska chwaliła sobie Podole z Ukrainą jako ustawiczną szkołę rycerstwa, nie dość wcześnie spostrzegając się na tem, że wraz z niebespiecznym pod bronią ludem zaprawiała się tam do oręża swawola, tak szlachecka jak chłopska. Cała Ukraina słynęła zdawien dawna mnogością mogił — pamiątka to tego ukraińskiego życia ciągłych bojów i zdrojów krwi.

I trwało tak przez pokolenia i wieki. Potrzebując i potęgując się wzajem, żyły z sobą w zgodzie ziemie ruskie i plemię polskie, żyli w zgodzie Polanie z nad Wisły i Polanie z nad Dniepru, Lechici, od brzegów Gopła i mieszkańcy lechickiej pierwotnie Rusi Czerwonej. Od owego pojednanego z królem Kazimierzem wielkorządzcy Przemyśla Detka, przez wszystkie wieki następne nie wybuchł żaden głos oporu przeciw Polsce, nie podniosło się żadne ramię do otrząśnienia jej władzy. Bo w świeższej jeszcze było pamięci, że władzą tą odrodziła się Ruś; że jak wszelka starożytność, tak też wszelka żywotność naddnieprskiej i nadniestrzańskiej Rusi tkwiła w nazwie Polan, Lechitów; że nazwa Rusin ma jedynie obrządkowe znaczenie; w znaczeniu zaś narodowem i politycznem chcieć wskrzesić pamięć i nazwę Rusów, jest to pragnąć dla Rusi powrotu pod owo jarzmo mongolskie, do owych pokłonów krzewowi pogańskiemu nad Wołgą, do kobylego mleka przy ucztach chańskich, jakiem właściwi Rusowie zakończyli byli niegdyś nietrwałe panowanie swoje w tych stronach.

Toż gdy z biegiem czasów ciężkie nastały próby, gdy narzucony Ukrainie położeniem geograficznem stan ciągłej wojny i rycerskości przywiódł w końcu do nierządu i swawoli kozackiej, a ta w połowie polsko-szlachecka w połowie zaś rusko chłopska swawola podniosła rokosz przeciw ojczyźnie polskiej, i przyszło do wrogiego przeciwstawienia nazwy Polak i Rusin, do długoletniej walki między temi nazwami, gdzież to Ruś kozacka szukała wówczas sprzymierzeńców przeciw Polakom? Zwróciłaż się kozaczyzna współczuciem swojem do pobliskich za Dnieprem Rusów właściwych, pociągających ją do siebie tożsamością wiary byzanckiej i przychętami różnemi? Bynajmniej. Mimo jedność religji, mimo nagabywania tajemne, przeniósł Chmielnicki Ordę, przeniósł Turcję nad Rusów, i z Tatarami kilka razy sprzymierza się przeciw Polsce, tureckiemu poddaje się cesarzowi. Dopiero gdy pomoc tatarska okazała się pod Beresteczkiem niedostateczną, a pod Zborowem i Żwańcem na korzyść Polaków zawiodła kozaczyznę, przyjąć musiał Chmielnicki wstrętną protekcję Rusów, aby w rok później pożałować kroku swojego, i umrzeć w nowych zmowach z koroną polską. Wraca też kozaczyzna po jego śmierci na nowo pod berło polskie, zawiera pamiętną unję z Polską w Hadziaczu, a gdy rozpasane raz namiętności i hadziacką zerwały zgodę, zaprzysięga pod Doroszeńkiem wierne poddaństwo Sułtanowi — nie Rusom. Tylko przemoc wypadków przywiodła nakoniec Ruś naddnieprską pod panowanie Rusów, i trzyma ją po dzień dzisiejszy w ich mocy.

Ale i dziś w jakiejże zgodzie żyje dawna ziemia Polan naddnieprowych z Rusami? I dziś o kimże to marzą pieśni ludu ukraińskiego? do kogoż tęsknią jego podania o przeszłych czasach? Posłuchajmy dumy jednego z ostatnich lirników ukraińskich, jak ją każden w rosyjskich dziełach pp. Skalkowskiego i Maxymowicza wyczytać może, a usłyszymy odpowiedź. Hardym tedy starostom i podstarościm lackim, nieżyczliwcom wiary ruskiej i żydom, błogosławić piosnka nie umie, lecz o królewskiej koronie polskiej śpiewa lirnik z westchnieniem: „Służyłyb jemu korolu Polszczy po wiri i po prawdi jako Bohowi, szczo żywe

wysoko na nebi; i Lachiwby ne były, i z nimi jak z rydnymi bratami żyły, i Tatariwby wojowały, i wo wikib wicznyje, ne złom a dobrom, ta mołytwoju swoho pana, wełykoho korola Polszczy imenitoho jak Bohab szanowały."

Korybut skończył czytać. Piękny ustęp dumy ukraińskiej rozmarzył wszystkich. Ileż to rzewnego uczucia dla Polski w tym lirniku ludu ruskiego! Rozróżnia on panów, którzy nadużywali władzy swojej nad ludem, od rządu polskiego, od króla, o którym tak wzniośle przemawia!

Wreszcie ocknęło się zgromadzenie z zadumy. Grocki powstał i rzekł:

— I wieleż to krwi polskiej kosztowała ta ziemia ruska, aby ją wydrzeć bisurmanom! Więc za tę krew naszą, słyszymy dzisiaj od braci naszych, żeśmy ich ujarzmili! Za sprawione i krwią naszą użyźnione pola, za tyle słobód i miast założonych, za całą kulturę tego wyniszczonego przez Ordę kraju, rzucają nam dzisiaj w oczy bracia nasi, żeśmy ich ujarzmili —! O nie, to nie oni mówią, to mówią złe duchy z po za nich, którzy bluźnią historji i Bogu! —

Wielki krzyk wszczął się w całem zgromadzeniu. Jedni wołali to, drudzy owo. Wuj Porfirego wstał i żaczął mówić, i Porfiry otworzył już usta i podniósł rękę do góry — gdy nagle drzwi otworzyły się z łoskotem. Wszyscy umilkli naraz i zwrócili się ku drzwiom. Jakaś siła nie widoma pociągnęła oczy wszystkich.

We drzwiach pojawił się jakiś człowiek nikomu nieznany. Wyrwicz tylko poskoczył do niego jako do znajomego.

Nowy gość podał rękę gospodarzowi, a zwróciwszy się do całego zgromadzenia, zawołał głosem grobowym:

— W Warszawie krew się leje — wojsko strzela do ludu! —

Z drugiego pokoju roległ się krzyk i płacz kobiet. Zgromadzenie zerwało się jak wirem podwodnym wyrzucona fala; śród tego zamięszania wymknął się wuj Porfirego. Za nim pospieszył Porfiry. —

W salonie nastała znowu cisza, grobowa cisza. W drugim pokoju klęczały kobiety i modliły się za poległych. — A z otwartych okien trzeciej kamienicy, dokąd Grocki odprowadził okiem dobrze mu znaną kobietę w stroju balowym, słychać było wesołą muzykę i śmiech głośny!...

IX.

Nazajutrz całe miasto było w wielkiem poruszeniu. Dzienniki wyszły w żałobnych obwódkach. Po kościołach gromadził się lud i modlił się za poległe ofiary...

Nad wieczorem wpadł Korybut do pomieszkania Grockiego. Grocki chodził zamyślony po pokoju. Na środku stał kuferek, jakby przygotowany do podróży. —

— Karolu — zawołał Korybut zamknąwszy drzwi — co za czasy! co za zdarzenia! Mam ci wiele powiedzieć. Najprzód Wyrwiczowi nakazano wyjeżdżać z kraju. Ktoś mu się przysłużył i coś na niego nagadał. A musisz wiedzieć, że on właściwie jest obywatelem z królestwa. Po powstaniu warszawskiem przybył tutaj i jakoś dotąd mu się udawało.

— Gdzie on pojedzie? — zapytał zdziwiony Karol, rozbierając w myśli, ktoby to na niego mógł coś powiedzieć.

— Chce jechać do Warszawy — szepnął mu Korybut do ucha.

— Do Warszawy! dla Boga! tam go wezmą! — krzyknął Karol.

— Mówiłem mu to, ale jego coś tam ciągnie; jakieś dziwne przeznaczenie —

— Nie, to rządza ofiary! — odparł Karol i zaczął się znowu w zamyśleniu po pokoju przechadzać.

Korybut patrzał za nim z uwagą, a potem rzekł:

— Teraz słuchaj dalej. Nie mam wiele czasu, bo kto wie, czy długo z wami będę. A więc do rzeczy. Byłem właśnie u Porfirego. Chciałem sprawę spadkobierstwa zakończyć.

Rozumie się, że tylko w dobry sposób można ją zakończyć, bo litera testamentu tego nie objaśnia. Oto mam w ręku objaśnienie tego testamentu, własnoręcznie przez nieboszczyka skreślone. Wyjaśnia on, co pod wyrazami „wiara ojców“ ma się rozumieć. Oto wiara w jeden naród i w jego prawa nieśmiertelne, i uczynki tej wierze odpowiedne. Okazałem to Porfiremu, a on poradziwszy się wuja, odpowiedział, że takiego komentarza nie uznaje, że potomek Szetyckich rodu ruskiego nie mógł tym wyrazom takiego dawać znaczenia... Więc nie ma ratunku, mój drogi — gdy testament odejdzie do sądu, sąd wyrzeknie tylko to, co mówi litera i Porfiry zostanie jedynym spadkobiercą! —

Karol uśmiechnął się boleśnie, a podawszy rękę Korybutowi rzekł do niego:

— O spadkobierstwie wcale teraz nie myślę w obec tego, co się tam za Wisłą dzieje. Zresztą o Porfirym nie zwątpiłem jeszcze. Może być, że wróci do dawnej wiary swojej, a potem jakoś się pogodzimy.... jeźli potomek Szetyckich po kądzieli ostanie się przy życiu.

— Cóż to mówisz Karolu?

— Mówię do myśli moich, które w tej chwili zaprzątają mi głowę.

— Przyjaciel, stary Korybut stoi przed tobą!

— A prawda — darujcie panie Dominiku — bo tak mi pełno w piersi, a tak mi jakoś błogo w duszy — —

Korybut w milczeniu patrzał na Grockiego. W twarzy Grockiego było coś takiego, czego dobrze zrozumieć nie mógł.

— Cóż tobie Karolu? — zapytał Korybut biorąc go za rękę.

— Stanąłem nad wielką, głęboką przepaścią — odparł Karol — a za kilka godzin rzucę się w tę przepaść.

— W przepaść się rzucisz?.... bez celu?

— O nie, mam cel — da Bóg, że osiągnę —

— I jakiż to cel?

— Aby Rusinom naszym raz oczy otwotrzyć! —

Korybut wypatrzył się na Karola, którego twarz promieniła się jakąś myślą szczęśliwą. Po chwili milczenia zbliżył się Karol do niego, i rzekł z cicha:

— Przybył tu ktoś z Kijowa. Mówiłem z nim dzisiaj i wziąłem pewną rolę na siebie.

— Jakaż ta rola może być w spółce z tymi ludźmi? — zapytał Korybut z chmurą na czole.

Karol pociągnął Korybuta do sofki, a usiadłszy koło niego, mówił dalej cichym głosem:

— Wiadomo wam, że od niejakiego czasu w Kijowie i w całej tamtejszej ziemi ruskiej szerzy się ruch wielki, i zagraża w istocie wielkiemi wypadkami. Centrum tego ruchu jest w samym Petersburgu.

— Wiem o tem, dla tego dziwię się, jaką rolę możesz ty tutaj przyjąć?

— Rzecz ta ma być bardzo zręcznie i dyplomatycznie żałożona.

— Naprzykład —

— Oto, w całej Rusi tamtejszej agitują patrjoci, aby się raz na zawsze od ukazów carskich oswobodzić. Ale agitacja podobna jest tam nader utrudniona, a prawie wręcz niemożliwa. Otóż zamaskowano ten ruch. Agitację wymierzono przeciw dawnej Polsce i jej uroszczeniom. To podoba się w Petersburgu, a nawet jak z wszystkiego widać, z Petersburga podniecają ten ruch niby narodowy, aby dawnej Polsce raz na zawsze odjąć jej uroszczenia do tych ziem ruskich. Wszystko jest tam więc dzisiaj zwrócone przeciw Polsce i jej dziejom. Kostomarów, Szewczeńko, Kulesz pracują niezmordowanie nad tem, a rząd pośrednio dopomaga im. W głębi jednak tej całej sprawy jest wcale coś innego. Przewódzcom chodzi dzisiaj o rozbudzenie ducha narodowego, a rozbudzają go takiemi środkami, jakiemi dzisiaj mogą. Gdy jednak to wszystko dojrzeje, wtedy zmienia front cała sprawa i występuje przeciw caratowi. —

Korybut myślał nad tem chwilę a potem rzekł:

— I ty w to wszystko wierzysz?

— Wcale nie — grunt tej sprawy jest wprawdzie nieszlachetny —

— To wydaje mi się tak, jakby kto swoje ogary zaprawiał na cielętach sąsiada, aby potem razem z nim w lesie

na dzika polować. Rozumie się że ogary zamiast na dzika uderzyć, wrócą się do tłustych cieląt sąsiada!

— Bardzo trafne przyrównanie — ale ja wierzę w chwilowy sojusz! — W Petersburgu oczekują ważnych, bardzo ważnych wypadków. —

Korybut zamyślił się. Po długiem milczeniu rzekł do Karola:

— Jam żołnierz, mój drogi i do tego stary człowiek. Ja tych sztuk nie rozumiem. Umiem patrzeć w oczy nieprzyjacielowi, ale grać z nim w straszaka nie umiem... I w jakimże to związku stoi z tutejszem ruskiem stronnictwem?

— Otóż właśnie chcę użyć tej sposobności, aby to stronnictwo, a przynajmniej ich przewodzców przyprzeć do ściany. Jestem pewny, że w takim razie padnę ofiarą, ale tym sposobem wszystkim poczciwym Rusinom otworzę oczy.

— Więc i ciebie pali już ta żądza ofiary, która tam za Wisłą cudów dokazuje? — zawołał Korybut wziąwszy Karola za rękę.

Karol zamyślił się. Potem rzekł:

— Żądza ofiary jest świętą, jeśli ma przed sobą cel odpowiedni ofierze.

— Jeśli tak, już więcej z tobą o tem mówić nie chcę. Mógłbym się nie zgodzić z tobą. To ci tylko powiem: strzeż się szału, bo szał a potrzeba poświęcenia się, to jak niebo od ziemi. —

Rzekłszy to zbliżył się do Karola, a ucałowawszy go w czoło, szybko wymknął się z izdebki.

Karol spakował swój tłumaczek i kazał służącemu zanieść go na wskazane miejsce. Sam zaś ubrał się po podróżnemu i siadł na sofce, jakby czekał na kogoś. Zwolna powiódł okiem po kątach swojej izdebki. Ileż to marzeń, ileż cierpień doznało się w tej izdebce! Ileż to razy z tego okna patrzał z bijącem sercem na przechodzącą Helenę! A czemże jest dzisiaj u niego wspomnienie tej kobiety? Wzdrygnął się tylko, jakby jaki płaz zimny przepełznął przez pierś jego... Potem długo, długo jeszcze myślał i marzył...

Wreszcie otworzyły się drzwi, a do izdebki wszedł jakiś

nieznany mężczyzna z twarzą gładko ogoloną. Grocki postąpił ku niemu i rzekł:

— Możemy iść — zapewnie już są wszyscy zebrani, bo uwiadomiłem ich. —

I wyszli obaj, i szli obok siebie długo w milczeniu. Wreszcie zatrzymali się przed jakąś starą kamienicą i weszli w duże, starożytne drzwi.

W obszernej sali zastali już liczne zgromadzenie. Byli tam ludzie różnego rodzaju. Bliżej nie będziemy ich opisywać. Między zgromadzeniem było wiele świeckich osób, byli także i wiejscy księża, jak to z ogorzałych ich twarzy poznać można było. Wszyscy mówili z sobą po rusku, a ci co nie umieli, milczeli.

Gdy Grocki wszedł z nieznajomym, zrobiła się cisza uroczysta. Przedstawił gościa z Kijowa a potem zabrał głos:

— Panowie! Dzieje wykazują nam sojusze najdziwaczniejszego rodzaju. Dla czegóż my bracia jednej matki, która tak długo tuliła was pod swemi skrzydłami —

W zgromadzeniu zrobił się głuchy szmer. Grocki mówił dalej:

— Wy tego nie uznajecie, prawda — wy mówicie, że to sęp żarłoczny trzymał was tak długo w szponach swoich... Ale dajmy teraz pokój temu. Chcecie być Rusinami, chcecie tworzyć osobny naród — sit sibi! Ale zważcie, że tam za Dnieprem, ku Azji są także Rusini i dzisiaj chcą także być osobnym narodem. Nie wiem, jaką tam w zanadrzu macie kartę przyszłej Europy i wiele tam nakreśliliście osobnych ruskich narodów, i w konsekwencji, osobnych ruskich mocarstw. My w dziejach naszych znamy tylko jedną Polskę, chociaż tę wielką włość naszą moglibyśmy podzielić na małe folwarki Mazurów, Litwinów, Żmudzinów, Wielkopolanów, etc. Gdyby nam szło o dobre wydzierżawienie naszej ziemi, to możebyśmy to i uczynili. Sądzę jednak, że nikomu z was nie chodzi tutaj o zyski z dzierżawy — —

Znowu głuchy szmer powstał. Grocki mówił dalej:

— A więc przystąpmy do rzeczy. Ruś kijowska poczuwa się do narodowości swojej i występuje do walki z caratem. Wkrótce mogą tam zajść wypadki, które zwrócą na siebie

uwagę całej Europy. Chodzi teraz o to, czem wy w obec tego ruchu być chcecie?... Czy jesteście narodem osobnym, którego granicę stanowią Zbrucz i kordon rosyjski, czy jesteście częścią tego narodu, który tam w Kijowie gotuje się do walki z caratem, a który dla zbadania sprawy tej przysłał tu swego wysłannika! —

Grocki wskazał na nieznajomego. Tymczasem w zgromadzeniu powstał wielki rozruch. Jak fala wody trącona niespodzianym wiatrem, ruszały i mięszały się głowy zgromadzonych. Kilka z nich zbliżyło się z cicha do drzwi, aby niepostrzeżenie wynieść się z sali. Widząc to Grocki, uśmiechnął się z ironją i rzekł:

— Panowie! nie lękajcie się! W waszych memorandach do rządu mówicie zawsze o Polakach jako o rewolucjonistach. Ja tutaj, nic wam nie mówię o rewolucji. Mówię tylko o sympatji narodowej. Wszak i żydzi sympatyzują z sobą we wszystkich dzisiejszych mocarstwach, a przecież żadnemu mocarstwu nie przyszło do głowy, wziąść swoim żydom to za zbrodnię stanu, że z żydami za kordonem sympatyzują. A więc powiedzcie, czem jesteście? czem chcecie być?... bo w pewnym razie sprawy nasze dadzą się pogodzić, choćby tylko chwilowo. —

Tu wystąpił wysłannik kijowski i w języku małoruskim miał długą do wszystkich przemowę. Mówił długo i szeroko o caracie, o ruchu w Kijowie, o celu i znaczeniu tego ruchu. Dalej mówił o zadaniu i znaczeniu tutejszych Rusinów, o ich niepolitycznem stanowisku względem Polaków i względem ruchu na Rusi nadnieprzańskiej... mówił wiele, bardzo wiele, a Grocki słuchał go, i coraz więcej rozogniała się twarz jego. A gdy wysłannik coś mówił o krokach stanowczych, o potrzebie wzajemnego porozumienia się, o wysłaniu z tego grona kogoś za kordon... powstał w zgromadzeniu wielki krzyk i hałas, że dalej już nic zrozumieć nie było można. Całe zgromadzenie podzieliło się na trzy kupki i wszyscy naraz mówili. Jedna kupka, najpoważniejsza wiekiem i pozycją toczyła się zwolna ku drzwiom i powoli i powoli malała, aż zupełnie gdzieś znikła. Druga kupka uciekła pod okna i jednosylabnie z sobą rozmawiała. Trzecia złożona z młodszych

nieco i z kilku proboszczów wiejskich, została się na środku i przychylała się do tego, co mówił wysłannik. Porfiry był między nimi. Ale i ta kupka malała coraz więcej. Grocki z uśmiechem ironicznym patrzał na to wszystko. Po chwili rzekł:

— Panowie! Jednę z tych misyi, o której mówił wysłannik kijowski biorę ja na siebie. Wybierzcie z waszego grona drugiego.

Cisza grobowa nastała w całem zgromadzeniu. Coraz więcej pusto było w sali. Twarze pozostałych były jakoś tak wystraszone! Grocki przypomniał sobie słowa oweg wysokiego mężczyzny w ogrodzie jezuickim. „Oni szukają śladów lwa. Ale gdy im kto samego lwa okaże, odpowiedzą ze strachem: My nie szukamy lwa, tylko jego śladów!“

Porfiry powiódł okiem pełnem pogardy po tych szerokich, mięsistych twarzach, a potem rzekł:

— Panowie, ja ofiaruje się do tej misji. —

Nikt na to nic nie odpowiedział. Tylko kilku młodszych i kilku wiejskich proboszczów podało mu rękę.

Grocki wziął Porfirego i wysłannika za rękę i szepnął im do ucha:

— Radzę wam, abyście już dzisiaj nie wracali do siebie. Ja to samo uczynię. —

Obaj z zadziwieniem wypatrzyli się na Grockiego. Tenże mówił dalej:

— Nie chciejcie doświadczać, co za ludzie wcisnęli się de sprawy waszej. Możecie pokutować za to, o czem może nie myślicie. Obaczysz to później Porfiry, obaczysz to na mnie, a może i sam na sobie. —

Rzekłszy to, poszarpnął wysłannika za rękę i wyszedł ze sali. Porfiry zdumionem okiem patrzał za nimi.

Rozmówiwszy się jeszcze z tymi, co zostali, wyszedł z pustej już prawie sali i zamyślony puścił się ulicą. To co dzisiaj widział w całem tem zgromadzeniu, wcale go nie zbudowało. Słowa Grockiego utkwiły mu także w duszy i dziwne jakieś budziły w nim przeczucia. Zaczął powoli rozglądać się w całej swojej sytuacji. Wiele tam spostrzegł, z czego wcale nie był kontent.

I tak pogrążony w tych myślach zdążył do zajazdu „pod żelazną koleją.“ W progu obaczył jakiegoś nieznajomego człowieka i słyszał, że tenże o niego się wypytywał wchodząc w nader drobne szczegóły. Przypomniał sobie nagle ostatnie słowa Grockiego. Odwrócił się i poszedł na plac Gołuchowskich. Jakaś nieodgadniona obawa opanowała go, chociaż w gruncie rzeczy nie poczuwał się do żadnej widocznej winy. Mając na względzie misję swoją i nie chcąc wyjazd swój niepotrzebnie odwlekać, uznał za rzecz stosowną ustąpić się z drogi tym, co go szukali. Poszedł więc do znajomego i tam noc przepędził, układając plany dalszych kroków swoich.

Nazajutrz wyszedł na miasto, aby jeszcze odwiedzić kilku znajomych i z nimi się porozumieć. Ale w mieście tu i owdzie obaczył coś niezwykłego. Znajomi dalsi, przechodząc koło niego, szeptali sobie coś do uszu i dziwnie się uśmiechali. Jednemu i drugiemu podał rękę na ulicy, ale jeden i drugi ukłonił się grzecznie i zręcznie ominął go. Porfiry przeczuwał coś strasznego. Wpadł jeszcze tu i owdzie, ale nigdzie nie przyjęto go. Zburzyła się w nim wszystka krew, zaciął usta i pięści. Nie mógł na żaden sposób tego sobie wytłumaczyć.

Wreszcie wpadł do domu Wyrwiczów. W salonie stały różne paki i kufry. Służba krzątała się. Pani Wyrwiczowa stała na środku blada jak statua z alabastru. Zimnym, a nawet pogardliwym wzrokiem zmierzyła Porfirego.

— Zapewne szukasz pan męża mego — rzekła z dumą na czole — nie ma go już we Lwowie. Jestem przekonana, że z nim pan się nigdy nie zejdziesz! Drogi wasze nie schodzą się. —

Słowa te wymówione uroczyście, tem większą były dla Porfirego zagadką. Stał nieruchomy jak posąg. Tymczasem z drugiego pokoju ozwał się krzyk kobiecy. Był to krzyk Dosi, która w kurczach leżała.

Porfiry nie zważał w tej chwili na formy towarzyskie, tylko prosto wpadł do drugiego pokoju.

Biedna Dosia leżała na sofce w boleściach. Jej śliczne oczy zaszły łzami. Nad nią pochylona była Walerja. Obaczywszy Porfirego zerwała się Dosia z sofki i chwyciła go za rękę.

— To wszystko nie prawda! Porfiry! — zawołała śród

płaczu, to nie prawda! Tyś tego nie uczynił! Ty nie mógłeś być tak podłym! —

— Podłym? — jęknął Porfiry.

— Ach wszystko, wszystko wiedzieli! A to były tylko pozory! — zawołała córka plebana.

Porfiry stał jakby piorunem rażony. Coś nagle zaczęło mu świtać w głowie. Potem zerwał się i wybiegł z salonu.

Na schodach spotkał Korybuta. Chciał coś z nim mówić, ale Korybut odwrócił się od niego.

— Na miłość Boga! Co się stało! — zawołał.

— Ktoś plotek narobił — rzekł spokojnie Korybut. — Za Grockim już wszędzie szukają, ale jakoś umknął. Wyrwicz wyjechał także, bo musiał. Kobiety wybierają się za nim. A Dosię mój panie Porfiry, biorę tymczasem na moją opiekę. Umieszczę ją na Łyczakowie, u jednej poczciwej kobiety. —

Rzekłszy to odwrócił sie od Porfirego. Porfiry prawie bez zmysłów zbiegł ze schodów. Na ulicy spotkał go Szreyer i coś chciał z nim o sprawie mówić, ale Porfiry odepchnął go od siebie i pobiegł dalej. Zawadził znowu o Szejkę, który jak „ze swoim“ chciał się z nim przywitać, ale Porfiry splunął mu pod nogi i poszedł dalej.

I nie zatrzymał się aż pod św. Jurem.

Wuj powitał go z słodkawym uśmiechem. Porfiry w największem wzburzeniu opowiedział mu, co go na ulicy i w domu Wyrwicza spotkało. Co wysłuchawszy wuj rzekł do niego:

— Wczorajsza gadanina i szeląga nie warta. Nam tego wcale nie potrzeba, a jeśli ty innego jesteś zdania, to proszę cię abyś przestał do mnie chodzić i mnie znać. —

Porfiry wypatrzył się na wuja, jakby słów jego nie zrozumiał. Po chwili mówił wuj dalej:

— A co do Wyrwicza, cóż tobie do tego? Tam bywali różni ludzie, nie ty sam. Najgorzej się stało, że ci ta tłusta gąska uszła. Chciałem cię wykierować na człowieka, ale ty sam wszystko popsułeś. Odejdź odemnie i daj mi pokój. Radzę ci, jedź do Zahorzec i odbierz majątek na siebie. To będzie najlepsze, co zrobisz. —

Porfiry nie mógł przyjść z osłupienia do siebie. Po

niejakim czasie wspomniał coś o wysłanniku kijowskim i o jego radach pojednania się. Na to zmarszczył brwi wujaszek i rzekł:

— Takich sojuszów ja nie pojmuję. Rusini są lojalni poddani, a Polacy rewolucjoniści. I chcesz wodę z ogniem pogodzić? A zresztą słuchaj, powiem ci bajkę: Chłop miał węża w chałupie i miał szczęście i dostatki. Za to karmił węża mlekiem. Wzbogaciwszy się, zaczął wężem pogardzać, a nawet zabić go chciał. Chybił jednak, i tylko ogon odciął mu toporem. Wąż uciekł. Na chłopa spadło nieszczęście. Zbiedniał i znędzniał. Będąc w biedzie poszedł do nory węża i zaprosił go znowu do swojej chałupy, obiecując mu mleka. Ale wąż odpowiedział: A nie masz ty topora pod pachą? Ja ci już nie ufam i nie chcę twego mleka! —

I roześmiał się dowcipnie wujaszek i spojrzał na Porfirego. Ale Porfiry wziął go za rękę i rzekł:

— Wujaszku! Wąż głupi, strasznie głupi! Dla czegóż on chłopu nie ufał? Wszak go chłop nie chciał zabić, bo miał już doświadczenie, że mu z nim szczęściło się w chałupie! —

Rzekłszy to wypadł z pokoju a wuj z otwartą gębą i z miną dziwnie śmieszną patrzył za nim.

Porfiry był do gruntu duszy wzburzony. Jakaś żmija szarpała go za serce. Śród tych dziwnych uczuć swoich, przypomniał sobie, że przed wyjazdem z kraju, potrzeba mu odwiedzić swój majątek, pocieszyć się wspomnieniami młodości i duszę rozdartą ukoić widokiem tego ludu poczciwego, dla którego sprawy on dzisiaj, wszystko, a nawet siebie poświęcał.

I ułatwiwszy jak najprędzej potrzebne do misji swojej interesa, żydowskim wózkiem udał się do Zahorzec.

X.

W Zahorcach było dzisiaj gwarno i tłumno. Ks. Petryk odbywał zaręczyny najstarszej córki swojej. Stara plebanja nie mogła pomieścić gości, którzy z całej okolicy zjechali się na tę uroczystość.

Już to nieraz, jeszcze za czasów ks. Onufrego, była ta plebanja także przepełniona gośćmi. Ale jakże inny przedstawia ona dzisiaj widok! Za ks. Onufrego byli tu wszyscy sąsiedzi, bez różnicy, czy należeli do kościoła, czy do cerkwi. Byli także i okoliczni tak zwani dziedzice i posesorowie, bo wszyscy czcili i poważali starego plebana. I wszystko to było w zgodzie braterskiej, razem u jednego stołu używało darów bożych. Dziś jednak wszystkiego tego nie było. Nawet łacińskiego księdza z Podgórza nie było, który za ks. Onufrego wydeptał ścieszkę do Zahorzec, będąc codziennym jego gościem!... Dzisiaj w plebanji Zahoreckiej byli tylko sami księża obrządku wschodniego i kilku alumnów i kilkunastu uczniów z Starego grodu z czapkami kozackiemi. Wszyscy rozmawiali po rusku, a tu i owdzie odbijało się o uszy złowrogie słowo: Lachy!... Kilku sędziwych plebanów stało w kącie. Patrzali na siebie i wzruszali ramionami. Biedni, im nie wolno było odezwać się tu ze zdaniem swojem. Ks. Onufry stawał im przed oczy jako przykład.

Nadszedł wieczór, a całe towarzystwo zasiadło w koło

dużego stołu, na którym właśnie postawiono olbrzymie misy. Najprzód dobranym chórem odśpiewano: „Mnohaja lita“, ale komu, o tem gospodarz nic nie mówił. Każdy w duchu pomyślał sobie, o czem mu nie powiedziano.

Zabawa śród długiej, sutej wieczerzy szła wesoło. Charakterystycznem było, że przed drugą szklanką wina mówili wszyscy po rusku, ku wielkiemu umartwieniu panien, którym komplimenta w języku ruskim jakoś rubasznie wyglądały. Trzeba jeszcze wiedzieć, że żona ks. Petryka, czy Petrykowa, była obrządku łacińskiego, i cała ta ruszczyzna jakoś nie zdawała się kwadrować do kapelusza z strusiemi piórami, który dla narzeczonej kupiła we Lwowie u Lundy. Nawet i bohaterka dnia dzisiejszego, panna Paraskiewia, w sukni szerokiej „à la Eugénie“ z wachlarzem w ręku, rozmawiając po cichu z narzeczonym swoim, używała ukradkiem polskiego języka, bo na zapytanie swego przyszłego męża: „Szczo ty howorysz?“ jakoś wstrzęsła się jej suknia à la Eugénie i rozczepierzył się jej wachlarz z indygnacji, że to jakoś nie wyglądało po europejsku.

I tak na szarym końcu, gdzie siedziały kobiety, śród gwaru i głośnej rozmowy od drugiej strony stołu, zaczął się zwolna szerzyć język polski. Pierwsza dała początek żona plebana z Sosenki, która za czasów panieńskich była gdzieś w pensjonacie i grała na klawikordzie. Przy takiej edukacji jakoś niewłaściwym wydał jej się język ruski. Mówiła o powieściach Kraszewskiego, które dał jej do czytania rządzca Sosenki. Za nią poszła pani Makryna, żona proboszcza z Badylicza, która miała na sobie suknią z czarnej mory. Zdawało się jej, że mora „à l'antique“ i język ruski nie powinny iść w parze. W domu u siebie, gdy miała szlafroczek cycowy, to jakoś to jeszcze uchodziło. Pani Ahapia, jej sąsiadka, urodzona w górach, między ruskim ludem, nie mówiła nawet poprawnie po polsku, bo żadnych nauk nie odbyła. Zdawało się jej jednak, że siedząc między suknią z mory „antique“, a czytelniczką Kraszewskiego, nie wypadało jej mówić po rusku, tak jak się mówi do Paraski, Marynki i Jewdochy w plebanji Suszyńskiej. Do tego rozkrzewienia języka polskiego przyczynili się i ka-

walerowie o czapkach kozackich, sięzdzący naprzeciw kobiet. Jakoś jeden i drugi kompliment do czarnych oczek Aftanazji i Pelahji wcale się nie poszczęścił w języku ruskim. Jakoś wyglądał chropowato, rubasznie, a panienki skrzywiły się, jakby im kto octu do ich ładnych buziaczków nalał. Spostrzegłszy to „mołojce,“ wzięli się do słów polskich i jakoś lepiej im się szczęściło, jak to z prześlicznych dołków panny Aftanazji, a z oczek panny Pelahji, filuternie strzelających, dokumentnie widać było. I tak im głośniejszy na starszym końcu stołu toczył się rozhowor, tem więcej szerzył się na szarym końcu język polski i powoli coraz dalej dążył do sędziwych proboszczów i wciskał się w ich usta, wyższym roskazem starannie zaciśnięte.

A nawet na starszym końcu stoła siedzący byli czasem w kłopocie z ruską swoją mową. Często, gęsto brak im było słowa na wyrażenie swoich myśli. Wtedy jedni pożyczali je z niemieckiego, inni przypadkiem z polskiego, a ks. Petryków bez ogródki i jawnie kradł z rosyjskiego. Ks. Bazyli np. w dziwnem był położeniu. Miał dwóch synów i jedną córkę. Synowie nazywali się Iwan i Hrehory a córka Marja. Jednego syna w tak licznem zgromadzeniu nie wypadało nazywać „Iwasiu“; „Hrehorym“ nazywał się jego furman, a „Maryna i Maruszka“ nie kwadrowało jakoś do panienki w europejskiej krynolinie. Więc długo medytował nad tem poczciwy ks. Bazyli i wreszcie znalazł doskonałe medium, między polskiem a ruskiem. To jest nazywał ich z niemiecka: „Johann, Gregor, Marie.“ Jakkolwiek bardzo pociesznie to wszystko brzmiało śród ruszczyzny, jakkolwiek kilku sąsiadów zwracało na to uwagę ks. Bazylego; ks. Bazyli z chmurą na czole odpowiadał wszystkim, że w sprawach wewnętrznych domu swego jest on panem, i że do wewnętrznej jego polityki nikt nie powinien się mięszać.

Mimo tych wszystkich niewygód bawiła się jednak wesoło ruska drużyna, nie zważając wcale na to, że po drugiej, trzeciej szklance wina zaczęła strasznie polaczyć. Polski bowiem język szerzył się co raz więcej, jak chwast przez djabła rzucony, a ks. Petryk tak się nawet zapomniał, że

do pani Makryny zagadał po polsku, a nawet podgarnąwszy czuba zanucił:

Kazała mi pani matka proso żąć —
Pokochałem dziewczynę nie mogę ją wziąć!...

I tak zwolna, powoli, im swobodniej języki w gębie się obracały, im szybcej serca biły, tem więcej ginęły gdzieś słowa ruskie, a język polski rozpościerał coraz więcej swoje panowanie w plebanji ks. Petryka...

Spostrzegł się wreszcie ks. Petryk i krzyknął:

— A to szczo! Czy nas didko omamyw! Czy my Lachy, szczo besidujemy po polskie? Pek, pek, pek! idy do didka! —

I przeżegnał się wielkim krzyżem trzy razy i nad głowami całego zgromadzenia zrobił gest, jakby złego ducha egzercyzmował. Starszy koniec pochylił głowy na piersi, bo czuł się winnym grzechu. A Bazyli, już dobrze podochocony, wyciągnął kościstą swoją rękę i głośno, jak w beczkę uderzył w piersi, wołając głosem donośnym:

— Pomiłuj mia Hospody, iżem sohriszych! —

Pani Makryna jednak i pani Ahapia nie dały od siebie odpędzić złego ducha, i rozmawiały dalej po polsku. Nawet kilku mołojców o czapkach kozackich mówiło dalej z cicha tym samym językiem do panien „Marie“ i Pelahji. Starszy koniec chciał jednak przekrzyczeć to wszystko, i coraz głośniejszy stawał się rozhowor.

Milczący dotąd ks. Artemi zaczął teraz jakieś długie kazanie. Wszyscy wypatrzyli się na niego, bo ks. Artemi była to postać imponująca. Miał on probostwo w samych górach. Zdala od świata, zapuścił wąsy, brodę i długie na ramiona spadające włosy. Włosy krucze i bujne rozdzielił na środku i starannie je pielęgnował, jak to widział u popów rosyjskich r. 1849 podczas kampanji węgierskiej. Od tego czasu nakazał diakowi w służbie bożej wszędzie wymawiać *a*, gdzie dawniej było *o*. Nigdy nie odpowiedział diak inaczej jak tylko: Hospody pamyłuj!

Otóż tenże ks. Artemi powstał teraz i szeroko zaczął prawić. Ks. Petryków z zazdrością patrzał na jego wąsy, brodę i długie kędzierzawe włosy. Zapuścił on wprawdzie

także wąsy i brodę, ale włos zaledwie dopiero na cal wyrósł i sterczał jak ścierń na żytnisku. Toż muskał go i targał ks. Petryków i uśmiechał się na widok ks. Artemiego, który był jego ideałem.

Ks. Artemi prawił tymczasem o skażeniu liturgji wschodniej, o zlanityzowaniu się Rusinów. Oburzał się, że w niektórych cerkwiach są apostoły rżnięte z drzewa, że dzwonienie dzisiejsze podczas mszy jest herezją i że unja zupełnie chybiła celu, bo zamiast połączyć, odebrała charakterystyczną cechę wschodniemu wyznaniu. Dalej mówił, że czas aby z wschodniego kościoła wyplenić ten chwast rzucony w liturgję przez łacinników. Wykazywał sprzeczność i bezsensa zreformowanej na sposób łaciński liturgji. I tak rozdający świętą komunję ksiądz powiada: So strachom bożym i so wiraju prystupite, a jakże mogą ludzie przystąpić, kiedy łacinnicy klęczeć im każą!... I wiele jeszcze innych rzeczy prawił ks. Artemi, biorąc przenośnie w rzeczywistem znaczeniu słowa i budując na tem całą swoją krytykę i potrzebę powrotu do czystej, wschodniej liturgji...

Wszyscy słuchali go z uwagą, ale żaden nic nie odpowiedział. Jedni się z nim zupełnie zgadzali, drudzy oponować nie chcieli, bo nie wiedzieli skąd ten wiatr wieje, a przykład ks. Onufrego stał im żywo przed oczyma. Tylko ks. Petryków nagarnął czuba i uśmiechnął sie do ks. Artemiego. Zdawało się, że za plecyma ks. Artemiego widział ks. Petryków coś więcej, jak tylko cień jego. —

Z kolei podniósł się ks. Bazyli i zaczął mówić. Mówił o sprawie ruskiej. Zachęcał towarzyszów do wytrwania na polu walki i do prenumeraty mającego wychodzić pisma ruskiego we Lwowie. Według niego sprawa ruska była sprawą ludu, a sprawa polska sprawą szlachty. O polskim narodzie nic zgoła nie wiedział. Nędzę i ucisk ludu odmalował w tak jaskrawych kolorach, że słowa jego paliły jak lunt rozżarzony, przyłożony do podsypki prochu.... i zakończył na tem, że celem sprawy ruskiej jest lud uszczęśliwić, dać mu lasy i pastwiska, sól tańszą, a księżom lepszą kongruę. Politycznego znaczenia nie miała u niego sprawa ruska, bo ks. Bazyli ograniczył ją do sprawy socjalnej. W taki sposób

kazał on także ludowi z ambony i wszystkie jego cierpienia odnosił do panów. I zakonkludował że w skutek takich jego nauk podnosi się duch ruski między ludem coraz więcej. Już zaczynają jego parafianie czuć różnicę między wyznaniem łacińskiem a wschodniem, czego pierwej nie bywało, a nawet w sąsiedniej karczmie, gdy przyjdzie do bitki, to już nie biją się między sobą jak wprzódy na chybił trafił, ale oddzielają się porządnie od Polaków (chłopów wyznania łacińskiego) i na takowych razem uderzają. Panom już nic a nic nie wierzą i trzymają się kupy, czego pierwej nie bywało.

Siedzący przy starszym końcu podnieśli szklanki do góry i wypili na cześć skonsolidowania się żywiołu ruskiego.

Po ks. Bazylim wystąpił ks. Joakim i prawił długo o wadach dzisiejszego uspołecznienia. Był on tego zdania, że gromady wiele krzywd ucierpiały od dworów, że wszystkim ulepszeniom panowie stoją na zawadzie, i że świętym obowiązkiem jest księży, stanąć na czele tego ludu biednego i być jego rzecznikiem.

Siwowłosy staruszek ks. Timofej, który dotąd milczał, powstał teraz i podjął poruszoną przez swego poprzednika kwestję. Twarz jego była piękna, wyrazista. Podniósł drżącą od starości rękę do góry i zaczął długo, długo prawić. Najprzód mówił on, że Bóg Chrześcjan jest przedewszystkiem Bogiem Miłości, i że gdzie dotąd zgoda była i jedność, nie należy jej rozrywać. Mówił dalej o szczytnem zadaniu księży, aby byli obrońcami sprawy ludowej. Ale aby tego dokonać, trzeba wprzód oglądnąć siebie od stóp do głowy, czy ma się na sobie ową szatę świąteczną, o której tak pięknie mówi Ewangelja. Albowiem wiele jest zaproszonych, ale mało wybranych. A kto do tej świętej sprawy, jaką jest obrona ludu, nie bierze szat godowych, to jest czystego serca, ten będzie rzucony do ciemnicy jako świętokradzca!.... Dla tego napominał on towarzyszy swoich, aby chcąc przodować ludowi, przodowali mu najprzód w cnotach i dobrych uczynkach, aby go nie darli i nie gorszyli złemi uczynkami, bo Bóg Sędzia patrzy na to i wszystko zapisuje. Mówił dalej staruszek, że przyjacielskie stosunki wiązały go niegdyś

z najwyższym dostojnikiem cerkwi, któremu Ojciec święty do grobu dał kapelusz kardynalski. Otóż ten dostojnik kazał za życia swego wiele o zgodzie i jedności między mieszkańcami tego kraju, a umierając na łożu śmiertelnem zaklął wszystkich, aby do serc swoich nie przypuszczali żadnej pokusy. A nawet miał te słowa zgody napisać w swoim testamencie. I zakończył, że gdy tego wszystkiego dopełnią towarzysze jego, to sam lud ucieknie się pod ich skrzydła opiekuńcze, a Bóg Miłości z uśmiechem spojrzy na niwy ziemi ruskiej i odziewać ją będzie w złote kłosy pszenicy i żyta....

Od ks. Artemiego począł się szerzyć głuchy szmer, który coraz więcej rósł, zbliżając się do ks. Timofeja. Spostrzegłszy to staruszek, zacisnął usta i usiadł pogrążony w smutku.

Tymczasem szmer rósł coraz więcej. Powoli wylatywały z tego chaosu pojedyncze słowa oburzenia na poczciwego staruszka. Powiedziano mu, że trzyma z Polakami że panowie go kupili, że zdradza własną ojczyznę. Staruszek siedział smutny, wzrok jego tylko mówił: Kto między wami jest bez zmazy, niech pierwszy podejmie kamień i rzuci na mnie!....

Artemi i Petryków wystąpili najzapalczywiej. Mówili że zgoda to zbrodnia, że z odwiecznymi wrogami tylko walczyć należy. A gdy ktoś wspomniał, że w Warszawie krew się lała, powstał ks. Petryków i wzniół toast na zdrowie Cara Aleksandra!....

Coś strasznego było w tych kilku słowach. Kilku biesiadników odezwało się wprawdzie, ale głosy ich były jakieś takie dziwne, grobowe!...

Kobiety wstrzęsły się, jakby je coś przeraziło.

Nagle otworzyły się drzwi z wielkim łoskotem. Do izby wpadł diak Zahorecki. Miał na głowie włosy rozczochrane, surdut podarty. Na twarzy malował się wyraz dzikości.

Pochwycił flaszkę z wódką, która stała przy progu, i wypadł z nią do sieni.

Nikt nie umiał sobie wytłumaczyć tego dziwnego zdarzenia. Wszyscy z jakimś strachem patrzali po sobie.

W tej chwili usłyszano gdzieś w dali jakieś dziwne,

straszne głosy. Były one podobne do szumu występującej z koryta rzeki. Coraz głośniej, coraz straszniej odzywał się ten szum, coraz bliżej podchodził pod ściany plebanji. Biesiadujący zerwali się z miejsc swoich i przystąpili do okien.

A tam w dali... w dali, śród ciemnej nocy czerniło się coś i ruszało jakby jakie olbrzymie mrowisko. I gwar i krzyk jakiś dziwny nadchodził stamtąd, i tak coś było strasznego w tym widoku, że wszyscy mimowolnie przeżegnali się.

I zabłysło śród ciemnej masy jakieś małe, jasne światełko... rosło i szerzyło się coraz więcej, coraz jaśniej było śród nocy... a za małą chwilkę buchnęła krwawa łuna w wysokie niebiosa....

Paliły się gumna dworskie. Czerwone światło oświeciło ciemną, ruszającą się masę, były to gromady Zahorzec i Nahorzec.... Diak stał na czele z flaszką wódki....

Biesiadnicy wybiegli z plebanji. Do ganku wpadł Wasyl Dymus.

— A szczo to je? zapytał wystraszony ks. Petryków.

— A szczoby buło? odparł spokojnie Wasyl — Widberajemu Lacham, szczo nam Rusynam wziały. Taże jehomost' nam neraz kazaw, szczo my Rusyny, a Lachy to worohy. Tutkie wsio maje buty ruskie — a Lachy prycz! —

Z dalszego opowiadania Wasyla dowiedzieli się biesiadnicy, że obie gromady, zachęcone przez diaka Zahoreckiego, zebrały się dzisiaj, aby kopce graniczne wysypane nie dawno przez komisję serwitutową, rozrzucić, żeby lasy pańskie, które właściwie im się należą, wziąść w posiadanie: i że przy tej sposobności jakoś strzechę podpalono, co wcale nic nie szkodzi, bo to strzecha Lacha. Że się zaś od strzechy i dwór Lacha zajął, i w tem nie widział Wasyl tak wielkiego grzechu, bo przecież sam ks. Petryków często to im mówił, że Lachy napadli na ziemię ruską i rozgościli się jakby w swoim domu, skąd ich wypędzić trzeba. Wiele jeszcze w tym względzie nagadał im Spirydjon Hawruś, otóż to wszystko razem zebrała gromada w zbiorowej głowie swojej i uradziła,

że należy te wszystkie mądre lekcje raz zakończyć i z tego, co się stąd nauczyła, złożyć przyzwoity egzamin. I właśnie patrzał diak i ks. Petryków na popis uczniów swoich...

Postrach ogarnął wszystkich. Jedni rozbiegli się, aby czem prędzej z zagrożonej plebanji wyjechać — drudzy poszli do ognia, który coraz więcej szalał... A w koło gorejących domów stały pijane, szalone masy, wypotworzone dziką namiętnością... i wołały:

— Tutkie wsio bude ruskie — any odnoho Lacha! Nasze lisy i pasowyska! —

I śmiech piekielny, śmiech dziki rozległ się do koła.

W tej chwili na drodze od Staregogrodu pojawił się drugi tłum. Cepy i drągi sterczały do góry. W środku tłumu jechał wóz. Na wozie leżał związany i pokaleczony mężczyzna.

— A byjte lude, bo to Lach! — wołano od wozu.

Diak z zapaloną drzazgą pobiegł do woza i zaświecił w oczy leżącemu mężczyźnie.

— Hwałtońku! — krzyknął przeraźliwie — dajte pokij lude! To nasz pan Porfiryj!

Mimo to kilko cepów spadło na wóz, a Porfiry jęknął z boleści.

— Ne byjte lude! — wołał diak — to nasz didycz, pan Porfiryj!

— To Lach! — krzyknęło dziesięć gardzieli, i dziesięć cepów spadło na wóz.

— To Rusyn! prawyj Rusyn! — krzyczał diak zasłaniając Porfirego.

— Kożdyj didycz, to Lach! — wołali jedni.

— Toj Lach, szczo maje dwir w seli! — wołali drudzy —

— Szczo nam choczyt zabraty lisy i pasowyska! — wołała reszta.

— Byjte, byjte ho! — krzyczeli wszyscy — on didycz nasz, to Lach!

— Na pohybel z Lachamy!

— Wsio ruskie, szczo majut Lachy!

— Win tu pryjszow, by ludy ryzaty!

— Byjte, byjte Lacha!...

I nadaremnie diak się rozkrzyżował nad wozem, daremnie wmięszało się kilku odważniejszych księży, daremnie ks. Timofej ze łzami zaklinał gromady, że ten człowiek jest niewinny, i kto wie, jakby się ta scena tragiczna była zakończyła, gdyby w tej chwili nie usłyszano tentent koni i tuż nad sobą nie ujrzano marsowych twarzy huzarów. Dzierżawca bowiem, widząc jeszcze z wieczora, na co się tu zanosi, udał się do Starego grodu po pomoc wojskową.

I cała wzburzona, rozjuszona masa rozsypała się jak gruda suchej ziemi, ratując się ucieczką na wszystkie strony. Na pobojowisku zostały tylko cepy i drągi.

Gdy Porfiremu postronki z rąk zdjęto, obtarł twarz skrwawioną i spojrzał na swój majątek. Gumna i dwór stały w płomieniu, a z poza płotów wyglądały wypotworzone twarze tych, którzy go tak źle we własnym domu przyjęli!

Spojrzał na łunę w dalekich niebiosach i zalał się łzami.

— Czyż to w ten sposób ma sobie lud tłumaczyć ideę ruską? — rzekł z cicha do siebie.

Ale wnet ocknął się jakby ze snu i zawołał:

— Boże! Odpuść im, bo nie wiedzą co czynią! —

I zaraz nazajutrz nie chcąc być świadkiem komisji kryminalnej, która zjechała, aby sprostować skrzywioną nieco przez lud ideę ruską, wybrał się w podróż ku Zbruczowi, dokąd wołała go niezwłocznie misja jego.

XI.

Po tem zdarzeniu nie upłynęło więcej jak kilka tygodni. Ale w tych kilku tygodniach jakież to rzeczy podziały się w całej polskiej krainie! Od morza, do morza rozległ się jęk boleści z miljona piersi naraz wydany, a stara Europa obaczyła nagle naród wielki, potężny, o którym jej tyle nagadano, że już zaumarł!... I ruszyły się masy i uszykowały się do świętej pielgrzymki po ziemię obiecaną i szły z koroną cierniową na głowie, szły po ofiarach, które legły śród drogi, błagając o swobodę dla ziemi ojców!....

I cały naród jako jeden mąż ozwał się głosem miljonów i prąd nowego życia, nowych nadziei przebiegł od morza do morza. A naród był bez broni i tylko modlitwę i pieśń wziął z sobą do boju, i stanął pod płaszczem Boga z wiarą i ufnością, że musi zwyciężyć. I zdumieli się wszechwładni prokonsulowie i rozkazali liktorom swoim zniżyć do ziemi topory i pokłon oddać narodowi....

Był to poniedziałek, dzień ósmego kwietnia. Na ulicach Warszawy snuły się tłumy w żałobnych szatach. W ich twarzach, w ich spojrzeniach było coś nadzwyczajnego. Milczenie grobowe panowało wszędy, a jednak spojrzeniem rozmawiały z sobą i rozumiały się te masy stutysięczne, bo w ich sercach było tylko jedno uczucie, jedna myśl ożywiała ich...

Wszyscy żałobą byli zewnątrz okryci, z głębi jednak duszy wybijała się jakaś radość niepojęta, jakieś przeczucie, że

Bóg-Sędzia policzył już dni pokuty i boleści, i że wkrótce stanie się zadość nadziejom wszystkich!

I gdzież to szły te tłumy tysięcy? Jakież było ich hasło? Czy szły szturmować arsenał, jak przed laty trzydziestu, aby pochwyconą bronią rozszerzyć sobie koło swobód narodowych? O nie!.... Te tłumy tysięcy posuwały się z wolna wszystkiemi ulicami Warszawy i dążyły wspólną kierowane myślą w jeden punkt — w miejsce wiecznego pokoju, gdzie żaden szczęk broni nie dochodzi.... one dążyły na smętarz Powązkowski. Bo tam spoczęły ofiary narodu, tam był ołtarz Boga żywego, przy którym chciało uklęknąć sto tysięcy tych spokojnych pielgrzymów i błagać go o udzielenie swobód narodowych... To jedno uczucie kierowało całą masą, nikt tam nie przewodził, nikt nie wydawał rozkazów.

Cała Warszawa przybrała nagle cechę jakiejś starożytnej katakumby, zamieszkałej przez wyznawców wiary Chrystusowej, którym dotąd nie wolno było jawnie tę wiarę wyznawać... Ona miała już swoich męczenników, i u grobu tych męczenników modliło się dzisiaj sto tysięcy wyznawców...

A nie mieli oni żadnego wojennego sztandaru, tylko na czele niesiono godło Miłosierdzia Bożego, krzyż prosty, zbezczeszczony i połamany w owym dniu, kiedy naród złożył Bogu ofiarę z braci swoich....

Śród tych spokojnie snujących się tłumów szli dwaj, w równym wieku będący mężczyźni, szli ręka w rękę, jakby byli bracia rodzeni. Jeden był brunet, drugi miał jasne włosy. Obaj mieli łzy w oczach, a jakieś błogie natchnienie w twarzach. Oglądali się na wszystkie strony i w milczeniu ściskali się za ręce. Widok tych mas niezliczonych przejętych jedną myślą, jednem uczuciem, sprawił na obóch jakieś roskoszne wrażenie.

Wkrótce dopędził ich trzeci, już nie młody mężczyzna. Pochwycił jednego z nich za ramię i krzyknął:

— Co ja widzę! Mój Boże! Czy to prawda, czy mnie oczy łudzą? Grocki i Porfiry! I wy razem, ręka w rękę!...

— Wyrwicz! krzyknął Karol i rzucił się na szyję staremu znajomemu.

Porfiry cofnął się od nich o dwa kroki i oczy spuścił na

ziemię. Smutek osiadł nagle na jego twarzy. I Wyrwicz jakoś odskoczył na bok, jakby go coś odtrąciło.

Kilka chwil stali tak opodal siebie. Grocki pochwycił za rękę jednego i drugiego, zbliżył ich do siebie i rzekł:

— Możesz go uściskać panie Jakubie, jego dusza jest czysta... opowiem to później.

— Na słowo twoje wierzę ci — odparł Wyrwicz i serdecznie Porfirego uściskał.

Porfiry miał łzy w oczach i był smutny. Przyszła mu na myśl gromada Zahorecka....

Wyrwicz patrzał z uwagą w twarze obu a potem rzekł:

— Bladość na waszych twarzach świadczy, że mi coś wiele, wiele opowiadać macie. Pójdźcie do mnie — żona moja i Walerja mocno ucieszą się — myśmy myśleli, że wy tam w Kijowie już na wieki przepadli! —

Rzekłszy to zwrócił się w poprzeczną ulicę, a Grocki i Porfiry szli za nim w milczeniu. Przeszedłszy przez kilka domów przechodnich, stanęli wreszcie u wyjścia szerokiej ulicy „Krakowskie przedmieście", i weszli do „saskiego hotelu."

Pani Wyrwiczowa i Walerja rozpłakały się z radości, obaczywszy Karola, o którym dziwne krążyły pogłoski. Kilka słów ze strony Wyrwicza i Grockiego wystarczyło, że i Porfirego z tą samą przywitały radością.

A gdy usiedli zapytał Wyrwicz:

— Powiedzże mi drogi bracie, jakimże sposobem wpadłeś tam w łapkę w Kijowie?

— O wszystkiem wiedziano! — odpowiedział Karol — o tem co uczyniłem, gdzie byłem i u kogo jutro być miałem.

— To przecież rzecz dziwna! — zawołał Wyrwicz.

— Wiedziano adresy listów moich... wszystko, wszystko — dodał Karol.

— A Porfiry? — zapytał Wyrwicz.

— Z Porfirym tak samo stało się, jak ze mną — kubek w kubek — odparł z uśmiechem Grocki — teraz już wie, z kim miał do czynienia.

Porfiry był ciągle smutny i zadumany. A Karol opowiadał tymczasem szczegółowo wszystkie przygody wycieczki

do Kijowa, przygody Porfirego, wspólne uwięzienie i w końcu odmalował jaśniejszemi barwami cudowne uwolnienie z kazamat kijowskich. Przyjazd zaś ich do Warszawy był to tylko instynkt jakiś, który ich parł do tego punktu skoncentrowanego życia narodowego. Porfiry różnemi przygodami swemi w tej podróży był już prawie otrzeźwiony i innem zupełnie okiem patrzał na sprawę narodową. On miał teraz w duszy swojej dwa obrazy, jak naród budzi się do życia, jeden obraz była to owa pamiętna noc w Zahorcach, a drugi obraz właśnie teraz roztaczał się przed jego oczyma....

Jeszcze dużo, dużo mieli z sobą do mówienia, gdy dziwna z dala dolatująca wrzawa, jakby szum wrącego wewnątrz wulkanu, wywołała ich na ulicę. Pani Wyrwiczowa jakoś spazmatycznie uścisnęła męża na drogę, a łzy puściły się z jej oczu. — Szybko odwróciła się, aby łez nie okazać. I Walerja z jakiemś gorączkowem uczuciem ucałowała rękę ojca... zdawało się jej, że tej ręki nigdy, może już nigdy nie ucałuje....

Było to sporo po południu. Długi orszak pogrzebowy ciągnął się od kościoła OO. Reformatów. Młodzież niosła trumnę ubraną w kolory narodowe. Był to pogrzeb wygnańca Sybirskiego. Naród oddawał w nim cześć cierpieniom swoim. Wojsko stało jak mur nieruchome, tysiące pobożnych pielgrzymów przechodziło spokojnie, z pieśnią na ustach, a z wiarą w sercu obok tego bagnetami najeżonego muru.

Wyrwicz, Grocki i Porfiry przyłączyli się do żałobnego orszaku. Szli w milczeniu, ze łzą w oku, bo na to, co widzieli, nie mieli ani słów ani wyrazu. Porfiry coraz więcej był zamyślony. Mimo woli stawał mu przed oczyma obraz gromady Zahoreckiej, która poczuwszy się do narodowości wołała o „lisy i pasowyska“...

Wszyscy trzej przybyli na smętarz, przeszli obok silnych kolumn wojska rozstawionego przy rogatce i zdumieli się widząc jak kilkunastotysięczny tłum bezbronny ocierał się o nieruchomą ścianę wojska i nie zadrgnął, ani się nie zmięszał...

Po skończonym obrzędzie wziął Wyrwicz Karola i Porfirego

pod ramię i w milczeniu prowadził ich długo, długo. Obaj byli nieświadomi Warszawy i nie wiedzieli, gdzie idą...

Po długim czasie ujrzeli się blisko smętarza żydowskiego. Na smętarzu czernił się tłum starozakonnych, kilkunastotysięczny. Żydzi byli w świątecznych ubiorach i odprawiali modły. W pośrodku tego nieprzejrzanego tłumu sterczał prosty kamień, który zdawał się być punktem centralnym całego zgromadzenia.

— Cóż to za obchód? — zapytał Porfiry, pragnąc nadaremnie ogarnąć okiem tę piękną i wzniosłą scenę, oświeconą światłem wieczornem.

Wyrwicz wziął Porfirego za rękę i uroczystym rzekł głosem:

— Ten szary kamień, to grób rabina Eisenbauma. Słynął on między swymi jako prorok i całe życie swoje pracował nad połączeniem i braterstwem dzieci jednej ziemi różnych wyznań, i przepowiedział żydom to połączenie, które krwią ma być zapieczętowane. —

Porfiry zniżył rękę i wzrok spuścił na ziemię. Pierś jego podniosła się, jakby z niej ulatywał duch nieczysty, który jak długo żywił się szlachetnem jego sercem...

I Wyrwicz zamyślił się, a po chwili rzekł, jakby do własnych myśli swoich:

— Musi to być wielka roskosz, roskosz ofiary narodowej!... Tak mnie coś w duszy niepokoi, tak mnie coś rwie, gdzieś daleko, daleko — —

W tej chwili w stronie miasta usłyszano strzały ręcznej broni. Potem huknęły działa z cytadeli i kilka rac ognistych strzeliło w powietrze.

Wyrwicz chwycił obu za rękę i pędem szli wszyscy ku miastu...

Jakiż to widok uderzył ich oczy zaraz na Miodowej ulicy! Więcej jak stotysięcy ludu napełniło wszystkie zbiegające się tu ulice. Wojsko uderzyło na lud. Lud stał nieruchomy jak mur, lub klęczał wznosząc do Boga bezbronne ręce...

I padały ofiary i krwią broczyły kamienie ulic. A lud stał i ani drgnął, jak stoi ofiara przed nożem ofiarnym...

A na czele ludu stał ksiądz z krzyżem i krzyżem Chrystusa zasłaniał lud bezbronny, lud śpiewający do Boga miłosierdzia...

I zachwiał się krzyż Chrystusa, bo zachwiał się kapłan boży, i padł zbroczony krwią. Inna ręka chwyciła za krzyż, ale i ta zachwiała się — i wkrótce martwa leżała na kamieniach ulicy. W tem przedarł się przez szereg klęczących żyd z długą, siwą brodą, chwycił za upadający krzyż i wysoko wzniósł go po nad głowy chrześcian...

Była to wielka uroczysta chwila. Tysiące piersi westchnęło do Boga, a wyznawca Mojżesza trzymał w ręce krzyż chrześcijański!...

Grocki rzucił się Porfiremu na szyję, a wziąwszy Wyrwicza za rękę, zawołał:

— Patrz Porfiry! Tak upomina się naród o swoje swobody! Patrz to jest naród — jedno w nim serce — wyznania nie różnią go!... Patrz Porfiry, to potęga narodu polskiego! On tu stoi, a śmierć przed nim, i ani oczu nie zmróży... bo on jest narodem, ma dzieje swoje... Słuchaj, czego on pragnie, za co on ginie!... On nie woła o „lisy i pasowyska“!... Porównaj teraz mój drogi te dwa obrazy: Gromady ruskie i naród polski... Zahorce i Warszawę! —

W tej chwili zachwiał się starozakonny z krzyżem i padł na ziemię. Krew jego zmięszała się z krwią kapłana...

Porfiry pospieszył do krzyża i już jedną ręką ujął go — w tem pociemniało mu w oczach, ciepły strumień krwi wytrysnął mu z piersi... zachwiał się i padł.

Przy nim padł drugi i trzeci. Byli to Wyrwicz i Grocki... Krew Porfirego zmięszała się z krwią Grockiego — krew jednego rodu, i wspólną obom oblała ziemię...

Za kilka godzin wszyscy trzej ranni byli już w cytadeli. Żyd tylko został na miejscu, trup z białą brodą, został na świadectwo zbratania się dzieci jednej ziemi, dzieci różnych wyznań...

I upłynęło znowu kilka tygodni boleści. Wszyscy trzej wyzdrowieli, i razem w jednej siedzieli kazamacie...

Dla kogóż byłby nowością opis smutnych powolnych dni w więzieniu, gdzie zegar tak powoli się posuwa, gdzie słonko boże tak długo wisi na niebie, gdzie noc taka długa, nieprzebyta!...

Takiego to czasu kilka tygodni upłynęło. Jedyną pociechą dla więźniów było, że razem cierpieli.

W tych to długich dniach i wieczorach rozmawiali wszyscy trzej o sprawach krajowych. Porfiry widział i doświadczył rzeczy, o których przedtem nie miał wyobrażenia. Wyklarowały się jego wyobrażenia o narodzie, i tylko smutno mu było, że mógł czas niejakiś zboczyć z tej drogi, obok której żadnej innej nie było. Wszedł on w jakieś manowce i bezdroża, ale teraz przejrzał i wszedł w siebie. Dla ludu ruskiego, jego języka i pieśni jego zachował w swojej duszy wielką miłość, ale razem z tym ludem, jego mową i pieśnią objął swem sercem szerszą ojczyznę, dziejowy naród. A Wyrwicz i Karol radowali się i ściskali go jak brata rodzonego...

Razu jednego wszedł dozorca więzienia i oznajmił Grockiemu i Porfiremu, że jako poddani ościennego państwa będą wypuszczeni i z granic cesarstwa rosyjskiego wywiezieni. Wyrwicz jako poddany rosyjski miał pozostać.

Po kilku chwilach okropnej boleści, jaką uczuli na myśl rozłączenia, zamyślił się Wyrwicz a potem rzekł:

— Karolu i Porfiry! Pójdźcie tu, niech was ucałuję. Ostatni-to mój pocałunek na czołach waszych... Wiem, że mnie wywiozą na Sybir. W lodach Sybiru nie zziębnie to serce, które was kochało i ojczyznę. —

Karol i Porfiry zapłakali, i Wyrwicz otarł łzę z oczu. Po chwili mówił dalej:

— Ale to serce kocha jeszcze kogoś... mam żonę i córkę. —

Tutaj nie mógł wstrzymać łez. Po chwili znowu się ozwał:

— Pokochałem was jak synów moich. Radbym był widzieć jednego z was mężem Walerji. Ale nieba inaczej

zrządziły. Dzisiaj krótka tylko zostawiona nam chwila. Chcę jednemu z was w opiekę dozgonną oddać córkę moją, ale obu was zarówno kocham i szacuję. Wiem, że Walerja mojej rady usłucha. A więc wybór z pomiędzy was jej zostawiam. Ktokolwiek jej rękę posiędzie, kochaj ją, bo to dusza piękna i wzniosła! Żona moja niech zostanie przy Walerji. —

Rzekłszy to prosił dozorcę o kawałek papieru i kilka wierszy napisał do żony, do córki i do Korybuta.

W niemej boleści uścisnęli się wszyscy trzej. Karol i Porfiry w głębokiem milczeniu wyszli z murów cytadeli.

. . . .

Bladą i zwiędłą zastali panią Wyrwiczową. Ta postać królowej nagięła się teraz do ziemi, jakby jaki ciężar ogromny spoczął na jej barkach. Walerja przybladła także, ale coś świętego, coś boskiego błyszczało na jej czole. Cierpienie ożywiło nieco tę twarz marmurową, oczy iskrzyły się więcej i żywiej biegały.

Grocki w krótkich słowach opowiedział różne przygody tych kilku tygodni, powtórzył ostatnie słowa Wyrwicza i oddał napisaną ołówkiem kartkę.

Pani Wyrwiczowa odeszła z Walerją do drugiego pokoju.

Karol i Porfiry nie zastanowili się jeszcze dobrze nad ostatniemi słowami Wyrwicza. Wzięli te słowa za ostatnią wolę umierającego. Świętą była dla nich ta wola. Wprawdzie jakoś dziwnie wydawał im się ten wybór z dwóch, to nagłe przyrzeczenie ręki bez poprzedniego zbliżenia się serc... jakoś dziwnie, a nawet wcale nienaturalnym wydawał im się krok ten.... ale to była ostatnia wola umierającego... wola wygnańca sybirskiego!

Śród tej walki wewnętrznej, która w dwóch sercach naraz się toczyła, wyszła pani Wyrwiczowa. Miała twarz rozjaśnioną, a w oczach Walerji błyszczały łzy.

Walerja zbliżyła się do Karola i Porfirego, a wziąwszy ich za ręce rzekła z zwróconym w niebo wzrokiem:

— Nieszczęście nas spokrewniło, jesteście braćmi memi, a jam wasza siostra! Ostatnia wola mego ojca jest mi święta,

ale świętszym jest obowiązek dla ojca-wygnańca, który idzie w lody Sybiru.... Wy wracacie do stron rodzinnych, wy znajdziecie, wy macie tam serca, co was kochają!... A tam, na lodach Sybiru rzadko o takie serca!... Ja z matką pójdę w Sybir... Tam oddam moje serce i moją rękę najnieszczęśliwszemu z wygnańców, który najwięcej cierpiał za naród nasz — —

Łzy puściły się z oczu Walerji, pani Wyrwiczowa rzuciła się jej na szyję....

Karol i Porfiry uczuli w duszy roskosz niewysłowioną; zdawało im się, że muszą uklęknąć, że bóstwo stoi przed nimi...

XII.

Za kilka dni, już sporo po północy świeciło się w samotnym domku starego Korybuta. Już po raz drugi piały koguty, a Korybut i goście jego wcale o tem nie wiedzieli.

Na sofce, trzymając się za ręce siedzieli Karol i Porfiry. Gospodarz chodził po izdebce. Po twarzy jego przesuwał się czasami uśmiech szczęścia, czasami łzy płynęły mu z oczu. A gdy na bernardyńskim zegarze uderzyła trzecia godzina, otarł oczy Korybut i rzekł:

— Za wszystko, co się stało, podziękujmy Wszechmogącemu Bogu, za krzyż którym nas dotknął i za nadzieje, które wlał w serca nasze! Ofiary nasze stoją przed Jego tronem, inni od lodów Sybiru szlą wonne modły do Niego!... Cześć im i pokój!... A my, pracujmy, pracujmy dalej na danym gruncie.... Patrzcie jak owad pełza po źdźble trawki! Lada powiew wiatru strąca go, czyż on wtedy leży bezczynnie na ziemi! Patrzcie! Oto podnosi się i rozpoczyna z początku pracę Sysyfusa i pełza w górę, w górę do słońca, do światła.... póki znowu nie spadnie i znowu się nie podniesie! —

Po chwili mówił dalej:

— Wyrwicza już nie ma między nami. Trzeba tę lukę zapełnić. Wasza pozycja ułatwia wam, abyście stali się dla kraju tem, czem on był. A teraz, aby praca wasza była pracą rzeczywistą, abyście nie tonęli w mrzonkach i, miasto rzeczywistych dla kraju korzyści, nie tkali z nici pajęczych, oderwanych od życia rzeczywistego zamków na lodzie.... teraz niech wam serce wasze wymieni towarzyszkę życia

któraby w ciężkich chwilach niedoli naszej zagrzewała ducha i nie dała nigdy podupaść, jak podupada człowiek osamotniony. —

Porfiry uśmiechnął się, a Karol podparł ręką głowę i zamyślił się. Korybut mówił dalej:

— Widzę, że Porfiry już jest w zgodzie z tobą. Spodziewałem się tego po szlachetnem jego sercu, które trochę, trochę zgrzeszyło, ale za to odpokutowało. Dosia kocha cię nad wszystko w świecie. Ks. Onufry płakać będzie z radości, gdy się o tobie wszystko dowie — i pobłogosławi was... Ale ty Karolu... o czem ty marzysz? Może o Helenie?... Biedna to i nieszczęśliwa kobieta! Rozszedłszy się tobą, uznała za rzecz stosowną, zrzucić z siebie maskę, w której sama przed sobą ubierała się, maskę jakiejś sztucznej poezji. Od tego czasu twarz jej zestarzała się, oczy wklęsły. Nie ma bowiem już w jej twarzy tego nastrojenia poetycznego, w którem utrzymywało ją szlachetne twoje uczucie, a dla Łukasza był to luxus wcale nie potrzebny. Kochankami przerzuca jak dziurawemi orzechami i nigdzie szczęścia nie znajduje. Nie dawno przyciągnęła do siebie młodziutkiego, poczynającego poetę, czy artystę. Ten zajął się nią po swojemu. Widział w niej ideał anioła i często prawił jej o liljowej białości jej duszy i krzyształowej czystości jej serca... Ale Helenę bolały i piekły te słowa, jak piecze nieczystego ducha woda święcona i odpędziła młodego Apolina od siebie i według wszelkiego prawdopodobieństwa wróciła do Łukasza. Ubiera się w jasne, papuzie kolory, bo czarny kolor nie stosuje się do jej kreolskiej cery.... A przyczyną tych wszystkich nieszczęść tej kobiety jest, że nie była nigdy Polką, że nad swoje ciało, krew i nerwy nic w świecie nie kochała! —

Karol roześmiał się i rzekł:

— Prawisz tak długo, panie Dominiku, a ja tego wszystkiego nawet dobrze nie słyszałem. Jeśli się nie mylę, mówiliście coś o Helenie. Szkoda na to czasu. W obec tego com zaznał i uczuł, czem może być dla mnie wspomnienie takiej jak Helena kobiety?

— Słowa twoje pocieszają mnie — odparł Korybut — ale mam obawę, abyś według jednej kobiety nie chciał sądzić

o wszystkich innych i zawiedzionego serca swego nie zamknął na zawsze przed tym ogrzewającym promieniem bóstwa, jakiem jest dla nas kochająca kobieta. —

Karol posmutniał i zamyślił się. Korybut mówił dalej:

— Pozwól mi uczynić jedno zapytanie: Czy nie masz w życiu jakiego pięknego, szlachetnego wspomienia?

— Na cóżby się to dzisiaj zdało? — zawołał zdziwiony Karol.

Korybut milczał chwilę a potem rzekł:

— Człowiek, który z życia pełnego zawodów wyniósł choć jedno szlachetne wspomnienie, nie może nigdy podupaść. Wspomnienie to tli w jego duszy jak iskra w popiele. Lekki podmuch wiatru może ją w płomień rozdmuchać. —

Karol popadł w zamyślenie, a Korybut mówił dalej:

— Przyrzekłem opowiedzieć ci mój żywot. Teraz pora po temu. W krótkich słowach opowiem go. Żywot mój był pełen zawodów najboleśniejszych, a przecież z rozbicia wszystkich moich nadziei wyniosłem jedno, czyste, szlachetne wspomnienie, które mnie odradza po każdym smutku i po każdej boleści! —

Porfiry i Karol zwrócili oczy na mówiącego z wytężoną ciekawością. Korybut opowiadał dalej:

— Przed powstaniem w Warszawie byłem żołnierzem. Miałem stopień porucznika w pułku ułanów. Kto zna owe czasy, ten łatwo pojmie, czem był na salonach warszawskich młody porucznik ułanów. Serca i kwiatki sypały się na mnie z różnych stron — byle szczęścia zapragnąć zdołałem. Kilka lat takiego życia ubiegło, a jam lekceważył szczęście moje dla tego, że je z taką łatwością znachodziłem. Mimo to niejedna cierń pozostała w sercu mojem z owego czasu. Widziałem nieraz, że więcej błyskotków na mundurze mego rywala przechylało szalę zwycięstwa na jego stronę... Podczas powstania zaszło zdarzenie, że z własnej woli złożyłem stopień mój i epolety, i stanąłem do szeregu. Było to dumą moją, walczyć w szeregu, ceniłem siebie wtedy wyżej nad wszystkie stopnie, a gdy na czole dostałem szeroką bliznę, zdawało mi się, że nademnie już nie ma w całem wojsku godniejszego człowieka. Było to może pychą, ale też i ukarany za to zostałem. Dawne szczęście moje opuściło mnie. Kobiety nie

patrzały wcale na szeregowca w szarym, często od kul podartym płaszczu. Blizna na mojem czole szpeciła mnie... Mój Boże! w niejednym domu byłem, wszędzie mnie podejmowano z należytą przyzwoitością, ale mój płaszcz od kul podarty, moja blizna na czole, moja duma w piersi bez rabat — wszystko to nie starczyło za srebrne epolety!... Pojmiecie łatwo, jaki ból uczułem w duszy mojej, z jaką pogardą patrzałem na ten ród niewieści, który widzi tylko to, co błyszczy i byłbym może na zawsze został mizantropem lub zasklepiałym egoistą, gdyby mi śród tej pustyni nie zaświeciła jedna gwiazdka — która mi świecić będzie aż do grobu! —

Korybut spoczął, bo pod powieką poczuł łzy. Po chwili mówił dalej:

— W tym czasie, kiedy zamiast epoletów miałem na czole tę bliznę i płaszcz kulami podarty, przyszedłem na kwaterę do dworku majętnego szlachcica. Szlachcic przyjął nas serdecznie i przy swoim zasadził stole. Naprzeciw mnie siedziała prześliczna, małego wzrostu dziewczynka. Przez cały czas patrzała na moją bliznę i na mój płaszcz podarty. Czarne jej oczka to zachodziły łzami, to znów się śmiały do mnie, jak oczy anioła-stróża. Uczułem, że mi serce mocniej bije, a gdy nazajutrz rano po bezsennej nocy wstałem, spotkałem ją w ogródku bladą i smutną. Trzymała kwiatek w ręku i obrywała z niego listki, szukając przepowiedni. Gdy mnie ujrzała zapłoniła się i rzekła: Nie spałam dzisiaj całą noc — może panu jakie nieszczęście grozi. Zacząłem coś mówić, ona coś na to odpowiadała, ale wszystko to nie kleiło się jakoś. Staliśmy w milczeniu i patrzeliśmy na siebie. Dwie duże łzy pojawiły się w jej czarnych oczkach, pociągnęła za sznureczek, który za rąbkiem sukni gdzieś niknął i wyjęła mały, srebrny krzyżyk. Zatrzymaj pan to, rzekła zakrywając oczy, ale nie jako pamiątkę, tylko jako zadatek, że się w życiu spotkać musimy —

Korybut spoczął tutaj i milczał długo. Potem wstał, zbliżył się do łóżka i ze znanej kryjówki wydobył mały srebrny krzyżyk. Ucałowawszy go, podał Karolowi. Obaj oglądali ten srebny krzyżyk i czytali na odwrotnej stronie szpilką napisane: „Pamiątka.“ — Po chwili mówił Korybut:

— Dawszy mi ten krzyżyk, znikła z przed moich oczu — a za pięć minut przyszedł rozkaz, abyśmy ruszyli na linję bojową. Nie umiem wam powiedzieć, co się odtąd we mnie działo. Zdawało mi się, że anioł przeleciał mi przed oczami i zniknął.... Takie wspomnienie zatrzymałem dotąd w duszy mojej. Nie wiem coby się dalej było stało, gdybym ją w życiu był spotkał, ale to nie nastąpiło. Po kampanji wyszedłem za granicę, a wróciwszy potem do stron rodzinnych, już jej odszukać nie mogłem. Ojciec poszedł gdzieś na Sybir, a cała rodzina rozbiegła się po świecie.... Wspomnienie tej pięknej duszy świeci mi jak jasna gwiazda, kiedy chmury życia zasłaniają mi boże niebo. W tem wspomnieniu mam źródło wiary i pociechy, w niem czerpię siły i odwagę do życia. Ono odradza mnie i podnosi, gdy zaczynam na duchu podupadać, i ciemną noc mego życia rozświeca jak błyskawica! —

Obaj słuchali go z wielką uwagą. Twarz Karola rozpromieniała się coraz więcej. Widząc to Korybut rzekł z uśmiechem:

— Widzę, że gdzieś z popiołów życia wydobywa się w duszy twojej jakaś iskierka...

— Tak jest, odpowiedział Karol biorąc Korybuta za rękę — dzisiaj powiem wam, com dotąd ukrywał w głębi duszy i nawet przed samym sobą głośno nie wypowiedział.

— Bardzo dobrze, odparł Korybut — znamionuje to prawdziwe uczucie.

— Razu jednego na koncercie... przypadkiem... ujrzałem młodą dziewczynę... mówiłem z nią kilka słów... i odprowałem na Łyczaków...

— Na Łyczaków? — przerwał Korybut i wstał nagle z krzesła —

— Na Łyczaków, mówił dalej Karol, naprzeciw Pijarów, w długą, wąską uliczkę... domek mały, biały, w ogródku. —

Dziwne jakieś uczucie przebiegło po twarzy Korybuta. Załamał ręce i boleśnie spojrzał na Karola. Po chwili rzekł:

— To ty byłeś!... Toś ty odwrócił serce tego aniołka odemnie?... Ach, jak ona cierpi dotąd! —

Karol i Porfiry spojrzeli po sobie. Nie umieli sobie tych dziwnych słów starego Korybuta wytłumaczyć. Korybut zaś

kilka razy przeszedł się po izdebce. Bolesne uczucie malowało się na jego twarzy. Wreszcie stanął przed stołem, uśmiechnął się i rzekł:

— Dziwakiem wydaje się wam stary Korybut. Ale przecież nie zły to dziwak... Przedewszystkim człowiek jest człowiekiem. Boli go, gdy kto mu odbiera, co on sam ukochał. Jeśli matka mocno córkę swoją kocha, to nie rada wydaje ją za mąż. Tak samo ma się rzecz ze mną i z Marynią...

— To wy ją znacie i kochacie panie Dominiku? — zawołał z radością Karol i porwał się na nogi.

— Znam ją i kocham jak córkę moją — odparł Korybut — Ten mały, srebrny krzyżyk pojednał mnie z kobietami. Radbym aby w osamotnionym mojem życiu choć jedno serce kobiece pamiętało o starym Dominiku. Otóż co kilka lat wychodzę na przedmieście nasze, zaglądam do małych, ubogich domków, a gdy obaczę dziewczę z czystą duszą, to staję się jej opiekunem. Uczę ją przedewszystkiem dziejów polskich i zagrzewam jej serce do cnót dawnych polskich matron. Ta opieka i praca moja przywiązuje do mnie to jedno serce kobiece, a ja dzisiaj niczego więcej nie pragnę. Wprawdzie co kilka lat tracę to serce, gdy ptaszek wyścieli sobie gniazdko, zaboli mnie ta strata... i znowu biorę kij do ręki i idę na drugie przedmieście, aby szukać innej sieroty, z której ukształcam Polkę z duszą i z sercem... Marynia to złote, lube dziécię, będziesz z nią szczęśliwym, jakeś nigdy o tem nie marzył! —

I odwrócił się stary Korybut, aby nie okazać łez, które w tej chwili okazały się w oczach jego. Szybko sięgnął po mały śrebrny krzyżyk, jakby się obawiał, aby mu i tej, jedynej pamiątki szczęścia nie odebrano...

XIII.

Nazajutrz zeszło słońce jasne, pogodne. Przyświecało ono zarówno szczęśliwym i nieszczęśliwym, a nadzieją napawało serca tych, którzy tęsknią i z upragnieniem czekają. A najszczęśliwszymi w tym dniu byli Karol i Marynia, Porfiry i Dosia.

Nie tak szczęśliwym był w owym dniu Szejko, alias Szpincer. Już od kilku miesięcy spostrzegł, że sojusz z wujem Porfirego et cum quibusdam aliis wcale nie był dla niego tak intratnym, jak to sobie zrazu wyobrażał. Postanowił więc porzucić dotychczasowe swoje zatrudnienie, i zostać porządnym człowiekiem. Stała pensyjka, stół czarno malowany i duże gęsie pióro stały się dzisiaj jedynym ideałem jego marzeń. Jakoż wkrótce stało się zadość marzeniom jego. Za pomocą różnych wpływów udało mu się zostać podrzędnym pisarzem w kancelarji tutejszego domu kary, który to urząd z największą wypełniał roskoszą. Zapisywał więźniów, których sąd wysyłał za wyrokiem na odsiedzenie kary, zdejmował z nich ubiór prywatny, a natomiast pomagał im wciągać uniform więzienny. W chwilach zas wolnych, przechadzał się po dużym, więziennym dziedzińcu, paląc fajkę na długim cybuchu, i z roskoszą patrzał na małe, zakracione okienka, w których widać było blade, wyschłe twarze zasądzonych zbrodniarzy.

Dzisiaj jednak był Roman Szejko jakoś w niezwykłym humorze. Przyszedł godzinę później do kancelarji, a przełożony wyłajał go za to. Szejko nic nie odpowiedział, tylko

wziął duże, gęsie pióro i zaczął niem skrzypieć po sinym papierze. Ale ta robota nie bawiła go dzisiaj. Dzień był gorący, pogodny. Jasne słońce świeciło na jego stół czarny i budziło w jego duszy jakieś dziwne, tęskne zachcenia. Odłożył pióro i zapalił fajkę. Dym z fajki przybierał jakieś dziwne kształty i coraz więcej rozmarzał biednego Szejkę.

— Mój Boże, myślał sobie w duchu patrząc na dziedziniec więzienny, jak to człowiek ciężko na to nędzne życie pracować musi! Mógłbym się był urodzić bogatym, a wtenczas nie potrzebowałbym siedzieć w tej dziurze! Kupiłbym sobie karykel i woziłbym mego furmana po wysokim zamku! Zapisałbym się do kasyna i grałbym w faraona. Ha, saperment! Kapelusz nosiłbym na bakier i codziennie kazałbym sobie fryzować czuprynę. Jadłbym u Zorża à la carte, na rękach miałbym zawsze białe rękawiczki a na nosie szylkretowy gukier... Ale cóż, wszystko to jest marzeniem! Człowiek musi w tej dziurze siedzieć i piórem gryzmolić... Gdybym był mniej poczciwym człowiekiem, mógłbym...

Tu zerknął Szejko na małe żelazną kratą przyćmione okienka, i wstrząsł się, jakby go co przestraszyło.

— Nie! nie!... mówił po chwili do siebie,... tam musi być strasznie nudno! Siedzieć i siedzieć i przez kilka lat siedzieć i patrzyć na te szare mury... brrr — to strasznie, to okropnie!... Nie!... nie... lepiej w tej dziurze pisać, lepiej, stokroć lepiej siedzieć przy tym czarnym stole z tem gęsiem piórem...

I szybko chwycił za pióro i z pewną roskoszą zaczął na powrót skrzypieć po sinym papierze...

W tej chwili otworzyły się drzwi. Przyprowadzono z sądu więźnia na odsiedzenie kary dwuletniej za podburzenie gromad i zachęcanie ich do targnienia się na cudzą własność.

Był to diak Zahorecki, Spirydjon Hawruś.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się diak, ujrzawszy pisarza — hi, hi, hi, i pan Szpincer tutkie! Budemu razom! —

Pisarz zbladł jak chusta. Przełożony wypatrzył się na diaka i na pisarza. Diak wystawił połamane zęby i z szatańską zaśmiał się złością:

— Hi, hi, hi, pane Szpincer! Razom budemu, razom! —

Na zapytanie przełożonego opowiedział szczegółowo całe zdarzenie w Zahorcach przy pożarze „Widacza“.

Przełożony zawołał dwóch dozorców i oddał im pod straż bladego jak trup Szpincera. Sam zaś chciał się udać do sądu. Ale Szpincer przyszedł w tej chwili do siebie i prosił przełożonego, aby mu pozwolił przynieść nader ważne papiery, zabrane podczas pożaru Widacza. Przełożony nie zezwolił na to, bo to należało już do sądu. Sąd zaś rzeczywiście wysłał urzędnika do pomieszkania Szpincera, zabrał wskazane papiery, opieczętował i natychmiast władzy krajowej do wiadomości przedłożył. Wydanie jednak tych papierów nie zmniejszyło w obec sądu winy Szpincera, który też natychmiast został zamkniętym.

Epilog.

Był tym dzień św. Jura.

W tym dniu, według tradycji rodowej, zbierała się w Zahorcach cała Szetyckich rodzina, krewni po mieczu i po kądzieli, i na cześć zgody rodzinnej obchodził puhar koleją.

I w tym dniu odbywała się w Zahorcach ta sama uroczystość, ale jakże wznioślejsze miała ona dzisiaj znaczenie!

Dwaj potomkowie rodu Szetyckich różnego wyznania łączyli się dzisiaj po wielu niesnaskach, w jeden szczep narodowy i zgodę rodzinną przysięgali sobie na wieczne czasy!....

A działo to się w nowo odbudowanym dworze w Zahorcach.

Był to właśnie odpust, a całe sąsiedztwo napełniło obszerne nowego dworu pokoje. Byli ks. Onufry i ks. Timofij, ale plebana Zahoreckiego ks. Petryka nie było.

Gospodarze nowego dworu Karol i Porfiry byli opromienieni szczęściem swojem. Jedna z gospodyń, prześliczna blondyneczka z wyrazem zdrowia i szczęścia na twarzy, przyjmowała i bawiła gości, druga zaś, milutki o czarnych oczach aniołeczek, krzątała się, aby gościom usłużyć, co dom ma najlepszego. Porfiry i ks. Onufry patrzali z uśmiechem roskoszy na śliczną, wdzięcznie szczebiocącą blondyneczkę, a Karol i stary Korybut wodzili oczyma za aniołkiem o czarnych oczkach, który był dzisiaj zachwycający... O jej codziennem zjawianiu się przed pomieszkaniem Karola podczas jego choroby, nikt jeszcze dotąd nie wiedział. Rozumek Maryni kazał jej taić się z tem przed mężem, aby nie był zbyt zarozumiałym. Kiedyś może mu powie o tem.

Gromada stała przed gankiem, aby tak zwanych „panów swoich“ w tym dniu pozdrowić i za wyrządzoną szkodę przeprosić. Byli oni tego zdania, że to jakiś zły duch za nich to wszystko zrobił, tylko ich rąk do tego użył. Mimo to kilkunastu włościan stało pod plebanją i z wykrzywionemi od złości twarzami patrzali na dwór nowy. Między nimi stał ks. Petryk i coś im prawił.

Widząc to zasmucił się stary Korybut i rzekł do zgromadzonych:

— Mili bracia! Serce moje zaledwo może znieść tę radość, jaką czuję na widok tej zgody między dziećmi jednej ziemi. Oto spełniły się moje gorące pragnienia. Dwóch potomków jednego rodu różniących się wyznaniem, podało sobie ręce i w zgodzie i jedności obsiedli ziemię ojców swoich. Ale tam pod plebanją stoi garstka zbałamuconego ludu. I kiedyż bratnie serca znowu razem bić będą?.... Czyż nie dość było doświadczenia? Czy potrzeba, aby cały nasz widokrąg rozognił się jedną wielką łuną!.... Oby Bóg oświecił ich serca i nawrócił ich na drogę prawdy i cnoty!.... Mam w Bogu nadzieję, że to się stanie, amen! —

A zwróciwszy się do Karola i Porfirego, mówił dalej:

— Wam zaś, moi bracia, przekazuję wiarę ojców waszych,

to jest wiarę, że Bóg czuwa nad ziemią naszą, której Marja jest królową i że tę ziemię w całości kochać trzeba, kochać z całej duszy, ze wszystkich sił, aż do ofiary życia. Ale wiara bez uczynków martwą jest. A uczynkami naszemi jest praca dla tej ziemi naszej, praca ciężka i żmudna. A więc pracować, pracować na danym każdemu zagonie, jest najświętszym waszym obowiązkiem. A gdy tego obowiązku dopełnimy, wtedy trąba Sądu bożego zastanie nas w szatach godowych, i ucztować będziemy i radować się, bo Pan Zastępów przygotował nam oną ucztę. —

A gdy spojrzał na lud stojący na dziedzińcu, zasmucił się stary Korybut i rzekł do ks. Onufrego:

— Widok tego ludu boli mnie. Dla czego jest on naszej i swojej własnej historji tak nieprzyjazny? Dla czegóż wierzy on tym wszystkim poduszczeniom, które odszczepieni bracia nasi rzucają na dawne dzieje nasze? Kiedyż on przewidzi, że nam i sobie tak wielką wyrządza krzywdę? —

Ks. Onufry wziął starego Korybuta za rękę i rzekł:

— Cieszę się, że w tym względzie mogę wam opowiedzieć coś szczególnego. Mieszkam w górach i rad słucham pieśni i podań tamtejszych mieszkańców. Otóż pozwólcie, niech wam opowiem podanie górskiego ludu o królu Bolesławie.

Wszyscy uciszyli się, a ks. Onufry zaczął:

— W jednej jaskini hal karpackich, mówi ludowe podanie, mieszka zaklęty król Bolesław z całem swojem rycerstwem. Słowo wielkiego ducha odebrało jemu i jego towarzyszom życie na wiele, wiele wieków. Podczas tego czasu jego zaklęcia jest lud biedny i nieszczęśliwy. Co sto lat ruszy się Bolesław i rycerstwo jego i znowu po odbytym jednym ruchu spoczywa zaklęty przez cały wiek. Ma on już mieć jednę nogę w strzemieniu z całem rycerstwem swojem i potrzeba tylko jednego ruchu, aby ożyć i z całem rycerstwem wyjść z jaskini. Wtedy ma on lud oswobodzić z jego nędzy i nieszczęść i sprawić między nim radość, jakiej przed tem nie bywało! —

Zgromadzeni słuchali z wielką uwagą tej prześlicznej, legendy dawnych czasów, a stary Korybut rzekł:

— Dowodzi to, że lud za dawnych rządów polskich

odróżniał króla, w którym widział opiekuna, od niektórych z panów swoich, którzy go uciemiężali. Do tego króla wzdychał i oczy ze łzami podnosił, gdy bolał, w królu pokładał ostateczną swoją nadzieję. Więc idei polskiej, objawiającej się w tem podaniu w królu Bolesławie, nie był lud nieprzychylny, przeciwnie od niej wyglądał wyswobodzenia z nędzy swojej.... I dla czegoż dzisiaj odszczepieni bracia nasi używają tradycyjnej nienawiści ludu do niektórych panów swoich, aby wszystkie dzieje nasze obrzucić błotem potwarzy i między naród rzucić zarzewie zemsty!.... Niech ta legenda ludu odpowie im! —

I rozweselił się stary Korybut, i był wesół przez cały wieczór. Tylko na wspomnienie sybirskich wygnańców puściły mu się łzy z oczu, ale wnet otarł je, ukojony w duszy jakąś niewysłowioną nadzieją!...

Nad wieczorem przyjechał ze Lwowa pan Tomasz, którego oczekiwano. Najprzód opowiedział zgromadzonym niektóre podrzędne nowinki. Mówił, że jakiś Szpincer był w posiadaniu papierów, które na wuja Porfirego jakieś podejrzane rzucały światło. Stanęła jednak uchwała, aby mu o tem nic nie powiedzieć, przeciwnie, okazano mu względy za jego lojalność. Z boku jednak kazano pilnie na niego uważać. Dalej opowiadał, że Helena na wiadomość o ożenieniu się Karola zalała się łzami i przez pół godziny o nim myślała. Jeszcze dodał do tego wieść, że pan Eichenblatt ma iść na pensją, a Maszek spodziewa się zostać forsteherem. Schreyer zaś przeniósł się do wieczności po krótkich cierpieniach; na jego pogrzebie było zaledwie kilkoro ludzi.

Jeszcze i o wielu innych drobniejszych rzeczach rozmawiał pan Tomasz. A gdy skończył, powstał stary Korybut i rzekł:

— Teraz przystąpmy do sprawy naszego stowarzyszenia, aby dzień ten, dzień św. Jura uświęcić dziełem pożytecznem dla kraju. Najprzód oznajmiam wam, że właściciele tych włości założyli dla ludu szkołę, w której uczą się dzieci po polsku i po rusku. Język bowiem ludu jest jego świętą własnością. Stowarzyszenie zaś ma na celu interesa krajowe. Niech nas nasi nieprzyjaciele pomawiają o rewolucyjne

zachcianki! A my pracujmy, pracujmy w pocie czoła, krok za krokiem, pracujmy na gruncie, który mamy pod nogami. Wiążmy się i konsolidujmy w naród, z każdej myśli naszego wieku korzystajmy wspólnemi siłami, bo tylko w zespoleniu jest potęga. A Bóg pobłogosławi pracy naszej i da nam ujrzeć złoty jej owoc!

JAREMA.

STUDJUM

Z WEWNĘTRZNYCH DZIEJÓW GALICJI.

I.

PRZED DWUDZIESTĄ LATY.

Na prostym wozie, sianem wyścielonym, jechał młody mężczyzna w czapeczce urzędnika. Naprzeciw niego siedział drugi, starszy, o czerwonych, szerokich policzkach. Z rubasznych jego ruchów można było wnosić, że to jakiś służący urzędowy. Na worku sieczki przykucnął chłop, zachęcając konie batem i lejcami do prędszego biegu.

Młody mężczyzna palił fajkę piankową i patrzał w prawo i lewo na rozległe pola. Amtsdiner*) klął po rusku i węgiersku i łokciem szturchał chłopa, aby prędzej jechał, a chłop smagał biczem biedne konięta i obiecywał im w najbliższej karczmie sieczki i wody.

Dzień był lipcowy, gorący, okolica dosyć równa, przecięta szeroką rzeką na dwie połowy. A droga, którą jechali nasi podróżni, była prawdziwie polska, kręta i wąska, tak jak ją sam Pan Bóg stworzył. Młody urzędnik miał więc co kilkaset kroków rozmaite niespodzianki. Tu dziura w moście, tam znowu most bez dziury, tu jakaś jama, a tam grobla wpoprzek drogi... a co chwila to nowy skręt, nowe widoki, a co wieś to inne, gorsze psy, które podróżnych na wszystkie strony oszczekiwały — słowem, wszystko to było dla niego jakiemś dziwnem, pełnem rozmaitości album, które go z razu bawiło, a w końcu niemiłosiernie męczyło.

*) Woźny.

— Armes Land! — *) westchnął młody urzędnik i palił dalej fajkę. A Amtsdiner klął i szturchał chłopa pod żebra.

Nagle zaskoczyła im drogę nowa niespodzianka. Nie była to ani dziura w moście, ani kałuża, które dla polskiego chłopa żadnej nie stanowiłyby w drodze przeszkody, bo je zręcznie omijać umiał, ale była to góra niepospolita, która jakoś tak nagle przed nosem im wyrosła, że sobie tego na żaden sposób wytłumaczyć nie mogli. Urzędnik wyjął fajkę z ust, Amstdiner przestał chłopa szturchać i obaj wpatrzyli się w górę, która jakoś na skręcie drogi, z pomiędzy drzew ogrodu nagle wystrzeliła. Chłop tylko nie okazał zadziwienia. Zlazł z worka sieczki i zaczął iść piechotą koło koni, dodając im ducha do mozolnej pracy.

Wyrosła śród równiny góra, otoczona była ogrodami, jakby wieńcem zielonym.

— Co to za wieś? — zapytał chłopa młody urzędnik.

— Ta wieś nazywa się „Nowawieś“ — odparł tenże — a tam hen jest dwór, a ta góra „Nowagóra“.

— Nowagóra? — powtórzył zcicha urzędnik, zdziwiony tą szczególną myślą, że mogą być nowe i stare góry. A że to był człowiek nauki, zaczął więc Amtsdinerowi opowiadać o wulkanicznem tworzeniu się gór i zacytował kilka przykładów z Oceanu Spokojnego, gdzie co noc kilka nowych gór i wysp wyrasta, a kilka w toń morza zapada. Chłop machał biczem i szedł koło koni. Urzędnik wyczerpał swój temat o wulkanicznych wybuchach; ciekawy był jednak, jak chłopski rozum podobne zjawiska natury pojmuje.

— A wiesz ty dla czego ta góra nazywa się Nowagóra? — zapytał chłopa, mrugnąwszy dowcipnie na Amtsdinera.

— A dlaczegożbym nie wiedział? — odparł zagadnięty — wszyscy ludzie wiedzą o tem.

Młody urzędnik uśmiechnął się i odgarnął włosy od ucha.

— A toć to tak było, panie komisarzu — (chłop każdego pisarza cyrkułowego nazywa komisarzem) zaczął woźnica — historja to niedługa. Sołtys Jędrzej z Starejwsi miał się żenić z Małgorzatą Kubową. Już były wyszły zapowiedzi,

*) Biedny kraj!

kiedy Jędrzej poznał Katarzynę, która hen w tym dworze u pana służyła. I dworka tak mu głowę zawróciła, a nawet, jak mówią ludzie, jakiegoś zielska dała mu się napić, że Jędrzej bez niej ani rusz! I w dzień ślubu, gdy już wszyscy się poschodzili, Jędrzej zaprzągł dwa dereszowate konie, aby do Kasi ucieknąć. Małgorzata Kubowa w płacz i nuż włosy sobie rwać. Ale stare kumoszki poradziły jej, aby się udała do św. Antoniego, który w takiej potrzebie ma być najlepszym patronem. I zaczęła prosić i prosić św. Antoniego, aby Jędrzejowi rzucił co w drogę, rzekę szeroką, las gęsty, albo górę wysoką. A św. Antoni rzekł do siebie: rzeki nie rzucę, bobym dużo chłopskich gruntów zatopił; lasem także popsułbym łąki; ale niewielka góra nikomu nie zaszkodzi. I bez tego jest tutaj mokrzyca, nic się nie rodzi, tylko szuwar i sitowie: a tak będzie ściek wody i gromada na tem dobrze wyjdzie.“ I uprosił Pana Boga św. Antoni, aby mu pozwolił między Starąwsią a Nowąwsią podnieść górkę niewielką. Pan Bóg przystał na to, a nagle przed wozem Jędrzeja wyrosła góra. Jędrzej zaciął konie i chciał górę przebyć, ale koło mu się złamało, a jak zaczął naprawiać i sobie rozmyślać, to namyślił się wrócić do Małgorzaty. Wziął z nią ślub i miał troje dzieci, a dworska Kaśka poszła za żołnierzami. —

Młody urzędnik zamyślił się, a po chwili rzekł do Amtsdinera:

— Volkspoesie! Schöne Volkssagen!*)

— I odtąd — mówił dalej chłop — kto w niedobrej myśli przez tę górę jedzie, którą nazwano Nowagórą, lub mając żonkę, kochanki szuka, ten tutaj może kark skręcić, albo przynajmniej dwa żebra złamać. —

Amtsdiner przestraszył się czegoś i z trwogą spojrzał na urzędnika; ten zaś uśmiechnął się i zapaliwszy świeżą fajkę, chciał właśnie zacząć rozprawiać o podaniach ludowych, gdy nagle coś pod niemi zatrzeszczało, i w tejże samej chwili, jakby jakąś niewidzialną siłą podrzuceni, uderzyli się wzajem czołami i w ukośnej linji z wozu do rowu wylecieli.

Amtsdiner obmacał czemprędzej kark swój i żebra, potem

*) Poezja ludowa! Piękne podania!

obmacał kark i żebra swego towarzysza, a nie namacawszy żadnego szwanku, podziękował Najwyższemu za darowaną tym razem karę, jaka słusznie za niektóre domowe sprawy spotkać by go mogła. Nie chcąc jednak przyznać się do winy, popatrzył z ukosa na młodego urzędnika, którego w wielkiem miał podejrzeniu. Widząc wszakże iż ten z największą flegmą otrzepał sobie pluderki i nad rowem usiadł, zwalił całą winę na chłopa, ponieważ to do niego należało koło, które św. Antoni tak misternię połamał. Chłop zaś klął srogo na wszystkie strony, nie wyrażając jednak komu.

W końcu uspokojono się, a chłop rzucił kapelusz i wziął się do naprawy. Podróżni usiedli nad brzegiem rowu, oczekując końca tej szczególnej przygody, a tymczasem, każdy po swojemu, ukrócali sobie czas tytuniem i kontemplacją.

Przecudny naokoło roztaczał się widok. Góra miała kilka zagięć, w których rozsiedliły się chałupy wieśniacze i ogrody. Najwyżej sięgały lipy i topole dworskiego ogrodu, który, jak stary opiekun, wyglądał z poza czarnych strzech wieśniaczych. Między lipami bieliły się ściany dworu. Widok tych ścian różne na obu podróżnych czynił wrażenie. Amtsdiner marzył o smacznych polskich zrazach i doskonałej kminkówce, a młody urzędnik, widząc przed oczyma jakieś białe, przezroczyste postacie, jakby rusałki lub najady, wychylające się ku niemu z poza gęstych, starych lip...

— Wär ich Kreishauptmann! —*) mruknął pod nosem i poprawił kołnierzyków. A schodząc potem ręką na kołnierz, namacał na nim tylko jeden mizerny poprzeczny pasek, najniższą oznakę godności urzędniczej... Spuścił głowę i zasmucił się.

Śmiech szczery i rozgłośny, śmiech zdrowych wiejskich dzieci, wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał przed siebie i ujrzał na zielonem pastwisku grupę pastuszków i pastuszek, którzy spędziwszy bydło razem, zabawiali się między sobą różnemi figlami.

Głównym przedmiotem wszystkich figlów i całej zabawy

*) Gdybym ja był starostą!

była młoda piętnastoletnia dziewczynka, o jasnych, lśniących włosach. Wzrost miała słuszny, ruchy wdzięczne i głos nadzwyczaj ujmujący. Widać było po całem ugrupowaniu, że wszyscy chłopcy starali się jej przypodobać. Jedni dawali jej kwiatki, drudzy płatali jej różne psoty, a każdy swoim sposobem chciał jej uwagę na siebie zwrócić.

Między chłopakami którzy ją otaczali, odznaczał się jeden krępy, o czarnych, kędzierzawych włosach pastuszek, mający około lat siedmnastu. Mały kapelusik nosił na bakier założony; czarne jego oczy biegały nieustannie; twarz jednak miał znacznie nad wiek swój starszą. Była ona pomarszczona i pomięta i w całym swoim układzie bardzo nieregularna. Czoło występowało naprzód i znamionowało człowieka upornego. Usta były zacięte, jakby go coś wewnątrz bolało. Zgoła nieprzyjemny był chłopak, i widać było po nim, że wiedział o swojem zewnętrznem upośledzeniu. Tem ogniściej jednak strzelało jego oko na ładną dziewczynę, tem zawistniej spoglądał na szczęśliwszych swoich rywali.

Ale złotowłosa dziewczyna wykręcała się jak wrzeciono na pięcie, śmiała się do rozpuku i wyrywała się zgrabnie, gdy ją który z figlów za kaftan pochwycił.

Wreszcie stanęła pośrodku, podniosła drobne rączęta do góry i zaczęła chłopcom przecudnie improwizować. Mówiła im, że tego z nich pokocha, kto jej w przetaku przyniesie wody z rzeki, kto bryłę śniegu za piecem ususzy w dzień św. Mikołaja, kto konie bez szlej do woza zaprzęgnie, kapelusz bez słomy uplecie, chleb upiecze bez mąki i masło zrobi bez śmietany...

A potem wykręciła się na jednej nodze i prawiła znowu, że ten jej mężem będzie, kto jej na dłoni przyniesie złotego ptaszka, o złotych piórach, któryby za każdem podniesieniem skrzydełka gubił po jednem piórku....

Chłopcy zaczęli klaskać w ręce. Ale chłopiec o czarnych kędzierzawych włosach nie klaskał; stał ponury i zamyślony. Wnet porwał się z miejsca, jakby go coś nagle pchnęło, i co tchu zaczał biegać w kierunku, jak było widać białe dworskie ściany z poza starych lip.

Młodego urzędnika zajęła ta scena szczególna; z coraz

większym interesem przypatrywał się grupie pastuchów i pastuszek. Uciekający od nich chłopak, o czarnych kędzierzawych włosach, zwrócił szczególnie jego uwagę na siebie.

Ciekawem okiem patrzał za nim. Chłopak zaś malał coraz bardziej, wreszcie jak mały czarny punkt zniknął w alei topolami wysadzonej.

Urzędnik patrzał ciągle w tę ciemną drogę, ale chłopca długo, bardzo długo nie było widać.

Wreszcie ukazał się znowu czarny punkt w alei, i stawał się coraz większym, większym, póki wyraźnie nie zrobił się z niego chłopak o czarnych, kędzierzawych włosach.

Ciekawość młodego urzędnika, który w tej chwili innego nie miał zajęcia, rosła coraz bardziej; chłopiec bowiem niósł coś w ręce i skakał z radości.

Zbliżywszy się do grupy, wykręcił się dziesięć razy w koło, na znak radości, a zatrzymawszy się nagle przed żółtowłosą dziewczyną, wyciągnął ku niej rękę.

I o dziwo! Na jego dłoni siedział mały, złoty ptaszek!

Dziewczyna krzyknęła z zadziwienia, cała grupa stojących poruszyła się, a złoty ptaszek rozwinął tymczasem skrzydełka i słabym lotem podniósł się z ręki chłopca, aby na pobliskiej brzózce wygodniej sobie usiąść.

Wszyscy krzyknęli i podnieśli ręce do góry, ale już było zapóźno. A złotowłosa westchnęła, bo i dla niej było już zapóźno!...

— Patrz, patrz Huber! — zawołał młody urzędnik do Amtsdinera — chłopiec ukradł zapewne we dworze kanarka, aby się tej tam dziewczynie podobać. Ergötzliche Scene.*) —

Amtsdiner odchrząknął i wytrzeszczył głupie wole oczy swoje, ale złotego ptaszka i złotowłosej dziewczynki wcale nie widział. Chciał nawet wstać i z kijem iść do bawiących się dzieci, bo tak sobie tłumaczył wykrzyknik urzędnika; ale ten uspokoił go i upewnił, że scena ta bardzo przyjemną jest dla niego dystrakcją. Powiedział mu nawet, że wieczorem zapisze ją sobie do swego dzienniczka, przyczem starał się Amtsdinerowi dać jakie takie pojęcie o pisaniu dzienniczków

*) Zabawna scena.

czyli pamiętników i zachęcał go, aby toż samo uczynił, zbierając w urzędowej podróży przygody i wrażenia.

Amtsdiner uśmiechnął się i przyrzekł, że dzisiaj zrobi początek i sprobuje jak to pójdzie.

Tymczasem w ciemnej dworskiej alei powstał jakiś ruch niezwykły. Najprzód ukazał się młody pokojowiec, z białym galonkiem u czapki, a dużym kijem w ręku. Za nim biegł jeszcze jakiś drugi chłopak, a za tym w powiewnej szacie pojawiła się młoda dziewczynka, załamując ręce nad głową. Za niemi postępował niskiego wzrostu jegomość, robiąc rękami rozmaite uspakajające gesta.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa była to pogoń za złotym ptaszkiem.

Młody urzędnik podniósł się na nogi, to samo uczynił i Amtsdiner. Obaj obejrzeli starannie swoje kaputroki,*) bo byli pewni że to dziedzic Nowejwsi zbliża się do nich.

I tak było w istocie. Za kilka chwil przybył pokojowiec, za nim dziewczynka, a niebawem przyłączył sią do nich i sam jegomość.

Siedzący na drzewie kanarek popsuł wszystkim szyki; zdawało się bowiem że zamiarem przybyszów było wziąść się bezzwłocznie do egzekucji, co tem łatwiej stać się mogło, że kędzierzawy przestępca wcale nie uciekał, tylko spokojnie stał przy wylęknionej złotowłosej dziewczynie. Ale egzekucja mogłaby spłoszyć kanarka z drzewa; potrzeba więc było najpierw myśleć o ocaleniu tego złotego ptaszka.

Młody urzędnik uważał teraz za rzecz przyzwoitą zbliżyć się do prawdopodobnego dziedzica Nowejwsi. Amtsdiner sądził tak samo i podniósł już nogę, która sposobem wprost mechanicznym zaprowadzić go miała do pełnej miski zrazów polskich.

Dziedzic szczerze przywitał gościa na swojej ziemi, bo tak Bóg i obyczaj nakazywali, a dowiedziawszy się że nie jedzie do niego na sekwestrację, zaprosił go uprzejmie na półmisek zrazów polskich, do których w duchu trzy razy oblizał się Amtsdiner Huber. Przyrzekł także postarać się

*) Surduty.

o naprawę koła, za co otrzymał od młodego urzędnika dziesięć uchyleń urzędowej czapeczki i dwa razy tyle: „padam do nóg.“

Nim się ta sprawa załatwiła, siedział już kanarek na dłoni młodej dziewczynki, która przywabiła go z brzóski znanym pieszczonym swoim głosikiem.

— Wär ich Kreishauptmann! — pomyślał sobie w duchu urzędnik i zerknął z ukosa za miłą blondyneczką.

— Gdyby to zaraz zrazy polskie dali! — marzył Amtsdiner Huber, pozując jak mógł najwspanialej.

— Wiele wielmożny pan każe dać Jaremie? — pytał głośno pokojowiec, machając kijem.

Jegomość spojrzał na urzędnika. Samowolna egzekucja w obec władzy wydała mu się niestosowną. Urzędnik zrozumiał to spojrzenie, a chcąc się dziedzicowi przypodobać, układał właśnie gotowy już wyrok w głowie, kiedy sobie przypomniał, że ten wyrok ubliżałby formalnościom przepisanym.

Zawoławszy więc chłopca, zapytał go najprzód ad generalia.

— Jak się nazywasz?

— Jarema — odpowiedział chłopiec, nie tracąc odwagi.

— A twój ojciec?

— Ojca nie mam.

— Nazywał się Magdziak — uzupełnił dziedzic.

— Czy byłeś kiedy indagowany — pytał dalej urzędnik — czy siedziałeś w areszcie, lub czy cię bito? — dodał po chwili, widząc że go chłopczyna nie rozumiał.

— O, bito mnie nieraz — odparł tenże — bił mnie opiekun i macocha. —

I tak dalej ciągnął się protokół z delikwentem, aż przyszło w końcu do „species facti.“

— Więc kanarka, jak mówi pan dziedzic, ukradłeś z klatki? W jakim celu to zrobiłeś?

— Bo Nastka powiedziała, że za mnie pójdzie, gdy jej złotego ptaszka przyniosę.

— A drzwiczki od klatki rozłamałeś — ciągnął dalej urzędnika — to jest kradzież. —

Dziedzic uśmiechnął się na tę krotochwilną scenę, którą urzędnik z całą uroczystością odgrywał. Blondyneczka zaś z trwogą patrzała na Amtsdinera, który kij swój wyginał na wszystkie strony.

— Przecież ci Niemcy nie będą go bili! — szepnęła zcicha do ojca.

Urzędnik zreferował wyrok i zaczął go wygłaszać. Jakkolwiek nie bardzo złą mówił polszczyzną, znać jednak było po jakimś niezbyt polskim akcencie niemieckie jego pochodzenie.

— Kradzież z włamaniem się do własności dominialnej — mówił urzędnik — popełnił wprawdzie Jarema Magdziak, ale mówią za nim różne łagodzące okoliczności. Najprzód zaniedbane wychowanie, wczesna utrata opieki rodzicielskiej, niejasne wyobrażenie o prawie własności, a w końcu namiętność, czyli raczej zbyt wygórowana żądza posiadania pięknej blondyneczki (urzędnik zerknął tu na córkę dziedzica) — wszystko to są rzeczy, które karę za jego przekroczenie sprowadzają do minimum... A jeśli do tego zważymy że jest małoletnim, jak w ogóle lud jest małoletnim, i ma po sobie opiekę „fiskusa,“ więc wnoszę, aby rzeczony Magdziak tym razem uwolniony był od kary cielesnej, a poszkodowanego uprasza się, aby na drugi raz grubsze dawał druty u klatki, bo inaczej będzie karany za dawanie pokusy do przestępstw ludziom, którzy jeszcze nie mają zbyt jasnego pojęcia o własności dominialnej...

— Brawo! brawo! — zawołał szlachcic, którego dowcip urzędnika zaczął na serjo bawić — brawo panie komisarzu, (licentia poetica naszej szlachty) brawo! będziesz niezawodnie starostą! —

Nie uważał na to poczciwy szlachcic, że w żartobliwych słowach tego wyroku zawierał się cały ówczesny system rządowy, który niby małoletniego chłopca brał w opiekę w obec dworu, a w istocie usilną pracą stwarzał sobie ulubiony wtedy sposób rządzenia, którego dewizą jest: divide et impera! —

Urzędnik uradował się, że mu się powiodło z dowcipem. Ale mała blondyneczka za to, trzymająca kanarka na dłoni, nie rozumiejąc frazesów wyroku sądowego, zachmurzyła się i rzekła:

— Ja nie pozwolę bić Jaremy, on nic złego nie zrobił, bo kanarka mam w ręku.

— Jeśli panienka dobrodziejka w ten sposób mówi — odparł urzędnik z uśmiechem, w którym można było czytać: Wär ich Kreishauptmann! — jeśli panna tak mówi, to ja jako sędzia i prokurator nie będę apelował, tylko maleficanta z wolnej ręki w drodze łaski na wolność wypuszczę. Jarema Magdziak, pocałuj nogi panny dobrodziejki. —

Chłopczyna stał spokojnie i wcale nie wiedział, jakie niebespieczeństwo mu groziło. Na rozkaz urzędnika przystąpił z uśmiechem do córki dziedzica i schylił swój słomiany kapelusz do jej kolan.

— Ein Mordkerl*) — szepnął urzędnik do dziedzica. — Gdybym był starostą, wziąłbym go sobie za służącego.

— Dobrze — rzekł śmiejąc się dziedzic Nowejwsi — zanim pan starostą zostaniesz, wezmę go tymczasem do siebie i przyuczę do usługi. A gdy pan ze złotym kołnierzem do mnie przyjedziesz i z Landsdragonem na koźle, to go panu oddam.

— Biorę pana dobrodzieja za słowo — odparł urzędnik — będzie to mój protégé. —

Śmiano się i mówiono jeszcze wiele o kanarku i Jaremie, bo wszyscy byli jakoś dzisiaj w dobrym humorze. Pogoda była prześliczna; w dolinie jaśniały szerokie łany żółtych kłosów; mnóstwo robotników krzątało się w około.

Wszyscy ruszyli w pochód do dworu. Dziedzic szedł z urzędnikiem i rozpowiadał mu o procesie z gromadą o most nad rzeką. Blondyneczka bawiła się z kanarkiem, wyrzucając mu jego niewdzięczność. Pokojowiec szedł z głową spuszczoną, że mu się nie udało palnąć kilkanaście kijów Jaremie, dla którego czuł jakaś nieodgadnioną antypatję. A Jarema sam jeden wlókł się z tyłu, słuchając rozkazu dziedzica. Miał to być wcale nowy epizod w jego życiu. Z trwogą spoglądał z pod oka na kij pokojowca, który był o kilka cali dłuższy od dobrze znanego kija opiekuna. Tylko uśmiechnięta twarz urzędnika dodawała mu jakoś otuchy i budziła w nim lepsze nadzieje.

*) Zuch.

I tak szczęśliwie wszyscy zaszli do dworu. We dworze przyjęto gości, jak polski obyczaj kazał. Była herbata i zrazy z kaszą, ulubiona potrawa Amtsdinera, który w kredensie dziwy rozpowiadał o swoim zaszczytnym urzędzie.

Wieczorkiem siadł gospodarz do zielonego stolika i przegrał do urzędnika w halbe zwölfe dziesięć reńskich monetą konwencyjną. Urzędnik mniemał, że dzisiaj miał szczęście szczególne, a szlachcic uśmiechał się z ukosa do żonki i córki, które ten uśmiech jego doskonale rozumiały.

Około północy pisał urzędnik w swoim dzienniczku:

....Ich muss mich üben in der Landessprache.*) Panna Nowowiejska jest bardzo ładna. Wär ich Kreishauptmann... Mam lat dwadzieścia i pięć, ona ma piętnaście. Polska szlachta jest dobra i dobrze myśląca, gdyby tylko emisarjusze jej nie bałamucili. A lud polski ślepo oddany rządowi. Nie dziw, rząd go proteguje, bo tak być powinno. Jarema ist ein Mordkerl! Muszę pamiętać o nim. Pastuchy mają własne swoje zwyczaje i obyczaje. Jest w nich wiele poezji, ale zdrowych, rzeczywistych pojęć bardzo mało. Lud polski jest dzieckiem jeszcze. Kto temu dziecku da mleka i papki, za tym pójdzie. Piastunka, jeśli mleka dziecku dać nie może, to mu obiecuje. Machiawel powiada, że jeśli czego dać nie można, to trzeba obiecać. Obiecałem wczoraj chłopom pół lasu pańskiego i trochę łąk. Z tego wprawdzie nic nie będzie, ale chłop będzie wiedział, kto mu chciał dać, a kto się temu sprzeciwiał. — Huber jest człowiekiem bez najmniejszej nauki. W drodze lubi jeść czosnek, co mi robi niedobrze. Panna Nowowiejska ma szafirowe oczy. Wolę Göthego niżli Schillera. Historja Rotteka jest zanadto jednostronna. Gdybym był starostą, panna Nowowiejska musiałaby być moją żoną, i nie bałbym się „Nowejgóry“ wtedy... Jarema ist ein Mordkerl. Z dniem jutrzejszym będzie mi się należeć 27 fl. m. k. za diety... Komisja może jeszcze potrwać dwa tygodnie. Mam moralne przekonanie, że Żyd ukradł, ale pan komisarz nie kazał na niego naciskać. Pan komisarz jest człowiekiem sumiennym;

---

*) Muszę się doskonalić w języku krajowym

nie chce on nieszczęścia drugich. Żyd ma najlepsze mięso na cały obwód.... W herbacie było dużo rumu..... Coś mi się oczy kleją..... Panna Nowowiejska.....

Na tem kończył się dzienniczek koncept-praktykanta obwodowego.

Amtsdiner Huber, zachęcony słowami swego przełożonego, kazał sobie lokajowi dać arkusz białego papieru i probował także na nim skreślić myśli i wrażenia dnia dzisiejszego. Po kilku przemazanych słowach i trzech żydach, napisał Huber:

.....Szczęście wielkie, żem dzisiaj karku nie złamał. Głupia ta Nowagóra. Moja żona jest dziesięć lat starszą odemnie, a Babetta ma lat ośmnaście.... Powinienem zawsze tę Nowągórę omijać. Dziś mi Pan Bóg darował, mam kark cały i żebra całe. Zrazy polskie były przesolone. Kasia pokojówka ma czarne oczy. Landsdragon Hans pożyczył u mnie brzytwy, która mnie kosztuje dwa cwancygiery. Chłopi nie lubią dziedzica, bo na niego robić muszą. Powiedziałem im to i owo, jak to zazwyczaj komisarz gada. Chłop powinien wiedzieć kogo się trzymać, kto mu jest przyjacielem o kto jego nieprzyjaciel. — Powiedziałem wójtowi, że jak będą co mieli na dziedzica, to niech przyjdą do Hubera, a Huber zaprowadzi ich do starosty, gdy będzie w dobrym humorze. Zrazy były przydymione, kminkówka nieszczególna....

Tutaj koniec dzienniczka Amtsdinera, bo olbrzymia plama atramentu usiadła na drodze, jak góra św. Antoniego przed wozem sołtysa Jędrzeja.

Jarema tymczasem leżał w piekarni na piecu i przewracał się na wszystkie boki. Nie mógł na żaden sposób usnąć. Najrozmaitsze obrazy przebiegały mu przed oczyma. Widział jasnowłosą Nastusię, ale złotego ptaszka już nie było!..

Skoro świt, obudził go pokojowiec zachmurzony i wezwał przed dziedzica.

II.

BOHATER W ZAPASACH.

Pokojowiec Szymek był przybłędą i nikt w gromadzie nowowiejskiej nie wiedział skąd się wziął i gdzie się rodził. Pan Nowowiejski przywiózł go pewnego razu z miasta obwodowego, w obdartym kubraku, i oddał go lokajom do obmywania talerzów. Z tej to przyczyny gromada Nowejwsi nie miała do niego szczególnego nabożeństwa i w gorętszem usposobieniu nazywała go znajdą. Ale Szymek, jak każdy przybłęda, co to nie zna ni ojczyzny, ni rodziny, miał spryt niepospolity i przebiegłość, umiał się wszystkim przypochlebić i wszystkich ująć. Mianowicie umiał korzystać z swego wyjątkowego we wsi położenia, które pozwalało mu, jako słudze dworskiemu, odznaczać się najrozmaitszemi błyskotkami. Toż na jego czapce, na świcie i hajdawerach jaśniało mnóstwo szychu i pasów karmazynowych, z czego był dumny, jak sułtan z koloru zielonego. Według jego wyobrażeń, a może nawet i pewnych doświadczeń, należał mu się przed wszystkiemi przywilej przypodobania się dziewczętom nowowiejskim, czegoby nikomu innemu nigdy nie odstąpił.

Zachmurzony więc zbliżył się do pieca i szturchnął kułakiem Jaremę, w którym widział prawdopodobnie rywala swego, tak co do łask pańskich, jakoteż i ładnej płci miejscowej. Jarema uczuł na widok zachmurzonego pokojowca jakąś dziwną bojaźń, ale dalekim był od tej myśli, jaka właśnie zaprzątała w tej chwili Szymka. Jaremie stanął

tylko na oczach ów duży kij, którym pokojowiec wczoraj tak zamaszyście wywijał, a który jeszcze dłuższy był od kija opiekuna....

Ale niedobre Jaremy przeczucia nie spełniły się. Dziedzic Nowejwsi łaskawie z nim rozmawiał, wypytywał go o różne rzeczy i w końcu oświadczył mu, że go w służbę przyjmuje, a jak się dobrze będzie sprawował, obiecał mu to wynagrodzić, tak jak Bóg i dawny obyczaj przykazał. Pan Nowowiejski bowiem należał jeszcze do tej niewielkiej już liczby obywateli naszych, którzy lubią sługę od młodu sobie wychować i do swego domu przywiązać.

Z wielkiem nieukontentowaniem powziął tę wiadomość wszechwładny dotąd pokojowiec Szymek, który mimo młodszego swego wieku, umiał panować i nad starym kucharzem, i nad jeszcze starszym ogrodnikiem. Najwięcej zaś bolała go myśl, że Jarema będzie te same, a może jeszcze i lepsze ozdoby co i on nosił, bo pan Nowowiejski zaraz po konferencji z Jaremą kazał zawołać Żydka, nadwornego krawca, aby Jaremie liberją sporządził.

Jakkolwiek dobre obejście się pana Nowowiejskiego mocno Jaremę pocieszyło, to przecież myśl o liberji jakoś niemile go dotknęła. Nie mógł on sobie zdać sprawy z tego niemiłego uczucia, ale tak było w istocie. Nie raz miewał na sobie kaftan w kawałki podarty, obszyty łatami ze wszystkich stron, świecący strzępkami najrozmaitszej formy; nie raz przeglądały mu włosy przez słomiany kapelusz, ciało nagie wyglądało dziurami koszuli; nieraz miał nogi pokrwawione od cierni i kamieni rzecznych; mimo to jakieś nieprzyjemne owładnęło go uczucie, na widok liberji szychem wyszytej, chociaż ona wszędzie była cała i wcale z dobrego sukna piaskowego koloru.

Przyuczony jednak nd dziecka do ślepej uległości, wlazł biedny Jarema w liberję, którą Żyd naprędce trochę podciął, wlazł aż po same uszy, a nawet i te musiał przykryć czapką z czarnej ceraty, z szychowym galonkiem. Nieudolnym a nawet śmiesznym musiał się wydawać Jarema w tej swojej transmutacji, bo Szymek zaczął się śmiać z całego gardła i wszystką czeladź zwołał, aby należycie wyszydzić nowego

dworskiego rekruta. I śmieli się też wszyscy, ile sił starczyło, śmieli się szczerze i serdecznie, bo Jarema w samej rzeczy nader komicznie wyglądał. Szeroką opaloną pierś ścisnął mu kubrak piaskowego koloru, z dużemi mosiężnemi guzikami, zapięty aż pod brodę. Spodnie były tegoż koloru i zwężały się ku stopom nakształt kamaszy. Pod kolanem była przepaska z białego szychu, która go widocznie cisnęła i wolny ruch nogi tamowała. A gdy do tego dodamy grube trzewiki, jakich nigdy w życiu nie miał jeszcze na nogach Jarema i czapkę, z ogromnem lakierowanem dnem, która cały kark jego przykrywała — to przyłączymy się niezawodnie do śmiechu całej czeladzi, która w Jaremie widziała niedźwiedzia, co mu nagle przemyślny Niemiec żelazny pierścień przez nos przewdzieje. Swobodny w ruchach i ładnej budowy, przedzierzgnął się nagle w orangutanga i drażnił wszystkich do nieustającego śmiechu kędzierzawym łbem swoim i wystraszoną, dziwnie pomarszczoną twarzą.

Doskonale pochwycił ten moment naszego bohatera przebiegły pokojowiec Szymek, aby go w oczach świata nowowiejskiego raz na zawsze śmiesznym uczynić. Była to pierwsza przegrana Jaremy w tym nowym epizodzie jego życia.

Śmiała się z niego kucharka i pokojówka, śmieli się kucharz i ogrodnik, śmieli parobcy i dziewki mleczne. Szymek z miną faryzeusza obracał go na wszystkie boki, niby mu poprawiając kubraka, a tymczasem czynił go tylko śmieszniejszym w nieudolności jego. Pokojowiec spostrzegł wkrótce, że Jarema nie tylko szkodzić mu nie może w zakresie płci nadobnej Nowejwsi, ale przeciwnie, odbijał on od tego orangutanga udatnemi swemi ruchami i pewną gracją w noszeniu liberji. Przybłęda bowiem tak jakoś przyrósł do tej liberji, że mu wcale nie zawadzały ani opięte kamasze, ani ciasna szychowa przepaska pod kolanem, ani go nie gniótł kubrak migdałowego koloru, zapięty sztywnie aż pod samą brodę. Umiał się jakoś ruszać swobodnie w tym służalczym mundurze, był giętki i zwinny w tej szychami obszytej skorupie.

Jarema nie widział jednak różnicy między sobą a Szymkiem.

Miał taki sam prawie kubrak co i tamten i takie same spodnie, z szychową pod kolanem przepaską. Dziwiło go to, że czeladź tylko z niego się śmiała, a w ubiorze pokojowca niczego śmiesznego nie dostrzegała. Widział on w tem krzyczącą niesprawiedliwość świata, ale do takiej niesprawiedliwości był już od najmłodszych lat przyzwyczajony i westchnął tylko do Boga, aby kiedyś odpłacić się mógł temu niesprawiedliwemu światu.

Ale jak wszystkie dolegliwości w życiu ludzkiem mijają, tak i to minęło. Pokojowca odwołano na pokoje, na czeladź dworską wpadł ekonom z batem, że próżnuje i bez celu śmiechy wyprawia, a biedny rekrut dworski został sam jeden w kredensie, aby nad nowem swojem położeniem należycie rozmyślać.

Widząc tutaj cały swój świat zamknięty w cztery brudne ściany kredensu i płaską powałą z góry przygnieciony, zaśmiał się Jarema i smutno spojrzał po swojej liberji. Członki jego jakoś dziwnie skostniały i zgrubiały. Nie mógł się ani ruszać, ani postąpić jak dawniej, gdy był pastuchem na wielkiej zielonej błoni. Najprzód przyszedł mu na myśl pokojowiec, a czoło jego zmarszczyło się. Mimo wiedzy wcisnęło się w jego serce jakieś nieprzyjazne dla Szymka uczucie. A gdy potem w myślach swoich dalej się posunął, ujrzał przed sobą owego urzędnika, który niby był jego protektorem, a właściwie wprowadził go w to nowe, niezbyt przyjemne położenie. I właśnie chciał sobie o tym urzędniku coś pomyśleć, kiedy drzwi kredensu się z łoskotem otworzyły, a na progu pojawił się Amtsdiner Huber.

— No ty Jarema — zawołał Amtsdiner — co ty tak nos na kwintę spuścił? he? Ja i pan komisarz... już jedziemy precz. Podaj ognia do fajki. —

Jarema na gołej dłoni przyniósł mu żarzący węgiel z kominka.

— Co ty Jarema — mówił dalej Huber — to ciebie nie piecze?

— Choć piecze, ale cóż robić — odparł Jarema — służyć trzeba. —

Mimo głupich, wolich oczu swoich, spojrzał jakoś roztropnie na niego Huber i rzekł po chwili:

— Jesteś bardzo mądrym człowiekiem, Jarema. Zapiszę to sobie dzisiaj do dzienniczka. Służba przedewszystkiem. Mnie nieraz także piecze i boli, ale cóż robić? Kto chleb daje, dla tego niech piecze i boli. Chleb, to grunt wszystkiego na świecie. —

Jarema patrzał na Amtsdinera, jakby tych filozoficznych aforyzmów wcale nie rozumiał. Chleba dworskiego jeszcze wprawdzie nie jadł, a chociaż dziedzic bardzo po ludzku z nim sobie postąpił, zatęsknił jednak do swego pastuszego kaftana i do kapelusza słomianego.

— Słuchaj Jarema, mówił po chwili Huber, poprawiając ogień w fajce, podobałeś się mnie i panu komisarzowi, a to już wiele znaczy. Komisarz obiecał cię do siebie wziąść, jak zostanie starostą, a ja mogę już wtedy być kancelistą. Nim to jednak nastąpi, mówię ci, jeźli chcesz aby ci się dobrze powodziło na świecie, to patrz zawsze na tego, co ci chleb daje; rób wszystko co on robić każe, a nie pytaj nigdy dla czego. Jak tylko raz się zapytasz dla czego? to już pierwszy krok do biedy. Jam był czternaście lat żołnierzem, to wiem jak być powinno. Słuchać a nie rezonować, ani gębą, ani w duchu. —

Rzekłszy to, poklepał Jaremę ręką po głowie, z powagą protektora, jakby go chciał bierzmować na przyszłe burze żywota, i odszedł.

Taki był pierwszy poranek tego nowego epizodu w życiu Jaremy. Nastąpił drugi, trzeci i dziesiąty, a nic szczególnego nie zaszło.

Jarema pełnił rozkazy drugich, a wszystko co żyło w piekarni rozkazywało mu. I powoli przyzwyczajał się do dworskich, a dworscy do niego, i byłby może na zawsze utonął w fali czasu i historji świata, jako sługa kredensowy, gdyby okazana już w pierwszym rozdziale skłonność do jasnowłosej Nastusi nie była go wplątała w szereg szczególnych sytuacji.

Zaraz w niedzielę po nieszporach zaszła ważna zmiana w jego życiu. O tym czasie zwykli byli wieśniacy tłumnie zgromadzać się w karczmie u rudego Icka i zabawiać się konwersacją przy kieliszku wódki. Młódź zaś, która nie miała przystępu do karczmy, roiła się w około smętarza i wyprawiała z dziewczętami różne figle.

Jarema wyrobił sobie za pośrednictwem córki dziedzica, która mu wielce sprzyjała, mimo kradzieży kanarka, że mu pozwolono pójść na tę poobiednią zabawę. Spodziewał się tam zastać Nastusię, a chociaż dzisiejszy ubiór niewiele obiecywał mu nadziei, jednak serce koniecznie do niej go ciągnęło. Do tego jeszcze dodawała mu otuchy ta myśl, że Szymek w takim samym mundurze miał szczególne u dziewcząt powodzenie, które na muzyce lgnęły do niego, jak muchy do miodu. Nie wiedział jednak iż dla Szymka była liberja jakby stworzona; umiał bowiem z taką fantazją stawiać nogi w kamaszach i tak zgrabnie w obertasie podrygiwać, że każda z ukosa zerkała na niego i rada była choć słówko, choć jeden uśmiech od niego dostać. A Jarema tymczasem wyglądał w sutej swojej liberji, jak wół w złotej karecie.

Otóż skoro się tylko okazał na smętarzu, czy to już było tak ukartowane przez Szymka, czy tylko istny przypadek, dziewczęta poczęły się śmiać i wydrzeźniać biednemu rekrutowi dworskiemu. Spłonął gniewem Jarema, ale nic nikomu nie powiedział. Powiódł tylko okiem po grupach dziewcząt, szukając między niemi jasnowłosej Nastusi, i znalazł ją niedaleko siebie. Siedziała na murawie, a obok niej przykucnął Szymek i oboje śmieli się z Jaremy.

Jarema ścisnął pięść i posiniał ze złości, ale dziewczęta tem więcej śmiały się z niego, a chłopacy zanucili pionskę humorystyczną:

Był Nikita u pana,
Mył talerze co rana,
Co południe w piecu palił,
Aż sobie włosy osmalił.
Hej Nikita, Nikita!
I ty ta! i ty ta!...

Jarema obrócił się i odszedł. Całą noc płakał, a gdy nazajutrz przed dworem się okazał, śmiały się z niego dzieciaki i dziewczęta.

Okropnym był dla Jaremy ten śmiech całego młodego pokolenia; a starsi potrząsali na to głową, mówiąc między sobą, że głupi Jarema rady sobie dać nie może, i że mu dla tego bardzo źle będzie na świecie. Na czem jednak ta rada miałaby zależeć, o tem mu nikt nic nie powiedział. A Jarema myślał i myślał, i nic nie mógł wymyśleć.

Ale przecież razu jednego przyszła mu dziwna myśl do głowy. Przyjechał do dziedzica z dalekich stron jakiś krewny. Zamiast wykarmazynowanego służącego, siedział na koźle rosły człowiek, z miną poważną, w stroju kozackim. A gdy Kozak na drugi dzień od służby się uwolnił i nieco do karczmy i na smętarz między dziewczęta zajrzał, przyjęło go całe wiejskie towarzystwo z należytem uszanowaniem. Nikt sobie nie umiał zdać sprawy dla czego to czyni, a jednak, mimo całej pustoty młodych dziewcząt, które ze wszystkiego się śmiały, nie można było w Kozaku nic takiego zobaczyć, coby je do śmiechu pobudzić zdołało. Był to strój swojski, a chociaż w tej okolicy tak się nie ubierano, wiedziano jednak że tam gdzieś dalej ku wschodowi mieszka lud, który mówi jakoś po bożemu, co każdy rozumieć może, a tak się ubiera. Ale takiego ludu jak Szymek i Jarema nikt nie znał.

Kozak bawił kilka tygodni w Nowejwsi i zawsze mile był widziany od całej gromady. Starsi wypytywali go jak tam ludziom na świecie, czy jest także pańszczyzna, czy takie same wysokie podatki, na które człowiekowi trudno się zdobyć, i czy panowie dobrze się z gromadą obchodzą. A dziewczęta mizdrzyły się do brodacza i pytały, czy tam mołodyce takie same mają czarne oczy jak w Nowejwsi i czy także lubią wianki na wodę puszczać. Kozak muskał po czarnych wąsach i zerkał z ukosa na czarnobrewy, bo wszystkie jakoś zarówno mu do serca przypadły.

Widział to Jarema i myślał sobie.

— Gdybym zamiast obcisłych kamaszy, miał takie szerokie hajdawery, i zamiast tych guzików prosty pas czerwony

tobym może lepiej mógł się ruszać, a nawet Nastce przypodobać...

I zaraz na drugi dzień po odjeździe Kozaka, za pośrednictwem panny Zofii, córki dziedzica, która darowała mu dawno kradzież kanarka z miłości przedsięwziętą, udało mu się wyjednać sobie w tym względzie posłuchanie u dziedzica, któremu z wszelką uległością przedłożył wniosek swój dotyczący zamiany liberji.

Nieba sprzyjały Jaremie; dziedzic bowiem był właśnie w bardzo dobrym humorze. Ekonom przyniósł mu raport, że żytko korcuje, że pszeniczka jest bardzo namłotna, a koniczyna więcej wydaje, jak się spodziewano. Do tego nadeszła jeszcze niby przypadkiem Zosieńka i tak się serdecznie z tatuniem popieściła, że tatunio jaknajłaskawiej Jaremę wysłuchał i jego życzeniom zadość uczynić przyobiecał. Kozak stryjecznego jego brata bardzo mu się podobał, i nawet myślał o tem, kogoby to ze sług swoich ubrać w tak szerokie hajdawery.

Żydek Mechel, krawiec nadworny i pachciarz krów, wziął się zaraz do roboty, a w niedzielę paradował już uszczęśliwiony Jarema w granatowej krótkiej kurcie, przepasany pasem czerwonym, w hajdawerach tak szerokich, jakich w okręgu mil dziesięciu nie było. A gdy się na smętarzu ukazał, już się nie śmiały z niego dziewczęta, tylko z ciekawością mu się przypatrywały. Nawet Nastusia jasnowłosa zamyśliła się na chwilkę. Jarema bowiem ruszał się jakoś daleko zgrabniej i swobodniej, a wewnętrzne przekonanie, że raz w życiu stało się zadość jego życzeniu, podniosło w nim wiarę w siebie i uczyniło go rozmownym, a nawet dowcipnym.

Ale Nastusia myślała sobie.

— Jarema chłopiec niczego. W ubiorze kozackim dosyć mu do twarzy. Ale Jarema jest i zostanie tylko Kozakiem; a Szymek ma łaskę u pana i umie się tak zgrabnie kręcić, jak to przy państwie potrzeba. Szymek może zostać kamerdynerem, będzie chodził w czarnym fraku i w białej chustce, a ja, gdy zostanę jego żoną, będę miała czepek i parasolkę zieloną. Wolę Szymka. —

Jarema jednak nie wiedział o tym monologu Nastusi i

obiecywał sobie złote góry. Ale wkrótce musiało nastąpić rozczarowanie. Nastka trzymała się Szymka jak dawniej, tylko teraz mniej śmiała się z Jaremy. I chłopcy wiejscy mniej się z niego śmieli, ale zawsze patrzyli na niego z góry, jak na człowieka który najmniejszego nie miał u nich znaczenia. Czy to w zabawach na smętarzu, czy na muzyce, Jarema był zawsze ostatnim, i długo musiał się naprosić jakiej mołodycy, póki z nim odważyła się pójść w tany.

Za piecem w kredensie, gdzie sobie leżysko był usłał, rozmyślał często Jarema po całych nocach nad tem, skąd to pochodzi, że tak upośledzonym jest między chłopcami całej gromady i że na względy jasnowłosej Nastusi niczem sobie zarobić nie może.

I tak mijały dnie i tygodnie, mijały miesiące i lata, a Jarema nie postąpił ani o krok dalej. Trzy lata przebył już ciężkiej służby; po całych dniach i nocach rozmyśliwał nad tem, coby go mogło między parobkami i mołojcami gromady jakoś podnieść i do serca Nastki wkręcić, ale dotąd nic wymyśleć nie mógł. Wszystko cokolwiek przedsięwziął, chybiało celu, a biedny Jarema już począł na serjo tracić wiarę w siebie i w lepsze swoje przeznaczeuie na tym świecie. Trzy lata minęły, i jakiż dla niego stąd rezultat? Oto w kredensie był prawie ostatnim, między mołojcami ostatnim, a u Nastki — niczem!

Myśl ta, być wszędzie ostatnim, a tam gdzie chciał być jedynym, niczem... myśl ta zabijała go, nie dawała w dnie i w nocy spokoju. Posmutniał i stał się ponurym, co twarzy jego nadawało wyraz bardzo przykry. Do tego jeszcze widocznie Szymek postępował w faworach u Nastki: sama go szukała, chodziła wszędzie za nim, a nawet często gęsto przekraczała granice, jakie dziewczętom wiejskim z taką skrupulatnością wytyka zazwyczaj każda nasza gromada. Wszystko to jednak szło na karb bliskiego sakramentu małżeństwa, a stare kumoszki patrzyły jakoś przez palce na to.

Ale Jarema nie mógł na to wszystko tak spokojnie patrzeć. Największym dla niego wrogiem był Szymek. Jego twarz gładka i zawsze uśmiechnięta, była dla Jaremy nieznośnym widokiem. Stąd często przychodziło między nimi do różnych poswarek, a nawet czasami poszturchali się

nawzajem, przyczem Jarema najczęściej w ostatniej instancji sprawę przegrywał, jeśli panna Zofia wcześnie o tem się niedowiedziała. To rozjątrzało tylko Jaremę tem więcej, a czasami powstała nawet myśl w jego głowie, że dziedzic robi mu krzywdę, chociaż bardzo łagodnie z nim się obchodził.

Jedyną dla Jaremy pociechą był Amtsdiner Huber, który wśród tego czasu kilka razy do Nowejwsi zawitał. Huber pocieszał go swoim sposobem i radził mu, aby starał się dostać na chleb cesarski, bo ten jeszcze ze wszystkich jest najlepszy. Co pierwszego każdego miesiąca wyfasuje sobie człowiek swoje pieniądze i jest panem całą gębą. Czapkę nosi na bakier, i tylko przed starostą, komisarzem i kancelistami musi się nisko ukłonić, a cywilnym ledwie głową kiwa. Tak mawiał do niego Amtsdiner, ale zaraz niemiłosiernie psuł mu rzucone przed oczy czarowne obrazy. Powiedział mu bowiem z westchnieniem, że to na żaden sposób być nie może, bo Jarema jest głupi chłop, cham, a tu potrzeba człowieka uczonego, lub przynajmniej takiego, jakim on jest, Amtsdiner Franz Friedrich August Huber.

Jarema zwieszał głowę w smutku, ale przecież jakoś mu lżej było przy Hubercie, ktory sam jeden znał jego tajemne cierpienie, bo w całej gromadzie nie było ani jednej duszy, którejby się mógł zwierzyć. Często w bezsennej nocy migała mu przed oczyma czapeczka Amtsdinera, a orzeł z rozpostartemi skrzydłami wydawał mu się jak ów ptak zbawienia, co znękanym żeglarzom przynosi nadzieję bliskiego portu.

Lecz wkrótce zaszło w życiu Jaremy ważne zdarzenie, chociaż on sam o tem wcale nie wiedział.

Pewnej niedzieli spostrzegł stary kucharz, że Jarema, wyłażąc z łóżka, stąpił lewą nogą na podłogę.

Prócz tego opowiadała kucharka, że przed pacierzem naczczo wymówił jakieś nieczyste przekleństwo, a gdy za panną Zofią niósł do kościoła książkę, potknął się w samych drzwiach kościoła i upadł jak długi. Dzwonnik znów ofiarował nawet przysięgę, że koło św. Antoniego, przy którym stał Jarema, zgasła nagle lampa, chociaż on z niej masła nie wybrał, bo właśnie dopiero wczoraj żona jego zrobiła masło... Słowem, mnóstwo rzeczy miało się stać tego dnia, a chociaż

o tem dopiero nazajutrz mówić zaczęli, nikt jednak nie powątpiewał w całej gromadzie, że to wszystko było prawdą.

Otóż dzień ten miał być już z góry dla Jaremy feralnym. Przy obiedzie pokłócił się z Szymkiem i pięścią mu pogroził. Po nieszporach wyszedł na smętarz, a widząc jak Nastka się serdecznie z Szymkiem bawiła, odwrócił się i w odwrocie uderzył niby przypadkiem Szymka po głowie. Szymek poczerwieniał ze złości, ale Jarema stał cichy i spokojny. Przeciwnik nie miał odwagi wziąść się do niego, bo twarz Jaremy była jakoś dziwnie zmieniona.

Wieczorem poszła młodzież na tany do karczmy. Szymek hulał i pił do upadłego — Jarema siedział w kącie i patrzał się.

Około północy wyszedł Jarema z karczmy, a stary Borys widział że nie poszedł do domu, tylko wszedł na ścieżkę ponad wysoki brzeg rzeki.

Wkrótce znikł i Szymek z karczmy. Wszyscy porozchodzili się do domów, a rudowłosy Icek zgasił świeczkę i położył się pod pierzynę.

Dopiero nad ranem przyszedł Jarema do kredensu. Miał ubiór zmoczony i włosy rozburzone — ale Szymek nie wrócił.

Nazajutrz dziwne wieści podawali sobie ludzie od ucha do ucha. Dziedzic zawołał Jaremę i długo z nim sam na sam rozmawiał. Ogrodnik opowiadał w sekrecie kucharzowi, że pan coś mocno był zamyślony po tej rozmowie i długo chodził między zagonami cebuli i maku. Za kilka dni przyjechał nawet mandatarjusz*) i coś z panem konferował. Ba, nawet umyślnie czy przypadkiem przyszedł piechotą Amtsdiner Huber i zjadł we dworze cały talerz zrazów z kaszą i pół flaszki kminkówki wypił.

Jaremie jednak ani włos nie spadł z głowy, choć ludzie bardzo różnie o tem wszystkiem mówili, choć nawet w kilka dni potem znaleziono nad wysokim brzegiem rzeki czapkę Szymka i potarganą chustkę z szyi.

Nastka płakała kilka dni i odgrażała się na Jaremę. Ale w niedzielę była już tak wesołą jak zwykle, a nawet weselszą. Jarema zbliżył się do niej i długi czas z nią

*) Sędzia.

rozmawiał. Ale Nastka śmiała się, a Jarema odszedł od niej z chmurą na czole.

Gromada i młodsza jej generacja przyjęła jakoś dosyć obojętnie całe to zdarzenie. Szymek był przybłędą, w gromadzie nie lubiono go, jako denuncjanta. Szymek bowiem wiedział, ile który drzewa w lesie ukradł, kto w nocy pasł konie na pańskiej łące, a co wiedział Szymek, wiedział i pan. Otóż nie miano wcale za złe Jaremie, że Szymek jakoś znikł bez śladu; byli nawet między gromadą i tacy, którzy to za zasługę Jaremie poczytywali. Nikt się jednak z tem w karczmie nie odezwał, bo Jarema niczem był w gromadzie i żadnego nie miał znaczenia; nie wypadało więc o tak niepoczesnej figurze rozprawiać, jak się rozprawia o porządnym gospodarzu.

Młodzież zaś gromady, nawet po tem szczególnem zdarzeniu, nie zmieniła wcale swego zachowania się względem Jaremy.

Był on zawsze i wszędzie ostatnim. Upokarzano go i śmiano się z niego, a zdarzenie to dało nawet kilku mołojcom powód do różnych przytyków, co Jaremę w wściekłość wprawiało.

Jarema był z tego powodu w humorze coraz gorszym. Ustawiczne drażnienie zmieniło prawie całą jego naturę. Z potrzeby zawsze uległy i niby pokorny, nie umiał już teraz panować nad sobą. Popuścił więc cugle namiętnościom: pił w karczmie i hulał, a kto mu słówko powiedział, zbił go na kwaśne jabłko.

Bitki te powtarzały się bardzo często: synowi wójta złamał żebro, Kubie wybił oko, Onufremu nogę przetrącił, a guzów i sińców narozdawał się co nie miara. Ktokolwiek bądź go wyzwał, brał się do niego, bez względu czy słaby, czy mocny i rosły chłop, a że się brał z wiarą w siebie i doraźnie, więc zawsze zwyciężał i każdego przeciwnika wziął pod siebie.

I dziwne zrobił przytem doświadczenie. Mołojce nowowiejscy, co to przedtem nosy do góry zadzierali i ciągle z niego drwili, gdy im porządnie wygarbował skórę, lub żebro jedno złamał, przychodzili w kilka dni do niego jak baranki, starali się o jego przyjaźń, a nawet chętnie stawali pod jego rozkazy.

Synowie najbogatszych kmieciów wybierali go teraz za przewodnika, czy to do tańca, czy do jakiej wyprawy niedzielnej, czy też w osądzeniu niektórych spraw wewnętrznych. Słowem Jarema ujrzał się nagle pierwszym mołojcem w gromadzie, a miał nawet nadzieję, że i jasnowłosa Nastka ulegnie temu urokowi. Cała bowiem młodzież nowowiejska uderzyła czołem przed fizyczną potęgą, jaką w ostatnich czasach rozwinął Jarema. Bitki, odwaga i szczęście w walce wysunęły go naprzód i w oczach młodszego pokolenia gromady otoczyły pewną aureolą...

I kto wie, czyby Jarema nie był w końcu dopiął celu najgorętszych marzeń swoich, czy nie byłby został pierwszym w gromadzie, a mężem jasnowłosej Nastusi, która już mizdrzyć się do niego zaczynała — gdyby właśnie ta sama szczęśliwa gwiazda, która mu tę nową pogodną kwadrę w jego życiu zapowiedziała, nie była ogonem swoim zmiotła nagle wszystkich jego nadziei.

I tak u samej bramy szczęścia, gdy już ręką brał Jarema za klamkę, aby ją sobie otworzyć, pochwycił go zły duch za kołnierz i na progu zatrzymał.

A biedny Jarema, który nagle jakby z nieba spadł na ziemię, nie miał nawet czasu, ani zdolności po temu, aby się tem pocieszyć, że chociaż człowiek pod ciosami złych ludzi upadnie, idea jednak jaką niósł w sobie, może tem świetniej tryumfować. Wprawdzie wynalazł Jarema sposób, jak można między młodszą generacją gromady nowowiejskiej dobić się pierwszeństwa, ale cóż z tego, gdy mu furtki szczęścia nie pozwolono sobie otworzyć?...

III.

MANDATARJUSZ.

Ta sama droga, która Jaremę prowadziła do upragnionej mety, odkryła mu nagle przepaść pod stopami. Nowy tryb życia jaki wiódł od pewnego czasu, a którym młodemu pokoleniu nowowiejskiej gromady tak mocno zaimponował, sprawił w innych sferach nie bardzo miłe wrażenie. Częste bitki w karczmie, ustawiczne wyzywanie tych wszystkich, którzy się tylko do niego zbliżyli i jakaś buta nieodgadniona, która nie wiedząc skąd mu przyszła, odebrały mu we dworze tę wziętość, jaką miał zrazu z powodu swojej uległości. Do tego jeszcze przyłączył się nałóg pijaństwa, w który widocznie coraz więcej brnął Jarema. A wszystko to nie obeszło się bez zaniedbania służby, bez narażenia się temu i owemu we dworze.

Te nagłą zmianę Jaremy różni różnie sobie tłumaczyli. Jedni wzięli ją za prosty wypływ pewnych w rodzie Jaremy tradycji. Mówili, że ojciec Jaremy był pijakiem, a pijak pijaka rodzi. Drudzy sądzili, że Jarema się rozłajdaczył, z powodu nieszczęśliwego swego afektu do Nastusi jasnowłosej, która jego zaloty wyśmiewała. A byli i tacy, którzy nieco głębiej po przyczyny sięgali i dzisiejszy tryb życia Jaremy wzięli za objaw wyrzutów sumienia, przyczem o zagadkowem zniknięciu Szymka szeroko mówiono.

I jak z jednej strony buńczuczne zachowanie się Jaremy do wielkiego w oczach mołojców podnosiło go znaczenia, tak z drugiej stronnictwo dworskie patrzało na niego z tego

powodu coraż nieprzyjaźniej. Ślepy kucharz czuł mrowie w pacierzu, gdy Jarema wszedł do kuchni; zezo-oka kucharka w głos wyrzekała, że Jarema od niejakiego czasu ani jednego słodkiego słówka jej nie powiedział, a kulawy ogrodnik odmawiał co rano litanję do Najświętszej Panny, aby mu nie dała popaść w szpony Jaremy.

Takie usposobienie stronnictwa dworskiego musiało także i na samego dziedzica wpływ swój wywrzeć. Przychodziły ze wszystkich stron skargi na Jaremę. Mechel żądał na serjo obniżenia arendy, bo Jarema porozpędzał pijących chłopów z karczmy. Powinowaci obitych nagabywali dziedzica, aby im zwrócił koszta leczenia. Słowem, z każdym dniem gromadziło się nad głową Jaremy coraz więcej chmur grożących burzą i piorunami.

Upojony jednak sukcessem, nie zważał na to Jarema. Jak niegdyś naród żydowski wybrał Saula na króla, z tej prostej przyczyny, że był o głowę wyższym od wszystkich Żydów — tak młodzież nowowiejska wybrała sobie Jaremę na przewodnika, dla tego że pił więcej od innych, tańczył lepiej i dłużej od kowala, najzręczniejszym był w bitkach i najskorszym do kija.

Ale nieprzyjazne mu stronnictwo dworskie zaczęło szczęście jego podkopywać, a nawet panna Zofia, która najdłużej Jaremie sprzyjała za to, że dla miłości posunął się aż do kradzieży kanarka, odstąpiła go teraz, widząc że Jarema wyprawia codzień gorsze burdy.

Było już więc powszechne przeciw Jaremie zniechęcenie we dworze; reszty dokonał mandatarjusz.

Pewnego bowiem poranku przyszedł mandatarjusz do kancelarji dziedzica i długo z nim rozmawiał. Ślepy kucharz, który przypadkiem miał względem mięsa jakiś do dziedzica interes, zatrzymał się, także przypadkiem, pod drzwiami kancelarji. Ślepi ludzie mają zazwyczaj sluch doskonały; więc rad nierad wysłuchał kucharz całą z mandatarjuszem rozmowę.

Opowiadał później ogrodnikowi, jak mandatarjusz coś o Szymku mówił i o tem, co ludzie coraz głośniej między sobą gadają, o złem życiu Jaremy i o potrzebie aby go

z dworskiej służby uwolnić, inaczej dziedzic i mandatarjusz będą mieli korowody z różnemi komisjami, czego jednak obaj unikać powinni.

I musiał dobrze słyszeć ślepy kucharz, bo w kilka dni potem zawołał Jaremę dziedzic do kancelarji i długo, długo z nim rozmawiał. A gdy Jarema wyszedł na korytarz, przechodziła tamtędy panna Zofia i nic nie mówiąc, wcisnęła mu do ręki talara z Matką Boską. Jarema przyszedł do kredensu, zawinął swoje manatki, a otarłszy łzy, zarzucił węzełek na plecy i ze dworu wyszedł.

Ogrodnik i kucharz dziwili się, że Jarema tak spokojnie jak baranek wyszedł z kredensu. Byli na to przygotowani, że jednemu i drugiemu zostawi jakąś pamiątkę na plecach, bo tak kazało im się spodziewać własne ich sumienie. Obaj przykucnęli w kuchni, a ogrodnik zalecał swemu przyjacielowi skuteczną przeciw Jaremie litanję do Najświętszej Panny, która go nigdy nie zawiodła. Kucharz powtarzał za ogrodnikiem i mówił przytem w nawiasie:

— ...Wieżo z kości słoniowej..... (Wy bo Jacenty niepotrzebnie judziliście zawsze pana na Jaremę) ....módl się.....

— ...Orędowniczko nasza!.. mówił ogrodnik.... (To wy chodziliście Mateuszu do pana, donosząc że Jarema w karczmie)... módl się za nami!...

— ...Pocieszycielko nasza! — wołał kucharz — (Albo to ja powiedział panu o Wawrzku?)... módl się za nami!...

— ...My grzeszni Ciebie Matko błagamy!... (Ja mam czyste sumienie).... Przyczyń się za nami:...

— ...Kyrie elejzon..... (Czarta byście zjedli Jacenty, wy temu wszystkiemu winni, a teraz umywacie ręce).

— ...Chryste elejzon!.... (Zjadłeś ty dwa czarty!) —

Mimo wszelkich nawiasem wtrącanych dodatków, skutkowała jednak litanja, bo Jarema ani razu nie obejrzał się na kuchnię, gdzie dwaj przyjaciele pocili się ze strachu. Wreszcie na skręcie drogi pod figurą zniknął im zupełnie z oczu. Obaj odetchnęli, przeżegnali się i na znak zgody i przymierza świętego podali sobie ręce, przyrzekając sobie pomoc wzajemną w razie, gdyby jaki nowy intruz chciał niepotrzebną kontrolą zamięszać ich spokój domowy.

Biedni jednak sprzymierzeńcy nie mieli pokoju ni w dzień ni w nocy. Jarema stawał im zawsze przed oczyma. Włos jego kędzierzawy najeżał się do góry, oczy ciskały pioruny. Obaj przyjaciele pocili się pod pierzyną i odmawiali litanję do Najświętszej Panny; ale Jarema jak stał, tak stał przed nimi. Różnie tłumaczyli sobie to dziwne zjawisko. Mówili między sobą, że Jarema jest zabójcą Szymka i że dla tego straszy po nocach poczciwych ludzi, a kto w czem zrobi jeden krok, musi zrobić i drugi. Więc obaj przyjaciele postanowili raz na zawsze pozbyć się swojej trwogi przed Jaremą, cokolwiekbądź by to kosztować miało.

Do tego popychały ich różne wieści, które do ich uszu dochodziły. I tak: widziano Jaremę leżącego w grochu przy drodze, jaką zwykł był wieczorem chodzić kucharz z jakimś tajemniczym węzełkiem do swojej córki, która za zagrodnika poszła. Mówiono także iż Jarema zaglądał raz przez płot do ogrodu, w którym właśnie coś kopał ogrodnik. W karczmie miał coś powiedzieć, co dwom przyjaciołom mrowie w pacierz nagnało. Słowem, był czas ostateczny, aby się raz pozbyć tej trwogi ustawicznej.

Najbliższej niedzieli przyszli obaj do dziedzica i prosili go o pozwolenie udania się na nieszpory do Zagrody, drugiej majętności pana Nowowiejskiego, aby tam przed cudownym obrazem Matki Boskiej na pewną intencję pomodlić się. Pan Nowowiejski pozwolił im chętnie.

— I jakąż macie intencję? — zapytał z uśmiechem.

Kucharz spojrzał na ogrodnika, ogrodnik na kucharza i obaj poskrobali się w głowy. Po chwili ozwał się kucharz:

— My mamy intencję, wielmożny panie.... ....ot intencję... aby Bóg chronił wielmożnego pana od jakiego nieszczęścia. —

Pan Nowowiejski uśmiechnął się, widząc przebiegłość sług swoich, wyrachowaną na jaki podarek.

— I jakież nieszczęście, prócz tego, co Bóg na mnie zeszle, mogłoby mi grozić? — zapytał po chwili.

Obaj przyjaciele poskrobali się znowu w głowy, spojrzeli na siebie i odchrząknęli. Ogrodnik ozwał się pierwszy:

— Nieszczęście! Alboż to trudno o nieszczęście?... Wszystko wyschło jak siarka, cztery tygodnie ani kropli

deszczu nie było! Gdyby iskra... poszłoby wszystko z płomieniem....

— Co ty mówisz? czyś oszalał? któż takie rzeczy gada? — przerwał pan Nowowiejski, żegnając się z przestrachu.

— My-bo nic nie gadamy — odparł ogrodnik — ale... Jarema.... Jarema coś tam gada —

Pan Nowowiejski spojrzał uważnie na obu i na chwilę zamyślił się. Potem zapytał z boleścią:

— I cóż gadał Jarema? Wszak ja mu nic złego nie uczyniłem. —

Tutaj rozwinęli obaj sprzymierzeńcy wielką taktykę w wymijaniu stanowczych odpowiedzi. Kucharz skrobał się ustawicznie w głowę i mruczał coś niezrozumiale pod nosem. Tłumaczył się swoją kurzą ślepotą, że wieczorem nie poznaje ludzi, gdy kto do niego zagada. A ogrodnik udawał kompletnie głuchego i na pytania dziedzica niestosowne dawał odpowiedzi. Słowem po całogodzinnej rozmowie nic a nic nie dowiedział się pan Nowowiejski, prócz jakichś nieugruntowanych podejrzywań.

— Już ja tam temu wszystkiemu nie wierzę, co mówicie i czego nie mówicie — zakonkludował pan Nowowiejski. — Jarema jest poczciwe chłopczysko. Rozłajdaczył się ostatniemi czasy, to prawda, ale jestem przekonany, że jak bieda mu się w uszy naleje, to wejdzie w siebie, poprawi się i przyjdzie do mnie. —

Z takim rezultatem odeszli obaj sprzymierzeńcy i udali się do Zagrody.

W Zagrodzie, oprócz cudownego obrazu Najświętszej Panny, mieszkał także i tak zwany mandatarjusz. Po nieszporach, odmówiwszy modlitwę do Matki Boskiej, wyszedł kucharz wraz z ogrodnikiem z kościoła i obaj udali się w kierunku do podsienia, gdzie mieszkał dygnitarz dominialny, który właśnie siedział w ganku, w kurtce w kratki czerwone i palił fajkę na długim cybuchu.

— Czy nas obaczy? — szeptał kucharz.

— Ja będę kaszlał — odparł ogrodnik.

Ale mimo kaszlu i chrząkania, jakoś nie spostrzegł ich sędzia. Musieli więc znowu zawrócić się i jeszcze raz przejść

pod samym nosem mandatarjusza. I teraz jakoś nie patrzał na nich. Przeszli więc trzeci raz i czwarty, czem zaintrygowany wice-król dziedzica, odchrząknął i krzyknął:

— A co tam do djabła szwendacie mi się pod nosem, he? —

Kucharz szturchnął w bok ogrodnika i szepnął: teraz czas. A zbliżywszy się pierwszy do ganku, pokłonił się nisko przestrzegaczowi propinacji i ustaw i rzekł:

— Przepraszamy wielmożnego pana sędziego, my szukamy Walentego, bo gdzieś nam się podział.

— A po co tutaj przyszliście? — zapytała czerwono kratkowana sprawiedliwość miejscowa.

— Na nieszpory, wielmożny panie — była odpowiedź.

— Wszak macie w Nowejwsi nową cerkiew? — zarzucił indagacyjny sędzia.

Kucharz spojrzał na ogrodnika, ogrodnik na kucharza, a pierwszy z nich ozwał się znowu tak samo jak do dziedzica. Mówił o intencji do cudownego obrazu, a gdy o tej intencji coś się dalej zgadało, wspomnieli obaj o czterotygodniowej posusze, o stajni, która jest pod słomą tuż obok dworu, pożarach w okolicy... i w końcu nawiasem wspomnieli o Jaremie, o jego kędzierzawych, zawsze rozczochranych włosach, o kiju ogromnym, który zwykł nosić odkąd się ze służby oddalił — i t. p.

Mandatarjusz słuchał z powagą, przechylając głowę to w tę, to w ową stronę, a wydmuchnąwszy w końcu kłęb dymu, pomyślał sobie, tak jak każdy mandatarjusz w podobnem położeniu byłby sobie pomyślał:

— Kucharz i ogrodnik przyszli niezawodnie do mnie z denuncjacją, że Jarema chce dwór podpalić. Ustawa nakazuje mi sporządzić dokładny protokół „fracta pagina“ spisany. Ale pisarzy wysłałem na słomki, a samemu nie chce mi się pisać. Do tego sprawa ta przysporzyłaby mi aktów i mnóstwo dała roboty. Jak każdy mandatarjusz unikam niepotrzebnej pisaniny i wolę takiej sprawie odrazu kark skręcić. Jarema wydawał mi się zawsze jako indywiduum podejrzane, ein bösartiges, verdächtiges Individuum.

Gesinde-Ordnung*) nakazuje, aby podobne indywidua chwytać i do wojska oddawać. Więc krótka będzie sprawa. Jaremę zapakuję do kamaszów, a tym sposobem będę miał spokój nawet i wtedy, gdy z cyrkułu przyjdzie coś o Szymka, którego prawdopodobnie ten łotr utopił. I tak Kuba Wrony obiecał mi dać 50 guldenów, jeżeli syna jego nie odstawię do wojska. Jarema pójdzie za niego: zwei Fliegen auf einen Schlag.

Tak myślał sobie mandatarjusz i tak też uczynić postanowił. Zanim jednak opiszemy, jakie wrażenie na Jaremie zrobiła ta uchwała wielkorządzcy dominialnego i jak zresztą cała gromada zapatrywała się na funkcję jego w Zagrodzie i Nowejwsi, musimy zrobić małe zboczenie i czytelnikom nieznającym dawnych instytucji galicyjskich, dać jakie takie wyobrażenie o tym szczególnym stosunków naszych produkcie. Jeżeli tej instytucji bliżej się przypatrzymy, wyjaśni nam się niejedna zagadka z ostatnich dziejów naszego kraju.

Dawny system rządu, datujący się od czasów cesarza Józefa, wziął u nas lud wiejski w opiekę, orzekając bardzo słusznie jego małoletniość. Obok zasady tej bezwzględnej opieki, zdał jednak najuciążliwszą część władzy nad nim na dziedzica wsi. Dziedzic był w obec rządu za lud wiejski odpowiedzialnym, to jest: dziedzic wybierał od niego podatki, pełnił służbę policyjną, łapał i do kryminału oddawał złoczyńców, wypędzał podwody, kwaterował wojsko, odstawiał rekrutów i egzekwował co rząd postanowił. Wszystko to było niby przywilejem dominialnym, a w rzeczywistości miało posłużyć za materjał otworzenia w kraju dwóch obozów pomiędzy mieszkańcami, z czego by w razie potrzeby rząd

*) Prawo dotyczące służebnych.

mógł korzystać. Za te przywileje ponosił dziedzic niektóre ciężary, tyczące się kościoła i oświaty publicznej.

Dziedzic jednak musiał dla tak uprzywilejowanego stanowiska posiadać pewne kwalifikacje, a jeśli któremu tych kwalifikacji brakowało, to mógł kazać się zastąpić przez pewne indywiduum, które w poczuciu godności swojej nazwało się „sędzią,“ albo poetyczniej „reprezentantem dominialnym,“ vulgo zaś znanem było pod nazwą „mandatarjusza.“

Aby się stać godnym tego tytułu i chleba, potrzeba było skończyć kilka klas nauk elementarnych, być niejaki czas pisarzem dominialnym, a w upatrzonej porze przejechać się do miasta obwodowego i tamże w urzędzie zdać egzamen z potrzebnych do przyszłego stanowiska wiadomości. Gdy ten egzamen nienajgorzej wypadł, a indywiduum prócz tego nie miało żadnych nielojalnych zarzutów przeciw sobie, odbierano od niego rodzaj przyrzeczenia czy przysięgi urzędowej, że w myśl rządu i ustaw krajowych pełnić będzie swoje obowiąski. Po tym obrzędzie dano mu do rąk duży arkusz, z dużą cyrkularną pieczęcią, która w obec dziedziców służyła mu za kredytywę ze strony rządu wystawioną.

Z tym jednak arkuszem w ręku był tak zwany „egzaminowany mandatarjusz“ nader biednem stworzeniem. Był bez chleba i musiał dopiero wyglądać miłosierdzia Bożego. Zazwyczaj około św. Jana wyjeżdżał budką żydowską do Lwowa i starał się z Żydkami siedzącymi na ławkach przed hotelami, a często i z lokajami zabrać znajomość; tą bowiem tylko drogą mógł się dochrapać kawałka chleba.

Już to znaną powszechnie jest słabość naszej szlachty do Żydka. Zaledwie szlachcic tłumok rozpakował, już Żydek faktor wszedł do pokoju i pomógł mu odpinać sprzączki. I zaraz odebrał zlecenia, aby konie kazał podkuć, dla jejmości kupił krupek, od modniarki przyniósł kapelusz i wystarał się dla dworu o trzy potrzebne indywidua: mandatarjusza, guwernera do małego synka i lokaja.

Żydek zawinął się zręcznie koło wszystkiego, a za godzinę stały w przedpokoju dwa worki z krupami, stało pudło z kapeluszem i stali w zgodzie bezprzykładnej: mandatarjusz, guwerner i lokaj.

Szlachcic wołał jednego po drugim do siebie i robił ugodę. Tylko oczywiście worki nie ruszały się z miejsca, a dziedzic sam musiał przyjść do nich i w treść ich zajrzeć.

Tym sposobem przyszedł mandatarjusz do chleba. Szlachcic płacił mu zazwyczaj od 120 do 200 guldenów rocznie, dawał pomieszkanie i kilkadziesiąt korcy zboża — rozumie się dopiero za okazaniem owego arkusza cyrkularnego, z dużą, opłatkową pieczęcią. Z tego najmniej wziął Żydek 50 guldenów za faktorne, a nawet wymówił sobie jeszcze kilka skórek cielęcych, co to na wsi nic nie kosztują.

W umówionym czasie, na wozach dziedzica, zjeżdżał mandatarjusz do wsi. Obejrzawszy areszty i dyby, zwołał gromadę i wyłożył im w sposób zrozumiały, jakie ona obowiąski ma względem reprezentanta dominialnego i samego dziedzica. O państwie nie wspominał najczęściej, bo wiedział że pod słowem „państwo“ nie mogła sobie gromada nikogo innego wyobrażać, jak dziedzica i dziedziczkę. Za to tak wielki nacisk położył na wyrestaurowane areszty i ponitowane dyby, że go cała gromada z największą pokorą do swojej wiadomości przyjęła, rozchodząc się w uczuciu świętej bojaźni, jakiej tylko wybrani w niebie używać mają.

Są jeszcze dziś ludzie (oby to była nieprawda!), którzy żałują utraty przywilejów dominialnych. Jakkolwiek ten żal może pochodzić z zasady, jednak nierozumem jest w tem, czegośmy doświadczyli w wyjątkowem naszem położeniu. Czemże bowiem były owe przywileje dominialne? Wybierać podatki, odstawiać rekrutów, łapać złodziei i włoczęgów i t. p. — Któż to wszystko robił? Dziedzic, albo ten co go zastępował i miał arkusz z pieczęcią cyrkularną.

Czem był ów mandatarjusz? kogo widziała w nim gromada?

W założeniu był mandatarjusz ostatniem ogniwem władzy rządowej. Rząd bowiem odbierał od niego egzamen i przysięgę i wydawał mu arkusz z pieczęcią. Gromada jednak inaczej zapatrywała się na mandatarjusza. Ona wiedziała, że dziedzic go w służbę przyjął i że go każdego czasu odpędzić może. Widziała, że mandatarjusz na dworskich wozach zjechał do wsi, że dziedzic dał mu mieszkanie w swoim budynku,

że leśny wydaje mu drzewo na opał, a kasjer albo arendarz wypłaca pensję z dochodów skarbu. Do tego gromada zwozi mu nieraz worki z żytem i pszenicą z pańskiego śpichlerza, a owego arkusza z cyrkularną pieczęcią nigdy a nigdy nie widziała.

Z tego wnosiła każda gromada, że mandatarjusz jest sługą dziedzica, tak jak ekonom, i że wszystko co robi, robi za rozkazem dziedzica. W tem przekonaniu utrzymywało ją jeszcze błędne mniemanie, że gromada zostaje pod bezwzględną opieką rządu, przeciw której dziedzic z mandatarjuszem intrygują.

Taki przywilej nie mógł dobrych wydać owoców. Już założony był z góry rozdział między gromadą a dziedzicem i postawił ich z czasem przeciw sobie, jak dwa nieprzyjazne żywioły.

Do rozkrzewiania rzuconego ziarna przyczyniły się także słabości ludzkie. Dwulicowa pozycja mandatarjusza była nader trudna. Był on niby reprezentantem władzy rządowej i reprezentantem przywilejów dziedzica. Stamtąd miał arkusz z pieczęcią, od tego zaś guldeny, żyto, pomieszkanie i opał. Potrzeba było nadzwczajnej przebiegłości, aby jedno i drugie dłuższy czas utrzymać. A że cyrkuł był dalej od dworu, toż trzeba było więcej oglądać się na dwór; potrzeba było zadość czynić wszelkim chwilowym wybrykom dziedzica, nawet i w najsłabszych jego chwilach we wszystkiem mu dogadzać, a często życzenia jego uprzedzać. Że to wszystko pisało się na grzbiecie gromady, o tem dosyć napomknąć, a że to wszystko działo się nawet bez wiedzy dziedzica, najczęściej w osobistym interesie mandatarjusza, tego dowodzić nie potrzebujemy, jeżeli zważymy na różne słabostki ludzkie z czysto psychologicznego stanowiska. Wykonawstwo takiej, żadną kontrolą nieograniczonej władzy, miało zanadto wiele pokusy, aby się jej oprzeć można było.

Stąd wiele źródeł otwierało się tutaj korzyściom osobistym, a że urzędy takie rekrutowały się po większej części z ludzi bez żadnego gruntownego wykształcenia, więc i błędy ich były większe i doniośljesze. A wszystko to spadało na dziedzica, bo tak widział rzeczy słaby rozum gromady.

Jakież tu pole miały do intryg społecznych złość i przewrotność!?

Mandatarjusz kazał bić chłopów, którzy na pańszczyznę nie wyszli; mandatarjusz sprzedawał ostatnią krowę biednym sierotom za zaległe podatki; mandatarjusz wydawał paszporty, gdy który za zarobkiem na kilka dni chciał się oddalić; mandatarjusz gnębił chłopską chudobę, gdy w dworskie łany wlazła: słowem, wszystko co było „odiosum" robił mandatarjusz, czyli za jego plecyma dziedzic.

Po tem zboczeniu, wróćmy do Zagrody, gdzie na ganku przed mardatarjuszem, w pokornej postawie, stoją kucharz i ogrodnik.

Pan Garalewicz, reprezentant dominialny Nowejwsi i Zagrody, był to mandatarjusz starej daty, który chłopa nie miał za Boskie stworzenie, dziedzicowi zawsze baki świecił, a urzędników obwodowych gościł u siebie z wytwornością sybaryty.

Prawdopodobne śledztwo Jaremy i w perspektywie ukazujące się stosy akt i pisaniny bez końca, zatrwożyły spokojne serce mandatarjusza, i postanowił całej tej sprawie kark skręcić przez oddanie Jaremy w rekruty. Cokolwiekbądź potem nastąpićby mogło, jużby Jarema należał do sądu wojskowego.

Pan Garalewicz był człowiekiem należytej energji, i tak się zręcznie około sprawy zawinął, że za kilka dni wyglądał już Jarema na świat Boży przez małe okienko aresztu dominialnego, zakuty w ciężkie, podwójne dyby.

Co sobie wtenczas Jarema w kędzierzawej głowie swojej rozbierał, trudno wiedzieć. Był smutny i ponury, a często zgrzytnął zębami. Zdaje się że czasami jakaś jaśniejsza myśl przebiegła mu po czole, bo twarz rozjaśnił i uśmiechnął się. Zapewne obraz jasnowłosej Nastusi przemknął mu wtedy przed oczyma....

Jarema wiedział co go czeka. Wiedział, że w kilka dni będzie żołnierzem, i wiedział także, iż w obrębie władzy reprezentanta dominialnego zawsze w ten sposób rekrutowano do wojska.

Nie dziwił się więc wcale, że go wsadzono do kozy i założono mu na nogi i ręce dyby piętnastofuntowe.

Lżej mu się nieco zrobiło, gdy po kilku tygodniach wyszedł z ciemnego aresztu i wlazł na wóz, który pod eskortą chłopów miał go odwieźć do miasta obwodowego.

I dziwna rzecz: chłopom eskortującym go z pałkami wcale nie miał tego za złe. Rozmawiał z nimi uprzejmie; mołojce wyszli tłumem przed karczmę, aby pożegnać swego ukochanego wodza, i chórem zaśpiewali, że on idzie od nich w cudze strony, idzie służyć na „czudzyni“ i zapomni o dziewczynie z czarnemi oczami.

Jarema rozpłakał się i zakrył oczy. Zdawało mu się, że między ciekawymi ujrzał także i Nastusię...

Dziedzic przejeżdżał właśnie koło karczmy. Obaczywszy tłum ludzi, zapytał się stojącego opodal mandatarjusza co to znaczy. Mandatarjusz machnął ręką i powiedział, że to zwykła wyprawa rekrutów, a mając właśnie coś o kradzieży w lasach dziedzicowi zaraportować, wziął go z sobą do kancelarji. Tymczasem odjechały wozy z rekrutami.

Jarema ujrzał na skręcie drogi ściany dworu. Jakoś gwałtownie serce w nim uderzyło i sam nie wiedział dla czego pięście mu się zacisnęły.

W oknie od kuchni wyglądali kucharz i ogrodnik, odmawiając litanję do Najświętszej Panny za dobre powodzenie Jaremy. Smutnie zrobiło się pannie Zofii, gdy usłyszała melodję mołojców.

IV.

SZKOŁA.

Za kilka dni ostrzyżono Jaremę, wpakowano w biały kabat z zielonemi wyłogami, a nogi ściśnięto w kamasze. Nie obeszło się bez szturchańców w brzuch kułakiem, bo spodnie były nieco ciasne, a kabat nie chciał się zapiąć. Gdy jednak guziki wlazły do dziurki, chociaż Jaremie tchu nie stało, był już rekrut skończony i mógł po dziedzińcu kazarni*) czasem się przechadzać. Na ulicę nie wypuszczano go jeszcze, bo ruchy jego w świeżym mundurze nie były dosyć swobodne. Musiał wprzódy przyzwyczaić się ruszać i chodzić, na którą to naukę poświęcał ośm godzin dziennie. Przytem obznajmiano go z wyrazami, co znaczy halbrechts! halblinks! a gdy to i coś więcej wiedział, mógł już w kilka tygodni po raz pierwszy wyjść na rynek miasta obwodowego i tam należycie się rozpatrzyć. Kapral na wychodnem przypominał mu tylko, żeby nie zapomniał że reprezentuje dziecko pułkowe i dla tego żeby nic nie ukradł i niepowalany wrócił do kazarni o godzinie dziewiątej.

Jarema wyszedł na ulicę po kilkotygodniowym areszcie, ale zamiast gapić się po przechodniach i kamienicach, rozpoczął głęboko rozmyślać nad sobą.

Chleb żołnierski wydawał mu się jeszcze zbyt gorzkim, aby mógł w nim zasmakować. Świtem spędzano go z siennika

---

*) Koszar.

i gnano do musztry, a gdy już z sił opadał, przypędzano go do kazarni i kazano czyścić cały rynsztunek. Obiad żołnierski wielce się różnił od obiadu w kredensie pańskim, a nawet od obiadu chłopskiego. Chłop dał mu przynajmniej misę całą grochu z kapustą, a drugą kaszy ze słoniną i kartofli do tego „a discretion.“ Chleba krajał co chciał. Wolno mu było przytem paska popuścić i najmniej godzinę po obiedzie poleżeć. W kazarni wszystko było inaczej. Kapral i tak krzyczał na niego, że ma wielki brzuch i bił w niego pięściami, aby kabat się zapiął; a na obiad dostał kęs mięsa z jednym knedlem,*) co zaledwie w gębie poczuł. Do tego cały Boży dzień służba i egzercyrka;**) biedny Jarema nie miał czasu ani przeżegnać się, ani pomyśleć o Nastce białowłosej, ani o dworze nowowiejskim.

Teraz więc, gdy mu pozwolono wyjść na miasto, jakiż to stek myśli cisnął mu się nagle do głowy! Jak smutno wypadły jego medytacje, gdy sobie przypomniał kredens nowowiejski, karczmę, smętarz, a nawet błonie, na którem pasł bydło!

W tej czarnej melancholji szturchnął go ktoś w bok i za kabat pociągnął.

— Jarema! Mordkerl Jarema! Jak on wygląda w tym kabacie! — zawołał Amtsdiner Huber.

Biedny Jarema ucieszył się, jakby Pana Boga za nogi złapał. Przecież znalazł choć jedną duszę poczciwą, przed którą mógł się poskarżyć i serce swoje otworzyć.

— Jarema — mówił dalej Amtsdiner — jabym cię zaprowadził do mojej cymry,***) ale to być nie może. Żona moja zła jak osa. Ona by ci ten kabat pomyjami oblała.

— No, to pogadajmy tak, panie Huber — odparł pokornie Jarema.

— Ba, tak nie idzie, tu na ulicy... Czy masz pieniędze? — zapytał po chwili Huber.

— Mam talara z Matką Boską — odpowiedział Jarema.

---

*) Okrągła kluska z mąki i bułek krajanych,

**) Musztra.

***) Pokoju.

— No to dobrze, pójdziemy do katolika na szklankę piwa — zakonkludował Huber.

Był to ten sam talar, który mu w sieni wcisnęła do ręki panna Zofia.

W kilka chwil siedzieli obaj za długim stołem w szynku, a dwie ogromne szklanice piwa stały przed niemi. Huber wypytywał Jaremę, jakim sposobem dostał się do kamaszów i słuchał go z należytą uwagą, a gdy rekrut skończył, pociągnął Huber potężny haust ze szklanicy i rzekł:

— Dziękuj Bogu, że się tak stało. Chleb żołnierski jest wprawdzie gorzki, ale też i dworski do niczego nie doprowadzi. Ohoho! znam ja panów waszych! Oniby z człowieka skórę zdarli i duszę z gardła wyjęli, gdyby to można było. I cóż masz teraz z swojej wysługi we dworze? Oto, powinęła ci się noga, jak każdemu człowiekowi powinąć się może, zaraz wypędził cię dziedzic ze dworu, a potem szepnął mandatarjuszowi do ucha: „Garalewicz, Jarema mi się nie podoba!“ A usłużny Garalewicz zakuł cię w dyby i w kamasze wpakował! He, czy nie tak? —

Jarema obracał w ręku talarka z Matką Boską i myślał sobie w duchu:

— Huber ma słuszność — jam tego pierwej nie wiedział.

Huber mówił dalej:

— I może teraz we dworze kto myśli o tobie, że ci tu nienajlepiej siedzieć? Gdzie tam! Pan prędzej myślałby o psie legawym, niżeli o swym słudze. Oni tam zapijają sobie poncz z rumem i dwa razy na dzień kawę piją, bo gromada na nich pracuje. Grają sobie w karty, gdy im się dłuży, albo jadą na wojaż, gdy już dużo długów mają. A cóż tam chłop u nich!? —

Jarema kiwał głową to w tę to w owę stronę, bawiąc się ciągle talarkiem z Matką Boską.

— I dlaczegóż to tak jest? — zapytał po chwili.

— Ba, dlaczego tak jest — odparł Huber. — Ja już nieraz pytałem się starszych od siebie o to. Powiedziano mi że tak jest, bo tak dawniej bywało. —

Jarema myślał, co to wszystko znaczy, ale nie mogło mu się to w głowie pomieścić. Wiedział on tylko teraz, że

dziedzic wielką wyrządził mu krzywdę, że prawdopodobnie w rekruty go oddał. Zasmucił się i spuścił głowę.

— Nie smuć się Jarema — rzekł po chwili Huber, kazawszy drugą kwartę piwa przynieść — nie smuć się, wszystko co złe, to minie, a może być lepiej. Rekrutowi zawsze źle jest, ale potem przyzwyczaisz się. A gdy wysłużysz swój czas, to możesz sobie znaleźć wygodny kawałek chleba. I wierz mi, choć człowiek jest prostym żołnierzem, to zawsze więcej znaczy niż kamerdyner pański z białą chustką na szyi. Kamerdyner to fagas, nic więcej, a ty, przyszedłszy na kwaterę, możesz nakląć gospodarzowi, jak ci się podoba. I ja byłem żołnierzem. —

Łyknąwszy piwa, prawił dalej Huber.

— Wojak, to przecież nie psia para. Pamiętam, raz wysłano mnie na egzekucję do posesora.*) Było widzieć, jak ja tam nos do góry trzymał! Dawano mi dwa razy kawę na dzień, a jeszcze kląłem co się zmieściło. A pan posesor jaki był uniżony dla mnie! Zawsze mówił: „kochany panie Huber, czybyś nie chciał przy tej okazji wypędzić chłopów na pańszczyznę. Jesteś wojak, a twój biały mundur więcej znaczy, niżeli mandatarjusz!“ I było widzieć jak krzyknąłem na gromadę: „do sierpa!“ I cieszyłem się, że posesor prosił o tę łaskę!.. O łaskę moję prosił posesor, rozumiesz rekrucie?...

— Ba — odparł rekrut naiwnie — przecież to było przeciw gromadzie.

— No, no, tego nie trzeba brać tak ściśle — mruczał pod nosem Huber — dość na tem, że byłem sobie wtedy jak pan jaki, i codziennie wypędzałem do żniwa... póki posesor podatków nie zapłacił, a ja z „brodsakiem“ **) znowu do przeklętej kazarni nie wróciłem. —

Jarema kazał dać znowu piwa i ciekawie słuchał Hubera. Marzył sobie, jak to on by przyszedł do Nowejwsi, w białym mundurze, czako „blank polirt“...***) jakby to zaklął... ale komu? o tem jeszcze nie myślał rekrut.

---

*) Dzierżawcy.
**) Torba na chleb.
***) Pięknie wyczyszczony.

— I widzisz — ciągnął dalej Huber — przecież w końcu dosłużyłem się chleba. Zostałem kapralem, a wysłużywszy kapitulację,*) przyszedłem tu do miasta. Właśnie było miejsce na Amtsdinera, a że wysłużony wojskowy przed wszystkimi innymi ma pierwszeństwo, więc dostałem tu urząd i jestem sobie panem. Mam sto pięćdzietiąt reńskich na rok.

— Sto pięćdziesiąt! — krzyknął Jarema, dla którego ta suma była sumą neapolitańską.

— Tak jest, sto pięćdziesiąt cwancygierami. Co pierwszego fasuję z kasy dwanaście reńskich i pół!

— Dwanaście i pół!

— I mam fraj kwartyr i drzewo i zawsze coś kapnie — słowem ein gemachter Mann. — **)

Rekrut zamyślił się głęboko. Najcudniejsze obrazy przebiegały mu przed oczyma. Chciał jeszcze coś powiedzieć; ale wtem wstał Huber i rzekł do niego:

— Zapłać, bo nie mam czasu, starosta czeka na mnie. Tak, tak, starosta! Mam tylko takich kilkunastu w mieście, którym się kłaniam: staroście, komisarzom, kancelistom i kontrolerowi od kasy. Wszyscy inni czapki przedemną zdejmują. I ty możesz takim jak ja zostać... jeźli tyle będziesz umiał co ja. Ale dziedzic ciebie nie uczył czytać i pisać. A widzisz! to niechże cię uczą tego w pułku. —

Rzekłszy to, zasadził czapeczkę na głowę i pociągnął Jaremę za sobą, a Jarema cieszył się, że przynajmniej w ręce katolickie przejdzie jego talar z Matką Boską, który dostał od panny Zofji.

---

*) Czas obowiązkowej służby.

**) Pan całą gębą.

Przed dziewiątą przyszedł do kazarni i z ciężką głową położył się na sztrozak.*) Ileż tam nowych myśli krążyło teraz po tej głowie kędzierzawej, krótko ostrzyżonej! Huber nagadał mu tyle rzeczy, jakiś nowy, nieznany dotąd świat otworzył przed jego oczyma. Okazał w perspektywie ponętną karjerę na sto pięćdziesiąt reńskich, z deputatem drzewa! Mój Boże, myślał sobie Jarema, gdybym ja to pisać umiał i czytać. Zostałbym kapralem, a potem świat cały stałby dla mnie otworem!... Czemuż mnie we dworze nie uczono czytać i pisać!?.. Ohoho! dziedzic to dla chłopa nic nie zrobi! On by wolał, żeby chłop był ciemny i głupi. Huber ma słuszność!....

I gdy właśnie tak sobie myślał, tak śnił słodko o sztuce pisania i czytania, szturchnął go kapral pod żebro, aby się czemprędzej zbierał. Jarema otworzył oczy: dzień był już biały.

— Wstawajcie — zawołał kapral — ruszajcie się Maćki, bo tu nie na piecu leżycie. Choć deszcz dzisiaj pada, to przeto nie będziemy próżnować. Pan lejtnant zaraz przyjdą i będą trzymać szkołę, Schule halten. No prędko! auf! —

Jarema przetarł oczy i sam sobie nie wierzył. Czy to było na jawie, czy we śnie jeszcze? Właśnie śniło mu się, że siedział na długiej ławie, na jakiej zwykle bito przestępców, śniło mu się, że przed nim leżały litery jak bąki z brzuchem wydętym, to znowu jak kije do kupy związane, albo jak stołki do siedzenia. Jarema rozpatrywał się właśnie w tym nowym świecie, gdy go nagle zbudzono. I o dziwo! zbudzono go, aby się zbierał do szkoły, gdzie właśnie takie długie są ławy, a na ścianie wisi tablica z takiemi samemi bąkami, jak we śnie przed nim leżały!...

Niepewnym był jednak co właściwie w kazarni może oznaczać to słowo „szkoła.“ Zapytał się więc o to towarzysza.

— Jakto, nie znasz co szkoła? — odparł towarzysz. — A prawda, tyś głupi rekrut. Szkoła, to jest cymra,**) w której pan lejtnant wiele gada, a jeszcze więcej za uszy targa.

---

*) Siennik.
**) Pokój.

— A co gada? — przerwał rekrut.

— Ot gada różne rzeczy: co to karabin, jak się nazywa zamek, bagnet i lufa, co jest kapral i kirchparada, a co hauptwach i posten. Co są menażki i lenik, a co sztokhaus i krummgeschlossen i t. d.

— I czego więcej uczą — zapytał ciekawie rekrut.

— Czego uczą? odparł szlafkamrad. Ot uczą także co jest krieg i doppeltlenik.

— A czytać i pisać? — wyszepnął zcicha Jarema.

— A także, jeżeli kto chce i ma palce po temu.

— Kto chce? — powtórzył rekrut — o jabym chciał!....

— Jeźli ci mało kułaków w brzuch i plecy, to możesz jeszcze i palce nadstawić.... Zresztą ten tylko uczy się czytać i pisać, kto chce, czyli raczej kto się spodziewa zostać kapralem. Kapral musi pisać raport i prowadzić menażebuch. —

Jarema spuścił oczy i nic na to nie odpowiedział. Ale w duchu myślał sobie: Ja chcę zostać kapralem i prowadzić menażebuch! —

Właśnie w tej chwili zawołano go do tak zwanej szkoły.

Była to zwykła izba żołnierska. Rekruci siedzieli na siennikach. Po chwili wszedł pan lejtnant — i szkoła zaczęła się.

Pan lejtnant mówił im najprzód, że żołnierz już nie jest prostym Maćkiem. Powinien szanować swój biały kabat, nie powinien kraść, ani w błocie leżeć. A gdy kilka kardynalnych wyobrażeń w najzrozumialszy sposób im wytłumaczył, przytoczył kilka przykładów, zdolnych pobudzić miłość własną żołnierzy.

Tak i tym podobnie gadał pan lejtnant i na tem skończyła się szkoła. Jarema wyszedł z niej dumniejszy i śmielszy, a choć jeszcze czytać i pisać nie umiał, zdawało mu się jednak, że już więcej znaczy jak ogrodnik albo kucharz. I gdyby wtedy wlazł mu był w drogę dziedzic jego, pewnie powitałby go z tak gęstą miną, na jakąby się tylko zdobyć mogła jego twarz pomarszczona.

Bawiło go i zadowalniało przez dni kilka wysokie o sobie

wyobrażenie; a gdy już z tem oswajać się zaczął, nadeszła sztuka czytania i pisania.

Czytać i pisać! To słowa ze złota lane! Może zostać kapralem, a po czternastu latach mieć pensją stopięćdziesiąt reńskich! Czytać i pisać! Świat cały stał dla niego otworem!... A w Nowejwsi nikt o tem nie pomyślał! Tam nie było ani tablicy z dużemi literami, ani arkusza białego papieru!...

— To przecież dobre ludziska — mruczał Jarema pod nosem, podczas gdy mu kapral palce wyłamywał, aż kości trzeszczały. — Przecież to wcale inaczej człowieka traktują — myślał sobie w duchu — gdy feldwebel ucho mu kręcił za żyda na papierze — a pan kapitan to prawdziwy ojciec — marzył sobie oblizując palce, po których właśnie skrobnął go linją kapitan za to, że a przewrotnie napisał.

— Człowieka przecież czegoś nauczą — mówił do szlafkamrata — a czego nie nauczą, to wbiją w niego, bo różnie uczy się człowiek. Patrz Maćku, gdyby mnie kapral nie był w bok szturchnął, nic byłbym przy ą zrobił tak ładnego ogonka.

Przy tak optymistycznem usposobieniu Jaremy, nietrudno mu było, z nakładem ogromnego kapitału cierpliwości, nauczyć się za sześć miesięcy czytać i pisać. Rozumie się, że i w czytaniu i w pisaniu często jeszcze szwankował, ale umiał przynajmniej każdy szyld nad sklepem przeczytać, jeżeli artysta niezbyt litery powiązał, i umiał napisać list do swego opiekuna w Nowejwsi, który zaczynał się: „Wiel Cekocha Ny obiegunie!“ i t. d.

Któż był szczęśliwszy teraz od Jaremy? Stąpał z tak gęstą miną po bruku, jakby miał w stajni sto koni. I myślał sobie: gdyby kto w Nowejwsi był, co by mnie czytać i pisać nauczył, byłbym już kapralem, miałbym pięć dydków dziennie, szeroki żółty pasek wokoło czapki i karabin trzymałbym w lewej ręce. A tak trzeba się dosługiwać. Przecież służba dzisiejsza może mnie do czegoś doprowadzić! Huber ma sto pięćdziesiąt reńskich!

Pewnego razu przybiegł Huber do kazarni i krzyknął Jaremie do ucha:

— Jarema, chodź, pójdziemy do komisarza!

— Do komisarza? — odfuknął Jarema ze strachem.

— Jakto? nie przypominasz sobie tego urzędnika, który w Nowejwsi uwolnił cię od kijów, gdyś kanarka ukradł? —

Jarema posunął ręką po czole. Było to dla niego wspomnienie zbyt bolesne, bo mu przypominało Nastkę jasnowłosą, której dotąd nie mógł zapomnieć. Zadumał się na chwilę a potem rzekł:

— Aha, ten pan, co to obiecał mnie na służbę wziąść do siebie!

— Ten sam — odparł Huber — więc do niego pójdziemy. Wprawdzie on o tobie prawdopodobnie zapomniał, bo właśnie ze Lwowa na komisarza trzeciej klassy przyjechał, ale ja mu ciebie przypomnę. Tylko słuchaj: jak co dostaniesz, pójdziemy na wino. —

Jarema przyrzekł wszystko, a Huber, któremu już nos sporo poczerwieniał, wziął go pod ramię i obaj wyszli do miasta. Długo chodzili po chodniku przed urzędem obwodowym tam i nazad; aż wreszcie wyszedł stamtąd znajomy nam urzędnik, w mundurze służbowym. Obaczywszy Hubera, popatrzył chwilę na niego, a potem rzekł:

— Huber!

— Zu Diensten, panie komisarzu — odparł Huber, kłaniając się nisko czapeczką.

Komisarz powiedział mu coś o jego czerwonym nosie, przypomniał mu nawiasowo „Nowągórę“ i pytał go, czy ma jeszcze kark cały i żebra w dobrym stanie. Po chwili chciał już odejść, gdy Huber zwrócił uwagę jego na swego towarzysza. Komisarz wpatrzył się w żołnierza, który jak struna wyprzężył się przed nim i dwa palce do holcmicy*) przyłożył, ale nie mógł sobie tej twarzy przypomnieć.

— Czy nie poznaje pan komisarz Jaremy? — wtrącił Huber nieśmiało.

---

*) Czapki.

— Jarema! Jarema! — powtarzał komisarz i szukał czegoś w pamięci.

— Co to przed kilkoma laty w Nowejwsi ukradł kanarka i za to kije miał dostać — prawił dalej Huber.

— Aha, aha, przypominam sobie — odparł komisarz — Mordkerl Jarema, mam zapisane w dzienniczku....

— Co to go pan komisarz obiecał na służbę wziąść, gdy zostanie pan komisarz starostą — wtrącił Huber.

— Ba, niechno pierwej Jarema kapitulację wysłuży — odrzekł z uśmiechem komisarz. — Ależ on służył we dworze....

— Ze dworu wypędzono go i oddano w kamasze — mówił Huber.

Jarema zwiesił głowę, na znak że to co Huber mówi, istotną jest prawdą, a komisarz poklepał go po ramieniu i mówił mu, żeby nie tracił ducha, tylko dobrze się sprawował, a cesarz o nim nie zapomni. W końcu wyjął dwa cwancygiery i wsunął je do ręki Jaremy. Przytem ścisnął go widocznie za rękę i powiedział mu, aby każdym razem do niego się udał, gdy czego potrzebować będzie.

— Widzisz Jarema — szeptał mu do ucha Huber — ty przez moją protekcję wyjdziesz na człowieka. Już twoja karjera gotowa. Widzisz co to służba cesarska! Oho, ho! panowie to inaczej płacą za służbę! Wypędzą, obedrą, do kamaszów zapakują! —

Jaremie zdawało się, że już awansował, że jest już czemś między kapralem a prostym żołnierzem... Wziął Hubera pod boki i z taką butą nasunął czapkę na lewe ucho, że wszyscy przechodnie z drogi im się ustępowali, bo myśleli że szukają zaczepki.

— Patrz, jak cywil przed nami ucieka! — szepnął Jarema Amtsdinerowi do ucha — ten cywil, to śmiecie! Pójdźmy do Jośka! —

U Jośka było wiele gości. Jedni pili piwo, inni wino, a byli i tacy co miód pili. Jarema siadł u stołu, przy którym siedzieli ci co wino pili i krzyknął na kelnera, aby przyniósł kwartę wina.

Za kilka chwil stała przed Huberem ogromna flacha z brudnożółtym płynem. Obaj popijali ze szklanek, życząc

sobie to tego, to owego. A gdy już cieplej zaczęło im się koło serca robić, uderzył w stół Jarema i zaśpiewał sobie jedną z tych pieśni, którą będąc pastuchem śpiewał w Nowejwsi:

...Żal wełyki maju, tużu bez prestanku,
Tiażenko wzdychaju wid zmroku do ranku —
Sediaczy doma dumaju,
Szo pryjatela ne maju,
Żal serciu mojomu
Tak żyty samomu!...

Jakim sposobem ta ruska dumka wymknęła się z piersi Jaremy... co ją tam obudziło śród dzisiejszego jego położenia? trudno odgadnąć; może to było instynktowe przeczucie, że ci co dzisiaj znajdowali się koło niego, nie byli jego przyjaciołmi? może to była wyjątkowa chwila w jego życiu, w której uczuł bolesne osamotnienie swoje śród obcego żywiołu? Nie wiemy; lecz dosyć że głos Jaremy był smutny i rzewny i wszystkich pijących do milczenia zmusił.

Rzewna i smutna melodja słowiańska wpadła jak perła między brudną atmosferę szynku i sprawiła na chwilę dziwne wrażenie. Płaskie koncepta, nieswojskie śpiewy ucichły nagle. Sam Jarema uczuł w piersi jakieś błogie zadowolenie, gdy ta pieśń ojczysta w jego sercu zabrzmiała. I porwany jakąś nieodgadnioną, wewnętrzną roskoszą, zabierał się właśnie do odśpiewania drugiej wrotki, gdy Huber nagle w bok go szturchnął i zawołał:

— Czyś zwarjował? Śpiewasz jak chłop, jak pastuch — ty przecież wojak! Ludzie śmiać się będą. Patrz, tam kapral już się śmieje, a furjer patrzy się na ciebie jak na raroga. —

I chcąc zatrzeć czemprędzej niekorzystne wrażenie, jakie według jego zdania pieśń Jaremy wywarła na całem szynkownem zgromadzeniu, zaczął donośnym głosem śpiewać rapsod ulubionej swojej piosenki, szturchając Jaremę, aby mu wtórował:

...O mein lieber Augustin,
Eins, zwei, drei, eins, zwei, drei,
O mein lieber Augustin,
Eins, zwei, drei, vier!

Zawstydzony Jarema, uwierzył w nieprzyzwoitość którą popełnił i jak mógł biedny, starał się gardło swoje do

piosenki Hubera nastroić. Ale wtór nie szedł jakoś, dopiero furjer z kancelarji wojskowej podtrzymał piosenkę Hubera silnym basem, wybijając takt pięścią na stole.

Piosnka niemiecka odniosła zwycięstwo w szynku u Jośka. Jej melodja powszechnie znajoma i treść nader prosta, pomogły jej wiele do zwycięstwa. To też wkrótce zabrzmiał cały szynk tą pieśnią, a jakkolwiek ona tylko z jednej składała się zwrotki, śpiewano ją przeszło pół godziny.

Znajdował się jednak ktoś w tym szynku, kogo pieśń Jaremy mocno zaintrygowała. Była to nader niepozorna figura, jak to z pierwszego wrażenia dało się osądzić. Zakrawała coś na jakiegoś dymisjonowanego urzędnika, albo mandatarjusza. Był to człowiek niski, suchy, w nankinowych pluderkach i we fraku granatowym. Wszystko na nim było wytarte, połatane, poplamione. Paznogcie duże, czarne i ostro zakończone, nos krogulczy, ruchliwy i oko bure, szeroko otwarte, oznaczały coś drapieżnego w tym człowieku. Na głowie miał cylinder, dziwnie pomięty i połamany.

Od chwili kiedy Jarema zanucił dumkę ruską, wlepił ten człowieczek w niego przenikliwe oczy swoje i odtąd nie spuścił ich ani na chwilę. A gdy piosenka niemiecka w końcu ustała, zbliżył się do Jaremy i rzekł do niego:

— Wy zapewne z nad Sanu? —

Jarema, zagrzany winem, wpatrzył się w nieznajomego, okazując mu swoje zadziwienie, że go tak odrazu poznał, chociaż obaj nigdy w życiu się nie widzieli. Nieznajomy uśmiechnął się i mówił dalej:

— Oho, ho! znam ja was wszystkich... zaraz wam powiem.... Ja was widział na jarmarku.... zaraz niech sobie przypomnę....

— W Jarosławiu — wtrącił zniecierpliwiony Jarema.

— A tak, tak, w Jarosławiu! — odparł nieznajomy.

Jaremie oczy na wierzch wylazły z zadziwienia, że nieznajomy odrazu go poznał i nawet odrazu odgadł gdzie go widział.

— Zaraz, powiem wam jeszcze — mówił dalej nieznajomy — powiem wam, z jakiej wsi rodem jesteście.... zaraz.... tak się jedzie... ponad Sanem... jest górka...

— Nowagóra! — krzyknął Jarema, któremu już brakło cierpliwości.

— A tak, rychtyk „Nowagóra... a wieś nazywa się.... czekajcie... zaraz...

— Nowawieś! — podszepnął mu Jarema.

— A prawda, Nowawieś! Znam doskonale tę wieś, znam pana i gromadę.

— Wy znacie dziedzica i gromadę? — podchwycił szybko Jarema, któremu nagle przyszła na myśl Nastusia jasnowłosa... ale przykąsił usta, bo i na cóż zdałoby mu się pytać o Nastkę, kiedy jemu do Nastki tak daleko!...

— O znam dziedzica i gromadę — mówił dalej nieznajomy — bo mam właśnie w Nowejwsi procesik mały. —

Jarema wydobył z kieszeni węzełek cwancygierów, które mu snadź pan Nowomiejski przy oddaleniu ze dworu dał za służbę i kazał przynieść nową flaszkę wina.

— I jakiż to proces mają — odparł Jarema, z żołnierska tłumacząc niemieckie Sie na oni.

— Bardzo dobrze że was widzę tutaj — rzekł adwokat procesów gromadzkich — dacie mi niejakie wyjaśnienia.

Gromadzie chodzi o łozy „na starym Sanie.“ To było niegdyś gromadzkie, bo nawet zdawna stoi tam szpichlerz gromadzki; ale z czasem przywłaszczył to sobie dziedzic.

— Pamiętam, pamiętam ten proces — odparł Jarema — ale to dawno skończone. Już ja, gdy byłem pastuchem, nie mogłem tam paść bydła.... Dziedzic wygrał te łozy.

— Co, wygrał? — odfuknął pisarz pokątny, wygrał? — Gromada, nigdy nic nie przegrywa! Jeźli dziedzic oszukał gromądę, lub kogo przekupił, to gromada apeluje i prosi o odnowienie procesu. Sąd gromadzie nigdy nic nie odmówi, bo wie, że dziedzic jak chce, to zawsze wygra i gromadę oszuka.

— To prawda — machinalnie zawołał Jarema i zamyślił się.

— Otóż ten proces chciałbym odnowić — mówił dalej mecenas gromadzki — ale cóż tu robić, kiedy w całej Nowejwsi nie ma jednego człowieka?

— Jakto, w gromadzie nie ma jednego człowieka? — krzyknął Jarema i uderzył rozgrzany winem pięścią o stół.

— Wy wprawdzie mówicie: „Hromada wełyki czołowik,“ ale dla adwokata to głupstwo. Adwokat potrzebuje jednego z gromady, a nie całej czeredy — wtrącił z uśmiechem mecenas.

— Ba, jednego — mruknął Jarema i zamyślił się znowu.

— Trzeba jakiego gospodarza z powszechnem zaufaniem, któremuby całą tę sprawę powierzyła gromada i którego mogłaby wysłać do Wiednia.... a jabym taką suplikę do cesarza napisał, żeby dziedzicowi aż w pięty poszło!... Oho ho! znam ja tych panów! Jeden podobniuteńki do drugiego! Żeby z gromady dała się wódka wycisnąć, toby niezawodnie kociół w gorzelni nią nabił i przez alembik przepuścił!...

— A tak, to prawda! — mruczał machinalnie Jarema, wychylając duszkiem szklankę wina.

Huber tylko uśmiechnął się i mrugał oczyma.

— Szczęście wielkie dla gromady — mówił dalej mecenas — że panowie sami nie rządzą w kraju. Najprzód takim jak ja żywcem skórę zdarliby z ciała, a potem z gromady. Już to bardzo źle podzielił Pan Bóg szczęście między ludzi. Jeden ma po same dziurki, a drugi bieduje i robi na niego.

— Co prawda, to prawda! — wtrącił Jarema, któremu w winnej atmosferze coraz jaśniej w oczach się robiło.

I Huber wmięszał się teraz do rozmowy. I tak naprzemian mówiono o ciężkich losach gromady i o nadużyciach panów. Mówiono o mandatarjuszu, tem drapieżnem zwierzęciu, który szpony swoje wpija aż do kości chłopów, już to dla własnego zysku, już dla dogodzenia interesom pana. A wszystkiemu temu oczywiście winien był dziedzic, bo według nader prostej i rozsądnej dedukcji mecenasa, wszystko ostatecznie na dziedzicu się opierało. Pojedyńcze błędy i nadużycia zebrano w jeden ogólnik i postawiono jako dogmat niezłomny. A nawet i do odleglejszych czasów zapędzili się towarzysze Jaremy, opowiadając że dawniej źle było chłopu, że pan mógł go jak psa zabić — aż dopiero dzisiaj, dzięki Bogu, wszystko to się z rozszerzeniem oświaty zmieniło.

Jarema słuchał i słuchał, i nie mógł się dosyć nasłuchać. Krzywdy gromadzkie występowały przed jego oczyma w świetle

coraz jaskrawszem. Mecenas wspominał mu coś o potrzebie jednego gospodarza w gromadzie, któryby mógł walczyć za krzywdy tej gromady... I pomyślał sobie przytem:

— Hej, mój mocny Boże! gdyby to być takim gospodarzem w Nowejwsi! Tobym... najprzód z Nastką się ożenił.... a potem temu mandatarjuszowi.... po nim dziedzicowi... ale nie, dziedzic mi nic złego nie zrobił. —

Widać że Jarema nie był jeszcze dojrzałym, aby zająć w gromadzie stanowisko, o którem właśnie myślał. On jeszcze nie kładł interesu gromady na samym przedzie — jeszcze osobistość własna zbyt wiele go zajmowała....

I kiedy tak to i owo w głowie sobie rozbierał, a coraz więcej świateł migało mu już przed oczyma i węzełek cwancygierów coraz bardziej szczuplał, otworzyły się drzwi i jakaś niezwykła postać weszła do szynku.

Zrazu zerwało się kilku pijących z ławek, bo przybyły zakrawał na generała. Miał na sobie krótką kurtkę, bogato złotem wyszytą i kołnierz cały złoty. Na głowie siedział kapelusz stosowany z bujnym pióropuszem. Nawet Huber, co to przecież znał wszystkie szarże i stopnie, zagapił się i wstał ze stołka, aby gościa należycie uszanować. Przybyły prowadził pod rękę jakąś kobietę, która coś wyglądała, jakby niedawno zrzuciła z siebie kaftan i malowankę, a ubrała się w szlafroczek.

I gdy tak całe towarzystwo szynkowe w największem było naprężeniu, jakim stopniem uszanowania ma przybyłych przywitać, a podpity kapral już za okno czmychać zamyślał, mniemając że to generał, siedzący między Huberem a mecenasem Jarema pobladł nagle i oczy w słup postawił. Po chwili poczerwieniał aż po włosy, a nim Huber i mecenas odgadli co robić zamyśla, przesadził jednym susem stół szeroki i z krzykiem okropnym rzucił się na gościa.

Zamięszanie powstało w szynku, kilka świateł zagasło, a chmury pyłu zasłoniły resztę.

Przez kilka chwil głuche między pijącymi panowało milczenie. Słychać tylko było łoskot walących pięści i tarzanie się po podłodze. Wszyscy ogłupieli z przestrachu i zadziwienia i nie mogli sobie tego dziwnego zdarzenia wytłumaczyć.

Huber, najwięcej przy tej przygodzie jako towarzysz Jaremy

interesowany, najpierwszy też odzyskał przytomność, i rozumem swoim, którym się kierował przez całą karjerę wojskową, przewąchał niebespieczeństwo; chwycił więc za czapeczkę i drapnął przez najbliższe okno. Za nim posunął obrońca ustaw, chociaż według paragrafów najmniejszego nie było dla niego niebespieczeństwa. Za przykładem tych dwóch najbliższych Jaremie, poszli i inni, a gdy się w izbie nieco przestrzeniej zrobiło i pył z ziemi miał się gdzie rozejść, ujrzał z wielkim przestrachem ślepy Jośko, że Jarema trzymał kolana na piersi gościa, który leżał już prawie bez władzy — a towarzyszki tego gościa już w izbie nie było.

Jarema wydobył bagnet, a jasny blask żelaza powalił z nóg ślepego Jośka....

W tej chwili otworzyły się drzwi, a do izby wszedł najprzód jakiś jegomość w cywilnym ubiorze, ktory w oczach Jaremy był podobniuteńki do mandatarjusza z Nowejwsi. Za tym jegomością weszło czterech żołnierzy, trzymając broń jakby do ataku. Był to patrol.

— Oho ho! — krzyknął Jarema, wywijając bagnetem, a w rozgrzanej jego głowie w dziwną loikę mięszało się to wszystko, co przed chwilą słyszał od swoich towarzyszy — oho ho! już dosyć tego panie sędzio! Już mnie w rekruty nie oddacie razem z dziedzicem! A czekajcie no! Umiem ja już czytać i pisać — niechno kiedy przyjdę do gromady, zaleję ja wam sadła za skórę!... Tak tak, panie Garalewicz! —

Co się dalej z Jaremą działo, tego sobie później nie mógł dobrze przypomnieć, bo gdy oczy otworzył, był już w sztokhauzie.

Powoli zaczął sobie porządkować wrażenia dnia wczorajszego. Pamiętał że w tym bogatym, od złota kapiącym ubiorze był Szymek, jego wróg zacięty, że ową kobietą co z nim przyszła była Nastka jasnowłosa.... Więcej nie mógł sobie dobrze na razie przypomnieć, a nawet nie był pewny, czy to w istocie był Szymek, czy tylko widmo które go nieustannie straszyło....

Za kilka tygodni oświadczył mu audytor, że się upił i w pijaństwie omal zabójstwa nie popełnił na strzelcu od przejeżdżającego generała. A gdy Jarema na usprawiedliwienie

swoje zaczął mu opowiadać historję o Szymku i Nastce jasnowłosej, i co Szymek owej pamiętnej nocy z nim chciał zrobić, a co mu się nie udało, i gdy także o mandatarjuszu coś wspominał, audytor rozśmiał się z Jaremy, mówiąc że to wszystko tak mu się tylko wydało jako człowiekowi pijanemu, że strzelec generała wcale się Szymkiem nie nazywa, ani nie ma żadnej Nastki przy sobie.

Jarema zgłupiał i z rozdziawioną gębą słuchał wyroku, skazującego go na areszt z postem w sztokhauzie i na tak zwane „krummgeschlossen." Wreszcie uspokoił się i pomyślał sobie: Jak tylko wyjdę z sztokhauzu, to przekonam audytora, że miałem słuszność.

Ale audydor dodał w końcu wyroku, że prócz tej kary, jako człowiek niespokojny, odesłany będzie do regimentu który stał we Włoszech.

Jaremie łzy w oczach stanęły. Pierwszy raz w życiu uczuł, co to jest ziemia ojczysta!

A koło serca było mu jakoś tak smutno, jak owego wieczora w szynku, gdy sobie zaśpiewał:

....Sediaczy doma dumaju
Szo pryjatela ne maju!
    Żal serciu mojomu!
    Tak żyty samomu!...

V.

PO LATACH DWUDZIESTU.

Wiele, bardzo wiele lat upłynęło od tego czasu. Po krajach przeciągnęło kilka burz strasznych, krwawych, a każda z nich pozostawiła ślady po sobie. Najboleśniejsze ślady wycisnął rok 1846. Sieroty kilkuset rodzin rozsypały się po świecie, jak czarne węgle spalonego gmachu, i świadczyły przed Bogiem i ludźmi!

W Nowejwsi napozór nic się nie zmieniło. Ta sama górka śród równiny, te same drzewa zielone, wysokie, ta sama rzeka błękitna. I alea prowadząca do białego dworku wyglądała tak samo, jak przed laty dwudziestu, i pastuchy tak samo bawili się na pochyłości góry. A przecież nie było to już tak jak dawniej!...

Biały dworek jakoś podupadł, ściany poodpadywały od słoty. Wszędzie widać było upadek i jakieś zaniedbanie, jakby gospodarza już w domu nie było.

O, gospodarz już dawno leżał na smętarzu pod cerkiewką. Cicho i spokojnie było na tym wiejskim smętarzyku, cicho też i spokojnie musiało być w grobie nieboszczykowi. Cztery drzewka rosły na tym grobie, a śród drzewek stał biały krzyż z kamienia, na którym wyryto prośbę o „Pozdrowienie anielskie...“

I w dworku białym było cicho, i spokojnie. Nie słyszałeś w nim ani śmiechu, ani wesołej zabawy, a nawet służby nie ujrzałeś. Ogródek tylko mały pod oknami, starannie kwiatami zasadzony, okazywał że w dworku tym mieszka jakaś

istota, która nie przestała jeszcze lubić kwiatów, mimo doznanych goryczy życia, albo która dopiero zaczyna kochać świat i życie, a zaczyna od kwiatów...

Z ganku wyszła matrona w stroju żałobnym. Na twarzy jej były już zmarszczki, chociaż wyraz oczu żywych, okazywał jeszcze wiek dosyć młody.

Była to owa Zosia, którą widzieliśmy w pierwszym rozdziale tego obrazku. Za nią postępowała młodziutka, zaledwie piętnaście lat mająca dziewczynka, przecudnej urody. Twarz jej była świeża i uśmiechnięta, oczy jasne, szczere. Miała na sobie suknię z białego perkaliku i stanik z czarnych pasków utkany.

Obie weszły do małej altanki i z robótką w ręku usiadły przy prostym stole.

— Mameczka dzisiaj taka smutna! — ozwała się młoda dziewczynka, a łzy zakręciły się w jej oczach.

— Bo dzisiaj, moje dziecię, jest dla mnie dzień pamiętny — odpowiedziała matka — dzisiaj poznałam po raz pierwszy nieboszczyka twego ojca.

Długi czas trwało milczenie. Matka pogrążyła się w smutku i patrzała przed siebie jakimś wzrokiem osłupiałym. U córki zwyciężyła młodość. Poświęciwszy chwilę boleści, pomyślała zaraz, kiedy to ona kogoś pozna i obaczy po raz pierwszy, który jej nazawsze zostanie!.. I każdy pojmie, co po tej myśli zaczęło się roić w tej ładnej, młodej główce. Ale matka przerwała te marzenia:

— Dzisiaj właśnie po raz pierwszy ujrzałam nieboszczyka — mówiła jakby do myśli swoich. — Któżby był przewidział, że szczęście moje, które mi wtedy całą duszę upoiło, będzie tak krótkiem i tak boleśnie się zakończy?....

Po chwili milczenia mówiła dalej:

— Za rok pobraliśmy się i wyjechaliśmy w Tarnowskie. Jeszcze nie ocknęłam się z mego szczęścia, gdy krwawe, straszne widmo stanęło przedemną i na zawsze świat mi zakryło!... O, ja dzisiaj nic nie widzę, nic, prócz tej nocy strasznej, okropnej, gdy dom nasz palił się nad moją głową, a u mych nóg leżał twój ojciec... bez duszy!....

— Mamo! — krzyknęła córka i objęła matkę rękoma, wiedząc, ile cierpi przy tych wspomnieniach.

Ale matka była dzisiaj mężniejszą. Jakaś myśl błoga podtrzymywała wątłe jej siły.

— Jakbym dziś na to wszystko patrzała! — mówiła dalej. — W koło palącego się dworu stały tłumy ludu i wołały głosami jakich nigdy nie zapomnę!..., To nie były głosy ludzkie, to były głosy hyeny, głosy tygrysie!.. Ale cyt — dodała, wychylając się z altanki — tam widzę idzie już kochany nasz proboszcz. Cieszę się że w tym dniu coś dobrego uczynię dla ludu. Właśnie będziemy z proboszczem radzić o szkółce wiejskiej.

— O szkółce wiejskiej? — zawołała córka z zadziwieniem.

— Cóż cię tak zadziwia, Jadwisiu? — zapytała matka.

— A jużcić zadziwia mnie, mameczko — odparła Jadwiga — że mamusia tyle robi dla tych ludzi tak okrutnych. —

Rzekłszy to, zakryła twarz rękami i zaczęła płakać. Wspomnienie ojca, który zginął w rzezi tarnowskiej, rozraniło srogo jej młode serce i przypomniało jej śród marzeń złotych, że jest sierotą...

Matka z boleścią patrzała na córkę, a potem rzekła:

— Otóż ksiądz proboszcz już w furtce ogródka. Niech on, jako kapłan, odpowie ci na to. W jego ustach nabędzie to dla ciebie innego znaczenia. Gdybym ja ci to powiedziała, byłyby to słowa słabej kobiety, która zwykła wszystko złe zapominać. —

Gdy ksiądz proboszcz zbliżył się do altanki, rzekła matka po serdecznem przywitaniu gościa:

— Mam wielki żal do jegomości, bo jakoś nienajlepiej uczysz Jadwisię miłości chrześciańskiej. —

Staruszek zażył tabaczki i uśmiechnął się. Był on przygotowany na jakiś żarcik, który mu często płatała panna Jadwiga.

Więc patrząc na lube dziecię z ukosa, rzekł znacząco:

— Pan Władysław lepszym będzie nauczycielem odemnie. Serce kobiety póty nie pojmie miłości chrześciańskiej, póki wprzód z domowemi swemi sprawami nie upora się.

— Pan Władysław? — zawołała matka i spojrzała na córkę.

Jadwiga poczerwieniała aż bo biały rąbek sukienki. Jej oczy rozjaśniały się coraz więcej, aż wreszcie u jedwabnych rzęs zawisła świecąca perła.

— Cóż to jest, Jadwisiu? — zapytała z chmurką na czole matka.

— Ja o niczem, mameczko, nie wiem — odparła Jadwiga, a jasne dwie łzy stoczyły się po jej ślicznej twarzyczce.

Proboszcz puknął niby z gniewem w tabakierkę i rzekł:

— Tom źle zrobił, żem czas i wypadki wyprzedził, chociaż mówią że ludziom genialnym często to się wydarza. —

Żartobliwy zwrot mowy księdza proboszcza uspokoił matkę, a nawet i Jadwisia uśmiechnęła się przez łzy, które jeszcze ciągle jedna po drugiej z jej ślicznych ocząt umykały.

Musiała uwierzyć matka w szczerość Jadwigi. Rumieniec i łzy, były to tylko oznaki, że ksiądz proboszcz napomknięciem o Władysławie, zeszedł ją niespodzianie. O żadnym Władysławie nie myślała ona wcale, a to z tej prostej przyczyny, że żadnego nie znała; ale myślała właśnie o kimś, który jeszcze nie miał imienia, a który, jak ongi jej ojciec nieboszczyk, ujrzy ją gdzieś, najprawdopodobniej w kościołku, poraz pierwszy, który ją, a ona jego, pokocha i pójdzie z nim na kobierzec ślubny... Tak to marzyło sobie piętnastoletnie dziecię, gdy nagle proboszcz wyjechał z jakimś panem Władysławem, jakby to już była rzecz skończona. I jakże tu nie spiec raczka aż po rąbek sukienki, jakże powstrzymać łez kilka, tak przyjemnych, tak jakoś słodkich?

Płakała więc Jadwiga szczerze i serdecznie, bo z tym płaczem było jej jakoś tak dobrze, tak przyjemnie! Łez tych nie mieniałaby dzisiaj za wszystkie skarby świata. Matka myślała, że te łzy odnoszą się wyłącznie do dzisiejszej rocznicy, że bolesne uczucie sieroctwa wycisnęło je z głębi serca. To też nie pytała dalej jedynaczki, co znaczą łzy jej, i uwierzyła słowu, że Władysława żadnego nie zna. Całą więc historję o jakimś Władysławie, zaimprowizowaną przez księdza proboszcza, wzięła za żarcik, i właśnie miała księdzu proboszczowi udzielić kilka myśli swoich co do urządzenia szkółki wiejskiej, gdy nagle, spojrzawszy na córkę, rzekła:

— Cóż to znowu, Jadwisiu, rozpłakałaś się na piękne? A coby to było, gdyby kto przyjechał:....

— Co bardzo łatwo być może — dorzucił filuternie ksiądz proboszcz, zażywając tabaczki i spoglądając na zegarek.

— Toby było wielkie nieszczęście! — zawołała przestraszona Jadwiga, wyobrażając sobie, że już ktoś wchodzi do altany i widzi jej oczka czerwone i włoski na głowie w nienajlepszym porządzu.

— Nieszczęście? — powtórzył proboszcz — nieszczęście? co za nieszczęście?.. A prawda, prawda, panna Jadwiga ma słuszność, bo stoi napisano: I porzuci ojca i matkę....

— Ja mamy nigdy nie porzucę — rzekła Jadwiga, przytulając się do matki.

Ale wnet podniosła główkę jak sarna spłoszona i cała drżąca poczęła słuchać. A tam od alei lipowej dochodził jakiś turkot głuchy, i coraz wyraźniej słychać było stąpanie koni i trzask bicza. Jadwiga zaczęła zwolna czerwienieć na twarzy, jej serce rosło i rosło i już po za rąbek wychylić się chciało, gdy nagle służąca wpadła do ogrodu, z oznajmieniem, że jacyś goście do dworu jadą.

Jadwiga zerwała się z ławki i znikła jak biała chmurka wiosenna; matka zaś wpatrzyła się w proboszcza, który się uśmiechał, jakby krył w sobie jakąś tajemnicę. Nie było jednak czasu do pytań, bo właśnie wszedł do ogrodu jakiś siwy, wysoki jegomość, z sztywnym pod szyję halsztukiem. Za jego szerokiemi plecami ukrywał się młody blondynek w czarnej czamarce.

— A! pan pułkownik! co za rzadki gość —! ozwała się gospodyni, wychodząc przeciw gościom z altanki. To się doprawdy nie godzi pułkowniku. Tak bliskim być sąsiadem, a tak rzadko bywać w Nowejwsi....

— Pozwolisz pani dobrodziejka — odparł pułkownik, poprawiając halsztuka — że się primo jasno wytłumacze. Jestem człowiekiem starej daty, kiedy to jeszcze przedewszystkiem lubiano wino, karty i kobiety. Dzisiaj zaś jesteśmy goli jak święci tureccy, a więc wina nie ma za co pić, do kart nie znajdzie w Nowejwsi z kim zasiąść, a co do kobiet, pani

jechaliśmy z panem Władysławem do Nowejwsi — ciągnął dalej gadatliwy pułkownik, i znowu miał ochotę zrobić pauzę, lecz powtórny znak księdza proboszcza znaglił go do pośpiechu.

Szelest za altaną ustał zupełnie. Musiał tam jednak ktoś być, bo matka często tam oczy zwracała i pan Władysław ustawicznie spoglądał w tę stronę, skąd szelest słychać było.

Pułkownik odchrząknął, a chcąc jak najkrócej się sprawić, bo proboszcz widocznie niekontent był z jego manewru, zaczął wprost od rzeczy.

— Musi pani dobrodziejka najprzód wiedzieć, że pan Władysław, syn mego ciotecznego brata, jest sierotą, tak samo jak panna Jadwiga, z tą tylko dyferencją, ze panna Jadwiga ma tak godną matkę, a Władzio jest jak palec sam jeden na bożym świecie. Ojca zamordował Szela, a matka umarła z przestrachu i zgryzoty. —

Pułkownik cierpiał na astmę; więc mimo najlepszyeh chęci, musiał tu spocząć choć dwie sekundy. Wspomnienie tak strasznej katastrofy, która i w komnatach Nowejwsi krawe zostawiła widma, odwróciło na chwilę uwagę gospodyni od mniemanego niebespieczeństwa, jakie zdawało się zagrażać jej ułożonym naprzód rachunkom. Smutno spojrzała na młodzieńca, który w tej chwili rękę do oczu podniósł, bo tam poczuł ciepłą łzę... a nawet wydało się jej, że za altanką ktoś zcicha gałęź odsunął, aby również popatrzyć....

Tymczasem pułkownik schwycił oddech i mówił dalej:

— Otóż Władysław chował się sierotą i widać że Bóg w niebie czuwał nad nim, bo wyrósł krzepko i zatrzymał zdrowe serce w zdrowem ciele. —

Tu spojrzał z ukosa na niecierpliwiącego się coraz więcej proboszeza i tak mówił dalej:

— A kiedy już dzisiaj ma lat dwadzieścia cztery, toż należy myśleć o sobie i stanąć do szeregu ludzi pracujących dla dobra swego i dla dobra ojczyzny. Ażeby to jednak uczynić, trzeba mieć przecie grunt pod nogami. Wódz, który się gotuje do boju, patrzy najprzód na ziemię gdzie bój staczać będzie. Nie lubię dzisiejszych ludzi, co to niby do wszystkiego byliby zdatni, gdyby tylko ktoś im dał pozycję po temu. Jednym się zdaje że mogą najmniej być ministrami,

nie aplikując nigdy i nigdzie. Inni już z urodzenia zdolni są dowodzić pułkiem, a nie wiedzą co służba kapralska. Ci znowu byliby najlepszymi gospodarzami, gdyby mogli tylko dostać żonkę z majątkiem. Ja zaś inaczej o tem wszystkiem sądzę, i dla tego to udaję się do pani dobrodziejki, bo wiem co za dom i co za ludzie. —

Biedna wdowa była pewną, że teraz nastąpi uroczyste oświadczenie i już w głowie zbierała na prędce argumenta, aby pułkownika jakoś grzecznie odprawić, a przynajmniej tę całą sprawę puścić w odwłokę. Do tego jeszcze przyszło jej na myśl, że za kilka dni przypada termin wypłaty weksla na dość znaczną summę. I jakże to w takiej chwili myśleć o konkurencie?...

Nie bez obawy więc patrzała na siwe wąsy pułkownika, które się znowu ruszać poczęły. Pułkownik mówił dalej:

— Jestem zatem tego zdania, aby Władzio zaczął gospodarować na swojem i powoli dorobił się lepszej pozycji w świecie i konsyderacji u ludzi. A że dotychczas nie ma właściwie nic swego...... —

Proboszcz odchrząknął z widocznem niezadowoleniem, puknął dwoma palcami w tabakierkę i przerwał gadatliwemu pułkownikowi:

— Krótko mówiąc: rzecz idzie, pani doprodziejko, o kupno tutejszych tak zwanych pustek.

Wdowa widocznie ochłonęła z trwogi. Więc to chodziło tylko o kupno pustek...

Dla nieznających stosunków galicyjskich, winniśmy wytłumaczyć co to są tak zwane pustki.

Pustki, są to grunta wiejskie, opuszczone przez włościan. We wsiach Galicji jest mnóstwo takich pustek. Dawniej można je było zdala rozpoznać. Gdzieś na uboczu, za wsią pomiędzy parowem, zazwyczaj na złym gruncie, stoi mała, waląca się chałupa. Strzecha poczerniała, odarta, okna bez szyb, piec rozwalony i chwast bujnie na około rozrosły,

znamionują że mieszkańcy tego ustronia dawno stąd ustąpili, bądź śmiercią, bądź dobrowolnem wygnaniem na chleb tułaczy. Opuszczony tym sposobem grunt i chata stały najczęściej pusto, często zaś gruntu używał dziedzic na pastwisko, za co obowiązany był płacić podatek. Za czasów pańszczyźnianych nikt nie kusił się z pozostałych krewnych o taki grunt opuszczony. Do gruntu tego bowiem, jak do wszystkich innych włościańskich, przywiązaną była pańszczyzna, a dawny jego właściciel opuszczał go najczęściej, z powodu iż pożytek z tych pól jałowych nie wyrównywał włożonym na nie ciężarom.

Pustki te jednak po zniesieniu pańszczyzny większej nabyły wartości, bo stanowiły własność. Z tego powodu powstało mnóstwo processów między włościanami a dawnym panem, które obu stronom nie mało narobiły kłopotu. Że i z tego powstały zarody rozdwojenia włościan z dworem, nikt nie zaprzeczy.

Pustki posiadane od czasów niepamiętnych, a więc prawnie należące do majątku dominialnego Nowejwsi, był to dosyć spory szmat ziemi, ale z glebą niezbyt urodzajną. Przy rozsądnej gospodarce, przy znacznych nakładach, można jednak było zaokrąglić sobie z tego ładny folwarczek. Ale na to nie miała biedna wdowa ani pieniędzy, ani konceptu, a długi pas ziemi okalający całą Nowągórę leżał odłogiem i zdziczał. Przyjemną więc dla niej była propozycja pułkownika, a że ta propozycja w drugim planie miała coś innego na względzie, to przeczuło już serce matki. Uśmiechnęła się więc i rzekła:

— Ksiądz proboszcz ma lepsze serce od pułkownika. Nie dręczył on długo biednej wdowy. Pułkownik nie zawsze widać doraźnym atakiem zwalczał nieprzyjaciela.

— Fabius cunctator! — szepnął zcicha proboszcz, zerkając na pułkownika.

Ten zaś musnął ręką po wąsach i rzekł zachmurzony:

— Jużcić każdy wódz ma swój plan, według którego szyki swoje ustawia. Ksiądz proboszcz, jako chorąży gorąco kąpany, popsułeś mi atak, uderzywszy wprost na kolumnę. Jakkolwiek to jest nadwerężeniem subordynacji, jednak w chwili nie-

bespieczeństwa nic innego nie pozostaje, jak iść za chorążym i atak wesprzeć. Oświadczam więc wprost pani dobrodziejce, że wspomnione pustki już obejrzałem i na pięćset czerwonych złotych oszacowałem. Jeśli ta sumka pani akomoduje, to mam ją z sobą i imieniem Władzia, jako jego opiekun, wypłacę. —

Biednej wdowie łzy stanęły w oczach. Był to dla niej ratunek wcale niespodziewany. Nigdy na podobną pomoc nie liczyła. Pustki i tak stały bez użytku i nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby je w drodze kupna nabyć, albo w drodze prawa o nie się upomnieć. Podziękowała więc w duchu panu Bogu, a szukając na wszystko co ją kiedy w życiu spotkało powodów w samej sobie, pomyślała że to nagroda z nieba zesłana, za dzisiejsze jej postanowienie, aby dla dzieci wiejskich szkółkę założyć.

Z rozpromienioną twarzą powitała Jadwigę, która w tej chwili weszła do altany. Na twarzy jednak Jadwigi malowało się nieukontentowanie. Niezawodnie musiała słyszeć z za altany rozmowę, z której dowiedziała się, że to idzie tylko o prosty interes kupna pustek! Interes! a czemże jest podobny interes dla serca piętnastoletniego?... Mimo to znalazł się jakoś gdzieś raczek, jakby z pod rąbka wylazł, gdy pan Władysław jej się kłaniał i pułkownik z pewną uroczystością przedstawiał go. Może serce szepnęło jej wtedy, że z kupna tych pustek bodaj czy się co innego nie wykłuje!....

Ponieważ się już ku wieczorowi skłaniało, a z za Nowejgóry jakieś podejrzane wymykały się chmurki, wstała gospodyni i wszystkich gości zaprosiła do pokoju.

Mówiono o temo i owem, a tymczasem matka z córką postarały się o herbatę i przekąskę. Na dworze było coraz chmurniej, wicher zrywał się i tłukł nielitościwie po wierzchołkach drzew ogrodowych.

Przysunięto bliżej krzesełka, a rozmowa stawała się coraz głośniejszą.

Kiedy pułkownik, przystępując do interesu, znowu o pustkach mówić zaczął, a nawet w kieszeni dukatami brzękał, podniosła rękę gospodyni i rzekła głosem uroczystym.

— Na sprzedaż pustek jaknajchętniej przystaję; wymawiam

tylko sobie, aby pułkownik wraz z panem Władysławem kilka dni dobrze tę rzecz rozważyli, czy grunta warte te pieniądze i czy zdadzą się na co. Nie taję się z tem bynajmniej, że sprzedaż tych pustek pod tak korzystnemi warunkami jest dla mnie w tej chwili dobrodziejstwem. Ponieważ jednak we wszystkiem upatruję zrządzenia Bożego, pytałam więc w duchu siebie, za jaki dobry uczynek, za jaką poczciwą myśl Bóg mnie wynagradza?! I oto przypomniałam sobie, że powzięłam dzisiaj myśl założenia szkółki dla ludu i właśnie z proboszczem chciałam się rozmówić o potrzebne do tego fundusze. Dla tego więc, dziękując Bogu za ratunek w potrzebie, przeznaczam zaraz z góry sto czerwonych złotych na założenie szkółki z samej sprzedaży pustek!... Dzisiaj rocznica dnia, w którym nieboszczyka męża swego po raz pierwszy ujrzałam... —

Długi czas trwało milczenie. Wdowa i córka poczuły łzy w oczach. I pan Władysław odwrócił się od stołu. Pułkownik wstał tymczasem i widocznie wzburzony, zaczął przechadzać się po pokoju.

Proboszcz patrzał smutno za biegającym coraz prędzej pułkownikiem, a gdy ten, z powodu swego astmatycznego usposobienia, na chwilę stanął, aby oddechu nabrać, ułapił go proboszcz za połę i rzekł:

— Pułkowniku, słuchaj! bo częściej przez kobietę mówi Bóg do ludzi, niżeli przez wodza w zbroi!.... słuchaj, a potem będziesz biegał dowoli. —

Pułkownik stanął i wpatrzył się w księdza, który podniósł rękę do góry i zawołał:

— Twój wzrok, pułkowniku, nie sięga dalej od twojej odwagi; ale instynkt kobiety może dojrzeć rzeczy, których zwykłe oko nie widzi!..

— Ja bo już stary na to wszystko — odfuknął zgromiony pułkownik i sapał z gniewu, że proboszcz na polu dysputy zawsze górę nad nim bierze.

Proboszcz mówił jeszcze dalej w duchu miłości chrześciańskiej, która nam każe równą miłością kochać maluczkich jak i wielkich: gdy nagle czerwony blask błyskawicy przeleciał po niebie, a w oknie pokoju zaczerniała jakaś straszna postać!

Wszyscy przybiegli do okna i wpatrzyli się w widmo złowieszcze.

Był to jakiś człowiek w dziwnym, obdartym ubiorze. Stał naprzeciw okna i miał pięść do góry wzniesioną, jakby groził. Potem obrócił się zwolna i zniknął za figurą.

— Tak wyglądał Szela, gdy się zbliżał do naszego domu — jęknęła wdowa i zamknęła oczy.

— To przywidzenie i nic więcej — rzekł pułkownik.

— Mówiliśmy poprzednio o scenach z rzezi tarnowskiej — dorzucił proboszcz.

A na dworze zawrzała burza, błyskawice i grzmoty powtarzały się co chwila.

VI.

W PIEKARNI.

Podczas kiedy zgromadzeni w saloniku, nastrojeni burzą nocną i tem dziwnem, nieodgadnionem zjawiskiem za oknami, przeszli do rozmowy o smutnych, krwawych wypadkach tarnowskich, w małej oficynie naprzeciw dworu zebrała się czeladka i po pracy dziennej obsiadła w koło ognisko, na którem pryskał ogień nałożony.

Po latach dwudziestu spostrzegamy i tutaj znajomych. Najprzód, koło samego komina, siedzi kobieta o ładnych rysach twarzy. Jasne jak len włosy otaczają grubym warkoczem jej białe czoło. Nie ma ona jeszcze lat czterdziestu, a jednak na jej bladej twarzy jest mnóstwo zmarszczek, świadczących o nieszczęśliwych kolejach losu. Koło niej, oparty o komin, siedzi chłopak kilkanaście lat mający, rosłej, wysmukłej postaci. Z włosów i oczu podobny jest do kobiety, jakby był jej synem. Dalej oparty o duży stół biały stoi drugi parobczak, podobniusieńki do pierwszego, jakby obaj byli bliźniakami.

W zagłębieniu za piecem siedzą dwaj mocno pochyleni staruszkowie. Jeden z nich jest ślepy, a drugi głuchy. Kłócą się obaj o wygodniejsze miejsce za piecem i dokuczają sobie wzajem to słowem, to czynem.

Ślepy zwolna namacał żebra swego sąsiada, i niby od niechcenia uczęstował go kułakiem.

— Co to wy zawsze się pchacie i zawadzacie mi? — rzekł ślepy do sąsiada, gotując się do drugiego kułaka.

— Czy was napadło, czy co? — zawołał głuchy, nadstawiając ślepemu łokieć.

— Po co tu do mnie przychodzicie, kiedy wiecie że ja nic nie widzę wieczorem — gderał dalej ślepy, wymierzając z całą siłą szturchańca w sam kant muru od komina.

— Czarta byście zjedli, Mateuszu! — krzyknął głuchy, ocaliwszy się od wymierzonego ciosu.

— Mówicie Jacenty jak pies niedowiarek! — odfuknął ślepy, macając koło siebie — a tam na dworze tak grzmi, aż strach!...

Głuchy nie dosłyszał słów swego sąsiada, ale usta jego szeptały już pacierz i litanję do Najświętszej Panny, bo właśnie przy wspomnieniu czarta taka jasna błyskawica przeleciała po niebie, że prócz ślepego, wszyscy za oczy się chwycili.

— Módl się za nami teraz i w godzinę śmierci!... — szeptał głuchy.

— Co wy tam ciągle o tej śmierci gadacie? — gderał ślepy.
— Alboż to ludzie nie żyją po sto dwadzieścia lat, czy co? —

Ponieważ głuchy swego sąsiada dobrze nie rozumiał, a ślepy nie widział ani jego twarzy, ani żeber nie mógł już namacać, bo głuchy znacznie od niego się odsunął: więc nastała przez kilka chwil cisza w piekarni, śród której słychać było pluskanie deszczu i grzmot tak głośny, jakby kto z bryką orzechów po próżnym strychu się przejeżdżał.

W obu za piecem siedzących, niezgodnych sąsiadach poznajemy kucharza i ogrodnika. Są to już zupełni inwalidzi. Zgarbieni jak grzyby, kalecy obaj, siedzą z łaski pani swojej w piekarni i dokuczają sobie dla skrócenia czasu.

Biedna wdowa, idąc za tradycją dawnego obyczaju, dała obu inwalidom dworskim dożywotni kącik w piekarni, wraz ze strawą, chociaż położenie jej wcale nie było po temu, aby wiele na uczynki miłosierne szafować mogła. Ale oną nie uważała tego za miłosierdzie, tylko za obowiązek, aby styranym w jej służbie ludziom nie dać umierać pod obcym płotem.

Po długiej chwili milczenia, kiedy już ogrodnik ukończył litanję do Najświętszej Panny, ozwała się kobieta najbliżej komina siedząca:

— Nie wiem co to jest, ale coś bardo ciężko mi dzisiaj na sercu.

— Ot goni się na dworze, ta i cała rzecz — odparł młody parobczak, poprawiając drwa na kominie.

— Wy bo Nastko wtedy płaczecie, gdy się cieszyć trzeba — ozwał się ślepy kucharz z za pieca.

— A skąd mi cieszyć się dzisiaj? — zapytała blada kobieta.

— Wszak konkurent do panny przyjechał — odparł kucharz — a w takim razie coś zawsze się liźnie. —

Kobieta zwróciła oczy na ogień i zamyśliła się. Kucharz nadstawił do komina jedno, a potem drugie ucho, ale w piekarni była cisza. Za oknami tylko pluskał deszcz, a wiatr skrzypiał bramą na zardzewiałych wrzeciądzach.

— A to kara boża z wami Nastko! — zawołał po chwili kucharz — jak tylko wspomnieć coś o żeniaczce, zaraz wam jakby gębę zamurował. W imię Ojca, Syna i Ducha świętego! a cóż tam takiego wam w głowie siedzi? Czy chcecie jeszcze iść za drugiego męża? —

Oczy kobiety błysnęły światłem fosforowem, na twarz wystąpił wyraz cierpienia. Podniosła głowę, jakby ją kto nagle śród snu przebudził, i powiodła okiem po piekarni. Ujrzawszy młodych parobczaków, rzekła do nich:

— Coś mnie dzisiaj strasznie niepokoi. Chroń Boże od jakiego nieszczęścia. Idźcie Walek i Szymek na oborę. Złodzieje mogą korzystać z burzy na dworze, a z gości u pani. Obejrzyjcie wszystko na około. I tak Zagraj szczekał na kogoś przed chwilą. —

Młodzi wygarnęli z ognia po kilka ziemniaków, włożyli je w zanadrze i wyszli z piekarni. Kobieta wyprowadziła ich tęsknem wejrzeniem, a zwróciwszy się do ognia, popadła znowu w zamyślenie.

Kucharz przechylał głowę to na prawo to na lewo, a gdy się przekonał że parobcy już wyszli i że zgoła nikogo z obcych nie było w piekarni, przysunął się bliżej i rzekł do kobiety:

— Słuchajcie Nastko, czy nie ma nikogo?

— Nie ma — odpowiedziała kobieta.

— Jabym z wami chciał raz na serjo pogadać.

— O czemże chcecie gadać?

— Hm, hm, ot tak o różnych rzeczach, o dawnych, dawnych czasach — a możemy gadać bez obawy, bo Jacenty już na piękne ogłuchł. Strzelaj z armaty, a on nie słyszy.

— Pst — rzekła kobieta cichym głosem, przykładając palec do ust. — Jacenty to frant, wy go nie znacie. On więcej udaje głuchego. Wprawdzie oddawna słyszy już tępo, ale przecież tak całkiem głuchym nie jest, jak myślicie. —

Kucharz zwrócił się ku stronie gdzie ogrodnik siedział i niejaki czas nadsłuchiwał. Ale ogrodnik oparł się o mur komina i już chrapał na piękne. Po niejakiej chwili rzekł kucharz:

— Że słyszy coś, o tem wiem, bo czasem nawet z nim się rozmawiam. Ale trzeba mu w samo ucho krzyczeć. Teraz śpi. —

Po chwili, gdy ogrodnik według wszelkich praw przyrodzonych chrapał, a nawet po niektórych ruchach jego widać było że sni o czemś, ozwała się kobieta:

— O czem to Mateuszu chcieliście mówić ze mną?

— Chciałem mówić o tem — odparł kucharz, przysuwając się bliżej komina — że wy coś musicie mieć na sercu, o czem tutaj we dworze nikt nie wie. Jak tylko kiedy mówi się o żenieniu, jak zagra muzyka do ślubu, to wy zaraz płaczecie, albo w smutku głowę zwieszacie. —

Kobieta otarła łzy fartuszkiem i rzekła:

— Oj Mateuszu, mam-ci ja wiele na sercu i nieraz myślałam sobie, gdyby to znaleźć człowieka, przed którym możnaby się wygadać, toby i sercu się lżej zrobiło!

— A cóż wam tak ciśnie? — zapytał rozciekawiony kucharz — mówcie przedemną jak przed księdzem, ja nikomu nie powiem. To źle, że w sobie wszystko zamykacie, bo ludzie różnie zaraz mówią... a nawet mógłbym wam dziwne opowiedzieć rzeczy, chociaż temu wszystkiemu nie wierzę.

— Już to nigdy napróżno ludzie nie mówią — odparła smutno kobieta — ale na to nie zważało się, gdy się było młodą —

Kucharz poskrobał się za uszami. Coś strasznie ciekawego

było w tych słowach kobiety. Poprawił się na miejscu, na znak ciekawości i wytężonej uwagi, a kobieta zaczęła:

— Przypominacie sobie zapewne, jest temu więcej może jak dwadzieścia lat, kiedy to do dworu przyszedł na służbę Jarema......

— A Jarema! Jarema! przypominam sobie doskonale. Wyście byli młodem dziewczęciem, świeżem jak małgorzatka. A ten Jarema, to pasł krowy z wami i zdaje mi się... lubił was bardzo. —

Kobieta wstrząsła się, jakby ją coś ukłóło, i przejęta jakąś dziwną obawą, obejrzała się po kątach piekarni.

— Poczciwy był to chłopczysko — prawił dalej kucharz, lubiłem go jak własnego syna. — A jaki usłużny, a jak dobre serce miał, to szukać dzisiaj ze świecą. —

Kobieta wlepiła oczy w ogień i zadumała się.

— Pamiętacie — mówił dalej gadatliwy gracjalista — jak to on razu jednego ukradł dla was kanarka, i za to miał mu Szymek... —

Kobieta wzdrygnęła się jakby nagle w ogniu żmiję ujrzała, i głośno krzyknęła:

— Ja o Szymku nic wam nie mówiłam! —

Na to niby obudził się ogrodnik, przetarł oczy, a obejrzawszy się po piekarni, rzekł do kucharza:

— Dziwna rzecz Mateuszu, Szymek śnił mi się. Pamiętacie Szymka, co to go w nocy Jarema... —

— Jarema mu nic nie zrobił! — zawołała Nastka i zbladła nagle jak chusta. —

Ogrodnik przymrużył oczy i badawczo zmierzył Nastkę. Potem uśmiechnął się i rzekł!

— Co to był za poczciwy człowiek ten Jarema! Żal mi go, gdy sobie przypomnę, jaki smutny los go spotkał. Pognali gdzieś biednego, że ani strzechy ojczystej, ani słowa po ludzku nie usłyszy! A może już zginął na wojnie! Mówią że był kilka razy w ogniu.

— Tego się dosłużył u nieboszczyka; nie pamiętaj mu tego Panie! — przerwał kucharz — oddali biedaka w kamasze! Przecież to była nieludzkość!

— A pamiętam, prosiliśmy obaj mandatarjusza za nim,

mówił dalej ogrodnik, ale co ci ludzie! Czy oni serce mają, czy co?... A to wszystko przez was Nastko: zawróciliście mu głowę, a potem mizdrzyliście się do Szymka... I cóż, człowiek jeśli w gniewie, w złości... Święta Boża Rodzicielko, módl się za nami!... Naczynie duchowe... módl się za nami! —

Na dworze coraz więcej huczał grzmot, coraz silniej szalała burza.

— W imię Ojca i Syna — krzyknął kucharz do ucha sąsiada — wy bo Jacenty teraz kiedy grzmi, wspominacie o Jaremie, a wiecie że się go strasznie boję, od tej nocy zwłaszcza jak zniknął Szymek, a nad brzegiem znaleziono jego czapkę i chustkę.

— Jarema Szymkowi nic nie zrobił — zawołała znowu kobieta, a twarz jej drgnęła nieprzyjemnem uczuciem.

— Czy mu co zrobił, czy nie, o tem dzisiaj nikt nie wie, bo już i ryb tych nie ma, co go prawdopodobnie zjadły — wtrącił kucharz i przeżegnał się, bo mu nagle mrowie przez pacierz przeszło.

Kobieta otworzyła usta i chciała coś odpowiedzieć, ale konwulsyjny kurcz jakiś nie dał jej słowa wymówić.

— Ja wiem tylko, że Jarema był bardzo poczciwym człowiekiem — mówił dalej kucharz i rzewnemi łzami płakałem, gdy go w rekruty wieźli... Przecież na innego pana, (świeć panie nad duszą jego), toby mu pomógł wydobyć się z biedy; ale tak!... Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata! Wysłuchaj nas Panie —

— Anioł Pański zwiastował Panni Marji! — zaczął ogrodnik, a kucharz wtórował mu z całą pobożnością czystego serca.

I gdy tak pamięci poczciwego Jaremy i swemu własnemu sumieniu zadość uczynili, podniósł się ogrodnik z przypiecka i poszedł położyć się na tapczan, aby się snem spokojnym pokrzepić. I wkrótce, poleciwszy szczegółowo wszystkie członki swoje opiece Opatrzności Boskiej, bez której wiedzy włos z głowy wypaść mu nie może, zaczął chrapać według wszelkich praw przyrodzonych, jak to zwykł czynić człowiek głębokim snem zdjęty.

Słysząc to kucharz, przysunął się do komina i rzekł do Nastki:

— No, teraz możecie kończyć, coście zaczęli opowiadać, bo strasznie ciekawy jestem. —

Kobieta westchnęła głęboko, obejrzała się z jakąś bojaźnią po kątach piekarni i zaczęła po chwili:

— Przyznam się wam, że kiedy sobie przypomnę te czasy, jak to na smętarzu koło cerkwi Jarema do mnie się zalecał, to bardzo smutno robi się na sercu. Wprawdzie nie był on tak ładny jak inni, ale lubił mnie, a może lubił szczerzej jak inni...

— Macie słuszność. On was lubił aż do warjacji. Stąd też całe jego nieszczęście! — wtrącił kucharz.

— Ale młodemu zazwyczaj to się podoba, co się świeci i zgrabnie kręci... a Szymek tak ładnie tańcował!...

— Oho, ho — mruknął kucharz — a w duszy szelma, pies! Znałem go dobrze i jego sprawki... Jarema był poczciwy, złoty chłopiec! Co za serce, co za dusza!... Anioł pański zwiastował —

Kucharz odmówił trzy razy „Zdrowaś Marja“, bo nagle tak głośno zagrzmiało, jakby się dach walił. Po niejakim czasie mówiła kobieta:

— Otóż co się dalej stało, to wiecie. Jaremę oddano w rekruty, a w miesiąc potem poszłam za Walka fornala ze dworu.

Westchnąwszy, rzekła po długiej przerwie:

— Ale ja Walka nie lubiłam...

— Nie lubiliście Walka? — zawołał kucharz, a czegoście szli za niego?

— Poszłam dla tego, bo mnie namówił ten którego lubiłam—odparła zcicha kobieta.

— Tak? — rzekł na to kucharz i rozdziawił gębę.

Czas jakiś trwało milczenie; poczem mówiła znowu kobieta:

— Ciężko za to pokutuję, bo we dnie i w nocy nie mam spokoju... W kilka miesięcy po ślubie, za moją namową, odprawił się Walek ze służby i poszliśmy oboje do miasta, gdzie Walek zgodził się za stróża do sklepu. —

Kobieta otarła łzy fartuszkiem i mówiła po chwili:

— Ten któregom lubiła, był wtedy w mieście. Stąd pochodziły częste kłótnie między mną a Walkiem. W końcu rozchorował się Walek i umarł w szpitalu, a jam wyjechała z miasta z tym któregom lubiła...

— I któż to był... Jarema? — zapytał z ciekawością kucharz.

Zdawało się kobiecie, że kucharz tak dziwnie wymówił imię Jaremy, jak jeszcze nigdy nie słyszała. I w samej rzeczy tak szczególne jakieś echo odpowiedziało ze wszystkich kątów piekarni, że kobieta mimowolnie się wzdrygnęła, a ogrodnik, przebudziwszy się, stanął na ziemi równemi nogami i głośno zaczął odmawiać:

— Orędowniczko nasza! Święta Boża Rodzicielko! Módl się za nami!... Rószczko Aarona—wieżo z kości słoniowej....

I nie dokończył, bo właśnie w tej chwili jasna błyskawica przeleciała wzdłuż nieba, a na szybach okna odbiła się jakaś straszna postać.

Ogrodnik i kobieta krzyknęli z przerażenia; a tym czasem straszny grzmot zatrząsł dachem, aż krokwie zatrzeszczały!

VII.

Tego samego wieczora, kiedy na horyzoncie Nowejwsi zaczęły gromadzić się chmury i już kiedy niekiedy jasna błyskawica po ciemnem przemknęła się niebie, zdążał ku Nowejgórze samotny wędrownik szybkim krokiem.

Przelatujące błyskawice oświecały jego postać. Był to mężczyzna silnie zbudowany, o barkach szerokich, i mimo że szedł pod górę prosto się trzymający. Ubiór jego był dziwnego rodzaju. Na głowie miał czapeczkę niby urzędnika austrjackiego, z daszkiem do góry zadartym. Surdut ciemnego jakiegoś koloru obciskał szeroką pierś jego aż pod samą brodę. Krótkie nieco i zbyt wąskie rękawy wskazywały, że pochodził z jakiejś tandety, albo był podarunkiem chlebodawcy. Spodnie z jasnym paskiem należały jakby do ubioru wojskowego. Tegoż samego rodzaju były i tak zwane ciżmy, na górze rzemyczkiem sznurowane. Na grubym kiju, opartym na ramieniu, wisiał niewielki węzełek, który prawdopodobnie mieścił cały majątek podróżnego. Na to wszystko zarzucony był płaszcz szary żołnierza piechotnego, z świecącemi cynowemi guzikami.

Podróżny stanął pod górką, prawie na tem samem miejscu, na którem przed laty dwudziestu odbyła się scena w pierwszym rozdziale naszej powieści opisana. Ale jakże inaczej tu wszystko dzisiaj wyglądało.

Wtedy na pochyłości tego wzgórka świeciło jasne słońce. Trawa była bujna i zielona, ptaszki świergotały w pobliskich

drzewach; pasące się trzody brykały wesoło, grono pastuchów zabawiało się różnemi figlami. A śród nich była dziewczynka z jasnemi jak len włosy, co czarowała twarzą i oczami. A między młodemi chłopcami był jeden, któremu serce rosło, gdy na nią patrzał. Dla niej pobiegł on do dworu i wykradł żółtego ptaszka... Pan dworu chciał go za to ukarać, Szymek przyniósł już kij; ale dobra dusza, urzędnik obwodowy, ujął się za nim i wyjednał mu przebaczenie... Mój Boże, jak to wszystko inaczej dzisiaj wygląda! Nie ma ani śladu po owej zielonej błoni. Czarne widać skiby pług pański tu poorał, a trzoda gromadzka, która się tutaj pasła, zapewne gdzieś tam ryczy z głodu, w stajni zamknięta. Ani żaden ptaszek nie ozwie się z piosenką: wszystko ucichło, zposępniało, ogłuchło. Nie ma tego ciepłego, bożego słonka, które wtedy tak mile przygrzewało. Tylko ciemne jakieś zarysy sterczą ku niebu, z ciemniejszemi pośrodku pasy; tylko wiatr gwałtowny tłucze po gałęziach drzew i łamie z łoskotem suche konary.... Jakże to wszystko się zmieniło!...

Podróżny ruszył dalej ku górze. Na samym szczycie stał duży, biały krzyż z kamienia, ogrodzony żelaznemi sztachetami. Za każdą błyskawicą świeciły się złocone na tablicy pod krzyżem litery. Widać było że to krzyż nowy i że go postawiło żyjące jeszcze pokolenie.

Gdyby podróżny chciał przy nocnej błyskawicy przeczytać na czarnej blasze złote, świecące litery, byłby wyczytał, że ten krzyż postawiono: „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny w r. 1848. Ale podróżny wiedział o tem i bez czytania. On znał już dobrze kształt tych krzyżów, widział ich wiele po drodze, a na każdym czytał prawie jedno i to samo. Wiedział że to lud wiejski dziękował Bogu za łaskę w tym roku pamiętnym doznaną, tem świętem godłem zbawienia!...

I jakież wrażenie zrobił ten krzyż o krótkich, szerokich ramionach na naszym podróżnym, który stanął przy nim jak posąg, oparłszy się ręką o żelazną balustradę?

Podróżny prawdopodobnie należał kiedyś, a może i teraz jeszcze, do ludu, wrażenia więc jego nie mogły się o wiele różnić od wrażeń, jakie zazwyczaj sprawiał na ludzie ten pomnik „zniesienia pańszczyzny.“

On zapisał to tylko w swojej pamięci, że w owym roku przybył do gromady urzędnik cesarski i przeczytał im z sinego papieru: „że cesarz pańszczyznę znosi, za co dziedzic z kasy państwa będzie wynagrodzony.“

Podróżny nasz stał długo oparty o krzyż, na którym przy nocnej błyskawicy błyszczały złote litery: „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny!“ Deszcz rzęsistym strumieniem lał z nieba, wicher tłukł o konary drzew, grzmot huczał w górze, a jasne błyskawice przelatywały ze wschodu na zachód. Podróżny stał przy krzyżu i na to wszystko nie zważał. Pogrążony w dumaniu, patrzał osłupiałem okiem przed siebie.

Ileż to myśli natrącał ten krzyż w jego głowie!

Tam w dolinie stoi dwór biały; widać go przy nocnej błyskawicy. W jego oknach pali się jasne światło. Zapewne musi tam być wesoło. Na stole stoją misy z potrawami i różnemi bakaljami.... A tam poniżej czerni się szereg chat wieśniaczych. W żadnem oknie światła nie widać, bo las zamknięty dla gromady, a oleju nie ma za co kupić. Ognisko tam dawno wytlało, i ciepła strawa nie pojawi się na stole! Biedny chłop leży tam na gołym piecu; bezsenny przewraca się na wszystkie boki i prosi Boga, aby czemprędzej zaświtała jutrzenka, aby przyszła godzina pracy, bo przy pracy zapomina się jakoś o biedzie.

Tak dumał podróżny, wsparty o krzyż kamienny, wystawiony ręką gromady. „Na pamiątkę zniesienia pańszczyzny.“

Cóż jednak mogło w jego głowie takie myśli poruszyć?

Dwadzieścia lat minęło, jak wyszedł w świat z rodzinnej wioski swojej. Wyniósł z sobą boleść i gorycz, bo jakoś nieszczęśliwie powodziło mu się w tej wiosce. Źli ludzie, jak to mu razu jednego powiedział Huber, nastali na niego i wzięto go przemocą i oddano w rekruty. A któż to byli ci źli ludzie? Oczywiście nikt inny, jak mandatarjusz wespół z dziedzicem, bo bez wiedzy dziedzica nic się nie dzieje w gromadzie, jak to powiedziano przy lampce wina u ślepego Jośka, będzie temu lat dwadzieścia. I dla czegoż to tak mu jakoś źle poszło na świecie? Bo był ubogim, był sierota.

A któż temu winien, że poddany we wsi ubogi, jeżeli nie dziedzic wraz z swoim mandatarjuszem?

Tak mu przynajmniej nieraz mówiono przy szklance piwa u ślepego Jośka.

Dwór nie nauczył go niczego, a w kazarni nauczono go czytać i pisać. Biedne dziecię gromadzkie, po wypędzeniu ze dworu, nie miało gdzie głowy położyć, a w kazarni dano mu porządny sztrosak,*) ciepły mundur, chleb i na rękę kilka krajcarów. Wprawdzie nieraz zapłakało się nad tym chlebem, nieraz krzyknęło z bólu, ale człowiek zapomina jakoś to, co czas zagoił, a pamięta tylko jasną stronę życia!...

A życie to pełne było najrozmaitszych przygód. Wysłano go w dalekie kraje, za rzeki i góry! Tam widział tyle nowych rzeczy, o jakich w gromadzie nie miał wyobrażenia!

Najprzód był on żołnierzem, a stanowisko właściwe żołnierzowi austrjackiemu, wpłynęło przeważnie na dzisiejsze jego usposobienie. Wysłano go do Włoch; potem był w Wiedniu podczas tamecznych wypadków; nakoniec odbył kampanję węgierską — a wszędzie znalazł żywioły podsycające tradycyjną niechęć syna ludu przeciw tym, w których widział swych ciemięzców.

Tę tradycję z dalekich stron niósł z sobą nasz podróżny, oparty o krzyż, wystawiony przez gromadę.

Toż straszny był wzrok jego, gdy nim wiódł po dalekiej, plonem okrytej dolinie, oświecanej od czasu do czasu nocną błyskawicą. I ten dwór biały, tam w uboczu między lipami: nie miał że on dzisiaj dla niego żadnego innego wspomnienia?

Snać coś znalazło się w głębi duszy, bo dwie łzy puściły mu się z oczu, które szybko otarł rękawem od płaszcza.

Długo patrzał na ten dwór, aż wreszcie dostrzegł światło w piekarni. Światło to zelektryzowało go. Poprawił węzełka na ramieniu, spojrzał jeszcze raz na światło i śród gromów i błyskawicy ruszył ku niemu najkrótszą drogą.

Był to Jarema. —

---

*) Siennik.

VIII.

W KARCZMIE.

Dwadzieścia lat minęło, jak Jarema wyszedł z swojej wioski rodzinnej. Widzieliśmy go na wstępie nowej jego karjery, słyszeliśmy, jak wielkie u ślepego Jośka rokowano mu nadzieje i jak chętnie przylgnął rekrut do tych różowym kolorem malowanych nadziei.

Skądże on wraca dzisiaj? Cóż go przywołało do wioski rodzinnej. Czegóż się dorobił po latach dwudziestu?

Jarema służył w wojsku lat czternaście. Jedną kapitulację wysłużył za siebie, drugą za jakiegoś Niemca, który za to dał mu kilkaset reńskich. Nauczono go czytać i pisać, ale po za te hieroglify ducha ludzkiego nie wyszedł nigdy. Znał on tylko onych dwadzieścia kilka znaków, któremi posługuje się duch ludzki, i umiał je nawet w wskazanej permutacji napisać a napisane odczytać; ale użyć ich za narzędzie własnych myśli i uczuć, tego nie umiał Jarema. Mógł więc tylko według danej formułki napisać raport i należycie wypełnić drukowane rubryki. Stosownie też do tej swojej nauki otrzymał stopień i dosłużył się rangi kaprala.

W tym nowym dla niego zupełnie świecie nie miał Jarema zbyt wielkich pretensji, a stopień kaprala zadowalniał najbujniejsze jego marzenia. Miał kilkunastu żołnierzy pod swemi rozkazami, a to napełniało pierś jego dumą, że przecież w świecie do czegoś przyszedł. W piekarni Nowejwsi on musiał wszystkich słuchać!

Nie zapomniał on rad swego dawnego przyjaciela Hubera, który mu mówił, że jako żołnierz wysłużony może dostać urząd z pensją przyzwoitą. Skończywszy więc dwie kapitulacje, oglądnął się za tym urzędem i za tą pensją przyzwoitą i znalazł jedno i drugie. Ponieważ żadnych nie posiadał nauk, umieszczono go więc jako kopistę za dziennem wynagrodzeniem w jakiejś kancellarji wojskowej. Dano mu kilka liber siwego papieru, tuzin piór i ogromny kałamarz. Jarema ułożył to wszystko symetrycznie przed sobą na czarnym stole i roskoszował się w duchu, że jest jakby kancelistą.

Ale natura ciągnie wilka do lasu. Gdyby Jarema był Niemcem albo przynajmniej Czechem, byłby przyrósł do swego stołka przy czarnym stoliku, siedziałby długie lata, ażby wysechł jak pergamin i zgiął się jak obręcz we dwoje.

Ale Jarema był członkiem naszej gromady. Odwieczna ta instytucja była zawsze potęgą, obejmującą szerokiem ogniwem wszystkich tych, co do niej należeli. Toż w każdym innym narodzie widzimy wydzielające się z gromady pojedyncze indywidua, które rade do innych sfer przechodzą, jeśli te sfery, według ich mniemania, leżą wyżej gromady. Chłop zaś nasz, jeśli w wykształceniu swojem pewnej wyższej nie przekroczy linji, prędzej lub później wraca zawsze do swojej gromady. Ma on pod tym względem coś z natury jelenia, który spłoszony ze swego legowiska, gnany przez psy po różnych parowach i wertepach, wraca napowrót do miejsca skąd go spłoszono.

Silnem uczuciem ciągniony do gromady, uważa chłop nasz wszelkie wypadki swego życia, które go od miejsca urodzenia oddalały, za niefortunne, jak jeleń szczekanie psów, a wróciwszy do chaty ojczystej, pozbywa się czemprędzej wszelkich nabytków, co do niego przylgnęły w oddaleniu od gromady.

Jarema żadnej nie posiadał własności w gromadzie nowowiejskiej, a przez dwadzieścia lat powinien już był przywyknąć do życia po za gromadą. Miał wszystko do czego niegdyś wzdychał: stolik czarny, siwy papier, pióra i inkaust, a do tego jeszcze kilka reńskich miesięcznie. Miał także i pozycję, mógł z długiem piórem za uchem, chodzić po

długim korytarzu i przychodzących do kancelarji chłopów z góry traktować.

Po kilku jednak latach nie wystarczało to wszystko Jaremie. Najprzód nudziła go ta ośmiogodzinna pisanina, ta ustawiczna permutacja dwudziestu czterech znaków pisemnych. On był maszyną, niczem więcej, a kiedy z Wiednia sprowadzono maszynkę do kopjowania korrespondencji kancelaryjnej, Jarema widział cały byt swój zagrożony i musiał chcąc nie chcąc o swojej dalszej doli na serjo pomyśleć. Do tego jeszcze przyłączyły się różne inne potrzeby. Jarema, jako dziecko gromady, musiał zawsze żyć pewnem wspólnem życiem, jakiem żyje gromada.

W wojsku szło to jeszcze jako tako. Były pewne surogata, które temu uczuciu mogły zadość uczynić. Była kompanja, był bataljon, wreszcie regiment. W kancelarji zaś był on sam jeden jak palec. Wprawdzie gryzmoliło tam kilku innych jeszcze pismaków, ale każdy żył dla siebie, pił swoję własną szklankę piwa i za nią sam płacił. Pić ze wspólnego dzbanka, jeść ze wspólnej miski, częstować swoim groszem przyjaciół i zapłacić za nich jedną lub dwie koleje, a za to serdeczny, braterski otrzymać uścisk ich ręki — o tem wszystkiem nie wiedziano w kancelarji, w której siedział Jarema.

Ozwała się więc w Jaremie potrzeba życia w gromadzie, między swymi, a gdy nad tem rozmyślać począł, przypomniał sobie rozmowy u ślepego Joska, które miewał z Amtsdinerem Huberem i owym mecenasem gromadzkim, co to uskarżał się, że w gromadzie nowowieskiej nie było porządnego gospodarza, z którymby o procesie gromady ze dworem coś pomówić można. I przyszło mu na myśl, że on w tej kancelarji jest ostatnim, a w gromadzie nowowiejskiej, przy dzisiejszem swojem doświadczeniu, mógłby być pierwszym. Jakże serce jego rosło, gdy sobie zamarzył, jak to on w karczmie będzie na pierwszem miejscu siedział, jak to będzie miał w skrzynce wielką pieczęć gromadzką..... bo niezawodnie będzie wójtem.... jak gromadzie wyprocesuje różne jej uroszczenia, a gdy tego potrzeba będzie, pójdzie i do Wiednia, bo zna doskonale drogę.

Tak i podobnie marzył sobie Jarema, a siwy papier stawał się mu z każdym dniem nieznośniejszym.

Jego wzrok pastuszy potrzebował szerokich zielonych łanów, potrzebował drzew i licznych stad ptaków, a tu zaledwo kilka łokci przed nosem wznosił się mur wysoki, a tam na oknie wisiał w klatce tylko jeden osowiały ptaszek.

On pragnął życia czynnego i ruchu, a tu potrzeba było ośm godzin siedzieć i nic przytem nie myśleć, nie roić.

Prócz tego powrót jego do gromady opierał się jeszcze na czemś realniejszem: miał on w węzełku na piersiach pół tysiąca reńskich, które wziął od Niemca za drugą kapitulację, a z taką sumką mógł śmiało przyjść do gromady, kupić sobie grunt i chałupę i z dumą zaspokojoną zająć pierwsze miejsce tam gdzie mu niegdyś urągano....

I jeszcze coś ciągnęło go do gromady. Dwadzieścia lat życia w obczyznie nie zatarło w jego sercu Nastusi o jasnych jak len włosach. Mianowicie w kancelarji często przychodziła mu na myśl. Chciał się dowiedzieć, co się z nią stało, a gdyby ją zastał żoną drugiego, chciał jej okazać, że on mógłby jej może lepsze zgotować szczęście, gdyby nie była nim wzgardziła.

Takim to był Jarema, gdy od krzyża ze szczytu Nowejgóry, ujrzał światło w piekarni i do niego wprost dążył. Dla czego szedł on za tem światłem? Co go ciągnęło w tej chwili do piekarni? o tem nie wiedział i nawet siebie w tej chwili nie pytał.

Ale w połowie drogi wychyliła się z po za drzew ogrodu karczma nowowiejska. W oknach karczmy było jasno, w koło stołu widać było siedzących włościan.

Karczma ta miała dla niego tyle pamiątek! Tu odbywały się tańce, tu przychodziła Nastusia jasnowłosa, tu z nią zabawiał się Szymek....

Na wspomnienie Szymka ścisnął obie pięście i stanął. Zdawało mu się, że na jasnem tle jego marzeń osiadła nagle jakaś czarna, brzydka plama...

Z karczmy słychać było głośne rozmowy i brzękanie szklanek. Tam siedzą niezawodnie dawni jego towarzysze,

którym on przywodził. Zapewne dzisiaj są gospodarzami, mają żony i dzieci....

A wzrok jego znowu zwrócił się do światła w piekarni...

I coraz więcej ciągnęło go do karczmy. Jasna błyskawica wskazała mu właśnie ścieżkę.

W karczmie za stołem siedziało kilku chłopów. Wszyscy podparli brody na opalonych, nagich rękach i słuchali z uwagą siedzącego naprzeciw człowieka.

Człowieczek ten był siwy jak gołąbek, a zaschnięty jak śliwka węgierska. Usta miał szerokie, zawsze śliną okryte, w gębie nie było widać żadnego zęba. Gadał prędko i nieustannie i ruszał się jak kosz we młynie. Miał na sobie stary, wytarty frak granatowy i nankinowe pluderki. Przed nim stał inkaust, leżały papiery i długa linja.

Koło niego siedział drugi, podobniuteńki do niego jegomość. Różnił się tylko czapeczką, która niegdyś urzędnika oznaczała, i twarzą trędowatą, pośród której wyrastał siwy nos o trzech konarach.

Gdyby w tej niskiej, zadymionej izdebce żydowskiej zdołały widomie pozostać myśli i słowa biesiadującej tutaj w niedzielę gromady, moglibyśmy odrazu zapoznać czytelnika z usposobieniem dawniejszych poddanych dworu nowowiejskiego.

Możnaby sądzić, że po „zniesieniu pańszczyzny" ustał w Galicji między dworem a gromadą wszelki nieprzyjazny stosunek. Tak jednak niestety nie było. Pańszczyznę wprawdzie zniesiono, ale natomiast wystąpiła potworna kwestja tak zwanych „serwitutów", kwestja dokuczliwsza jeszcze dla stron obu od pańszczyznianej.

Dawniej robił chłop kilka dni pańskiego na tydzień, ale za to wiedział że miał prawo paść swoją chudobę na łanie

pańskim i z pańskiego lasu miał drzewo na opał i do gotowania strawy. Po zniesieniu pańszczyzny dwory zaprzeczyły prawa gromadom do pastwisk swoich i zamknęły lasy swoje.

Tym sposobem naprężyły się jeszcze więcej stosunki między dworem a gromadą, która wyprowadzać poczęła prawa swoje do lasów i pastwisk.

Była to sobota, lecz w karczmie mimo to zgromadziło się kilku włościan, aby o lasach i pastwiskach między sobą pogadać.

Nie brakło im też pobudek do niechęci z innej jeszcze strony.

Ów człowieczek w nankinowych pluderkach, to dawny nasz znajomy. Był on kiedyś jakimś urzędnikiem, ale coś zmalował, za co przesiedział się parę latek w kryminale. Dzisiaj pisze gromadzie prośby i prowadzi jej procesa.

Jego sąsiad, z sinym nosem o trzech konarach, wspiera go w tem rzemiośle radą i czynem i zdaje mu się, że wielkie będzie miał kiedyś za to uznanie i choć teraz niewdzięcznie z nim się obeszli w urzędzie obwodowym i za jakąś sprawkę odebrali mu tekę Amtsdinera, zostawiając go własnemu przemysłowi.

Mecenas w nankinowych pluderkach mówił właśnie:

— Posłuchajte Hrehory! Ja wam mówię, tylko niech gromada złoży się po jednym guldenie, a ten pan, wszak znajete go, Frydrych August Huber, zaniesie waszą skargę do Lwowa, do rąk samego gubernatora. —

Wysoki barczysty chłop kiwał głową to w tę to w owę stronę, ale mecenasowi nic nie odpowiedział.

W tej chwili wszedł Jarema do izby. Siedzący za stołem rzucili okiem ku drzwiom, a obaczywszy podróżnego jakiegoś wojskowego, wrócili do swojej rozmowy:

Nikt Jaremy nie poznał. Nie poznał go arendarz ani gromada. Na ławkę przy progu zrzucił swój węzełek i usiadł, jak długą podróżą zmęczony wędrownik. Nikt na niego nie zważał.

— Musicie wiedzieć Hrehory, mówił dalej mecenas, że przed dwudziestu laty pisał ja już gromadzie o te łany nad rzeką, co to dwór przywłaszczył je sobie—a cóż z niemi?

— Ta szoby buło — odparł najwyższy chłop — abo to z niemi kto wygra, czy co? Łany są dworskie jak przed laty dwudziestu.

— A dla czego wy o tem staroście albo kommissarzowi nic nie powiecie? Wszak wiecię, że nasz starosta i kommissarz bardzo lubią chłopów. —

Chłop poskrobał się w głowę i rzekł po chwili!

— Że toj pan w cyrkule je dobryj, to wsi znajemu, ale... Hromada zawsze przegra. —

W tej chwili zerwał się podróżny ze stołka, przybiegł z hałasem do radzących, a uderzywszy w stół pięścią, aż się szklanki powywracały, krzyknął śród powszechnego popłochu:

— Alboż to hromada sem ne wi, gde pójść? ferflucht! teremtete! —

Wszyscy skołowacieli z przestrachu. Tak nagle zjawiła się ta dziwna figura śród nich, tak strasznie zabrzękły szklanki, rozlatujące się w tysiączne kawałki!......

Kilka chwil trwało głębokie milczenie. Potem krzyknięto chórem:

— Jarema! Jarema! —

Jegomość z sinym nosem o trzech konarach wytrzeszczył bure ślepie swoje, a Jarema tymczasem palnął go w plecy, aż mu dech zaparło i krzyknął nad nim:

— Huber! Dreinos! —

Mecenas potarł ręką po czole i wołał:

— Jarema?.... Jarema?.... przypominam sobie.... u Jośka.... będzie temu lat dwadzieścia.... co to tego strzelca tak dusił za gardło. —

I przypomniawszy sobie rzeczywiście tę scenę, skurczył kark swój i zgiął się pokornie, w obawie ażali Jarema nie zechce siły swojej na nim spróbować, której świetne dowody dał właśnie przed chwilą.

Wysoki barczysty Hrehory wstał z za stołu i wyciągnął rękę do towarzysza młodości, ale z pod krzaczystych jego brwi strzelił jakiś złowrogi promień na przybysza. Ostrożnie wziął go za dłoń i obmacał ją, czy w samej rzeczy jest tak silna, jak to przed chwilą się okazało.

Przeczucie mówiło mu, że widzi przed sobą współzawodnika. Tak silnej pięści i tak szerokich bark nikt nie miał w całej gromadzie. I głosu tak pewnego i stanowczego nikt nie posiadał jak przybyły, a wyzywająca jego postawa oznaczała człowieka, który nienadarmo wraca po dwudziestu latach do gromady.

Hrehory spuścił głowę i zamyślił się. On był wójtem.....

Tymczasem inni chłopi podawali koleją rękę Jaremie i witali się z nim. I mecenas ośmielił się i podał mu suche swoje palce, które w dłoni Jaremy zatrzeszczały jak chrust trzyletni.

Jarema przerzucił płaszcz na lewe ramię i zasunął czapeczkę na ucho.

— No jak tu sem u was? — rzekł po chwili, siadając śmiało naprzeciw Hrehorego — pańszczyzna weg!

— O tak — pochwycił dreinos — i wszystko byłoby dobrze; ale ciężko zawsze z dworami. —

Jarema wzniósł duży, sękaty kij do góry i puścił go młynka między palcami, aż kaganek omal nie zagasł od prądu powietrza. Chłopi z uwielbieniem spojrzeli na niego, podziwiając jego siłę i zręczność. Tylko Hrehory zachmurzył się.

— Co to sem dwory! — krzyknął Jarema — hromada to weliki czołowik! Kreutzdonnerwetter! Czy to sem w hromadi nema hospodara, coby znał gde Kreisamt a gde Apelation? Teremtete! Cor petto di Baccho! —

Chłopi uśmiechnęli się na tę mięszaninę języków wszystkich ludów Austrji, jaką chciał się przed nimi popisać wysłużony żołnierz. Hrehory spostrzegł to, pomyślał chwilkę, a potem rzekł:

— Dla czoho z namy po ludzkie ne howoryte Jarema? Choczyte howoryty po polskie, to wsi rozumijemu. Ale po nimieckie i z uherska, to nyni krasno. Tak howoryt tylko rekrut, koły choczyt, aby mu baba zhotowała pyrohy z syrom. A naszi lude mowlat: „Kołyś ne pyroh, ne pyrożysia!“ —

Chłopi zaśmieli się na całe gardło, wtórując najrozmaitszemi gestami konceptowi wójta. Hrehory rozweselił twarz, widząc że mniemanego współzawodnika śmiesznym uczynił.

Zrozumiał to wszystko Jarema. Rzucił wściekłe wejrzenie

na wójta i zacisnął zęby. Spostrzegł że gromada, to jak stado ptaków: wszyscy są sobie równi i żadne pióra nie odróżniają ich. A jeśli jaki ich brat z klatki ucieknie i z czerwoną pod szyją wstążeczką do nich przyleci, wszyscy z hałasem rzucą się na niego i nieswojską oznakę wyskubią mu do szczętu.

Naturalnym rozsądkiem Jarema poznał odrazu swój błąd i że przeciwnik z niego skorzystał. Przymuszając się więc do największego puryzmu, do jakiego tylko był zdolen, ozwał się po chwili:

— Nie gniewajcie się, jeśli po dwudziestu latach, gdy wracam do was, zapomniałem mówić z wami jak to dawniej mówiłem. Ale bo to człowiek kawał świata zeszedł! Był w Wenedyku i w Majlandzie, w Italii i u papieża...... Modena, Cremona, Bergamo, Solferino, Przeworsk.... Pesth, Weiskirchen, Łańcut..... Deutsch-kopiec, Melkojed, Klausenburg, Radymno... i Bóg wie jak się te miasta wielkie nazywają, a o lograch to już nic nie mówię. —

Chłopi rozdziawili gęby i w głębokiem milczeniu podziwiali gromadzkiego turystę. Najmniej o dwa cale wyrósł w ich oczach. Hrehory zasmucił się.

— Słuchajcie Jarema — zawołał były Amtsdiner o troistym nosie — czy przypominacie sobie tego pana kommisarza, co to ze mną jechał jest temu lat dwadzieścia, na kommisję i gdy was dziedzic chciał bić za głupiego kanarka....

— Aha, przypominam sobie — odparł Jarema, zasępiając czoło, bo w tej chwili stanęła mu Nastka przed oczyma.

— A przypominacie sobie — mówił dalej dreinos — jak to pan kommisarz przyrzekł was wziąść na służbę, gdy będzie starostą.

— Aha, prawda — mruknął Jarema.

— Otóż ten kommisarz jest dzisiaj naszym starostą — zakończył Huber.

Jarema pomyślał chwilkę, a potem ozwał się:

— Że ten pan kommisarz jest naszym starostą, to bardzo dobrze, bo wypadnie czasem do Kreisamtu interes. Ale służyć Jarema nikomu nie będzie! —

Tu wyjął z zanadrza spory węzeł cwancygierów i dukatów, rzucił je na stół przed zdziwionych chłopów i zawołał:

— Jarema nie jest biedny. Gdybym chciał, mógłbym sam zostać kommisarzem, ale ja wolał wrócić do gromady, kupić sobie grunt i chałupę, być porządnym gospodarzem i nie dać krzywdy robić gromadzie! —

Wszyscy chłopi wypatrzyli się na Jaremę. W ich oczach widać było radość. Oto ich brat gardzi dostatkami świata i wraca na zagon ojczysty, aby wraz z nimi dzielić dolę i niedolę. I podnieśli się wszyscy z ławy i podali mu ręce; Hrehory tylko nie wstał, a podając mu rękę mruknął:

— Tylko Jaremo, pamiatajte o tem, szczo teper ne wilno tak robyty, jak to buwało. A Szymka takie nema. —

Jarema spojrzał ukośnie na wójta, ale nic na to nie odpowiedział. Zresztą nie każdy to dosłyszał, co wójt powiedział, bo kilku naraz mówiło do Jaremy.

A gdy się nieco uciszono, zaczął im Jarema długo i szeroko opowiadać swoje różne koleje żywota. Prawił im o bitwach i o ryżu z baraniną, jak razu jednego samego Napoleona już za poły kabatu ułapił, jak go cesarz prosił o ogień do fajki, jak w burgu stał na warcie, a cesarzowa rzekła do niego: Jarema, ty krasny żołnir! Dalej opowiadał jak będąc kapralem, wprost poszedł do cesarza i wyprosił u niego łaskę dla swego kolegi, który miał dostać pięćdziesiąt kijów; jak przy tej okazji pytał go cesarz, co tam gromada Nowejwsi porabia i czy się jej dobrze dzieje? Później wystąpił z wojska, poszedł do kancelarji i tam pisał i pomagał chłopom, którzy stadami jak dzikie kaczki, do niego się zlatywali. I zakończył tem, że już był bliskim znakomitego urzędu, ale przypomniał sobie gromadę Nowejwsi, której zapewne nienajlepiej się powodzi, i postanowił wrócić do niej. Sam minister, z dużym harcapem na głowie, pochwalił go za to i przyrzekł mu pomoc, jeśli kiedy do niego się uda.

Wszystko to w formie jaknajprzystępniejszej opowiadał chłopom Jarema. Chłopi kiwali głowami i nie wierzyli oczom swoim, a siedzący naprzeciw nich Jarema rósł coraz bardziej, aż pod powałę izby żydowskiej.

Największy jednak efekt sprawiły cwancygiery i dukaty, które przez dziurawą szmatę przeglądały. Toż wysłuchawszy całej Jaremy historji, w zamian opowiadali mu szeroko o biedzie swojej. Mówili mu, że chudoba ich poschła z głodu, bo dziedziczka zabrała im pastwisko i część tylko dała na ich użytek; że strawy nie ma przy czem ugotować, bo do lasu ani nogą nie wolno im stąpić, a ten co im dała dziedziczka, to już dawno wycięli.

Jarema uderzył pięścią o stół i rzekł:

— Musi to być wszystko inaczej! Niechno ja gospodarzem będę! Sprowadzę ja kommisję na grunt!

— Oh, kommisja już była — ozwał się jeden z gromady — ale tak jakoś zrobiła dziedziczka, że pastwiska i las jej przyznano. —

Jarema spojrzał na mecenasa i Hubera. Huber uśmiechnął się i mruknął:

— Wiem ja jak to się dzieje w kreisamt. Gromada była głupia i dała się dziedziczce oszukać.

— Musicie wiedzieć, moje dzieci — wtrącił suchy mecenas — że gromada czyli chłopi, są w obec prawa małoletni i mają obronę fiskusa za sobą. Niech tylko będą jakie takie dowody, a nawet tego tak bardzo nie potrzeba, to można cały proces odnowić, renovatio.

— Gdyby tylko kto za tem umiał pochodzić — dodał ex-amtsdiner.

— Ja mówię, złóżcie się po jednym guldenie — zaczął mecenas — ja napiszę, a za czternaście dni....

— Co pisać? — krzyknął Jarema — to trza pójść samemu do kreisamt, a jeśli to nie pomoże, do Wien!

— Pan Huber zna w cyrkule wszystkie drogi — mówił dalej mecenas.

— Ale trzeba zawsze mieć pismo w ręku — dodał ex-amtsdiner — bo ja znam starostę.

— No, no, o tem będziemy jeszcze radzić — zakonkludował Hrechory i tak nie ma całej hromady.

— Niechno ja gospodarzem zostanę! — mruczał Jarema, chowając cwancygiery w zanadrze.

— Gospodarzem chcecie zostać? — ozwał się siwy, zgarbiony włościanin, toż macie swoją dziadowiznę.

— Dziadowiznę? — podjął Jarema — ja nic tutaj nie mam.

— Jakto? a Stefanówka? dzisiaj pustka.

— Pustka? — zapytał mecenas — a to zawsze będzie proces. —

Gdy się chłopi uciszyli, ozwał się siwy, zgarbiony staruszek:

— Na cóż tu procesu? Ja znam całą tę sprawę. Stefan Magdziak kupił ten grunt za figurą i postawił chałupę. Potem oboje zmarli nagle. Różnie mówili ludzie o tym gruncie,, dla tego nikt z krewnych nie chciał tam osiąść, i zrobiła się z tego pustka. Dwór siał tam koniczynę i kosił trawę. Opiekun wasz wiedział o tem, ale był z dziedzicem ręka w rękę i dla tego nic mnie nie mówił, że wy Jarema jesteście stryjecznym wnukiem po Stefanie i że wam należy się Stefanówka. —

Jarema przyłożył rękę do czoła i zamyślił się.

— Kto płacił podatek z tej pustki? — zapytał mecenas.

— Dwór — odpowiedziano.

— To źle! — mruknął prawnik. — Ale jest jeszcze nadzieja. Najprzód, czy ta pustka, czyli grunt rustykalny zapisany w księgach z r. 1820 jako grunt dominialny, a powtóre czy dominium podało tę pustkę, przy indemnizacji, za grunt rustykalny?.... Oho, ho! ze dworem to trzeba prawo znać na palcach, tak jak ja znam. Dwór ma sposoby, że gromada zawsze przegra. —

Jarema oderwał dłoń od czoła i spuścił ją z taką siłą na stół żydowski, że aż nogi w nim zatrzeszczały. Już samym instynktem, jaki zazwyczaj ma każdy biedny człowiek na widok bogatego, przeczuwał on, że dwór wyrządza gromadzie wielkie krzywdy, a różne doświadczenia i rozmowy, w czasie nowej jego karjery, nauczyły go, że tylko ochronna ręka władzy najwyższej odpiera te krzywdy, aby gromadę do szczętu nie zgniotły. Teraz zaś miał on oczywisty dowód tych krzywd, a najboleśniej uczuł je sam na sobie. On niegdyś był sierotą w gromadzie. Urągano i śmiano się z niego. Jasnowłosa Nastka odepchnęła go. A przecież

wszystko to nie byłoby się stało, gdyby mu dwór nie był wziął jego dziadowizny...

Zerwał się z ławy Jarema, a zarzuciwszy swój węzełek na plecy, pożegnał wszystkich i wyszedł z karczmy.

Hrehory wyjrzał przez okno za nim i widział, że szedł prostą drogą do dworu.

— Szczoś złe bude — rzekł do towarzyszy.

— Bezemnie dziadowizny nie wydrzem — mruknął prawnik, mrugając do przyjaciela o troistym nosie.

A w tej chwili zagrzmiało strasznie nad karczmą, aż stary Icek omal że się nie przeżegnał. Błyskawica oświeciła pola, przez które przedzierał się jakiś cień czarny.

IX.

JEDNA ZŁOTA CHWILA.

Śród deszczu i burzy zbliżał się Jarema do dworu. We dworze było jasno. Na dużych szybach odbijały się kwiaty w wazonikach i w ładne arabeski haftowane firanki. Jakoś miło, przyjemnie było tam za temi jasnemi oknami, a na dworze było ciemno, zimno i dżdżysto! Białawe światło z dużej okrągłej lampy rozchodziło się po wszystkich kątach gustownie urządzonego saloniku, a na świecie była noc ciemna, burzliwa, oświecona tylko błyskawicami, których światło tak dziwnie błyszczało, jak zapalony proch na panewce.

Jarema stanął przed oknami i oparł się o płot, który od reszty ogrodu odgradzał mały, kwiatkami zasadzony ogródek. Jego wzrok padał głęboko do pokoju i koleją przechodził różne znajdujące się tam przedmioty i osoby.

Najprzód przypatrywał się niejaki czas wdowie z wielką uwagą. Domyślił się, że to musi być owa młoda dziewczynka, której niegdyś usługiwał w tym dworze, a która teraz jest dziedziczką Nowejwsi. Żadnego w tej chwili nie przywiązywał do tej osoby wspomnienia. On widział w niej tylko dziedziczkę, nic więcej, widział panią domu, która gromadzie tyle krzywd wyrządzić miała, która jego dziadowiznę zagarnęła i do majątku swego wcieliła. Widział, że była ubrana ładnie i kosztownie, jak żadna niewiasta wiejska nie ubiera się. W jej uszach błyszczało złoto i drogie kamienie, na rękach cóś także świeciło się, co musiało być bardzo kosztownem.

Koło niej widział młodą, z kapryśną twarzyczką dziewczynkę, która, jak każde dworskie paniątko, dygała na wszystkie strony i uśmiechała się, podając gościom niskie, porcelanowe czarki z jakimś napojem.

Powiódłszy okiem po dużych obrazach i zwierciadłach w złotych ramach, o których wartości zbyt wysokie miał wyobrażenie, pokiwał głową i rzekł do siebie:

— Mój Boże! Jak to dobrze tym ludziom! Oni tu bawią się i jedzą i piją, i nawet nie pomyślą o tem, że jakiemuś tam biednemu Jaremie wydarli dziadowiznę, a jego samego wypędzili w świat szeroki, w ciężką, oh bardzo ciężką służbę!... Tam ze wsi słychać ryk głodnej trzody, w chałupach ciemno, bo nie ma czem palić; bez strawy kładzie się na piec gospodarz, aby jutro wstał do roboty.. a tu tak wesoło, z tego dużego dzbana kurzy się para.. jedzą, piją, śmieją się!...

I zacisnął pięść i wzniósł ją groźnie do góry.

A tam za oknami właśnie w tej chwili mówił proboszcz owe piękne słowa, że lud miłością trzeba do siebie podnosić, trzeba go ukochać jako brata, bo serce jego jest szlachetne, tylko mu brak oświaty. Wdowa postanowiła właśnie ze sprzedaży pustek ofiarować sto dukatów na szkółkę dla ludu, aby ten młodszy, zaniedbany brat nie był ciemny. Jadwiga i Władysław wezbranem sercem podzielali teraz zamysły wdowy i marzyli o swojem przyszłem szczęściu śród szczęśliwego ludu!..... A nawet pułkownik przestał już biegać, a chociaż z wnioskiem wdowy nie mógł się jeszcze zupełnie zgodzić, miał już jednak ochotę wejść w targ o punkta kapitulacji, bo w obec argumentów proboszcza, trudno było staremu żołnierzowi trzymać się w ostrzeliwanej ciągle reducie!...

I to wszystko działo się tej samej godziny, gdy Jarema z wyciągniętą do okna pięścią stał oparty o płot. O nie, to nie był ów Jarema, któremu przed laty dwudziestu wcisnęła do ręki ta sama kobieta, co tam siedzi przy stole w stroju wdowim, talara z Matką Boską, gdy ze dworu wychodził.... To był wcale inny, inny człowiek!.... To był już wychowaniec innej szkoły, inni nauczyciele nauczyli go dzisiejszej

jego nauki, a nauka ta niestety przyjęła się — bo grunt pod lepszą siejbę był zaniedbany!....

W tej chwili spostrzeżono z wewnątrz pokoju Jaremę. Wszyscy zwrócili się do okna, a Jarema odszedł.

Na skręcie drogi stała figura wyobrażająca św. Florjana, opiekuna od pożarów. Wzniosła ją tutaj pobożna ręka dawnego dziedzica Nowejwsi, a wieść niosła, że od tego czasu nie było ani we dworze, ani we wsi żadnego pożaru. Jarema znał doskonale tę figurę, bo będąc pastuchem wił wianki z bławatków dla świętego i zawieszał je na szerokiej konwi, którą św. patron gasił pożar u stóp swoich.

Przechodząc koło tej figury, mimowolnie zdjął czapkę. A w tej chwili stanęły mu przed oczami wspomnienia młodości i ozwało się w nim to piękne, proste uczucie wiary w świętych opiekunów, które w ciągu tych dwudziestu lat mocno nadwerężyły bezbożne z kamratami pogadanki.

Jarema wyjął rękę z kieszeni i przeżegnał się przed św. Florjanem.....

Uszedł kawał drogi śród deszczu i burzy. Figura oddalała się od niego coraz więcej, a w jego głowie budziły się znowu nieprzyjazne wspomnienia. I myślał sobie:

— Jam tu obcy, ja tutaj nie mam ani piędzi ziemi! Mysz ma dziurę, ptak gałązkę drzewa, a mnie wypchnięto ze wsi rodzinnej, oddano w rekruty, wzięto dziadowiznę! —

I zawrócił znowu do dworu, ale figurę ominął i inną poszedł drogą.

Zbliżył się do ganku i cały przemoczony, rzucił się na ławkę. I rzekł do siebie:

— Tu będę mókł i gnił, póki mi krzywdy mojej nie wrócą! —

Wyszła z sieni stara babulka i przestraszyła się. Usłyszawszy krzyk staruszki, wyszli goście i domowi z pokoju.

— Kto tu jest? — zawołał pułkownik.

— Jarema — ponuro odpowiedział przybysz.

— Co za Jarema? — zapytało kilka głosów.

— Jarema, co to przed laty dwudziestu służył we dworze — odpowiedział przybysz — co to oddano go w rekruty. —

— A! Jarema! — zawołała wdowa ze spółczuciem właściwem naszym kobietom, gdy po długim czasie dawnego sługę spotykają — Jarema! O to bardzo dawno już.... Jaremo! a czemuż na Boga tak ludzi przestraszacie? Ledwo nie pomdleliśmy z przestrachu!.. Czemuż nie poszliście wprzód do piekarni?.... Idźcie, osuszcie się; tam jest Jacenty i Mateusz i Nastka. —

Jarema zdjął czapkę i z dawną pokorą pokłonił się wdowie. Ktoby jednak widział w tej chwili wyraz jego twarzy, nie wierzyłby tej pokorze, która była tylko dawnym nałogiem.

— Ja nie chcę — przerwał wdowie — jasna pani, ani Mateusza, ani Jacentego, tylko do samej jasnej pani mam interes.

— Do kroć tysięcy katów! — krzyknął pułkownik, którego taka niesubordynacja już nudzić zaczęła — do miljon beczek!..!. któż o dziesiątej godzinie przychodzi do dworu z interesem?

— Bo mi pilno, jasny panie! — odparł z pokornym ukłonem Jarema.

— A cóż cię tam pali? — ofuknął się pułkownik.

— Mnie nic nie pali, jasny panie — odrzekł zimno Jarema — wódki nie piłem. Mnie owszem zimno, bo do nitki przemokłem. —

Proboszcz spostrzegł, że tutaj ma się z jakimś awanturnikiem do czynienia, z którym najłatwiejsza będzie sprawa, gdy się najgrzeczniej z nim obejdą. Postąpił więc naprzód i słodkim zapytał głosem:

— Przyjacielu, powiedz wyraźnie czego żądasz, czy ciepłego kąta, czy strawy? Tego nie odmówi ci gospodyni.

— Ja nie chcę żadnego kąta, ni cudzej strawy, ja chcę swojej własnej — odparł Jarema.

Trudno było wyrozumieć z tej odpowiedzi, czego właściwie przybysz żądał. Niewtajemniczonym w jego położenie, wydawał się jako prosty awanturnik.

Tak też myśleli sobie wszyscy ci, co go słuchali. Interweniujący proboszcz ozwał się jeszcze:

— Mój przyjacielu, zakrawasz coś na napastnika, ale napaść nikomu tu płazem nie ujdzie. Więc radzę ci spokojnie się zachować, iść do piekarni i wyspać się do woli. —

Jarema włożył czapkę na głowę i rzekł połamanym językiem z butą, zapomniawszy unikać słów żołnierskich.

— Ja tu sem nie przyszedł po kawałek chleba. Ja chleb mam i pieniądze mam. Ja tu przyszedł po to, co mi się należy. A jeśli mi tego nie oddadzą, to ja wiem co zrobię, gdybym nawet miał powędrować do Wien! Ja był w Wenedyku, Kremonie, Majlandzie; ja stał na warcie przy papieżu. Oho ho, ja wiem co to jest! —

Pułkownik miał wielką ochotę machnąć ręką po tej na bakier przewieszonej czapeczce, ale humorystycznie zaaplikowana chwalba Jaremy rozśmieszyła i udobruchała wszystkich.

— Moi wy kochani — ozwała się wdowa — już przecież nie zechcecie mi w nocy robić awantury, a gdy jutro rano przyjdziecie, to pogadamy sobie o Wenedyku i Majlandzie, a nawet i o papieżu, jeżeli ksiądz proboszcz na to pozwoli.

— Satis — zawołał proboszcz — popychając grzecznie wszystkich do pokoju, dosyć tej rozmowy, jeśli państwo nie chcecie wywołać jakiej awantury. Widać że ten człowiek widocznie szuka zaczepki — dodał po cichu.

Rzekłszy to zamknął drzwi do sieni i ryglem zasunął.

Jarema widział drzwi zamykające się przed nim i słyszał rygiel. Krew w nim zawrzała, ścisnął pięść i krzyknął śród burzy:

— Poczekaj! Oddasz mi dziadowiznę! Oho, ho! Stefanówka musi być moją! Wara od pustki! —

W tej chwili duży, kudłaty pies rzucił się na niego. Jarema obrócił się do niego, a widząc błyszczące jego ślipie i paszczę rozwartą:

— Hej mój mocny Boże! zawołał. I pies dworski tutaj szczeka na mnie, jakbym był dziadem, lub zawłoką. Ja, w gromadzie Nowowiejskiej dziadem, zawłoką! —

Zgrzytnął zębami, a zwróciwszy się do napastnika, zacisnął obie pięście. Jasna błyskawica oświeciła teraz twarz jego.

Straszną musiała być ta twarz, bo pies kudłaty stanął nagle jak wryty i wypatrzył się na niego. Potem zaskomlał, spuścił ogon i odszedł.

Jarema rozśmiał się szatańskim śmiechem i wolnym krokiem udał się ku piekarni.

W piekarni świeciło się. Stanął przed oknem i spojrzał w głąb.

Tam go coś ciągnęło. Widział dwóch zgrzybiałych starców i młodą jeszcze kobietę. Kobieta była do niego tylko półtwarzą obrócona. Nie mógł jej poznać. Na kominie palił się ogień. Ciepło i przyjemnie musiało być w tej izbie. Przypomniał sobie że tam za piecem miał kiedyś swoje łoże; on tam śnił o różnych rzeczach, śnił o kawałku gruntu i o Nastce!... A tam niedaleko było łóżko Szymka.... tego Szymka, który go szczęścia pozbawił!... O gdyby on miał grunt i chałupę, wszystko poszło by inaczej... A jego stąd wypędzono, oddano w rekruty, on cierpiał za całą gromadę! I któż temu wszystkiemu był winien?

W tej chwili krzyknęła kobieta w piekarni i zakryła sobie twarz. I obaj starcy krzyknęli z przestrachu.

Zdawało się Jaremie, że jakiś znajomy był mu ten głos kobiety... ale w tej chwili opanowało go inne, nader cierpkie uczucie. Usunął się z pod okna i pomyślał sobie:

— Ja tutaj wszystkich tylko przestraszam. Jak dziad jaki lub włóczęga wałęsam się po dworze. Oho, ho! inaczej to być musi!...

— O Hospody! — rzekł zcicha do siebie — jakby to inaczej ze mną było, gdybym był we wsi pozostał na swoim gruncie i w swojej chałupie.... i gdyby nie ten przeklęty Szymek! —

Domawiając tych słów, ujrzał odchylone drzwi stajni, z których jakieś dziwne wymykało się światło. Włożył głowę i zajrzał w głąb.

Czy to było złudzenie, czy zły duch majaczył mu przed oczyma? tego nie mógł Jarema odgadnąć. Na słomie leżało dwóch młodych parobczaków. Jeden z nich był kubek w kubek do Szymka podobny!....

Jarema odchylił więcej drzwi i stanął jak wryty. Szymek a Szymek!...

Powoli podniósł rękę do czoła i potarł nią, aby się

przekonać, czy to we śnie widzi, czy na jawie!... Ale parobczak był młody.... bardzo młody... a Szymek miałby już teraz najmniej lat czterdzieści....

Oko jego potoczyło się zwolna po stajni i uśmiech piekielny zaigrał koło jego ust wykrzywionych.

W latarni, przywiązanej do słupa, dopalała się świeczka i już zaczynało tleć drewniane dno latarni. A pod słupem były pęki słomy....

Coś szatańskiego błysło w oczach Jaremy. Przywarł szybko drzwi i śpiesznie oddalił się od stajni.

W duszy swojej usłyszał teraz jakieś dziwne głosy. Jedne i drugie mówiły naraz; ale Jarema nie mógł ich zrazu zrozumieć. Jedne popychały go naprzód, aby czemprędzej ze dworu wychodził, inne ciągnęły go do stajni, do latarni przy słupie.

Wreszcie wyrozumował sobie, że to kara Boża na dwór za wszystkie krzywdy jego, że to ręka sprawiedliwości Bożej, której on nie powinien powstrzymać!.. A ten parobczak tak do Szymka podobny!....

Tak myślał sobie Jarema, i coraz więcej oddalał się od zagrożonej stajni, spokojnym będąc w swojem sumieniu. Nie przyszło mu nawet do głowy, że w razie ognia całe podejrzenie spadnie na niego.....

I powoli zbliżył się znowu do okna piekarni. Spojrzał i musiało go tam coś mocno uderzyć, bo ku ścianie się potoczył i oparł rękę o wystające węgły.

W piekarni, koło małego obrazka przylepionego na ścianie klęczała kobieta. Mogła liczyć trzydzieści sześć lat. Twarz jej była blada, włosy miała jasne i bujne. Białe ręce złożyła i oparła o stołek, a duże oczy, z których łzy płynęły, wzniosła do góry i modliła się.

Jarema poznał ją — była to Nastka.

Stał chwilę przed oknem i osłupiałym patrzał w głąb wzrokiem. I jakoś miękko zaczęło mu się robić koło serca; zdawało mu się, że to serce coraz więcej rozszerza mu się w piersi... że rośnie.... i jakoś tak błogo, tak słodko, choć smutno było mu w duszy. Potem załaskotało go coś

w gardle, oczy zaświerzbiały mu.... a za chwilę poczuł, że mu po twarzy coś płynie....

Ale nagle zerwał się, jakby go coś ukąsiło, i co tchu pobiegł do stajni. I przyszedł jeszcze w sam czas, bo właśnie dno latarni zaczęło się już palić małym płomykiem.

Zcicha przesunął się pomiędzy śpiącymi i zagasił ogień.... I tak jakoś lekkim powracał ze stajni, jakby mu nagle wyrosły dwa skrzydła, jakto widział u aniołów.....

I z lekkiem sercem otworzył drzwi od piekarni.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł miękkim głosem.

— O Jarema! — zawołała kobieta, ocierając szybko oczy — przecież się nie omyliłam! Moje serce od kilku dni —

I nie dokończyła, bo Jarema wziął ją za rękę i utopił w niej swoje duże, przenikliwe oczy.

— Czy wy za mężem? — zapytał po chwili, patrząc na czepiec na jej głowie.

— Nie — wyszepnęła z cicha kobieta, a głos jej drżał czegoś — jestem wdową!

— Po.... zaczął Jarema, ale imienia Szymka nie mógł w tej chwili wymówić.

— Po Walentym — dokończyła prędko bobieta.

Jarema odetchnął pełną piersią.

— A cóż to za parobczaki śpią tam w stajni? zapytał po chwili Jarema.

— To Szymek i Walek—moi synowie — odparła kobieta, a głos jej drżał jeszcze więcej.

— Z pierwszego małżeństwa? — podjął szybko Jarema.

— Ja tylko raz ślub brałam — wyszepnęła kobieta i przyłożyła szybko fartuszek do oczu, bo cały potok łez cisnął się tam teraz.

Jarema stał chwilkę przed nią i wpatrywał się w nią jak w tęczę. Potem odstąpił kilka kroków, wyjął z zanadrza węzełek z cwancygierami i dukatami i rzekł do kobiety:

— Słuchajcie Nastko! Tu są pieniądze. Weźcie je i schowajcie mi do swojej skrzynki. Ja mam tutaj różne sprawy, gotowem zgubić. Dobranoc wam, pójdę spać do karczmy. —

I wyszedł szybko z piekarni, a gdy spojrzał do góry, ujrzał jasne, wypogodzone niebo, z którego mrugały do niego małe, błyszczące gwiazdeczki.... A było tak jakoś słodko, tak błogo!..... I jakoś niemiło mu było, gdy przed karczmą spotkał suchego mecenasa i dawnego swego przyjaciela o troistym nosie. I nie mógł się pozbyć jakiegoś nieprzyjemnego uczucia nawet wtedy, gdy już wszyscy razem do karczmy wrócili, a rudy Icek flaszkę wódki przed nim postawił.

X.

RÓŻNE NADZIEJE.

Takim był pierwszy dzień Jaremy, gdy po dwudziestu latach wrócił napowrót do swojej wioski rodzinnej. Do wyobrażeń, jakie był z sobą przyniósł, przybyło jeszcze coś na miejscu, co go nietylko w tych wyobrażeniach utwierdziło, ale nawet rozwinęło je w daleko szersze rozmiary. Był już wprawdzie z góry uprzedzony i napojony żółcią przeciw dworowi, a to o czem w karczmie dowiedział się i przyjęcie jakiego we dworze doznał, spotęgowało tylko w nim ten antagonizm i popchnęło go do tem raźniejszych kroków.

Mały jednak epizodzik, który zaszedł w piekarni, a którego wcale nie spodziewał się Jarema, zagroził nagle wszelkim jego planom. I kto wie co by się było stało, gdyby fatalna ręka mniemanych jego przyjaciół nie była prędko zatarła tego wrażenia, jakie w tej chwili rozszerzyło mu serce, żalem do dworu dotąd ściśnięte. Kto wie czy wspomnienie chwil młodych i widok kobiety, której obraz zasklepił się jak perła w muszli, w duszy jego, nie były zneutralizowały onej żółci, którą go tak długo pojono!... Nastka mogłaby choć pod wieczór życia zostać jego żoną, dziedziczka mogłaby bez procesów dać pustkę po Stefanie i jeszcze czemś zapomódz, a Jarema byłby szczęśliwy i w szczęściu swojem inaczej zapatrywałby się na mniemane krzywdy, jakich gromada od dworu doznaje!....

Ale Jarema za wiele cierpiał i doświadczył, za wiele nasłuchał się w ciągu tych lat dwudziestu, aby mógł zastanowić się nad tą chwilową zmianą, jaka w nim zaszła od zagaszenia latarki w stajni, aż do wydania Nastce węzełka z cwancygierami. Wprawdzie było mu w tych kilku chwilach tak błogo koło serca, kroki jego były tak lekkie, jakby u ramion miał dwa skrzydła, które człowieka w anioła zamieniają!... Ale w ciągu lat dwudziestu nabyte wyobrażenia przemogły nad budzącem się uczuciem, które jak meteor błysnęło po ciemni jego serca, dowodząc że tam był grunt piękny i szlachetny i że tylko zamuliły go fatalne okoliczności, pod jakiemi wzrósł ten człowiek.

I gdyby nawet światło tego meteora dłużej świecić chciało, towarzystwo mniemanych Jaremy przyjaciół i spora flaszka wódki, przy której toczyła się narada, zagasiłyby wszystko do szczętu.

Suchy mecenas zapewnił go, że pustki po Stefanie żadną inną drogą od dworu nie odbierze, jak tylko drogą procesu, i napominał go, aby się strzegł wszelkich układów. Huber znów coś mu wiele mówił o staroście, który bardzo mu sprzyja i w ogóle wszystkich chłopów bardzo lubi!...

Jarema przyjmował te rady z uśmiechem. Przypadały one wprawdzie do jego gustu, ale w obec planów Jaremy były zbyt drobne i karłowate. On przeszedł Austrję od krańca, a cały ten ogrom obszaru, ludzi i wypadków wpakował mu się do mózgu i rozpierał mu nieustannie głowę, która tego wszystkiego należycie pomieścić nie mogła. Dla tego miał on o sobie daleko większe wyobrażenie, jak to jego przyjaciele sądzić mogli; a gdy mu ci o staroście i o procesie mówili, on myślał o Wiedniu i o ministrze, o którym miał wyobrażenie, że z dużą, w srebro okutą laską stoi przed pałacem monarchy.

Mimo to podziękował radzącym przyjaciołom i przyrzekł im, że w danym razie z oświadczeń ich korzystać będzie.

A kiedy już sporo po północy kładł się na ławkę, aby się trochę przespać, przed jego oczyma biegały różne rzeczy; ale żadna jednak z nich nie napoiła jego serca tak

błogiem uczuciem, jakiego był doznał po zgaszeniu latarki w stajni.....

Lecz gdyby nawet i wspomniene tego szczęścia było go trochę niepokoiło, jutrzejszy dzień byłby wszystko do reszty zatarł.

We dworze dla jego sprawy nienajlepsze było usposobienie. Zaraz przy śniadaniu zaczęto mówić o tej sprawie. Zgromadzenie było to samo co i wczoraj; burza bowiem nie dała gościom wczoraj odjechać, a pani Nowowiejska zbyt ściśle przestrzegała gościnnych domu swego tradycji, aby gości w domu swoim na czas dłuższy nie zatrzymać.

Toż kiedy przy rannej kawie wszyscy się zeszli, (przyczem nadmienić musimy że Jadwiga w negliżyku prześlicznie wyglądała), nie mówiono o niczem innem, tylko o wczorajszej dziwnej awanturze, jaką był wyprawił Jarema. I wszystkim wydała się dziwną, bo właśnie tej samej godziny, kiedy pustki miały przejść na innego właściciela, zjawił się w oknie dworu niewiadomy dotąd pretendent i założył swój protest.....

Wdowa posmutniała, gdy sobie całą tę scenę przypomniała. Była to w jej oczach jakaś niedobra wróżba dla Jadwigi, która coraz widoczniej okazywała Władysławowi przychylność swoją. Chcąc więc przeczuwane jakieś nieszczęście jak najtaniej okupić, a wreszcie i słusznym może żądaniom Jaremy zadość uczynić, postanowiła oddać mu tę pustkę po Stefanie, bez wszelkich procesów, do których miała wstręt bardzo słuszny.

Sprzeciwili się jednak takiemu doraźnemu załatwieniu sprawy pułkownik i proboszcz, a każdy z innego stanowiska.

Pułkownikowi psuła ta sprawa wszystkie jego mozolnie skombinowane plany. Los biednej wdowy oddawna leżał

mu na sercu. Również myślał i o Jadwidze, której był chrzestnym ojcem. Trafiła mu się po temu sposobność. Jego kuzynek, pan Władysław, odziedziczył po rodzicach dwa tysiące czerwonych złotych. Włożywszy ten kapitalik w zaniedbaną nieco kobiecem gospodarstwem Nowąwieś, możnaby ją było podnieść do ładnej fortunki. Ale on wiedział doskonale, ile na niewyjaśnionych wzajemnie stosunkach cierpią zwykle uczucia najszlachetniejsze. Zresztą nie chciał aby Władysław przyszedł do tak zwanej fartuszkowej fortuny. Niemniej wiedział także doskonale o stanie finansowym wdowy i przewidział, że oświadczenie się pana Władysława nabawiło by ją w tej chwili niesłychanego kłopotu.

Skombinował więc plany swoje w ten sposób: najprzód miał pan Władysław wystąpić jako kupujący tak zwane pustki. Tym sposobem przyszedłby już de facto do części Nowejwsi, co w oczach świata, bodaj dla formy, już coś znaczy. Powtóre, tym sposobem zbliżyłby pana Władysława do Jadwigi i zostawiłby im wolne pole do przekonania się wzajem o swoich sympatjach i charakterach. Małżeństwom bowiem zawieranym prędko, pod pierwszem wrażeniem wzburzonych nerwów, niewiele ufał doświadczony pułkownik, który niegdyś miał czarne wąsy i czarną czuprynę, a w ogrodzie Saskim uchodził za najprzystojniejszego oficera polskiego.

Prócz tego miał jeszcze i to na uwadze pułkownik, że młody człowiek powinien wprzód złożyć egzamen z pracy swojej, a że te pustki znaczny kawał gruntu stanowiły, więc uprawa ich podniosłaby wartość całego potem wspólnego majątku.

Wchodziło i to w jego plany, aby biedna wdowa, dla ratowania się, dostała do rąk jakąś sumkę.

Tak to wszystko mądrze i porządnie ułożył sobie w głowie stary pułkownik, a że był z natury impetyk i najbardziej gniewał się o to, gdy mu kto w planach jego przeszkadzał, to sprawa Jaremy o pustkę po Stefanie nienajlepszego miała w nim obrońcę. Zaraz z góry zaperzył się i cały akt Jaremy nazwał rozbojem, zamachem na własność domi-

nialną, prostą nocną awanturą. Był zdania, że Jaremy nie należy wcale do dworu przypuszczać, a nawet go psami wyszczuć, gdyby z ganku ustąpić nie chciał. O prawniczej stronie tej sprawy nie miał pułkownik żadnego wyobrażenia. Nie znał praw i nigdy nie chciał się z niemi zapoznawać. Wprost więc oświadczył się przeciw uroszczeniom Jaremy, a kładąc na stół cenę kupna, chciał wszelkie do tych pustek możliwe pretensje wziąść na siebie.

Inaczej o tej sprawie sądził ksiądz proboszcz. Zażywszy tabaczki, rzekł do pułkownika wadzącego się z wdową:

— Wadzicie się państwo między sobą, ale widzę, że nie zapatrujecie się na tę sprawę z wyższego nieco stanowiska. U nas nadewszystko powinno górować stanowisko obywatelskie, a nie prywatne. Jaremie więc zaprzeczać nie należy pretensji do pustki, i to mu się w oczy powie, ale dla formalności potrzeba aby pretensje jego były urzędownie sprawdzone. I tak, nie wie pani dobrodziejka, czy ta pustka r. 1820 była zapisana jako grunt dominialny i czy nie podano jej do indemnizacji jako grunt rustykalny. Do tego potrzeba prawnika, a tak w jednej chwili nie można tej sprawy rozstrzygnąć. Jaremie wypadałoby dać tymczasem jaki zarobek przy dworze, jeśli nie ma żyć za co. —

Zdanie to księdza proboszcza przyjętem zostało po niejakiej dyskusji, chociaż wdowa mocno obstawała przy doraźnem załatwieniu tej sprawy, zwłaszcza że grunt tej pustki należał do najlichszej gleby w całej Nowejwsi i dla tego nigdy obsadzonym być nie mógł. Nie opierając się jednak wyrokowi proboszcza, z wyższego stanowiska oblatowanemu, zgodziła się na odwłokę tej sprawy do urzędowego rozsądzenia.

Jarema spodziewał się takiej uchwały, tylko o jej motywach nie miał pojęcia. On wiedział najprzód, że dwór krzywdzi gromadę i dobrowolnie nic nie odda, lecz to go wcale nie niepokoiło.

Ale Jarema i ci co go tego wyuczyli, widzieli tylko dwa kroki naprzód, a o dalszą przyszłość nie dbali. Więc ucieszyło Jaremę, że gromada, która, mówiąc nawiasem, powzięła o przyniesionych przez niego skarbach zbyt wygórowane wyobrażenie, przyklasnęła jego żądaniom i wszystkiemi siłami w tem go popierała.

Jarema ubrał się w nowy kaputrok i w nową żołnierską czapeczkę. Na lewym boku zawiesił medal, który otrzymał za okazane we Włoszech męstwo. Wszyscy chłopi (prócz wójta) patrzyli z uwielbieniem na szerokie jego barki, na zdrowy wyraz twarzy i na tę pewność, jaką objawiał we wszystkich swoich ruchach i słowach. Cieszyli by się jeszcze więcej, gdyby Jarema był takim chłopem jak oni, gdyby ten kaputrok zmienił na siermięgę, a czapeczkę na kapelusz słomiany.

Ale Jarema miał inne plany. Zaraz po mszy świętej wyruszył w podróż do starosty.

Starosta cieszył się Jaremą, gdy go poznał. Położył mu rękę na ramieniu, oglądał srebrny medal i długo bardzo łaskawie z nim rozmawiał. Sprawę jego o pustkę wysłuchał łaskawie i przyrzekł, że ją natychmiast odda w ręce właściwe. A gdy go serdecznie za rękę uściskał i drzwi za nim zamknął, rzekł do komisarza:

— Ten Jarema, to jedno z potrzebnych nam indywiduów. Taki człowiek w gromadzie wiele przyczynia się do rozszerzenia wyobrażeń porządku. Był w wojsku i nauczył się, że wszystkie członki w jednym organizmie, muszą jednej wspólnej słuchać władzy. A tego potrzeba tutejszym gromadom. U nich najdziwaczniejsze pojawiają się wyobrażenia. Cóż kiedy nie ma ludzi z jaką taką oświatą w gromadzie! Pamiętaj pan, jeśli będziesz w Nowejwsi, nie zapomnieć o tym Jaremie. Trzeba go wyforytować na wójta. Umie czytać

i pisać, a rząd będzie w nim miał wiernego wykonawcę ustaw krajowych. —

Tak mówił starosta, a komisarz potakiwał głową, że się we wszystkiem zgadza z swoim pryncypałem.

Jarema lekkim krokiem dążył do wioski rodzinnej, przeczuwając że go tam oczekują szczęście i zaszczyty.

XI.

LASY I PASTWISKA.

Od tego czasu minął rok cały. Wiele rzeczy stało się w tym roku, a wszystkie wypadły na korzyść naszego szczęśliwego bohatera.

Najprzód w przeciągu kilku tygodni przyznano mu urzędownie prawo do pustki i wprowadzono go, z wielkim tryumfem gromady, w posiadanie tejże, ku wielkiemu zmartwieniu ekonoma i pułkownika. Zdanie więc księdza proboszcza, aby iść drogą prawa i zbytnią uległością nie dawać otuchy uroszczeniom gromady, w części tylko zamierzony odniosło skutek. A że Jaremie udało się dziadowiznę swoją jak mówiono, z pazurów cudzych wydrzeć, więc wyrósł on w oczach całej gromady na wielkiego człowieka i wiele ócz zwróciło się już ku niemu, jako ku przyszłemu obrońcy gromady.

Jarema wiedział o tem co się w gromadzie święci, i szedł dalej wytkniętą sobie drogą. Najprzód wybudował nową chałupę, postawił stajnię i stodołę. Przeczuwając instynktem, że gromada nie lubi żadnych wyróżnień i że w najwyższym stopniu jest zachowawczą, wybudował wszystkie te budynki w taki sposób, jaki był odwieczną gromady nowowiejskiej tradycją, nie dodawszy do nich nic z tego, co za granicą widział. Gromadzie to się bardzo podobało.

Idąc dalej w tym kierunku, złożył do skrzynki cały swój ubiór wojskowy, a czapeczkę powiesił na kołku, aby ją miał pod ręką, gdy pora się wydarzy. Według jego bowiem

wyobrażenia była ona talizmanem nietykalności. Na teraz zaciągnął na siebie siermięgę takiego samego kroju, jaki przyjęty był w gromadzie, a na kędzierzawe swoje włosy włożył kapelusz słomiany. Tak zwany „łajbik“ zdjął także, i wszędzie poodpruwał nawet guziki cynowe, które świadczyły o jego stanie żołnierskim.

Zrównawszy się tym sposobem z gromadą i przyjąwszy napowrót czysty jej język, bez wszelkich cudzoziemskich dodatków, przyszedł w gromadzie do wielkiej konsyderacji i widocznem było już na schadzkach w karczmie, że w koło niego zaczęto się grupować. A gdy do tego jeszcze koło pustych gruntów swoich dobrze się zawinął, a wykupiwszy nawóz po wszystkich karczmach sąsiedzkich, doskonale je sprawił i oziminą obsiał, nazywano go już prawie jednogłośnie najlepszym gospodarzem, do czego przyłączała się także wieść tajemna, że na wojnie ogromne zebrał pieniądze, a w mieście obwodowem razem z panem komisarzem cygaro pali.

Prócz tych dodatnich, gromadzkich przymiotów, i w towarzyskiem pożyciu rozwinął on powoli przewagę swoją nad innymi, która wkrótce wysunęła go na najwyższy szczebel w gromadzie. Gdy bowiem gromada piła, on pił za dziesięciu, gdy się gromada biła, on najwięcej nosów porozbijał, a gdy w gromadzie było wesele, on przewodził tańcom i śpiewał skrzypkowi pod nutę. Wprawdzie miał do walczenia z niebespiecznym rywalem Hrehorym, wójtem gromady; ale gdy raz wyzwał go w obliczu gromady do bójki i pod stół go zapchał, wybiwszy mu wprzód dwa zęby, Hrehory podał mu na drugi dzień rękę do wieczystego przymierza, a gromada jednogłośnie obrała go już w duchu za przywódcę i obrońcę praw gromadzkich.

Tym sposobem w bardzo krótkim czasie wyrósł Jarema na pierwszego gospodarza w gromadzie, a że miał u starosty dobre zachowanie, a więcej jeszcze sam o tem mówił, nachylały się powoli wszystkie nadzieje ku niemu; widziano w nim bowiem jedynego człowieka, jakiego właśnie potrzebowała gromada, o czem często prawił im suchy mecenas i przyjaciel jego były Amtsdiner.

Niewiele miał pan komisarz obwodowy zachodu, gdy do Nowejwsi przyjechał i Jaremę na wójta zalecił. Gdy przyszedł czas po temu, jednogłośnie obrano go wójtem.

I tak wszyscy byli zadowoleni. Starosta pochwalił gromadę, że takiego człowieka wybrała i spokojnie położył się do łóżka, w tem przekonaniu, że w najlepsze ręce złożył interesa publiczne. Komisarz był także kontent z siebie, że życzeniom starosty zadość uczynił. I gromada i Jarema byli kontenci z siebie, bo gromada wierzyła teraz, że Jarema wszystko dla niej wyprocesuje, a Jarema takie samo o sobie miał wyobrażenie, bo prawem było u niego tylko to, co stanowiło korzyść gromady.

Stanąwszy na najwyższym szczeblu godności w gromadzie, uczynił zadość dawnym marzeniom swoim i Nastkę jasnowłosą do ołtarza poprowadził.

Aby jednak w tym zenicie szczęścia nic mu słodkich dni nie zatruwało, postanowił jeszcze czegoś dokonać.

Dwaj synowie Nastki, a mianowicie Szymek, który twarzą przypominał mu najgłówniejszego wroga, przeszkadzali jakoś jego szczęściu. Miał on do nich wstręt, którego sobie nie mógł wytłumaczyć. Chcąc przeto z oczu ich usunąć, powyślał że najlepiej dla nich zrobi, gdy ich do wojska odda, gdzieby tę samą co i on przeszli szkołę. Aby to jednak z jego strony nie wyglądało na nieludzkie pozbycie się pasierbów z domu, wyliczył im w „werbbecyrku“ po sto reńskich monetą konwencyjną, własną ręką pod miarę postawił i ostrzyżonych do kazarni odprowadził, gdzie ich opiece znajomego feldfebla polecił.

Tak uporządkowawszy swoje interesa, dał na mszę świętą i gorącą modlitwą podziękował panu Bogu, który jak różnemi drogami zaprowadził go do laski wójtowskiej i Nastki jasnowłosej.

We dworze w tym roku także wiele zmieniło się rzeczy. Wdowa postarzała się w kłopotliwem swojem położeniu. Urodzaje chybiły, wydatki pomnożyły się, bo Jadwiga była już panną na wydaniu. Pan Władysław osiadł wprawdzie na pustkach i szczerze wziął się do roboty, ale ziemia niemal przez pół wieku zapuszczona, okazała się bardzo niewdzięczną, czyli raczej mściwą za złe z nią wychodzenie. Pochłaniała znaczne wkłady, a nic wracać nie chciała. Pułkownik radził jak mógł, lecz wszystko chybiało jakoś celu i nowo-utworzony folwarczek wcale się nie udawał. Zwalał on to wprawdzie na niecierpliwość pana Władysława, który więcej myślał o Jadwidze, jak o gruntach, ale w końcu przekonał się, że długo na tej pustej ziemi popasać nie można i czemprędzej trzeba do panienki generalny szturm przypuścić. I Jadwiga zdawała się wyczekiwać tego szturmu, bo już cały zapas książek pana Władysława przeczytała, i z każdym dniem coraz więcej mówiła o klasztorze, co według przekonania pułkownika najlepszą jest porą do ataku i zwycięstwa. A gospodarza koniecznie potrzebowała wioska, bo gromada do gruntów i lasów dominialnych coraz większe rościła sobie pretensje.

Wdowa z własnego popędu darowała gromadzie część pastwiska i kilkadziesiąt morgów lasu; ale gromada podzieliła się pastwiskiem i zorała je pod siejbę, las wycięła, wykarczowała i także podzieliła między siebie, a do lasów i pastwiska dominialnego rościła sobie znowu pretensje.

Powiedzieliśmy już wyżej, że z pańszczyzną odpadły gromadzie różne korzyści, które miała z pastwisk i lasów dominialnych. Strata tych korzyści była dla gromad bardzo dotkliwą, a dla niektórych osad nawet wielkiem nieszczęściem. Chudoba gromadzka, owo jedyne bogactwo chłopa, została zagrożona śmiercią głodową. Stąd powstały liczne procesa, a wyznaczone ku temu komisje zbyt powoli postępowały. W Nowejwsi jednak komisja serwitutowa wydała już wyrok w spornej między dworem a gromadą kwestji, i pola używane dotąd na pastwiska, przyznała dworowi. Gromada widziała we wszystkiem tem niesprawiedliwość sobie wyrządzoną.

Otóż to dawne pastwisko poradził wdowie pułkownik poorać i zbożem obsiać. Sądził on, że na nowinie obfity zbiór będzie, a powtóre chciał tym sposobem odebrać gromadzie wszelką pokusę do wygania bydła na te pola, jak to było zwyczajem za czasów pańszczyznianych.

Gromada z załamanemi rękami patrzała na pługi które te pola orały, i przysięgała w duchu zemstę, gdy czas będzie po temu. O prawie własności dworu do tego gruntu nikt jej nie przekonał, a ludzie których się radziła, odpowiadali jej półgębkiem, ruszając ramionami, co gromada po swojemu sobie tłumaczyła.

Mimo jednak tej wzrastającej coraz więcej niechęci gromady, wytrwała wdowa w powziętym raz zamyśle i z szczupłych swoich funduszów założyła szkółkę dla dzieci wiejskich. Gromada jednak nie widziała w tej fundacji żadnego dobrodziejstwa, bo jej ktoś powiedział, że to jest obowiąskiem każdego dworu. Zresztą nie widzieli oni w tej instytucji żadnych korzyści, przeciwnie pozbawiała ich ona usługi dzieci, które ten czas w szkole przesiedzieć musiały.

Jarema był niezmordowanym w sprawie gromady. Wiele rzeczy udało mu się przeprzeć u starosty, naczelnika powiatowego, a nawet i we Lwowie. A po każdej wygranej sprawie rosła sława Jaremy, i on sam rósł w oczach swoich, i zdawało mu się, że w danym razie mógłby daleko więcej dokazać.

W takiem to położeniu zaskoczyło nagle dwór i gromadę nadzwyczajne zdarzenie.

Ogłoszono że sejm konstytucyjny ma się zebrać we Lwowie i radzić o dobro kraju, i wieść ta wszystkich napełniła radością.

Wyznaczono czas wyborów na posłów do tego sejmu i odnośne do tego prace natychmiast przedsięwzięto.

Zaczęły się agitacje, pozawiązywały komitety, przedstawiono kandydatów i zaczęto w ich imieniu agitować. Po miastach zbierały się sekcje, na prowincji delegaci gromad i miasteczek.

Gromada nowowiejska przyjęła wiadomość o sejmie zrazu z bojaźnią; powoli jednak uspokojono się, a gdy Huber i mecenas powiedzieli im, że mogą wybrać do sejmu kogo chcą i w kim największe zaufanie pokładają, byli nawet kontenci z tego, że będą mieli sposobność upomnieć się publicznie o swoje krzywdy prywatne. Wyższego wyobrażenia o sejmie i interesach krajowych nie miała gromada Nowejwsi, która w tym względzie podobną była do każdej innej galicyjskiej gromady.

Wreszcie i dla gromady Nowejwsi nadszedł czas wyborów. W tym celu mieli się zejść wyborcy w najbliższem miasteczku, które także, razem z kilkoma gminami, jednego posła obrać miało.

Prosty rozum chłopów dyktował im, aby chłopa wybrać. Mieli oni do swego największe zaufanie, a w razie zawodu, mieli także i pewne prawo regresu, czy raczej sposobność do regresu.

Wszystkie więc gromady miały gotowych już kandydatów. A kandydatem takim zazwyczaj był chłop, używający w gromadzie największego poważania. Musiał to być dobry gospodarz, silny w pięści i odważny, i musiał dać dowody, że dobro gromady nadewszystko ceni. Musiał jej wygrać jakiś procesik, a przynajmniej mieć sławę człowieka, który gdy tego potrzeba, wszystkiego dokazać może. Przymiotów zaś tych nabywał on w gromadzie różnym sposobem. Jeśli udało mu się w krótkim czasie przysporzyć majątku, jeśli zręcznym sposobem kogo wydziedziczył, a do tego jeszcze był w wojsku i nie przyszedł do wsi „szubpasem“ to już mógł liczyć na całą gromadę. Mały epizodzik życia, który przepędził w areszcie lub czasem w kryminale, nie wchodził w rachubę gromady, bo gromada jest tego przekonania, że nieszczęście nie chodzi po lasach, tylko po ludziach.

Ale nie każda gromada ma takiego męża zaufania.

Często kilka gromad składa się na takiego człowieka,

a wtedy jest on u nich prawdziwym królem. A człowiek taki udaje zawsze że nie stoi sam jeden, mówi zawsze do nich, że ktoś jest za nim, którego on wolę pełni, a mówi to im w sposób tak tajemniczy, że gromady tylko instynktem znaczenie tych słów odgadywać muszą.

Między gromadami które z Nowąwsią głosowały, było kilku takich mężów zaufania; ale nad wszystkich przeważał Jarema rozgłośną sławą swoją. Skupili się więc wszyscy koło niego, jak kurczęta koło kwoki, gdy się obawiają jastrzębia.

A jastrzębiem tym był w tej chwili w ich oczach kochany nasz pułkownik. Na długich nogach, z wysokim halsztukiem, wszedł między nich i przedstawił się im na kandydata. Już sama postać pułkownika i jego bekiesza z ogromnemi guzami, nie podobała się gromadom, a gdy jeszcze zaczął mówić o wojskowej swojej karjerze, o bitwach w których walczył, o Napoleonie i Samosierze, dodawszy do tego niektóre aforyzmy o przemyśle i naukach, gromady nie dały mu dokończyć, wołając, że takiego posła nie potrzebują.

Po nim wystąpił dziedzic z Zamszyna, człowiek bogaty i prawych obywatelskich zasad. Mówił on wiele o różnych sprawach; ale także jakoś w myśl gromady utrafić nie umiał.

Delegaci gromad naradzili się między sobą i zgodzili się w tem, że nie mogą obierać dziedzica ani żadnego pana, bo pan nie będzie nigdy bronił interesów gromady.

Przed wyborców wystąpił teraz proboszcz obrządku łacińskiego z Zagrody, którego znamy z dworu nowowiejskiego.

Mówił bardzo pięknie i cytował prześliczne miejsca z pisma świętego, zachęcające do zgody i wzajemnej miłości.

Ale wyborcy pokiwali głową i rzekli, że w tem wszystkiem nie widzą interesu gromad. Naradziwszy się więc między sobą, powiedzieli, że muszą wybrać włościania na posła, a tym ma być Jarema, który zna drogę do Lwowa i do Wiednia, a u pana starosty w wielkiem jest zachowaniu.

Lecz kiedy tak mówiono, zjawił się na arenie nowy zapaśnik. Kandydatowi temu przygotowano już nieco drogę.

Był to wikary z sąsiedniej wioski, obrządku grecko-kato-

lickiego. Występował on jako kandydat stronictwa rusińskiego, a że przeważna liczba wyborców gromad była obrządku grecko-katolickiego, więc wikary największą miał szansę.

Nowy ten kandydat był słusznego wzrostu, chudy, z wystającemi na twarzy kościami. Włosy czarne, kędzierzawe i oczy szybko biegające, oznaczały gorący temperament.

Mówił długo o rzeczach dawnych i nowych; ale gromady nie słuchały ani dat historycznych, ani aforyzmów i powtórzyły tylko chórem, co im mówca powiedział:

— „Lisy i pasowyska!“ —

Wtedy Jarema wystąpił z tłumu i blady z rozrzewnienia ozwał się:

— Hromady! toj swiaszczennyk dobre mowyt. Naj win yde do Lwowa. Win je pysmennyj. —

Tak piękna rezygnacja, świadcząca o dobrym gruncie ludu naszego, zaimponowała gromadom. Mowa wikarego podbiła ich serca, ale Jaremie przyobiecały dać głosy. Dobrowolne jego ustępstwo, zjednało mu sławę.

Radzili między sobą wyborcy gromad czas niejaki, a że u włościan naszych nad wszystko inne przeważa nieufność, więc zgodzili się na to, aby wikaremu dać głosy na posła, a Jaremę, jako kontrolera i odpowiedzialnego gromadom za to co się we Lwowie stanie, wspólnym kosztem wysłać do Lwowa.

A gdy w kilka godzin potem z urny wypadł rezultat i wikary jako poseł ogłoszony został, zabrzmiały pod niebo okrzyki włościan i w całym kraju ozwało się echem:

— „Lisy i pasowyska!“

XII.

ROZCZAROWANIA.

Za kilka dni wyjechał wikary do Lwowa, a wszystkie okoliczne gromady odprowadzały go aż po kopce ostatniej wsi, której był posłem. Obok wikarego jechał Jarema, w nowej sukmanie i w dużych, pod kolana sięgających butach. Z całego zachowania się gromad widać było, że on właściwie był bohaterem tych wszelkich owacyi, milczącym Mojżeszem, podczas gdy wikary był tylko wymownym Aaronem.

Od kopców wsi ostatniej wróciły gromady i rozeszły się do sadyb swoich w tem przekonaniu, że otworzy im się wstęp do lasów i pastwisk dominialnych.

Tak lud galicyjski pojął ów zwrot w dziejach Austrji, ów październikowy patent cesarza. Nie było nikogo, co by mu ową wielką reformę państwa wytłumaczył, a tym, którzy mu ją tłumaczyć chcieli, nie wierzył. Przeciwnie, zjawili się fałszywi apostołowie, którzy cały ten zwrot w państwie starali się ludowi na niekorzyść jego wytłumaczyć, a kilka wyroków sądu i okólniki najwyższej w kraju władzy, tak świeckiej jak i duchownej, dowiodły, że to nie były tylko czcze obawy i płonne mary.

W gromadzie nowowiejskiej powstała także trwoga z powodu podobnych wieści. Ale Jarema napisał ze Lwowa list własnoręczny, w którym uspokoił gromadę o tyle, że póki on we Lwowie, póty gromadzie ani włos z głowy nie spadnie.

Uspokoiła się gromada, a że to właśnie wiosna rozpoczynała się, spokojnie więc wzięto się do pracy około pola.

W nadziei że lada dzień przyszle im Jarema ze Lwowa roskaz cesarki, że mogą z lasów dominialnych brać sobie drzewa ile potrzeba, a na pola dworskie wypędzać bydło swoje, zniesiono system uprawy roli, i zorano pod siejbę wszystko, co tylko pługiem dosięgnąć można było. Na paszę, na pastwiska dla bydła gromadzkiego nie zostawiono ani piędzi ziemi. Tymczasem wypasano rowy i szerokie miedze, i na powrót lub pismo Jaremy z największym czekano spokojem.

Prosty rozum ludu wytłumaczył sobie całą sprawę w ten sposób, że im należą się pola i lasy dworskie i że na ten raz nic sprawiedliwszego nie ma nad ich skromne żądanie, aby im otworzono do użytku lasy i pastwiska dominialne.

W takiej to żyjąc nadziei, poorała gromada nowowiejska wszystkie pola pod siejbę i spokojnie wyczekiwała wyroku ze Lwowa, któryby ich prawa niezbite do pastwisk i lasów dominialnych zatwierdził.

Wyroku jednak tego nie było widać. Gromadzie dawał się już czuć brak paszy. Wysłano dwóch gospodarzy do Lwowa, aby się z Jaremą w tym wzgledzie naradzili. Gospodarze wrócili i pełni zachwycenia opowiadali gromadzie, jak widzieli Jaremę w sali sejmowej siedzącego w loży czerwoną wybitéj materją, obok jakiejś pani hrabiny. Opowiadali dalej, że słyszeli jak poseł z innej gromady, chłop Zahorojko, powstał i o „lisy i pasowyska“ do panów przemawiał, ale panowie zakrzyczeli go, jak to im wytłumaczono. Widzieli także i Kowbasiuka i niejakiego Siwca, który także jest chłopem, choć we fraku chodzi i w kancelarji urzędowej pisze, a o którym sam pan komissarz pisał, aby wybór jego na posła forytować.

W sprawie zaś lasów i pastwisk uspokoił ich Jarema, aby jeszcze czas niejaki czekali, że w końcu on to wszystko wyjedna, jeżeli nie we Lwowie, to w Wiedniu. Powiedział im także, iż wikary tak samo mówi na sejmie, jak mówił przed nimi i że dla tego kontent jest z niego.

Gromada wysłuchała w milczeniu wysłanników i cieszyła się, że Jarema siedzi w loży karmazynem wyścielonej, że wikary tak samo mówi w sejmie jak przed nimi, i że Zaho-

rojko, Kowbasiuk i Siwiec, chłop we fraku, tak dobrze, sprawy gromadzkiéj bronią. Ale radość ta nie długo trwała. Do karczmy zaleciał z wiatrem ryk głodnej chudoby, wszyscy spojrzeli po sobie i posmunieli.

Kilka tygodni czekano w milczeniu, a od Jaremy jak nie ma tak nie ma żadnych wieści. Chudoba zeschła, boki pozapadały się krowom, koniom, wołom, a tu znikąd nie ma rady.

Wreszcie pewnego wieczora radosna wieść obiegła chaty wieśniaków: Jarema wrócił!

Czemże on był dzisiaj w ich oczach? Jakiż buletyn przywiózł z sobą?

Co tylko żyło, obstąpiło go do koła. Młodzi i starzy, kobiety i dzieci stanęli w koło niego, ile ich tylko karczma pomieścić mogła, a reszta przez drzwi i okna poglądała na wielkiego człowieka, który siedział w loży karmazynowej, a teraz ostateczny dla gromady przywozi wyrok!... A wszyscy milczeli, nikt ani słówkiem nie zapytał go; czekali tylko, patrząc z konwulsyjnym wyrazem na usta jego, kiedy je otworzy i mówić zacznie.

Ale Jarema nic nie mówil. Stał zachmurzony, jakby coś strasznego w głowie ważył. Usta jego były blade, mocno zaciśnięte. Z pod włosów kędzierzawych ciekł mu pot po skroniach, jakby od jakiejś ciężkiej wstał roboty.

Wyczekawszy tak czas niejaki, ozwał się głosem przytłumionym:

— Hromada!... Wieczorem przyszedłem do wsi naszej i zdaleka slyszałem już jak biedna chudoba nasza w stajniach ryczy za garścią trawy... Serce moje ścisnęło się, że tyle krzywd cierpieć musi gromada!... W żadnej chałupie nie widziałem ognia, przy którymby kobieta mogła strawę uwarzyć wracającemu od pługa gospodarzowi.... A cóż dopiero będzie, gdy zima przyjdzie, a obejścia nasze śniegi

zawieją?... Wszystko to widziałem i słyszałem, ale cóż wam powiem na pociechę?... Oto na sejmie nic dla was nie zrobiono, o lasach i pastwiskach nie dali nawet radzić. Kilku pojechało do Wiednia, aby tam jeszcze radzić, ale mnie mówiono, że i z tego nic nie będzie. —

Zatrzymał się chwilę, głębokie milczenie panowało w około. Była to chwila wzrastającej rozpaczy, która zwolna coraz więcej ściskała serce, napojone fałszywą nadzieją i tak długo złowrogiemi podszeptami rozdrażnione. Wszyscy uczuli razem, jak im w piersiach ból wzrasta, jak się szerzy i za serce chwyta....

Pierwsze kobiety przerwały milczenie. Wybuchły płaczem i narzekaniem i zawodziły boleśnie za chudobą swoją, która teraz marnie zginie, za piękną kosonogą krasuchą, która niegdyś tyle mleka dawała, za wesołą biłunią, która zawsze szła na czele bydła, za jednorogą czarnochą, która z dziećmi lubiła się bawić. A te biedne owczęta, kozy i konie, z czegóż to wszystko wyżywić i co się z tego wszystkiego stanie, gdy przyjdzie ciężka w polu robota?...

Tak narzekały kobiety, płacząc i zawodząc, a gospodarze stali w milczeniu ponurem, z zaciśniętemi pięściami.

A Jarema mówił dalej co widział, gdy wieczorem zbliżał się do wsi. Widział jak na tych polach, na których niegdyś bydełko gromadzkie tak wesoło się pasło, bujna, zielona zeszła pszenica, że i ciele by się w niej już chowało, pszenica pańska, z której we dworze będą jedli kołacze.... Mówił dalej, jak widok tej pszenicy i dawne wspomnienia mocno go zabolały, że taka niesprawiedliwość może tak długo przygniatać biedną gromadę.

A kiedy spostrzegł, że między gospodarzami wszczął się już szmer, że pięście zaciskają się i wznoszą do góry, rzekł do nich:

— Zaczekajte hromada! Terpyłyśmo tak mnocho lit, zaczekajmo szcze troche. Ja teper pijdu wid was, a koły pryjdu tohdy, budem znaty szczo zrobyty. —

I wziął kapelusz i zwrócił się ku drzwiom. Cała gromada w milczeniu wyszła za nim. Nikt go o dalsze jego plany nie pytał, bo wszyscy byli tego zdania, że Jarema działa

za wyższą jakąś radą, która tylko dobro gromady może mieć na celu. Ślepo więc uwierzyli słowom jego, że jak wróci, to będzie już inaczej.

I jeszcze tej samej nocy zniknął gdzieś ze wsi Jarema.

I nie było go dwa tygodnie.

Był to dzień piękny, gorący. Śpiéw skowronka wznosił się ku niebu, które było czyste i jasne jak oblicze Stwórcy. Lekki wietrzyk przesuwał się śród gałęzi lip i topoli, a w powietrzu unosiła się woń kwiatów, która kołysała duszę w słodkich marzeniach.

We dworze nowowiejskim był to dzień uroczysty: obchodzono urodziny wdowy. W tym dniu miały się także odbyć zaręczyny Jadwigi z panem Władysławem.

Już zrana zawitali najbliżsi sąsiedzi i przyjaciele: pułkownik i proboszcz. Wdowa wyszła naprzeciw nim w stroju żałobnym i rzekła:

— Dzień dzisiejszy jest roskoszą dla serca matki, ale roskosz tę muszę czemś okupić.

— O dla Boga! — zawołał pułkownik — może znowu co dla chłopów, dla tych ludzi niewdzięcznych! —

Ale spojrzawszy na proboszcza, zamilkł nagle, bo proboszcz już gotował się do repliki, w czem zawsze przegrywał poczciwy pułkownik. Tym razem jednak zabił proboszcz nieprzyjaciela własną bronią jego:

— Jak to, kochany sąsiedzie — ozwał się z uśmiechem, toż pragniesz sam tylko ludowi świadczyć dobrodziejstwa, a nie chcesz na to wdowie zezwolić? Któż przy komissji serwitutowej tak szlachetnie obszedł się z gromadą, jak ty mości pułkowniku? Dałeś jej sto morgów lasu i pięćdziesiąt pastwiska!

— A wiesz jegomość, jaką wdzięczność mam za to od gromady? — krzyknął pułkownik i nabiegł krwią aż po brzeg

halsztuka. Procesują mnie teraz..... mówią że im się więcej należy. Do kroć tysięcy beczek! —

Proboszcz zażył prędko tabaczki, bo poczuł łzę pod powieką i rzekł po chwili do wdowy:

— Cóż pani dobrodziejka na to? —

Wdowa westchnęła, cień smutku przebiegł po jej bladej twarzy. Po chwili jednak wypogodziła czoło i rzekła z anielskim uśmiechem:

— Ja wytrwam przy swojem przedsięwzięciu. Lud, dla którego chciałabym wiele, bardzo wiele poświęcić, uwziął się na męża mego i do dziś dnia ciągle mi dokucza. Dałam im kawałek lasu, a gromada ten las w jednym miesiącu wyrąbała, drzewo sprzedała, i grunt rozdzieliła po kawałku między siebie. Dzisiaj znowu odgrażają się ciągle na moje lasy.... Pan Władysław dał im grunt z dwóch pustek na pastwiska. Oni znowu podzielili grunt darowany między siebie, a o pastwiska wołają w niebogłosy.... Wszystko to jednak nie zmieni mego przedsięwzięcia. —

Proboszcz ujął wdowę za rękę, a na pułkownika spojrzał tryumfująco. Po chwili rzekł:

— Stokrotne dzięki pani za te słowa pociechy dla skołatanego serca mego. —

Tymczasem weszli do pokoju Jadwiga i Władysław. Słyszeli oni rozmowę w przybocznym pokoiku.

— A my — ozwali się naraz — zgadzamy się z mameczką księdzem dobrodziejem.

— A ja dołączam jeszcze do tego i zdanie pułkownika — dodał pan Władyslaw, całując w rękę wdowę.

Pułkownik tryumfująco spojrzał na proboszcza. Był kontent, że przecież wszystkiego nie przegrał z kretesem. Tymczasem ozwała się wdowa:

— Dziś, w dniu mych urodzin, pragnę dobrym uczynkiem podziękować Bogu za tę radość, którą mię udarował. Widziałam wczoraj, że pszenica na dawnem pastwisku ślicznie się udała. Przeznaczam więc trzecią część plonu z tego zbioru na moją szkółkę dla dzieci wiejskich; i tak potrzeba różnych książek i zachęty dla nich do nauki.

— A ja — ozwała się śliczna Jadwiga — chcąc dzień dzisiejszy

mameczcze umilić, zmówiłam się z naszym professorem i z księdzem proboszczem, którzy wyprawią w szkółce egzamen z dziećmi, aby się popisać z tem, czego je dotąd już nauczyli. Sądzę że większej radości nie mogę mameczce czem innem sprawić. —

Wdowa poczuła łzy w oczach, a pochyliwszy głowę ku Jadwisi, rzekła całując ją:

— Złote dziecię moje! Niech ci Bóg zachowa to piękne serce na pociechę, gdy przyjdą dni smutku i żałoby. —

Nie mogła dłużej powstrzymać się i tylko gestem poznać dała, że jest gotową iść do szkółki, w której na gości czekał już wraz z dziećmi nauczyciel wiejski.

Dzieci przyjęły gości ułożonym na ten cel przez nauczyciela śpiewem, a egzamen rozpoczął się według napisanego na tablicy programu.

Biedna wdowa zalewała się łzami, widząc postępy nauki, a pułkownik siedział na pozór zimny i znudzony tą całą robotą; ale jakoś z coraz większą uwagą przysłuchiwał się tej uczonej gadaninie, myśląc sobie w duchu:

— Proboszcz człowiek uczony, on wie więcej odemnie. Może ja tego nie rozumiem.

I z wesołą twarzą słuchał już dalej sztuki czytania i rachowania, a gdy mu Jadwiga wetknęła do ręki różne dla malców podarki, poczciwy pułkownik omal nie rozpłakał się z radości, gdy go dzieci w rękę całowały, za co wywdzięczając się cmoktał na głos rozczochrane czupryny chłopców, aplikując im różne swoje aforyzmy o Napoleonie i Samosierze.

Wesoło wrócili wszyscy do dworu wraz z nauczycielem, którego na obiad zaproszono.

We dworze zastali kilku gości z sąsiedztwa, którzy wdowie dnia urodzin i zaręczyn córki życzyć przyjechali.

Serdecznie, z szczeropolską prostotą i gościnnością, bawiono się aż do wieczora.

Wieczór był cichy, prześliczny. Księżyc świecił na niebie, mirjady gwiazdek mrugały z błękitnego sklepienia.

Woń kwiatów i roślin napełniała powietrze. Wdowa zaproponowała gościom przechadzkę na wzgórza, gdzie stał krzyż kamienny.

Wszyscy wybrali się ze dworu i długą aleą lipową dążyli do tego samego wzgórza, na którem przed laty dwudziestu widzieliśmy Jaremę pośród pastuchów i komisarza z swoim towarzyszem.

Wesoło postępowała drużyna; z każdego niemal krzaka odzywał się słowik. Jakoś pogodnie było w sercach.

Wreszcie zdążyli wszyscy do drogi na wzgórzu.

Na drodze pod lipą zabłysło coś nagle. Pułkownik z Władysławem zbliżyli się do lipy—byli to żandarmi uzbrojeni.

Wszyscy zdziwili się, widząc ten posterunek. A w tej chwili zbliżył się z drugiej strony jakiś jegomość w czapeczce urzędowej i rzekł do nich zcicha, aby czemprędzej do dworu wracali, albowiem przyszła wiadomość do urzędu, że gromada nowowiejska chce przemocą lasy i pastwiska dominialne odebrać.

Proboszcz i pułkownik wzięli natychmiast kobiety pod ręce i zawrócili do dworu.

Nim jednak jeszcze urzędnik skończył mówić, zaleciał od strony wsi jakiś głuchy szum do uszu stojących na wzgórzu. Było w tym szumie coś strasznego, coś okropnego. Wszyscy struchleli i stanęli jak wryci z przerażenia. A szum rósł coraz więcej, rósł w jakąś dziwną, nieodgadnioną wrzawą....

Kiedy niekiedy tylko dwa zrozumiałe słowa odrywały się od tej wrzawy:

— „Lisy i pasowyska“!....

I zbliżył się cały pochód do wzgórza, zbliżyły się szeregi bydła i wszystko co tylko żyło w gromadzie do pola z dworską pszenicą, na którem niegdyś było wspólne pastwisko.

Urzędnik i żandarmy wybiegli na drogę i stanęli przed pochodem. — Na pered! — wołało tysiące głosów.

Żandarmi zniżyli broń i naciągnęli kurki.

Urzędnik wystąpił naprzód i rzekł do gromady, że przy-

chodzi tutaj w imieniu rządu, aby gwałtów żadnych nie dopuścić.

Widok urzędnika zrobił na gromadzie pewne wrażenie. Milczenie Jaremy, jego mistyczne, niewyraźne słowa, jakie nieraz w karczmie od niego słyszeli, kazały im się domyślać, że za nim stoi ktoś inny, który ich ma w bezpośredniej opiece.

Toż niemałe było ich rozczarowanie, gdy urzędnika i żandarmów ujrzeli przeciw sobie.

Ale to trwało tylko chwilę.

— Gdzie jest wójt? — zawołał urzędnik, korzystając z chwilowego wrażenia.

— Tu jest! — zawołał groźnie Jarema. — Albo co?

— Imieniem rządu, imieniem starosty nakazuję ci Jarema — zawołał urzędnik — abyś natychmiast gromadę do wsi zawrócił!

— Oho, ho! — krzyknął Jarema, machając drągiem — wid toho ne widstupym pane komisare!

— A tak! tak! tak! — ozwało się tysiąc gardzieli mężczyzn, kobiét i dzieci. — Na pered, Jarema, na pered! Nasze lisy i pasowyska! —

Urzędnik usunął się aż do bagnetów żandarmów i rzekł do Jaremy:

— Wszak dziedziczka dała wam część pastwisk dominialnych i te macie.

— Nam się całe pastwisko należy i lasy nam się należą! — zawołał gromowym głosem Jarema.

— Oho, ho! — wrzasnęły tłumy — nasze lisy i pasowyska! Na pered Jarema! —

Urzędnik chciał jeszcze coś wytłumaczyć gromadzie, ale krzyk i wrzawa zagłuszyły go. Tłumy zaczęły się ruszać i przeć naprzód.

Krzyk i wrzawa zagłuszyły wszystko; massa cała ruszyła się w pochód; skrzydła rozszerzały się coraz więcej.

Urzędnik uznał dalszą obronę majątku dominialnego za bezskuteczną i cofnął się pod lipy wraz z żandarmami. A tymczasem cała tłuszcza z tysiącem sztuk bydła rozlazła się po łanach pańskich, jak rzeka nagle wezbrana.

Zgłodniałe bydło rzuciło się na młode zboże, a piękne,

bujne obszary zielonej pszenicy, zamieniły się w oka mgnieniu w jakieś dziwne, okropne pobojowisko.

A z tysiąca gardzieli wydobywał się straszny krzyk śród nocy:

— „Lisy i pasowyska!“

A śród tego okropnego krzyku zabłysnęła jeszcze łuna na nocnem niebie. Sterty siana i budynki gospodarskie dworu stały w płomieniach....

Urzędnik i żandarmi rozbiegli się, aby najbliższym urzędom dać o tem wiadomość i wezwać ich pomocy. Telegraf zawiadomił o tem najwyższą władzę w kraju. Nakazano przedsięwziąć środki najsurowsze.

Nad ranem przybyła na miejsce gwałtów znaczna siła zbrojna, bataljon piechoty i szwadron huzarów, a w godzinę za nią przybył sam starosta.

Był to piękny, pogodny ranek. Powóz starosty stanął na tem samem miejscu, na którem przed laty dwudziestu stał jego wóz forszpanowy, kiedy małym będąc urzędnikiem, stał się świadkiem owej niewinnej kradzieży Jaremy....

Ale dzisiaj nie była pora po temu, aby sobie przypominać co się przed laty dwudziestu działo. Zagrażało wielkie niebezpieczeństwo, bo z okolicy przychodziły wieści zatrważające.

Bataljon więc wyszykował się czemprędzej z jednej strony, a z drugiej stanęli gotowi do szarży huzary.

Urzędnik wezwał gromadę do posłuszeństwa.

Krzyk okropny i wrzawa piekielna gróźb i obelg, były odpowiedzią.

Wojsko zniżyło broń i zaczęło postępować.

— Wójt! wójt! gdzie jest wójt? — zawołał starosta.

Jarema wysunął się naprzód z tłumu.

— To ty, Jarema, ty, na którego ja tak liczyłem! — zawołał starosta — ty, któryś tak nam był przychylnym, ty teraz buntownikiem?

— Ja nie buntownik panie starosto — odparł Jarema — ale ja wójt i plenipotent gromady.

— Patrzcie na mnie! — zawołał starosta, wskazując na swój mundur — to tak jakby sam cesarz stał przed wami!

Hrehory, stojący zaraz koło Jaremy, odpowiedział:

— Darujte pane, nam zawdy komisary kazaty, szczo cisar choczet nam daty lisy i pasowyska, a wy pane teper ne choczete nam daty. Wy trymajete z dworom! Was pany teper kupyły! —

Starosta zapomniał w tej chwili o swoich dawnych pogadankach z chłopami jak był komisarzem....

Na taką odpowiedź dano wojsku rozkaz do ataku.

— Uciekaj! — krzyknął do Jaremy komendant — bo każę strzelać!

Jarema rozdarł koszulę i obnażył czarne, opalone piersi swoje.

— Strelaj tu, strelaj! — krzyknął okropnym głosem.

Dwóch piechotnych żołnierzy wymierzyło bagnety do Jaremy. Jarema przetarł oczy i krzyknął:

— Szymku i Walku! A szczo wy, do witcia choczete strelaty?

— My sem cisarskie żowmiry, my sem ne znajem was — odpowiedzieli.

W tej chwili tentent koni rozległ się od alei lipowej.

Huzary z szablą w ręku uderzyli na gromadę.

Powstał okropny krzyk i wrzawa. Jedni wrzeszczeli i odgrażali się, inni uciekali i drugich porywali ze sobą. Konie, woły, krowy i owce tłoczyły się śród okropnego ryku i powiększały zamięszanie.

Prąd uciekających porwał z sobą Jaremę i wyrzucił go na drogę.

Jarema otarł pot z czoła, wzniósł w górę pięść zaciśniętą i rzekł do Hrehorego:

— Idy do hromady, naj ne wertajutsia do seła! Tu na dorozi naj zdychaje wsia chudoba. Ja pijdu do cisara. Czekajte, ja wam prynesu pysmo od cisara, szczo nasze sut lisy i pasowyska. —

I przeżegnał się trzy razy i przeżegnał drogę przed sobą i zniknął w kurzu, który wydobywał się kłębami z pod kopyt zbliżających się właśnie huzarów.

Epilog.

W kilka tygodni po téj katastrofie, siedział starosta w swojem biurze. Przed nim stał jakiś urzędnik.

— Czy już zupełnie ucichło w Nowejwsi? — pytał starosta — czy pieniądze wyegzekwowano za szkody poczynione na polach i lasach dominialnych?

— Napozór ucichło — odparł urzędnik — ale w gromadzie wre i kipi. Nie mogą oni pojąć jak wojsko i starosta mogli przeciw nim wystąpić i czekają na odpowiedź z Wiednia. Połowa bydła wyzdychała, bo pięć dni nie wracali do wsi, tylko stali na gołej drodze. —

Starosta zamyślił się, a potem rzekł:

— Trzeba przeciw tym szerzącym się nieporządkom gromad stosowne poczynić kroki.... Takie Jaremy sę nam dzisiaj niebespieczne. —

W tejże samej chwili, prawie z przedpokoju cesarskiego, ujęto zbiegłego Jaremę i odprowadzono do więzienia.

Gdy klucznik drzwi od kaźni odmykał, zajrzał mu Jarema w oczy i krzyknął:

— Szymek! —

Szymek spokojnie obrócił kluczem i odparł:

— Tak jest, jestem Szymek, o którym cała gromada myśli, żeś go utopił.

— A to tymczasem tyś chciał mnie utopić! — krzyknął Jarema — a czemużeś nigdy nie okazał się w gromadzie, że żyjesz?

— Miałem do tego powody, aby mniemano żem utopiony — odparł Szymek i zatrzasnął drzwi za Jaremą.

— Szelma — pomyślał sobie Jarema — jak każdy zawłoka, co nie należy do gromady. —

I legł na pryczy z najspokojniejszem sumieniem.

Sędzia powiedział mu, że piętnastu jego towarzyszy z Nowejwsi siedzi także w więzieniu i że na kilka lat zakuje ich sąd w kajdany. Ale Jarema z nadzwyczajnym spokojem słuchał tego wszystkiego.

Spokojnie spał, jakby najmniejsza na jego sumieniu nie ciężyła wina.

Był on uczniem tej szkoły, z której wyszedł Szela i towarzysze!.... Tylko nieco spóźnił się, przez co nauczycielom swoim narobił trochę kłopotu....

We dworze nowowiejskim zgromadziła się w tym dniu znajoma nam drużyna, a gdy z okna ujrzano spalone budynki i sterty pomierzwionej pszenicy, wstał pułkownik i rzekł:

— A co? nie mówiłem? Na cóż było jeszcze żonę Jaremy do dworu przyjmować—żonę kryminalisty!!! —

I spojrzał z wyrzutem na proboszcza, którego chciał dzisiaj gwałtem pokonać.

Proboszcz zrozumiał to spojrzenie i smutno popatrzył na wdowę.

Wdowa uśmiéchnęła się boleśnie i rzekła:

— Co do mnie, nie odstąpię od moich przedsięwzięć: będę nadal popierała szkółkę i co tylko sił mi starczy, będę świadczyła temu biednemu ludowi. —

— Tak, tak! mameczko — zawołali Jadwiga i Władysław — to będzie także program i naszego życia. —

Rozjaśniła się twarz proboszcza. Wzniósł ręce do góry i zawołał:

— Dzięki ci Boże, że wzmacniasz serca wiernych Twoich!—

A zwróciwszy się do zgromadzonych, mówił dalej:

— Jest to balsamem dla mego serca, co w tej chwili usłyszałem z ust waszych. Nie miejcie za złe temu biednemu ludowi jego przewinień bezwiednych. Nie przestanę żebrać u was dla niego miłości i światła! —

Milczenie głębokie nastało po tych słowach proboszcza, bo wszyscy uczuli łzy w oczach. Pułkownik podparł ręką głowę, tak iż oczu jego nie widziano, i głęboko zamyślił się.

Lwów, 1860.

KONIEC.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.



